

Jack LONDON

WILK MORSKI

**Przełożył:
Jerzy Bohdan Rychliński**

ISKRY WARSZAWA

(ji14)

Od redakcji

Jack London, Kalifornijczyk z San Francisco, żył ledwie czterdzieści lat (1876—1916), ale za to z takim rozmachem i fantazją, że jakby w dwójnasób. Był amerykańskim romantykiem. Pełen energii i siły woli, wrażliwy i prostoduszny, obdarzony przepyszną wyobraźnią i zniewalającym urokiem osobistym, ogarnął swym doświadczeniem — a zarazem piórem — nie byle jakie obszary życia. Syn trapera z dzikiego pogranicza, z wykształceniem elementarnym, od najmłodszych lat pracował na siebie w przeróżnych zawodach: jako gazeciarz, kierowca, robotnik w fabryce konserw, ładowacz statków towarowych, poławiacz ostryg, kowboj na rancho. W wieku siedemnastu lat zaciągnął się na statek poławiaczy fok; poznał wówczas wybrzeża japońskie i wody syberyjskie aż do Cieśniny Beringa. Jako osiemnastolatek został traperem i przewędrował na dachu rozpędzonego ekspresu Stany Zjednoczone i Kanadę. Następnie przez rok studiował na Uniwersytecie Kalifornijskim, a potem jedną zimę spędził jako poszukiwacz złota w Klondike na Alasce. Podczas wojny rosyjsko-japońskiej, jak również w czasie wojny w Meksyku w 1914 popróbował fachu korespondenta wojennego. Był farmerem na doświadczalnym rancho, a jako znany już pisarz i bogacz podróżował własnym jachtem po Oceanie Spokojnym, zwiedzając archipelagi. Pośród tego wszystkiego zdołał jeszcze spenetrować najmroczniejsze zakamarki wielkich miast amerykańskich, a także Londynu, interesował się bowiem zawsze ludzką nędzą i badał jej społeczne uwarunkowania.

Oszałamiająca obfitość przeżyć i przygód Jacka Londeną znalazła odbicie w jego prawie pięćdziesięcioletniej produkcji literackiej. Pisał o tym, co sam widział i czego doświadczył na własnej skórze. Zaczął od kapitalnych opowieści z życia zwierząt: *Syn wilka* (*The Son of the Wolf*, 1900) i *Zew krwi* (*The Call of the Wild*, 1903), w których dopatrzeć się można alegorii losów autora. Wkrótce jednak przyszła kolej na powieści o ludziach: *Mieszkańcy otchłani* (*The People of the Abyss*, 1903), *Wilk morski* (*The Sea Wolf*, 1904), *Przed Adamem* (*Before Adam*, 1906), *Gra* (*The Game*, 1905), nade wszystko zaś *Martin Eden* (1905) i *John Barlaycorn* (1913) — obie prawie dosłownie autobiograficzne. Prócz tego London napisał setki nowel.

Zmarł samobójczo u szczytu sławy.

Wilk morski, powieść, którą przedstawiamy właśnie czytelnikom, wywodzi się z młodzieńczych doświadczeń autora na statku poławiaczy fok. Zapewne tam, na pokładzie łowieckiego szkunera, zobaczył London na własne oczy brutala i okrutnika o potężnej sile intelektu i jeszcze potężniejszej sile ciała, który bez reszty zawładnął jego wyobraźnią. Po latach, pisząc swą kapitalną powieść o kapitanie „Upiora”, Wilku Larsenie, London nadał mu cechy lucyferyczne, być może pod wpływem demonicznego bohatera powieści *Moby Dick* Hermana Melville’a. A przecież nie pozbawił go — tragicznego samotnika, dotkniętego okrutną zemstą losu — prawa do najgłębszego ludzkiego współczucia i rozumienia.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Doprawdy nie wiem, od czego zacząć, chociaż czasami za wszystko, co się stało, winię dla żartu Charleya Furusetha. Wynajmował on domek w Mill Valley, u podnóża góry Tamalpais, gdzie spędzał tylko zimowe miesiące, próżnując i czytając dla wypoczynku Nietzschego i Schopenhauera. W lecie bowiem dawał pierwszeństwo życiu w dusznej atmosferze wielkiego miasta, harując w pocie czoła bez chwili wytchnienia. Gdybym nie miał zwyczaju odwiedzać go w każdą sobotę po południu i pozostawać w Mill Valley aż do poniedziałku, ów pamiętny stycziowy ranek nie zastałby mnie na falach zatoki San Francisco.

Nie twierdzę wcale, że płynąłem na niepewnym statku, gdyż „Martinez”, nowy prom parowy, odbywał już czwarty czy piąty kurs między Sausalito i San Francisco. Niebezpieczeństwo kryło się w gęstej mgłę zasnuwającej zatokę, ale tego ja, szczer łądowy, zupełnie się nie domyślałem. Pamiętam, w jakim pogodnym nastroju zajmowałem miejsce na dziobowym górnym pokładzie pod sterówką. Tajemniczość mgły owładnęła moją wyobraźnię. Wiała silna morka. Zdawało się, że jestem sam wśród wilgotnej pomroki, a przecież wyczuwałem obecność pilota i jeszcze kogoś — zapewne kapitana, w oszklonej sterówce.

Przypomniałem sobie, że rozmyślałem wówczas o korzyściach wynikających z podziału pracy, dzięki któremu nie potrzebowałem studiować mgieł, wiatrów, przyptyków ani nawigacji, aby odwiedzić przyjaciela mieszkającego po drugiej stronie zatoki.

Specjalizacja — myślałem — to bardzo dobra rzecz. Fachowe wiadomości pilota i kapitana służą tysiącom ludzi, którzy akurat tyle co i ja znają się na morzu i sztuce żeglarskiej. Zamiast rozdrabniać energię na poznanie mnóstwa szczegółów, ześrodkowuję ją na kilku takich zagadnieniach jak, dajmy na to, stanowisko Poego w literaturze amerykańskiej. Nawiasem mówiąc był to temat mego eseju w ostatnim numerze czasopisma „Atlantic”. Wychodząc na pokład, z zadowoleniem zauważyłem w kajucie tęgiego jegomościa z numerem miesięcznika „Atlantic”, otwartym akurat na moim esej. Oto znowu przykład pracy: tęgi jegomość, podróżując bezpiecznie z Sausalito do San Francisco, może dzięki fachowym umiejętnościom pilota i kapitana korzystać z mojej ścisłej wiedzy o Edgarze Poe.

Właśnie zaczął mi się krystalizować temat nowego eseju pod tytułem „Wolność jako zasadniczy warunek rozwoju artysty”, gdy jakiś jegomość o twarzy czerwonej jak burak trzasnął drzwiami kajuty i wyszedł na pokład, przerywając wątek mych myśli. Rzucił okiem na sterówkę, rozejrzał się we mgle, pokuśtykał tam i z powrotem (widocznie miał protezy) i przystanął obok mnie, rozkraczony i z wyrazem wielkiego zadowolenia na twarzy. Z jego zachowania wywnioskowałem słusznie, że spędził życie na morzu.

— Od takiej paskudnej pogody siwieje się za młodu — burknął i kiwnął głową w stronę sterówki.

— Nie sądzę, żeby taka przeprawa wymagała szczególnego wysiłku — odpowiedziałem. — To proste jak dwa razy dwa. Kompas wskazuje kierunek. Odległość i szybkość są znane. Nazwałbym to ścisłością matematyczną.

— Wysiłek! — parsknął. — Dwa razy dwa jest cztery. Matematyczna ścisłość!

Nagle natężył się, jak gdyby oparł plecami o wiatr, i wytrzeszczył na mnie oczy. — A co z tym odpływem, który wali ze Złotych Wrót? — spytał, a raczej ryknął. — Jaka szybkość odpływu? Jaki dryf*, co? Posłuchaj no pan: to boja** alarmowa, a my na niej! Patrz pan: zmieniamy kurs.

We mgle odezwał się jęśliwy dźwięk dzwonu, pilot zakreślił gwałtownie szprychami steru. Dzwon, który odezwał się przed chwilą na wprost promu, dźwięczał teraz z boku. Syrena naszego statku ryczała chrapliwie; co pewien czas dochodziły z mgły gwizdy innych syren.

To znów jakiś prom — rzekł ów jegomość wskazując na prawo, skąd dochodził gwizd syreny. — A tam! Słyszysz pan? Dmie w zwyczajny rożek. Pewnie jakiś przybrzeżny szkuner. Ej! ty tam, na szkunerze... pilnuj się lepiej! A co, nie mówiłem? Teraz już na pewno kogoś diabli wezmą!

— Niewidzialny prom ryczał raz po raz, a rożek buczał lękliwie.

— Teraz oddadzą sobie honory i będą chciały się wyminąć — dodał czerwoniczy, gdy gwałtowne gwizdanie ustało.

Twarz mu promieniała, oczy błyszczały podnieceniem, gdy tłumaczył na ludzki język gwarę rogów i syren.

* D r y f – znoszenie statku przez wiatr lub prąd.

** B o j a — pływający na wodzie znak ostrzegawczy lub porządkowy dla statków. Boja (inaczej pława) bywa jaskrawo pomalowana, często zaopatrzona w światło, dzwon lub buczek. Jest zakotwiczona u dna.

— To syrena parowca, ryczy na całego tam z lewej strony. Aha! Słyszysz pan tę chrypkę? To kuter parowy, jak mi się zdaje, idzie właśnie pod prąd do zatoki od strony Heads.

Przenikliwy, jakby oszalały gwizdek dał się słyszeć tuż przed nami, w prawie dotykanej bliskości. Na „Martinezie” uderzono w gongi. Nasze koła zatrzymały się, puls maszyny zamarł, po krótkiej jednak chwili uderzył znowu. Gwizdek, przypominający ćwierkanie świerszcza pośród ryku grubego zwierza, przeciął mgłę trochę z boku i szybko ścichnął. Obrzuciłem towarzysza podróży pytającym spojrzeniem.

— To jedna z tych szalup, co szukają guza — powiedział. — Bodaj czy nie szkoda, żeśmy nie zatopili tego pudła. Same tylko kłopoty z nimi. I co komu po nich? Wskoczy sobie jakiś osioł na pokład takiej szalupki i wyprawia na niej piekielne harce. Przy tym dmie z całej siły w gwizdek, aby okazać, co to on potrafi, i oznajmić reszcie świata, że płynie! I jeszcze schodzić mu z drogi — sam sobie nie poradzi. To dobre, co? Bo on idzie! A ty, człowieku, musisz jeszcze uważać. Zmieniaj kurs! A zwykła przyzwoitość? O tym nie mają pojęcia!

Ubawił mnie ten nieuzasadniony wybuch gniewu. Mój rozmówca kuśtykał wściekle tam i z powrotem, a ja zacząłem rozmyślać o romantyzmie mgły morskiej. Romantyczna była niewątpliwie — mgła, niby szary cień tajemnicy nie do odgadnięcia, zwisała nad wirującą plamą ziemi. A ludzie? Po prostu drobiny światła lub skry, opętane chorobliwą żądzą wysiłku. Gnają na rumakach z drzewa i stali przez serce tajemnicy, niby ślepcy szukają drogi w Niewidzialnym; wzywają się dufnie i okrzykują, ale w sercach ciąży im niepokój i trwoga.

Głos mego towarzysza ściągnął mnie z obłoków. Musiałem się uśmiechnąć. I ja również błądziłem po omacku, myśląc, że z otwartymi oczyma poznaje tajemnicę.

— Halo! Ktoś idzie naszym kursem — zawołał. — Czy pan tego nie słyszy? Gna szybko... No i patrzcie, idzie prosto na nas. Pewnie nas nie słyszy. Wiatr jest przeciwny.

Chłodna morka wiała od dziobu prosto w twarz i wyraźnie dochodził mnie gwizd skądś z boku i z przodu zarazem.

— Prom? — rzuciłem.

Skinał głową i dodał:

— Kto inny by tak gnał. — Zachichotał. — O, tam na górze też mają pietra!

Spojrzałem w górę. Kapitan, wychylony po pas ze sterówki, wpił się wzrokiem w mgłę, jakby chciał ją przebić siłą swej woli. Twarz jego miała ten sam wyraz trwogi co i twarz mego towarzysza, który pokuśtykał ku poręczy i również wpił się wzrokiem w niewidzialne niebezpieczeństwo.

Wszystko zaszło z niepojętą szybkością. Mgła rozstała się, jakby rozłupana klinem, i wychynął z niej dziób parowca. U jego burt wlokły się wasy z mgieł niby wodorosty u paszczy lewiatana. Dojrzałem sterówkę, z której wychylał się jakiś siwobrody mężczyzna wsparty na łokciach. Ubrany był w granatowy uniform. Zapamiętałem jego schludność i opanowanie. W tej sytuacji jego spokój był czymś przerażającym. Mężczyzna poddawał się wyrokowi Przeznaczenia, szedł z nim ręką w rękę i z zimną krwią przewidywał śmiertelny cios. Wychylony zmierzył nas spokojnym, badawczym wzrokiem, jakby wybierając punkt uderzenia. Nie zwrócił najmniejszej uwagi na naszego pilota, który pobał z gniewu i wrzasnął:

— To twoja wina!

Patrząc wstecz rozumiem, że oczywistość tego okrzyku nie wymagała odpowiedzi.

— Chwyć coś i trzymaj się mocno! — zawołał mój towarzysz. Całe jego podniecenie minęło i zdawał się zarażony niezwykłym spokojem.

— Słuchaj wrzasków kobiet — dodał ponuro, prawie z goryczą, jakby przeżył już kiedyś coś podobnego.

Zanim zdołałem skorzystać z jego wskazówek, statki się zderzyły. Nasz musiał dostać w sam środek, gdyż nic nie dojrzałem. Obcy parowiec przeszedł poza naszym polem widzenia. „Martinez” pochylił się gwałtownie, a trzask i łomot miażdżonego drzewa był ogłuszający. Rzuciło mną na mokry pokład i jeszcze nie zdołałem się podnieść, a już słyszałem wrzask kobiet. Pewny jestem, że dopiero ten najstraszniejszy z krew w żyłach mrozących krzyków wytrącił mnie z równowagi. Wiedziałem, że pasy i koła ratunkowe złożono w kabinie, ale przy drzwiach napotkał mnie i porwał do tyłu wezbrany, nieokiełznany potok miotających się na oslep mężczyzn i kobiet.

Nie pamiętam już, co się działo w ciągu kilku minut, wiem tylko tyle, że ściągnąłem z wieszaka pasy ratunkowe, czerwonicy zaś przypinał je rozhisteryzowanym kobietom. Obraz ten utrwalił mi się w pamięci jak żaden inny. Tak, był to wstrząsający obraz, widzę go dotąd: w ścianie kajuty zieje wybita dziura, a w niej szara mgła pełza i wiruje. Na wyściełanych krzesłach leżą w nieładzie przedmioty świadczące o gwałtownej ucieczce: paczki, torebki, parasolki i płaszcze. Tęgi, opięty teraz w korek i płótno jegomość, który czytał mój esej, nie wypuszczając z rąk miesięcznika pyta mnie z monotonną natar-

czywością, czy moim zdaniem grozi nam niebezpieczeństwo. Czerwonolicy dzielnie postukuje protezami i każdemu, kto nadchodzi, przypina pas ratunkowy. Nad wszystkim górują wariackie wrzaski kobiet.

Te krzyki najsilniej rozstroiły mi nerwy, a sądząc z tego, co się potem stało i utkwiło mi w pamięci, musiały wstrząsnąć również systemem nerwowym mego towarzysza. Tęgi jegomość wpakował miesięcznik do kieszeni palta i począł rozglądać się ciekawie. Splątana masa kobiet o wykrzywionych, bladych twarzach i rozwartych ustach wrzeszczy niby chór potępieńców. Czerwonolicy, teraz już purpurowy z wściekłości, wznosi ręce nad głową, jakby miotał kłatwy, i ryczy:

— Milczeć! Milczeć!

Pamiętam, że scena pobudziła mnie do śmiechu. Natychmiast zdałem sobie jednak sprawę, że sam ulegam hysterii. I nic w tym dziwnego, gdyż były to kobiety takie same jak moja matka i siostry. Bały się śmierci i nie chciały umierać. Wydawały dźwięki przypominające kwiczenie prosiąt pod nożem rzeźnika. Żywość tego porównania przejęła mnie zgrozą. Oto kobiety — istoty zdolne do najwznioślejszych i najtkliwszych uczuć — wrzeszczą na całe gardło. Chciały żyć, a były bezradne jak szczury w pułapce, więc krzyczały.

Groza tego obrazu wygnała mnie na pokład. Zrobiło mi się niedobrze. Usiadłem na ławce. Jak przez mgłę widziałem i słyszałem ludzi szamoczących się i krzyczących przy spuszczeniu łodzi. Wszystko było zgodne z opisem podobnych scen w książkach. Liny więzły w blokach*. Nic nie działało. Opuszczono jedną łódź bez korków**. Wypełniona kobietami i dziećmi, nabrała wody i wyróciła się do góry dnem. Spuszczono inną. Jedna talia*** rozwinęła się normalnie, ale druga zaplątała się, tak że łódź zawisła jednym końcem w dół i została porzucona. Spodziewano się na promie, że parowiec, który spowodował katastrofę, wyśle łodzie ratunkowe. Ale parowiec nie dawał znaku życia.

Zszedłem na dolny pokład. „Martinez” tonął szybko, poziom wody był tuż. Wielu pasażerów skakało w morze. Inni znów, którzy już byli w wodzie, wołali, by wziąć ich z powrotem na pokład. Nikt o nich nie dbał. Rozległ się krzyk, że toniemy. Podczas paniki, porwany potokiem ciał, znalazłem się nagle za burtą. Nie wiedziałem, jak to się mogło stać, chociaż od razu zdałem sobie sprawę, czemu ci, którzy już byli w wodzie, tak bardzo pragnęli znaleźć się z powrotem na parowcu. Woda była zimna, tak lodowato zimna, że zetknięcie z nią bolało. Ból ten był przeszywający i ostry, jak od oparzenia. Przejmował

* B l o k — krążek, po którym przesuwają się liny.

** K o r k i — drewniane zatyczki w dnie łodzi do wylewania wody, gdy łódź znajduje się na pokładzie statku.

*** T a l i a — wielokrążek.

do szpiku kości. Wydawał się uściskiem śmierci. Opanowała mnie straszliwa trwoga i począłem nieprzytomnie łapać ustami powietrze, nim pas ratunkowy wyniósł mnie na powierzchnię. Poczułem mocny słony smak w ustach, zachłystywałem się i dusiłem od palącej gardło i płuca soli.

Ale najdokuczliwsze było zimno. Myślałem, że wyżyję tylko parę minut. Wokół mnie ludzie miotali się i błakali w wodzie. Słyszałem ich nawoływania. Słyszałem też plusk wiosła: widocznie obcy parowiec przysłał łodzie ratunkowe. Z biegiem czasu rosło moje zdumienie, że jeszcze żyję. Straciłem jednak czucie w dolnych kończynach, a odrętwiający ziąb coraz mocniej spowijał mnie i wpelzał do serca. Drobne fale o złowrogo spienionych grzbietach załamywały się nade mną, zalewały mi usta i wywoływały coraz cięższe ataki duszności.

Hałasy przycichły, po czym z oddali doszedł ostatni rozpaczliwy chór lamentów. Zrozumiałem, że „Martinez” zatonął. Później — choć nie mam pojęcia po jakim czasie — ocknąłem się w śmiertelnym strachu. Byłem sam. Nie słyszałem już więcej nawoływań ani krzyków i wokół mnie rozbrzmiewał tylko szum fal, dziwnie głuszony i odbijany przez mgłę. Paniczny strach w tłumie, związanym jakaś wspólnotą interesów, jest niczym w porównaniu z przerażeniem, jakiemu ulega się w samotności. Taki właśnie strach opanował mnie teraz. Dokąd znosi mnie woda? Czerwonolicy twierdził, że odpływ wytacza się przez Złote Wrota. Jeżeli tak, czyż miał mnie wynieść na pełne morze? Czy pas ratunkowy, który utrzymywał mnie na fali, nie rozleci się lada chwila? Mówiono mi, że sprzęt ratowniczy bywa niekiedy z papieru i sitowia i wtedy niewiele jest wart, gdyż szybko rozmięka i traci zdolność utrzymywania się na wodzie. A ja nie umiałem pływać. Uprzytomniłem sobie, że płynę samotny wśród szarej, pierwotnej pustki. Wyznaję, że ogarnęło mnie szaleństwo. Zacząłem wrzeszczeć jak kobiety z promu i trzepać o wodę zdrętwiałymi rękoma.

Nie mam pojęcia, jak długo to trwało, gdyż straciłem przytomność i pamiętam tylko tyle, ile pamięta się z ciężkiego i niespokojnego snu. Ocknąłem się jakby po upływie wieków. Nagle w pobliżu wynurzył się z mgły dziób statku, a nad nim trzy trójkątne żagle, wzdęte wiatrem i zajadle uderzające się nawzajem. Wydało mi się, że jestem na drodze dziobu, który pruł spienioną i bulgoczącą toń. Próbowałem krzyczeć, ale byłem zbyt wyczerpany. Dziób dał nura, chybił mnie o włos i oblał strugą wody. A potem długa i czarna burta zaczęła prześlizgiwać się koło mnie tak blisko, że mogłem dosięgnąć jej ręką. Wpadłem na szalony pomysł: wpić się paznokciami w drewniane poszycie, ale ramiona miałem ciężkie i zmartwiałe. Znowu spróbowałem krzyknąć, ale nie zdołałem wydobyć głosu.

Potem rufa statku przemknęła obok i zsunęła się w bruzdę fal. W przelocie ujrzałem człowieka przy sterze i drugiego, który beczynnie palił cygaro. Widziałem, jak dym dobywał się z jego ust, kiedy powoli odwracał ku mnie głowę, wodząc spojrzeniem po morzu. Był to niedbały, nie zamierzony rzut oka, jeden z tych odruchów, które człowiek, jako istota żywa, więc niezdolna do trwania w bezruchu, spełnia w braku bliżej określonych zadań.

Śmierć moja lub życie zależy od tego rzutu oka. Mgła zaczęła pochłaniać statek. Dojrzałem sternika. Stał do mnie tyłem. Drugi powoli, bardzo powoli zwrócił ku mnie głowę błędząc oczyma po fali. Spoglądał w moją stronę. Wyraz jego twarzy, na której malowało się roztargnienie, wskazywał, że jest pogrążony w zadumie. Przeraziłem się na myśl, że patrząc na mnie, mógł mnie jednak nie zauważyć. Na szczęście strach ten był płonny, gdyż oczy nasze się spotkały. Zauważył mnie, bo skoczył do steru, odtrącił pilota, zakręcił oburącz szprychami i wykrzyknął jakieś rozkazy. Statek zdawał się oddalać po stycznej do swego poprzedniego kursu i prawie natychmiast znikł we mgle.

Pomimo rozpaczliwych wysiłków, by zerwać zasłony ciemności i bezładu spiętrzające się wokół mnie, uczułem, że tracę przytomność. W chwilę później usłyszałem głos zanurzanych coraz bliżej wiosł, a potem nawet wołanie. Z bardzo już bliska doleciał mnie jakiś zirytowany głos:

— Czego, do diaska, się nie odzywasz?

Zrozumiałem, że zwraca się do mnie. Potem zasłony ciemności i bezwładu zamknęły się nade mną.

ROZDZIAŁ DRUGI

Kołysał mną potężny rytm pędu po orbicie nieskończoności. Iskry wypryskiwały wokoło i przemykały obok mnie. Zdawało mi się, że są to gwiazdy gorejące i komety, które zaludniały moją drogę między słońcami. Gdy osiągnąłem biegun wahadła i właśnie miałem popędzić z powrotem, ogłuszył mnie grzmot wielkiego gongu. Sunąłem po falującym łonie rozkosznych wieków, bez końca i kresu, i upajałem się mym straszliwym lotem.

Ale we śnie — bo czułem, że musi to być sen — nastąpiła zmiana. Rytm kołysania stawał się coraz krótszy. Z denerwującym pośpiechem rzucało mną od jednego do drugiego bieguna. Tak gwałtownie czułem się gnany przez niebiosy, że z trudem chwyciłem powietrze. Gong rozbrzmiewał coraz częściej i coraz wścieklej. Oczekiwałem teraz jego uderzeń w trwodze nie do opisania. Potem znów wydało mi się, że wloką mnie po białych i rozpalonych w słońcu piaskach. To uczucie ustąpiło miejsca nieznośnej torturze. Skóra poczęła mi się kurczyć w piekielnym ogniu. A gong huczał i wydzwaniał. Roziskrzona światła utworzyły nie kończący się potok i mknęły tuż obok, jak gdyby cały system słoneczny leciał w pustkę. Dysząc ciężko, złapałem z trudem powietrze i otworzyłem oczy. Dwaj ludzie klęczeli nade mną i usiłowali mnie odratować. Ów potężny rytm było to kołysanie statku na morzu. Ogromny gong przybrał kształt zwykłej patelni zawieszanej na ścianie, stukającej i szczękającej przy każdym skoku okrętu.

Rozpalone, szorstkie piaski były to twarde ręce mężczyzny, który nacierał mi nagą pierś. Syknąłem z bólu i uniosłem głowę. Zauważyłem wówczas, że pierś mam chropowatą, czerwoną, a przez podrapany i zaogniony naskórek przesiąkają kropelki krwi.

— Wystarczy, Yonson — odezwał się jeden z ludzi. — Patrzaj go, obdarłby doszczętnie ze skóry tego dżentelmena!

Nazwany Yonsonem grubokościsty, ociężały Skandynaw przestał mnie nacierać i powstał niezgrabnie. Ten, który doń zagadał, był doskonałym okazem cockneya*, o regularnych, drobnych, prawie zniewieściałych rysach twarzy londyńczyka, co wraz z mlekiem matki wchłonał dźwięki dzwonu kościoła Mary-le-Bow. Wyszarzała muślinowa czapeczka na głowie i brudny worek prze-

* C o c k n e y — typowy londyńczyk. Według tradycji prawdziwym cockneyem jest londyńczyk urodzony w dzielnicy Cheapside, w zasięgu dzwonów kościoła St. Mary-le-Bow.

pasujący biodra zdradzały kucharza okrętowego z bardzo brudnego kambuza*, w którym się ocknąłem.

— I jak się pan czuje? — zapytał ze służalczym uśmiechem, odziedziczonym po pokoleniach przodków wyczekujących na napiwki.

Zamiast odpowiedzieć przeszedłem z trudem do pozycji siedzącej i wstałem przy pomocy Yonsona. Stukot i szcęk patelni na ścianie niemiłosiernie szarpał mi nerwy. Nie potrafiłem zebrać myśli. Czepiałem się drewnianych ścian kambuza — a były tak obrzydliwie zamazane tłuszczem, że robiło mi się słabo ze wstrętu — sięgnąłem ponad rozpaloną blachą po irytującą patelnię, zdjąłem ją z gwoźdźcia i włożyłem do paki z węglem.

Na widok tej nerwowości kucharz wyszczerzył zęby, po czym włożył mi w rękę dymiący dzban i powiedział:

— To panu dobrze zrobi.

Ta marynarska „kawa” była cuchnącą lurą, lecz jej ciepło podziało na mnie ożywczo. Pomiedzy dwoma łykami cieczy spojrzałem na swą pokierszowaną i krwawiącą pierś i rzekłem do Skandynawa:

— Dziękuję panu, panie Yonson. Czy nie uważa pan jednak, że pańskie wysiłki były nieco za bohaterskie?

Zrozumiał lepiej wyrzut malujący się w moim spojrzeniu aniżeli gorycz zawartą w słowach i podał mi dłoń do obejrzenia. Była niezwykle stwardniała. Przesunąłem palcami po odciskach i zrogowaceniach dłoni tak chropowatej, że znów zemdliło mnie ze wstrętu.

— Nazywam się Johnson, a nie Yonson — powiedział angielszczyzną wcale niezłą, choć nie płynną i zabarwioną odcieniem gwarowym.

W jego bladoniebieskich oczach odbił się przy tych słowach łagodny protest, a jednocześnie wyjrzało z nich tyle nieśmiałej prostoty i męskiej tężyzny, że zjednał mnie sobie od razu.

— Dziękuję panu, panie Johnson — poprawiłem się wyciągając doń rękę. Zawahał się, niezgrabny, zawstydzony, i przestąpił z nogi na nogę, a potem niezręcznie chwycił moją rękę w serdeczny uścisk.

— Ma pan coś suchego do włożenia? — zapytałem kucharza.

— Tak jest, panie — oświadczył z radosną gotowością. — Jeżeli pan tylko zgodzi się włożyć moje łachy, skoczę na dół i poszperam w skrzynce.

Dał nurka we drzwi, a właściwie wysliznął się z szybkością i gładkością, która zasługiwałaby raczej na nazwę oleistej aniżeli kociej. Jak się później

* K a m b u z — kuchnia okrętowa.

miałem przekonać, oleistość ta, a lepiej oślizgłość najpełniej wyrażała jego osobowość.

— Gdzie jestem? — zapytałem Johnsona, którego słusznie wziąłem za jednego z majtków. — Co to za statek i dokąd płynie?

— To szkuner „Upiór”. Żeglujecie na wody japońskie na połów fok. Idziemy na południowy zachód od Wysp Farallońskich — odparł powoli i metodycznie, siląc się na możliwie najpoprawniejszą mowę i zachowując w odpowiedziach porządek mych pytań.

— A kto jest kapitanem? Muszę z nim pomówić, jak tylko się ubiorę.

Johnson zaciął się i zmieszał. Przez chwilę dobierał słów i z zakłopotaniem układał odpowiedź, wreszcie rzekł:

— Kapitan to Wilk Larsen, przynajmniej tak go ludzie nazywają. Nigdy nie słyszałem z ich ust jego imienia. Radzę panu mówić z nim ostrożnie. Wściekł się dzisiaj. Szturman...

Ale nie dokończył, bo kucharz wślizgnął się do kambuza.

— Lepiej byś, Yonson, wskoczył na pokład. Stary może cię potrzebować, a lepiej mu się dzisiaj nie narażać.

Jonhson zawrócił posłusznie ku drzwiom, rzucając mi przy tym spoza pleców kucharza zdumiewająco uroczyste i ostrzegawcze spojrzenie, jakby chciał podkreślić wagę nie domówionego zdania i poradzić, abym ostrożnie rozmawiał z kapitanem.

Z ramienia kucharza zwieszała się zmiętoszona kupa podejrzanych i cuchnących łachmanów.

— Schowałem je, gdy były jeszcze mokre — objaśnił. — Musi pan trochę je ponosić, aż wysuszę pańskie przy ogniu.

Czepiając się oszalewania i tracąc co chwila równowagę wskutek chybotania statku, naciągnąłem wreszcie przy pomocy kucharza szorstki wełniany podkoszulek. Za ledwie go dotknąłem, dostałem dreszczy obrzydzenia. Kucharz zauważył, że mimo woli się wykrzywiam, i z szyderczym uśmiechem powiedział:

— Mam nadzieję, że nigdy nie będzie pan musiał przyzwyczajać się do czegoś takiego, bo ma pan taką delikatną skórę jak dama, delikatniejszą niż ktokolwiek, kogo znam. Jak tylko pana zobaczyłem, zaraz sobie pomyślałem, że to jakiś dżentelmen.

Od pierwszego zetknięcia z tym człowiekiem uczułem do niego nieprzezwyciężony wstręt. Uczucie to wzmogło się jeszcze, gdy począł mi pomagać

przy ubieraniu. W dotyku jego rąk kryło się coś odstręczającego. Unikałem tego dotyku, drżałem z obrzydzenia. Męczyły mnie też opary z garnków, kipiących i bulgocących na blasze, tak, że spieszno mi było na świeże powietrze. Przy tym chciałem jak najprędzej porozumieć się z kapitanem, aby wysadził mnie na ląd.

Tymczasem kucharz, nie przestając się usprawiedliwiać, wcisnął na mnie jakąś tanią bawełnianą koszulę z przetartym kołnierzem i przodem pokrytym śladami zakrzepłej krwi. Nogi moje utkwily w roboczych chodakach. Jakieś niebieskawe, wyblakłe drelichy musiały mi zastąpić spodnie. Wyglądały, jak gdyby diabeł sięgając szponami po duszę cockneya zamiast cienia chwycił coś konkretniejszego.

Wreszcie stanąłem kompletnie ubrany, z malutką czapeczką chłopca okrętowego na głowie, wtłoczony w jakiś brudny, pasiasty i kusy bawełniany kaftan, o rękawach sięgających zaledwie poza łokcie, i spytałem mego dobroczyńcę:

— Chciałbym wiedzieć, komu zawdzięczam tę przysługę.

Na to kucharz pochylił się z przesadnym uniżeniem i skromnym uśmiechem na twarzy. Na podstawie wielu doświadczeń ze stewardami parowców transatlantyckich pod koniec rejsu, byłem przeświadczony, że oczekuje napiwku. Obecnie poznałem bliżej tę wstrętną kreaturę i wiem, że postawę taką przybrał podświadomie. Był to rezultat dziedziczenia służalczych nawyków.

— Mugridge, panie — łąsił się, a jego zniewieściałe rysy rozmazywał lepki uśmieszek. — Tomasz Mugridge, do usług.

— Dobrze, Tomaszu, nie zapomnę o tobie, gdy wyschnie mi ubranie — odparłem.

Twarz mu się rozpromieniła i oczy zajarzyły, jak gdyby gdzieś w czeluściach tej lokajskiej istoty zajaśniały mgliste wizje napiwków otrzymanych w poprzednich wcieleniach.

— Pokornie panu dziękuję — powiedział z dużą wdzięcznością i bardzo pokornie.

Usunął się z drogi najzupełniej w ten sam sposób, w jaki uchylily się przede mną drzwi kambuza. Wyszedłem na pokład. Wciąż jeszcze byłem osłabiony po długotrwałej kąpeli. Podmuch wiatru porwał mnie i zatoczył po chybotającym pokładzie ku rogowi kajuty; przywarłem do niej szukając oparcia. Wychylony gwałtownie z pionu, szkuner wznosił się i opadał na długich falach Pacyfiku. Jeśli słowa Johnsona, że idziemy na południowy zachód, były prawdziwe, to według moich obliczeń wiatr musiał wiać prawie z południa. Mgła znikła

i słońce iskrzyło się na kędzierzawej powierzchni morza. Spojrzałem na wschód, gdzie powinna leżeć Kalifornia, lecz dostrzegłem tylko rozesełane nisko nad horyzontem ławice mgły — bez wątpienia tej samej, która spowodowała katastrofę „Martineza”, a mnie postawiła w obecnej sytuacji. Niedaleko w kierunku północnym piętrzyła się nad morzem grupa nagich skał. Na jednej z nich zobaczyłem latarnię morską. Na południowym zachodzie — prawie na naszym kursie — piętrzyły się żagle jakiegoś statku.

Skończywszy obserwację horyzontu, zwróciłem uwagę na bezpośrednie otoczenie. Uderzył mnie natychmiast brak zainteresowania moją osobą, na jakie człowiek, który przeżył zderzenie okrętów i otarł się o śmierć, powinien zasługiwać. Tymczasem tylko majtek przy sterze rzucił mi nad pomostem ciekawe spojrzenie, a nikt inny nie zwrócił na mnie najmniejszej uwagi.

Oczy wszystkich skierowane były na śródokręcie. Tam na pokrywie głównego luku* leżał na wznak rosły mężczyzna. Był całkowicie ubrany, tylko koszulę miał rozchełstaną na piersi. Samej piersi nie można było dostrzec pod gąszczem czarnych włosów, podobnych do psich kudłów. Twarz i szyję pokrywała czarna, lekko szpakowata broda, zwykle pewno stercząca i sztywna, ale w tej chwili zwiotczała, zwichrzona i ociekająca wodą. Widocznie był nieprzytomny. Oczy miał zamknięte, usta szeroko otwarte, pierś z wysiłkiem podnosiła się i opadała, hałaśliwie chwytając powietrze. Stał przy nim majtek, który raz po raz, metodycznym, zmechanizowanym ruchem spuszczał na końcu liny płócienne wiadro w morze, wyciągał je oburącz, chwyt za chwyt, i zlewał leżącego mężczyznę.

Człowiek zaś, którego przypadkowy rzut oka uratował mi życie, chodził po pokładzie wzdłuż głównego luku i z wściekłością gryzł koniec cygara. Na oko liczył pięć stóp i dziesięć, może dziesięć i pół cala wzrostu, jednak od pierwszego wejrzenia uderzał w nim nie wzrost, lecz siła. Był masywnie zbudowany, o szerokich barkach i wypukłej piersi, a mimo to siły jego nie nazwę masywną. Była to raczej siła ścięgien i mięśni, właściwa ludziom szczupłym i żyłastym, która jednak wskutek jego ciężkiej budowy nadawała mu coś ze spotęgowanych cech goryla. Ale nie znaczy to, by miał powierzchowność goryla. W tym wypadku chcę oddzielić tę siłę od jego wyglądu fizycznego. Była to siła, którą zwykliśmy łączyć z wyobrażeniami o prymitywności, o drapieżnych zwierzętach i żyjących na drzewach małpoludach — siła dzika, okrutna, istniejąca sama przez się, ekstrakt życia zdolny do ruchu, substancja pierwotna, z której zostały urobione wszystkie formy żywe, słowem, to, co porusza ciałem węża, gdy odcięto mu głowę, gdy jest już martwy, albo to, co w bezkształtnym kawale żółwiego mięsa drga i kurczy się pod dotknięciem palca.

* L u k — pionowy szyb do ładowni lub maszynowni.

Takie właśnie wrażenie siły odniosłem z obserwacji człowieka przechadzającego się po pokładzie. Był mocno osadzony na nogach; stopy jego uderzały o pokład prosto i pewnie, każdy ruch mięśni, począwszy od wzruszenia ramion, aż do sposobu ściśnięcia wargami cygara, był zdecydowany i świadczył o nadmiernej i przytłaczającej mocy. Chociaż ta moc przenikała każdy jego ruch, była jakby tylko ostrzeżeniem, przed siłą jeszcze większą, przyczajoną wewnątrz, która drzemała i tylko czasami poruszała się przez sen, ale w każdej chwili mogła się ocknąć, straszna i pobudzająca jak wściekłość lwa lub furia burzy.

Kucharz wytknął głowę z drzwi kambuza. Uśmiechnął się do mnie na znak zachęty i jednocześnie jednym palcem wskazał człowieka spacerującego obok luku. Ruch ten oznaczał, że to jest kapitan, ów „Stary” w jego gwarze, owo indywiduum, z którym miałem się porozumieć i któremu musiałem sprawić kłopot prośbą o wysadzenie mnie na ląd. Zdawałem sobie sprawę, że rozmowa z kapitanem będzie burzliwa. Właśnie zdecydowałem się wytrzymać te pięć minut i zrobiłem parę kroków naprzód, gdy leżącego na wznak mężczyznę porwał nowy i gwałtowniejszy niż dotychczas atak duszności. Nieszczęśnik miotał się i rzucał w konwulsjach. Zadzierał podbródek i mokrą, czarną brodę, w miarę jak sztywniały mu mięśnie karku, a pierś wydymała się w instynktowym wysiłku chwytania powietrza. Chociaż twarz ginęła pod zarostem, wiedziałem, że nabiera barwy fioletowej.

Kapitan Wilk Larsen, jak go nazwali na statku, stanął i przypatrywał się umierającemu. To przedśmiertne zmaganie było tak gwałtowne, że nawet majtek przestał zlewać konającego wodą i ciekawie wybałuszył oczy. Przechylił płócienne wiadro i woda popłynęła na pokład. Umierający wybijał piętami werble na pokrywie luku, potem wyprostował gwałtownie nogi, wyprężył się i stęzał w jakimś nadludzkim wysiłku, a głowa zaczęła mu opadać to na jedno, to na drugie ramię. Po chwili napięcie mięśni zelżało, głowa przestała opadać i westchnienie niezmierniej ulgi wyrwało się pomiędzy warg. Szczeka opadła, a górna warga podniosła się ukazując dwa rzędy zębów pożółkłych od tytoniu. Robiło to wrażenie, jakby jego rysy zastygły w szatańskim szyderstwie ze świata, który opuszczał i wystrychnął na dudka.

Wówczas stało się coś zdumiewającego. Gniew kapitana uderzył w trupa jak piorun. Z jego ust chlusnął nieprzerwany potok przekleństw. I nie były to lada jakie wyzwiska czy nieprzyzwoite wykazy. Każde z tych słów, a padały jak grad, było bluźnierstwem. Strzelały i trzaskały jak iskry elektryczne. Nigdy w życiu nie słyszałem czegoś podobnego i nie miałem pojęcia, by coś podobnego było możliwe... Sam miałem upodobanie do wymownych i jędrnych zwrotów i dlatego pozwalałem sobie twierdzić, że najlepiej ze wszystkich słuchaczy oce-

niem specyficzną obrazowość, siłę i skończoną bluźnierczość tych przerośnię. Jeżeli zdołałem zrozumieć, powodem awantury był fakt, że przed opuszczeniem San Francisco szturman uczestniczył w jakiejś orgii, po czym ośmielił się opuścić ten padół właśnie na początku rejsu, pozbawiając Wilka Larsena członka załogi.

Zbędne byłoby twierdzić — przynajmniej wobec moich przyjaciół — że mną to wstrząsnęło. Przekleństwa i wyzwiska wszelkiego rodzaju zawsze budziły we mnie obrzydzenie. Doznałem mdłości, skurczu serca i zawrotu głowy. Śmierć była dla mnie zawsze obleczona w szatę majestatu i godności. Towarzyszył jej spokój, uświęcał ją ceremoniał. Do tej chwili nie znałem śmierci w jej odrażających i wstrętnych przejawach. Jak zresztą wspomniałem, potrafiłem doskonale ocenić siłę straszliwego oskarżenia, wyrzuconego z ust Larsena, choć byłem nim niewymownie wstrząśnięty. Ten żrący potok zniewag mógłby łatwo spalić twarz nieboszczyka. Nie zdziwiłbym się ani trochę, gdyby mokra czarna broda zaczęła się skręcać, zwijać w loki i wreszcie buchnęła dymem i płomieniem. Ale trup leżał obojętnie i nadal szczyrzył zęby w szyderczym uśmiechu, cynicznie, wyzywająco. Był panem sytuacji.

ROZDZIAŁ TRZECI

Wilk Larsen przestał kłać równie nagle, jak zaczął. Zaćmił niedopałek cygara i rozejrzał się wokół. Wzrok jego spoczął przypadkiem na kucharzu.

— No i co, kuchto? — zaczął z zimną i twardą jak stal uprzejmością.

— Słucham, panie — skwapliwie odezwał się kucharz tonem łagodnej i uniozonej służalczości.

— Czy nie dosyć ci tego wyciągania szyi? Wiesz, że to niezdrowo. Diabli wzięli szturmana, więc nie stać mnie na to, żeby stracić ciebie. Musisz bardzo, ale to bardzo dbać o swoje zdrowie, kuchciku. Zrozumiano?

To ostatnie słowo, wypowiedziane zaskakująco innym tonem niż poprzednie, trzasnęło jak zacięcie biczem. Kucharz schylił się pod tym ciosem.

— Tak jest, panie — zabrzmiała potulna odpowiedź i głowa-winowajczyni zniknęła w głębi kambuza.

Nikt jednak spośród załogi nie zainteresował się tak gwałtownym zbesztaniem kucharza; wszyscy powrócili do swoich zajęć. Paru mężczyzn jednak, z wyglądu nie marynarzy, wałęsało się wokół trapu* między kambuzem i głównym lukiem i rozmawiało dalej przyciszonymi głosami. Dowiedziałem się później, że byli to łowcy fok, coś o wiele lepszego od zwykłych majtków.

— Johansen — zawołał Wilk Larsen. Jeden z majtków wystąpił posłusznie. — Weź skórę, igłę, nici i zaszyj tego draba. Stare płótno znajdziesz w żagielkoi. Zabieraj się do roboty.

Majtek wykrztusił przepisowo: — Tak jest, panie — i dodał: — Co mu przyczepić do nóg?

— Zobaczmy — odburknął Larsen i podnosząc głos zawołał: — Kuchto!

Tomasz Mugridge wyskoczył z kambuza jak diabeł z tekturowego pudełka.

— Zejdź na dół i napełnij worek węglem.

— Czy nie ma tam który Biblii albo książki do nabożeństwa? — zapytał kapitan, tym razem włączających się wkoło trapu łowców.

Pokręcili głowami, jeden z nich rzucił jakiś żart, którego nie zrozumiałem, ale który wywołał ogólny śmiech.

* T r a p y — wszelkie drabiny i schody używane na statku, stałe lub przenośne.

Wilk Larsen zwrócił się z tym samym pytaniem do majtków. Biblie i książki do nabożeństwa były widocznie artykułem deficytowym na tym statku, jeden z majtków zaproponował, że zapyta zmianę załogi będącą pod pokładem, lecz powrócił niezwłocznie z wiadomością, że nikt nie ma niczego podobnego.

Kapitan wzruszył ramionami.

— Więc rzucimy go za burtę bez czezej gadaniny, chyba że nasz podobny do klechy podrzutek zna formułę pogrzebu na pamięć. Odwrócił się teraz zupełnie i patrzył wprost na mnie.

— Pan jest pastorem? — zapytał.

Wszyscy łowcy — a było ich sześciu — odwrócili się również i spojrzeli na mnie. Z przykrością uświadomiłem sobie, że wyglądam jak straszdyło. Mój wygląd wywołał śmiech, śmiech nie stłumiony ani przyciszony obecnością zmarłego, który leżał wyciągnięty na pokładzie, z wykrzywioną ironicznie twarzą. Śmiech ten był równie szorstki, brutalny i szczery jak samo morze; zrodził się z nieokrzęsanych uczuć i stępionej wrażliwości i wyrwał się z głębi natur, które nie miały pojęcia, co to subtelność i delikatność.

Wilk Larsen nie roześmiał się, chociaż w jego szarych oczach zapłonęły iskry wesołości. Wysunąłem się naprzód i stojąc bardzo blisko przy nim, po raz pierwszy odczułem indywidualność tego człowieka, nie mającą związku z ciałem i potokiem wyplutych przed chwilą bluźnierstw. Jego ostra twarz o wyrazistych rysach była kwadratowa, ale tęga, i dzięki temu robiła na pierwszy rzut oka wrażenie masywnej. Podobnie jednak jak całe ciało przestawała po chwili robić to wrażenie, pozostawiając przekonanie o nadmiernej i wprost przerażającej sile umysłu czy ducha, skrytej i uspionej w głębi jego istoty. Szczeka, broda, wysokie czoło, nawisie nad oczyma, niezwykle silnie zarysowane, zdradzały wielką moc, żywotność i męskość, która kryła się za nimi i gdzieś poza polem widzenia. Takiej duszy nie można było zgłębić ani wymierzyć, wytyczyć jej granic ani porządnie wcisnąć do jakiejś wspólnej przegródki z podobnymi duszami.

— Oczy — a przeznaczenie chciało, bym dobrze je poznał — były duże, piękne, szeroko rozstawione, niczym oczy prawdziwego artysty, i głęboko osadzone pod łukami czarnych, krzaczastych brwi.

Same zaś oczy miały ów zwodny i zmienny kolor szary, który za każdym razem wydaje się inny i mieni się wszelkimi odcieniami i zabarwieniami jak jedwabna mora w blasku słońca; szarość jego jest ciemna lub jasna, zielonkawa, a czasami lazurowa jak morska głębia. Były to oczy, które osłaniały duszę tyśiącem przeróżnych masek, które rozwierały się czasami, choć rzadko, a wtedy dusza wyzierała z nich, jakby za chwilę miała niczym nie osłonięta wyruszyć

w świat na jakąś cudowną przygodę; oczy, które umiały dumać z ponurą beznadziejnością ołowianego nieba, które umiały krzesać i ciskać iskry podobne do zapalających się na młyńcu szabli, które czasami stawały się mroźne jak krajobraz polarny, a czasami znów łagodne i ciepłe, pełne roztańczonych, miłosnych światła, mocne i męskie, zwodne i zniewalające — takie oczy, które jednocześnie oczarowują i podbijają kobiety, zmuszając je do poddania się z uczuciem radości, ulgi i poświęcenia.

Ale powracam do opowiadania. Właśnie powiedziałem mu, że choć ze względu na pogrzeb żałuję tego, nie jestem duchownym, gdy Larsen zapytał mnie:

— Czym pan zarabia na życie?

Przyznaję, że nigdy przedtem mnie o to nie pytano i nigdy też nie roztrząsałem tego tematu. Byłem zupełnie zbity z tropu i zanim przyszedłem do siebie, wyjąkałem głupio:

— Ja... ja jestem dżentelmenem.

Usta skurczyły mu się szyderczo.

— Pracowałem i pracuję — wołałem zapalczywie, jak gdyby był moim sędzią i jak gdybym się przed nim usprawiedliwiał, choć jednocześnie zdawałem sobie sprawę, jak beznadziejnie głupio było wdawać się w tę dyskusję.

— Na życie?

Było w nim coś tak rozkazującego i władczego, że czułem się zupełnie wyprowadzony z równowagi, zahukany — jakby powiedział Furueth — i jak uczeń dygocący ze strachu przed surowym nauczycielem.

— Kto pana żywi? — brzmiało następne pytanie.

— Mam procent od kapitału — odpowiedziałem z godnością i w tej samej chwili pożałowałem, że się raczej nie ugryzł w język. — Pan wybaczy moją uwagę, ale to wszystko nie ma nic wspólnego ze sprawą, o której chciałem z panem mówić.

Pominał mój protest milczeniem.

— Kto go zdobył, he? Tego się spodziewałem. Pański ojciec. Zmarły postawił pana na nogi i na jego nogach dotąd pan chodzi. Nigdy pan nie miał swoich własnych. Nie byłby pan zdolny przeżyć jednego dnia i zdobyć sobie stawy na trzy dania. Daj no mi pan rękę do obejrzenia.

Nie wiem, czy to straszliwa, ukryta siła ocknęła się i poruszyła szybko i celnie, czy też ja zasnąłem na chwilę, dość że ani spostrzegłem, jak Larsen zrobił dwa kroki naprzód, chwycił moją prawą rękę i podniósł ją, aby obejrzeć.

Chciałem cofnąć rękę, ale palce Larsena bez widocznego wysiłku zacisnęły się, grożąc jej zgruchotaniem. W podobnych okolicznościach trudno zachować godność. Nie mogłem wykręcać się i opierać jak uczeń. Nie mogłem również rzucić się na istotę, która zwykłym skruceniem złamałaby mi rękę. Nie pozostało nic innego, jak stać spokojnie i znosić zniewagę. Zdażyłem zauważyć, że zawartość kieszeni zmarłego wyrzucono na pokład, a ciało i grymas jego twarzy skryto przed naszym wzrokiem oblekając płótnem, które majtek Johansen zszywał grubą białą nicią, opierając igłę o kawałek skóry trzymany w dłoni.

Wilk Larsen puścił moją rękę z lekceważącym gestem.

— Ręce zmarłych uchroniły pańskie od stwardnienia. Pańskie niezdatne są do niczego lepszego niż gotowanie i zmywanie talerzy.

— Chcę, aby mnie wysadzono na ląd — powiedziałem stanowczo, już opamnowany. — Zapłacę panu każdą sumę, którą pan sobie policzy za stratę czasu i kłopot.

Spojrzał na mnie z błyskami zaciekawienia i szyderstwa w oczach.

— Dla zbawienia pańskiej duszy proponuję panu co innego. Straciłem pomocnika szypra i dlatego będzie dużo awansów. Zwykły marynarz zostanie pomocnikiem szypra, posługacz zaawansuje na marynarza, a pan zajmie miejsce posługacza. Podpisz pan umowę na rejs; żołąd — dwadzieścia dolarów miesięcznie i wikt. Co pan na to? Niech pan nie zapomina, że to dla zbawienia pańskiej duszy. To robi z pana człowieka. Z czasem nauczy się pan stać na własnych nogach, a może nawet stawiać pierwsze kroki.

Nie zwróciłem na to uwagi. Żagle statku idącego z południowego zachodu rosły coraz bliżej. Statek miał ożaglowanie takie jak „Upiór”, chociaż sam kadłub, jak zdołałem zauważyć, był mniejszy. Szkuner wyglądał ładnie, gdy tak fruwał i podskakiwał na falach. Płynął ku nam i wyglądało, że minie nas z bliska. Wiatr wzmagął się z każdą chwilą i słońce po kilku gniewnych błyskach znikło zupełnie. Morze stało się ciemnoołowiane, wzburzone i miało białe grzywy. Szliśmy teraz prędzej i pochylaliśmy się bardziej. Przy jednym podmuchu burta zanurzyła się w wodę i fale zmyły tę stronę pokładu, tak że łowcy uskoczyli pospiesznie.

— Ten statek niezadługo będzie nas mijał — odezwałem się po chwili milczenia. — Skoro idzie w przeciwnym kierunku, prawdopodobnie zmierza do San Francisco.

— Bardzo możliwe — brzmiała odpowiedź Larsena, który odwrócił się i krzyknął:

— Kuchto, ho! Kuchto!

Cockney wyjrzał z kambuza.

— Gdzie jest posługacz? Powiedz mu, że go wołam.

— Tak, panie. — Tomasz Mugridge popędził ku rufie, aż znikł na trapie znajdującym się w pobliżu steru. Za chwilę wychynał stamtąd, a za nim szedł mocno zbudowany młodzieniec może osiemnasto- lub dziewiętnastoletni, o pochmurnej i nikczemnej powierzchowności.

— Oto jest, panie — powiedział kucharz.

Ale Wilk Larsen nie raczył spojrzeć na tę osobistość i zwrócił się wprost do posługacza.

— Twoje nazwisko, chłopcze?

— George Leach, panie — brzmiała niechętna odpowiedź. Z zachowania posługiwacza widać było, że domyślał się, dlaczego został wezwany.

— To nie irlandzkie nazwisko — warknął kapitan. — O'Toole albo McCarthy dużo lepiej pasowałoby do twojego pyska. Chyba że jaki Irlandczyk zaplątał się w przeszłości twojej matki.

Kułaki posługacza zacisnęły się na obelgę jak od zacięcia biczem i szkarłat krwi dopełził mu aż do karku.

— Mniejsza z tym — mówił dalej Larsen. — Masz pewnie ważne powody, żeby zapomnieć własne nazwisko; nie będę na to zważał, póki będziesz się zachowywał przyzwoicie. Twoim portem ojczystym jest dom poprawczy w Hill. To wypisane na twoim pysku. Wychowują tam draństwo złośliwe i zajadłe. Znam ten typ. Nie radzę ci popisywać się na tym statku, zrozumiano? Tak czy inaczej, kto cię zaokrętował?

— McCready i Swanson.

— Panie! — zagrzemiał Wilk Larsen.

— McCready i Swanson, panie! — poprawił się chłopiec ze złym błyskiem oczu.

— Kto pobrał zaliczkę?

— Oni, panie.

— Tak też przypuszczałem. I jeszcze byłeś wściekle rad, że im ją zostawiłeś. Ledwieś drapnął przed kilkoma jegomościami, którzy, jak słyszałeś, bardzo się o ciebie dopytują.

W jednej chwili chłopiec zmienił się w dzikiego człowieka. Zebrał się w sobie jakby do skoku, a twarz jego stała się paszczą rozjuszonego zwierza, gdy zawarczał:

— To jest...

— Co? — spytał Wilk Larsen szczególnie łagodnym głosem, jak gdyby był ogromnie ciekaw nie dopowiedzianego słowa.

Chłopak zawahał się, ale zdołał się opanować.

— Nic, panie, cofam moje słowa.

— Dowiodłeś, że się nie myliłem — zauważył Larsen z uśmiechem zadowolenia. — Ile masz lat?

— Właśnie skończyłem szesnaście, panie.

— Łgarstwo. Skończyłeś już osiemnaście. I na ten wiek nawet jesteś rośli, masz końskie mięśnie. Zbieraj worek i pakuj się do kubryka*. Odtąd jesteś wioślarem. Awansuję cię, widzisz?

Nie czekając na odpowiedź kapitan zwrócił się do majtka, który właśnie ukończył ponure zajęcie zaszywania trupa.

— Johansen, znasz się trochę na nawigacji?

— Nie, panie.

— Nie szkodzi, mimo to zrobię cię szturmanem. Zanieś manatki na tył i zajmij jego kabinę.

— Rozkaz, panie — odezwał się wesoło Johansen ruszając naprzód. Przez cały ten czas dotychczasowy posługacz sterczał na miejscu.

— Na co czekasz? — zapytał Wilk Larsen.

— Nie zaciągnąłem się na wioślara, panie — odpowiedział. — Zaciągnąłem się na posługacza. I nie chcę wcale wiosłować.

— Pakuj się do kubryka. — Teraz rozkaz brzmiał straszliwie stanowczo.

Chłopak zmarszczył się ponuro i odmówił posłuszeństwa.

Wówczas znowu ocknęła się przerażająca siła Wilka Larsena. Zaszło to najzupełniej niespodziewanie i stało się w ciągu dwu sekund. Skoczył pełne sześć stóp po pokładzie i trzasnął tamtego pięścią w brzuch. W tej samej chwili poczułem przyprawiający o mdłości ból żołądka, jak gdybym to ja został uderzony. Przytaczam ten fakt jedynie, by pokazać, jak wrażliwy miałem wtedy system nerwowy i jak nie przyzwyczajony byłem do widoku brutalności.

Posługacz — a ważył co najmniej sto pięćdziesiąt pięć funtów — został dosłownie zmięty. Jego ciało owinęło się bezwładnie na pięści Larsena jak mokry gałgan na kij. Wyrzucony w powietrze, opisał niewielki łuk i głową na dół runął obok trupa, gdzie począł się wic z bólu.

* K u b r y k — pomieszczenie dla załogi.

— Jakże? — zwrócił się do mnie Larsen. — Czy pan się zdecydował?

Mimochodem rzuciłem okiem na zbliżający się szkuner. Szedł niemal obok nas, może o jakieś paręset jardów. Był to zgrabny, czysty stateczek. Dojrzałem dużą, czarną cyfrę na jednym z jego żagli i uprzytomniłem sobie od razu, że widziałem podobne obrazki statków pilotowych.

— Co to za statek? — spytałem.

— Pilotowy „Lady Mine” — odpowiedział złośliwie Wilk Larsen. — Rozwiózł pilotów i wraca do San Francisco. Pod tym wiatrem będzie tam za sześć godzin.

— Proszę, niech pan każe zasygnalizować, żeby mnie wysadzili na ląd.

— Żałuję, ale kod sygnałowy wypadł mi za burtę — odparł, a łowcy wyszczerzyli zęby.

Patrząc mu prosto w oczy zastanawiałem się przez chwilę. W mojej obecności Larsen najokropniej w świecie sponiewierał posługacza i widziałem, że mogło mnie z łatwością spotkać to samo, jeżeli nie coś gorszego. Rozważyłem więc w głębi duszy, a potem spełniłem czyn, który uważam za najodważniejszy z czynów mego życia. Podbiegłem do burty wyciągając ręce i krzyząc:

— Ahoj! „Lady Mine”! Wysadźcie mnie na ląd! Tysiąc dolarów za wysadzenie mnie na ląd!

Czekałem obserwując dwóch ludzi przy sterze: jeden sterował, drugi podniósł do ust tubę. Nie odwróciłem głowy, chociaż oczekiwałem każdej chwili, że bestia ludzka zada mi śmiertelny cios. Po długiej chwili, która wydawała mi się wiekiem, nie mogłem już dłużej znieść naprężenia i obejrzałem się.

Stał bez ruchu w tej samej pozie, kołysząc się swobodnie w rytm statku i zapalając nowe cygaro.

— O co chodzi? Coś nie w porządku?

Był to okrzyk z pokładu „Lady Mine”.

— Tak! — wrzasnąłem z całych sił. — Kwestia życia lub śmierci. Tysiąc dolarów, jeżeli wysadzicie mnie na ląd!

— Za dużo wódki we Frisco. To szkodzi mojej załodze na zdrowie! — zawołał natychmiast Wilk Larsen. — Ten tam — dodał wskazując mnie wielkim palcem — bredzi właśnie o węzach morskich i błaznuje!

Człowiek z pokładu „Lady Mine” parsknął przez tubę śmiechem. Statek minął nas.

— A daj mu tam ode mnie — doleciał jeszcze okrzyk i ci dwaj zamachali ku sobie rękoma na pożegnanie.

Zrozpaczony wychyliłem się przez burzę, patrząc, jak smętny obszar oceanu rozpościera się coraz szerzej między nami i małym, eleganckim szkunerem. I pomyśleć, że będzie on za krótkie pięć czy sześć godzin w San Francisco! Głowa mi pękała. Czułem ból, jakby mi serce podchodziło do gardła. Kędzierzawa fala rozbiła się o burzę i chlusnęła mi w usta słoną pianą. Wiatr zadał mocno i „Upiór” odchylił się znacznie, zanurzając zawietrzną burzę. Słyszałem szmer wody zalewającej pokład.

Gdy odwróciłem się, zobaczyłem, jak posługacz z trudem staje na nogi. Był trupioblady, twarz drgała ma tłumionym bólem. Wyglądał na ciężko chorego.

— Więc jakże, Leach, pójdziesz na przód? — zapytał Wilk Larsen.

— Tak, panie — odezwał się tamten zastraszone.

— A pan?

— Dam panu tysiąc... — zacząłem, ale mi przerwał.

— Przestać. Czy będzie pan pełnił obowiązki posługacza? A może mam się do pana zabrać?

Cóż miałem robić? Cóż bym zyskał, gdybym został brutalnie pobity, a może i zabity? Patrzyłem uparcie w okrutne szare oczy. Mogłyby być z granitu, tak niewiele błyszcząco w nich światła i ludzkiego ciepła. Można zawsze doszukać się odblasku duszy w oczach każdego człowieka, ale jego oczy były obojętne, zimne i szare jak samo morze.

— No?

— Tak — powiedziałem.

— Mów: tak, panie.

— Tak, panie — poprawiłem się.

— Jak się nazywasz?

— Van Weyden, panie.

— Imię?

— Humphrey, panie, Humphrey Van Weyden.

— Wiek?

— Trzydzieści pięć lat, panie.

— To wystarczy. Idź do kucharza i ucz się swoich obowiązków.

W ten sposób zostałem mimo woli strącony do poziomu niewolnika Wilka Larsena. Był ode mnie silniejszy, to wszystko. A jednak cała rzecz wydawała mi się wtedy nierealna. Nie jest i realniejsza teraz, gdy już przeminęła. Będzie dla mnie zawsze potworną, niezrozumiałą, straszliwą zmorą.

— Zatrzymaj się, nie odchodź jeszcze.

Posłusznie się zatrzymałem.

— Johansen, zwołaj załogę. Teraz, gdy wszystko już ułożone, odprawimy pogrzeb i pozbędziemy się z pokładu zbędnych rupieci.

W czasie gdy Johansen wywołał na pokład zmianę załogi, kilku majtków pod kierownictwem kapitana złożyło spowitego w płótno trupa na pokrywie luku. Po każdej stronie pokładu wisiało do góry dnem parę małych łodzi. Kilku ludzi przeniosło pokrywę wraz z jej upiornym ładunkiem na stronę zawietrzną, opierając ją na łodziach tak, aby nogi trupa wysuwały się za burłę. U nóg tych umocowano przyniesiony przez kucharza worek węgla.

Wyobrażałem sobie zawsze, że pogrzeb na morzu jest bardzo uroczystym i przejmującym grozą wydarzeniem, ale złudzenia moje zostały szybko rozwiane, przynajmniej przez ten pogrzeb. Jeden z łowców, mały i czarnooki, nazywany przez kolegów „Dymkiem”, opowiadał dowcipy obficie zaprawione klątwami i sprośnościami; co chwila też grupa łowców wybuchała rechotem, który przypominał wycie chóru wilków czy ujadanie bandy cerberów. Marynarze hałaśliwie ściągnęli na rufę. Ci z drugiej wachty*, których obudzono, przecierali zaspane oczy. Wszyscy rozmawiali szeptem. Twarze ich miały wyraz znękanym i ponurym. Było widoczne, że nie uśmiechała im się perspektywa rejsu pod rozkazami takiego kapitana i do tego rozpoczęcia pod tak złą wróżbą. Co chwila rzucali ukradkiem spojrzenia na Wilka Larsena — z ich zachowania zrozumiałem, że byli zastraszeni.

Kapitan wystąpił naprzód ku ciału na kracie i wszyscy zdjęli czapki. Policzylem ich: razem dwudziestu ludzi, ściślej dwudziestu dwu, ze mną i sternikiem. Patrzyłem na nich ze zrozumiałą ciekawością, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa los sprzął mnie z nimi na tym miniaturowym pływającym światku na nieokreślony przeciąg czasu. Majtkowie zdradzali przeważnie pochodzenie anglosaskie lub skandynawskie; twarze większości były grubo ciosane i tępe. Twarze łowców natomiast cechowała zaciętość i ostrość rysów, większe zróżnicowanie typów i znamiona wyuzdania.

Zdziwiło mnie, co zauważyłem od razu, że rysy Wilka Larsena nie nosiły tego brzydkiego piętna. Nie było w nich nic występnego. Co prawda miał na

* W a c h t a — część załogi kolejno pełniąca służbę na statku, także dyżur na okręcie trwający cztery godziny. Zwykle załoga podzielona jest na trzy wachty.

twarży bruzdy, ale znamionowały one wyłącznie stanowczość i bezwzględność. Była to raczej szczerza i otwarta fizjonomia, a cechy te podkreślało jeszcze gładkie ogolenie. Nie chciało mi się wierzyć, aż do następnego wybuchu, że należała do człowieka, który potrafił postąpić z kimś tak, jak przed chwilą z posługaczem.

W chwili gdy Larsen otworzył usta, podmuch za podmuchem począł wstrząsać szkunerem i wreszcie położył go na bok. Wiatr zagrał w ożaglowaniu swój dziki hymn. Kilku łowców spojrzło trwożnie ku górze. Burta zawietrzna, na której spoczywał umarły, zanurzyła się w morzu, a gdy szkuner podniósł się i wyprostował, woda poszorowała po pokładzie zalewając nam nogi po kostki. Spadł na nas prysznic ostrych jak grad kropel. Wilk Larsen zaczął mówić, otoczony marynarzami, którzy zdjęli czapki i kołysali się w takt podnoszenia i opadania statku:

— Pamiętam tylko część modlitwy: „A ciało niech wrzucone będzie w morze”. Zatem je wrzucie.

Urwał. Ludzie trzymający pokrywę luku zdawali się być zmieszani i zdumieni krótkością ceremonii. Rzucił się na nich rozwścieczony:

— Podnieść za ten brzeg, bodaj was! Co się z wami dzieje, do diabła! Unieśli jeden brzeg pokrywy z żalonym pośpiechem i umarły zsunął się nogami w morze jak pies ciśnięty za burtę. Węgiel pociągnął go w dół. Zniknął.

— Johansen — rzucił Wilk Larsen do nowego szturmana — trzymaj wszystkich na pokładzie. Zwinąć topsle* i kliwry**, zwawo! Idzie sztorm z południowego wschodu. Przy okazji lepiej skrócić też kliwer i grotzagle***.

W jednej chwili zawrzało na pokładzie. Johansen ryczał rozkazy, a marynarze ciągnęli lub zwalniali różne liny, w których, jako szczur lądowy, nie umiałem się połapać. Uderzyła mnie tylko zatwardziałość serc tych ludzi. Umarły był dla nich zapomnianym epizodem, czymś, co zwinęli w płótno, obciążyli workiem węgla i wyrzucili; statek pędził dalej i praca na nim nie ustawała. Śmierć nie wywarła na nikim wrażenia. Łowcy rechotali znowu ze świeżych historyjek Dymka; marynarze brasowali, a dwu wspinało się po drabinkach na gniazdo. Wilk Larsen badał wzrokiem chmurzące się niebo na nawietrznej****; trup zaś człowieka zmarłego plugawą śmiercią, a pochowanego w sposób ohydny pograżał się coraz głębiej i głębiej.

* T o p s e l — trójkątny skośny żagiel rozpinany nad czworokątnym.

** K l i w e r — trójkątny żagiel podnoszony fokiem.

*** G r o t z a g i e l — największy żagiel na statku.

**** N a w i e t r z n a s t r o n a — strona (np. statku, wyspy czy mola) wystawiona na wiatr.

Wówczas poczułem, że przytłacza mnie okrucieństwo, nieustępliwość i groza morza. Życie straciło dla mnie wartość i powab. Stało się czymś niskim, zwierzęcym, jakimś bezdusznym ruchem mułu i śluzu. Trzymałem się nawietrznego relingu tuż przy wantach i patrzyłem ponad spienioną pustynią fal ku niskim ławicom mgły zakrywającej San Francisco i kalifornijskie wybrzeże. Przelotne deszcze zasłaniały mi ten widok. A dziwny statek ze swoją potworną załogą, gnany wiatrem i falami, podskakiwał i rwał ku południowemu zachodowi, na bezkresne pustkowie Oceanu Spokojnego.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Odtąd udziałem moim na „Upiorze” stały się ból i poniżenie. Daremnie próbowałem się przystosować do nowego otoczenia. Kok* — zwany przez załogę „doktorem”, przez łowców „Tommy”, a przez Wilka Larsena „kuchtą” — zmienił się nie do poznania. Zmiana mego położenia wywołała odpowiednią zmianę w sposobie, w jaki mnie traktował. Lizusostwo i służalczość ustąpiły miejsca wojowniczości i chęci rozkazywania. Przestałem być wykwinnym paniczem o skórze delikatnej jak u kobiety i stałem się zwyczajnym, lada jakim posługaczem.

Żądał bez sensu, bym go nazywał panem Mugridge, i przy pouczeniu mnie o obowiązkach zachowywał się nieznośnie. Miałem nie tylko sprzątać w nadbudówce, składającej się z czterech małych kabin, lecz i pomagać mu w kuchni. Moja niesłychana ignorancja w takich sprawach, jak obieranie kartofli lub zmywanie brudnych garnków, była dla niego źródłem nie kończącego się, zaprawionego sarkaniem zdumienia. Nie chciał wziąć pod uwagę, czym byłem dotąd, a właściwie, jakie wiodłem życie i do czego byłem przyzwyczajony. Taką przybrał względem mnie postawę, toteż nim dzień dobiegł kresu, zniecierpliwienie go serdeczniej niż kogokolwiek w moim dotychczasowym życiu. Pierwszy dzień rejsu był dla mnie jeszcze cięższy i z tego względu, że „Upiór” pod skróconymi żaglami (takich terminów nauczyłem się dopiero później) przebiegał się przez wiatr, który pan Mugridge nazywał „wyjającym półwschodniakiem”. O wpół do szóstej nakryłem pod jego kierownictwem do stołu zaopatrzonego w uchwyty dla zastawy, a potem rozniosłem herbatę i strawę z kambuza. W związku z tym muszę opowiedzieć moje pierwsze przeżycie z przewalającą się falą.

— Trzymaj się ostro, bo cię zaleje — brzmiała pożegnalna wskazówka pana Mugridge’a, gdy opuszczałem kambuz z wielkim imbrykiem herbaty w jednej i z kilkoma bochnami świeżo upieczonego chleba w zagięciu drugiej ręki. Jeden z łowców, wysoki, swobodnie poruszający się mężczyzna nazwiskiem Henderson, szedł właśnie z międzypokładzia (tak łowcy żartobliwie nazywali nadbudówkę, gdzie były ich koje) ku rufie. Wilk Larsen stał na rufie, paląc swe nieodstępne cygaro.

— Nadchodzi! Noga! — krzyknął za mną kuchta.

* K o k — kucharz okrętowy.

Zatrzymałem się nie wiedząc, co nadchodzi. Zobaczyłem tylko, jak drzwi kambuza zatrzasnęły się z hukiem. Henderson rzucił się jak wariat do want wielkiego masztu i zaczął wspinać się po nich, póki nie zawisł wiele stóp nad moją głową. Zobaczyłem też, jak olbrzymia fala, kędzierzawa i spieniona, spiętrza się wysoko ponad burtą. W tej samej chwili znalazłem się pod wodą. Wszystko to było dla mnie tak nowe i obce, że mózg mój nie reagował dość szybko. Zrozumiałem, że grozi mi niebezpieczeństwo i na tym koniec. Właśnie stałem na miejscu dygocąc, gdy z rufy doszedł mnie okrzyk Wilka Larsena:

— Chwyć się czego, ty Hump!*

Ale było już za późno. Skoczyłem ku wantom, których mógłbym się trzymać, gdy runęła na mnie ściana wodna. To, co nastąpiło później, było całkiem niezrozumiałe. Znalazłem się pod wodą. Dusilem się, tonąłem. Fala podbiła mi nogi i toczyła mną po pokładzie, niosąc nie wiadomo gdzie. Kilkakrotnie uderzyłem o coś twardego, a raz grzmotnąłem się okropnie w kolano. Potop opadł równie nagle, jak się zaczął, i odetchnąłem znów pocziwym powietrzem. Zostałem zmyty ku kambuzowi, a potem około trapu na rufie aż w luki odpływowe zawietrznej burty. Czułem szalony ból w kolanie. Nie mogłem oprzeć się na tej nodze, a przynajmniej tak mi się zdawało. Byłem przekonany, że ją złamałem. Ale kucharz już mnie poganiał, wrzeszcząc przez drzwi kambuza:

— Hej, ty! Będziesz tak wstawał do rana? Gdzie imbryk? Za burtą, co? Diabło szkoda, że ci nie skręciło karku!

Dźwignąłem się jakoś na nogi. Wielki imbryk wciąż jeszcze trzymałem w ręce. Pokuszyłem do kambuza i wręczyłem go kucharzowi. Tego jednak pożerała prawdziwa czy też symulowana wściekłość.

— Niech skonam, jeśli widziałem kiedy taką ofiarę! Chcę tylko wiedzieć, na co ty się zdasz? Do czegoś zdalny? Nie może nawet zanieść na rufę herbaty, żeby jej nie wylać. A ty gotuj mu, człowieku, drugi raz. I czego jeszcze się krzywisz? — wybuchnął w nowym przystępie pasji. — Stukłeś sobie biedną nóżkę, ty nieszczęsny maminsynku!

Nie krzywiłem się jednak, chociaż twarz musiałem mieć ściągniętą bólem. Zebrałem się w sobie, zacisnąłem zęby i kulałem pomiędzy kambuzem a kabiną i z powrotem bez dalszych przygód. Wypadek zapoczątkował dla mnie dwa nowe utrapienia. Miałem kolano fatalnie rozbite i nie opatrzone, które dokuczało mi przez długie miesiące, a poza tym przyłgnęło do mnie przezwisko „Hump”, którym ochrzcił mnie Wilk Larsen. Odtąd nazywano mnie tak zarów-

* H u m p — skrót od imienia Humphrey. Cockney połyka „h” i wymawia „amp”. Hump znaczy „garbus”.

no w kubryku, jak w kajucie i przewisko to przeniknęło do moich procesów myślowych. Utożsamiałem się z nim, myślałem o sobie jako o garbusie, jak gdybym nim był rzeczywiście i zawsze.

Usługiwałem w kajucie, gdzie jedli Wilk Larsen, Johansen i sześciu łowców. Nie było to łatwe, bo przede wszystkim kajuta była mała, a gwałtowne skoki i przechyłanie się szkunera nie ułatwiało pracy. Ale najgłębiej dotknął mnie zupełny brak współczucia u tych, którym usługiwałem. Czułem przez spodnie, jak kolano puchnie mi coraz silniej, i słabłem z bólu. Raz po raz dostrzegałem przelotnie w lustrze odbicie mojej upiornej, bladej i zmienionej bólem twarzy. Ci ludzie musieli przecież widzieć, w jakim byłem stanie, a jednak żaden nie odezwał się do mnie ani nie zwrócił na mnie uwagi, toteż poczułem niemal wdzięczność, gdy po obiedzie (zmywałem właśnie naczynia) Wilk Larsen powiedział:

— Niechże się pan nie przejmuje taką drobnostką. Przyzwyczaisz się z czasem do takich rzeczy. Choć okulały, nauczysz się stać na własnych nogach.

I dodał:

— Taki zwrot nazywacie paradoksem, jeśli się nie mylę.

Zdawał się zadowolony, gdy kiwnąłem głową z obowiązującym:

— Tak jest, panie.

— Przypuszczam, że wie pan coś niecoś o literaturze? To dobrze. Pomówimy czasem o tym.

Nie zwracając na mnie dalszej uwagi odwrócił się i wyszedł na pokład.

Wieczorem, gdy uporałem się wreszcie z pracą, zostałem wysłany na nocleg do międzypokładzia, gdzie znalazłem wolną koję. Byłem rad, że pozbyłem się wstrętnego towarzystwa kuchty i mogę się położyć. Stwierdziłem ze zdziwieniem, że ubranie wyschło na mnie i nie czuję się zaziębiony zarówno po ostatnim przemoczeniu, jak i po długotrwałym moknięciu po katastrofie „Martineza”. W zwykłych okolicznościach po wszystkim, co mnie spotkało, leżałbym w łóżku doglądany przez zawodową pielęgniarkę.

Kolano dokuczało mi strasznie. O ile mogłem się zorientować, rzepka wyskoczyła ze stawu powodując opuchliznę. Gdy siedziałem na koi i badałem kolano (w międzypokładziu byli wszyscy łowcy, palili i rozmawiali głośno), Henderson spojrzął na nie i rzekł:

— Kiepsko to wygląda, ale obwiąż je gałganem i będzie dobrze.

To wszystko; a na lądzie spoczywałbym na wznak, leczylby mnie chirurg i nie wolno by mi było nic robić. Lecz muszę oddać tym ludziom sprawiedli-

wość. Byli nieczuli nie tylko na moje cierpienia, ale i na własne, gdy wydarzyło im się co złego. Jak mi się zdaje, była to przede wszystkim sprawa przyzwyczajenia, a poza tym mniejszej wrażliwości. Doszedłem do przekonania, że wrażliwy i subtelny człowiek cierpiałby dwukrotnie albo trzykrotnie bardziej niż oni, gdyby tak samo się skaleczył.

Pomimo przemęczenia, a raczej zupełnego wyczerpania nie mogłem zasnąć, tak dokuczał mi ból w kolanie. Zdołałem tylko powstrzymać się od głośnych jęków. W domu niewątpliwie dałbym upust cierpieniu, ale to nowe prymitywne otoczenie wymagało bezwzględności panowania nad sobą. Ludzie ci byli jak dzicy: stoicko niewzruszeni w ważnych sprawach i dziecinni w drobnostkach. Pamiętam, jak w dalszej podróży Kerfootowi, jednemu z łowców, rozgniotło na galarecie palec u ręki. Nie syknął nawet, nie skrzywił się. Ileż razy jednak widziałem, jak ten sam człowiek wpadał w dziką wściekłość z powodu byle głupstwa.

Wpadł w nią także tej nocy. Gardłował, ryczał, machał rękoma i kłął siarczyście, gdyż pokłócił się z drugim łowcą o to, czy szczenię foki pływa od chwili urodzenia. Kerfoot utrzymywał, że pływa ono od chwili urodzenia. Jego przeciwnik, Latimer, chuderlawy Jankes o wąskich, chytrych oczkach, upierał się przy przeciwnym zdaniu: twierdził mianowicie, że focze szczenię rodzi się na lądzie, ponieważ nie umie od razu pływać, i matka musi je uczyć tej sztuki tak samo, jak ptaki uczą fruwać swoje pisklęta.

Pozostali czterej łowcy rozparli się przy stole lub leżeli na kojach i nie mieszcza się do kłótni. Byli jednak ogromnie nią zaciekawieni, od czasu do czasu bowiem brali gorąco stronę jednego lub drugiego towarzystwa, a niekiedy mówili wszyscy naraz, aż w ciasnocie sterówki ich głosy przypominały łoskot grzmotu. Jeżeli sam przedmiot sporu zasługiwał na miano dziecinnego i nieistotnego, to cóż dopiero mówić o dziecinniej i nieistotnej argumentacji. Było jej mało, a właściwie nie było wcale. Posługiwali się metodą twierdzenia, przypuszczenia i zaprzeczania. Wojowniczo wysuwając twierdzenie, że szczenię focze umie pływać od urodzenia lub nie ma o tym pojęcia, przechodzili od razu do natarcia na pogląd przeciwnika, atakując jego zdrowy rozsądek, narodowość i przeszłość. Repliki były identyczne. Niech to posłuży dla charakterystyki poziomu umysłowego ludzi, w których otoczeniu musiałem przebywać. Były to doskonałe okazy dziecinnych intelektów, zamieszkujących ciała mężczyzn.

Palili przy tym bez przerwy tanią, ordynarną i duszącą machorkę. Powietrze było gęste i nasycone dymem. Ta atmosfera w połączeniu z gwałtownymi ruchami przedzierającego się przez sztorm statku na pewno wywołałaby u mnie chorobę morską, gdybym miał do niej skłonności. W każdym razie mdliło mnie,

rzecz zresztą zupełnie zrozumiała wobec wyczerpania i przeszywającego bólu w nodze.

Leżąc tak, zacząłem naturalnie rozmyślać o swoim położeniu. Wydawało się bezprzykładne, nie do pomyślenia, bym ja, Humphrey Van Weyden, uczony i dyletant, jak kto woli, w sprawach sztuki i literatury, leżał tutaj w koi szku-nera wyprawiającego się na foki na Morze Beringa. Posługacz! Nigdy w życiu nie spełniałem ciężkich robót fizycznych ani nie zmywałem statków. Prowadziłem zawsze spokojny, nieurozmaicony, siedzący tryb życia — życia uczonego i samotnika, który ma zapewnioną wygodną egzystencję. Bujne życie i sporty nigdy mnie nie pociągały. Zawsze byłem mołem książkowym i tak w dzieciństwie nazywali mnie ojciec i siostry. Raz tylko spróbowałem życia obozowego — i od razu wycofałem się, powracając do wygod i komfortu w domu. A teraz znalazłem się tutaj z ponurą i nie kończącą się perspektywą nakrywania do stołu, obierania kartofli i zmywania naczyń. Przy tym byłem słaby. Lekarze mówili zawsze, że jestem doskonale zbudowany, ale nigdy nie próbowałem rozwinąć się fizycznie przez gimnastykę czy ćwiczenia. Miałem miękkie i słabe mięśnie jak kobieta, a przynajmniej tak twierdzili lekarze, gdy co pewien czas próbowali mnie skłonić do ćwiczeń fizycznych. Ja jednak przedkładałem kształcenie umysłu nad rozwijanie ciała i w takim stanie znalazłem się teraz wobec konieczności prowadzenia surowej egzystencji.

Oto pewne ze spraw, o których myślałem, a które przytaczam, aby usprawiedliwić rolę człowieka bezsilnego i bezradnego, jaką miałem odegrać. Ale myślałem również o matce i siostrach i wyobrażałem sobie ich rozpacz. Figurowałem na liście ofiar katastrofy „Martineza”, których ciał nie odnaleziono. Czytałem w duchu nagłówki gazet; oczyma duszy widziałem, jak koledzy z klubu uniwersyteckiego i „Bibelota” potrząsają głowami i mówią: „biedak”. Widziałem też Charleya Furusetha, jak w chwili naszego rozstania leżał w piżamie w łóżku, obłożony poduszkami, i sypał zawiłymi i pesymistycznymi epigramami.

A w tym samym czasie „Upiór” — chybotąc, nurkując, wślizgując się na ruchome góry i wałąc, nurzając w spienione doliny — przedzierał się coraz dalej i dalej w głąb Pacyfiku. Ja zaś byłem na nim! Słyszałem wycie wiatru na pokładzie. Dochodziło do moich uszu w postaci przygłuszonego ryku. Raz po raz łomotały nad nami ciężkie kroki. Wokoło rozlegało się nieustanne skrzypienie: to poszycie i przęsła okrętowe jęczały, piszczały i skarżyły się na tysiączne tony. Łowcy wciąż jeszcze sprzeczały się, jazgocząc niby jakieś na pół ludzkie, na pół morskie stwory. Przekleństwa i bezceństwa wisiały w powietrzu. Widziałem zaperzone i złe twarze, których brutalność podkreślało jeszcze mdłe żółte światło rozchwianych w rytm kołysania statku lamp okrętowych. W za-

snutym dymem powietrzu koje wyglądały jak legowiska bestii w menażerii. Ze ścian zwisały ceratowe płaszcze i wysokie buty, a karabiny i strzelby spoczywały pewnie w stojakach. Był to ekwipunek korsarzy i piratów z minionych czasów. Moja wyobraźnia poczęła szaleć, ale wciąż nie mogłem zasnąć. Była to długa, bardzo długa noc, uprzykrzona i straszna, tym więc dłuższa.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ale pierwsza noc w międzypokładziu łowców była zarazem ostatnią. Następnego dnia Johansen, nowy pomocnik szypra, został wyrzucony przez Wilka Larsena z nadbudówki rufowej i miał odtąd nocować w międzypokładziu, a ja zawładnąłem ciasną kajutką, która od początku podróży zmieniała już dwu lokatorów. Wkrótce łowcy doszli przyczyny tej zmiany i zaczęli szemrać. Wyszło na jaw, że Johansen przeżywa we śnie wydarzenia dnia. Toteż jego ciągłe gadanie przez sen, krzyki i porykiwania rozkazów sprzykrzyły się Wilkowi Larsenowi tak, że postanowił obarczyć tą zmorą łowców.

Po bezsennej nocy wstałem słaby i zbolący, by przekuleć mój drugi dzień na „Upiorze”. Tomasz Mugridge wyrzucił mnie z koi o wpół do szóstej, podobnie jak Bill Sykes* miał w zwyczaju budzić swego psa, ale brutalność pana Mugridge’a została opłacona tą samą monetą i z procentem. Narobił niepotrzebnego hałasu (przez całą noc nie zmrużyłem przecież oka) i obudził widocznie jednego z łowców, gdyż ciężki but gwizdnął w półmroku, a pan Mugridge wydał bolesny skowyt i począł z uniżonością prosić wszystkich o przebaczenie. Później w kambuzie zauważyłem, że miał ucho stłuczone i napuchnięte. Nie powróciło nigdy do normalnego kształtu i nosiło wśród majtków przezwisko „kalafiora”.

Przeróżne przykrości wypełniły po brzegi mój drugi dzień. Wziąłem z kambuza swoje wysuszone ubranie, zrzuciłem łachmany kuchty i przebrałem się natychmiast. Poszukałem portmonetki. Prócz drobnych (mam dobrą pamięć do tych rzeczy) powinienem mieć sto osiemdziesiąt pięć dolarów w złocie i banknotach. Portmonetkę znalazłem, ale zawierała teraz tylko drobne srebro. Po zabranii się do roboty w kambuzie powiedziałem o tym kucharzowi. Spodziewałem się co prawda cierpkiej odpowiedzi, ale nigdy tak zaczepnej, jaką otrzymałem.

— Ty się strzeż, Ump! — zawarczał ze złośliwym błyskiem w oczach. — Uważaj, żebyś nie oberwał. Jak myślisz, że cię okradłem, to schowaj to dla siebie. Inaczej zobaczysz, że się mocno pomyliłeś. Niech mnie diabli wezmą, jeśli taka jest twoja wdzięczność. Przybłąkał się, oferma, biorę go do kambuza, traktuję po ludzku, a on mi tak odplaca. Na drugi raz niech cię diabli biorą, będę już wiedział za co.

* B i l l S y k e s — postać z powieści *Oliver Twist* Dickensa.

Z tymi słowy zacisnął pięści i rzucił się na mnie. Ze wstydem muszę wyznać, że stchórzyłem i wypadłem za drzwi kambuza. Cóż innego mogłem zrobić? Siła i tylko siła miała uznanie na tym bestialskim statku. Perswazja była bez wartości.

Wystawcie sobie: człowiek średniego wzrostu, smukły i z miękkimi, nierozwiniętymi mięskami, który żył wygodnie, spokojnie i nienawykły do brutalności — cóż taki człowiek mógł zrobić w podobnej sytuacji? Nie było większego sensu przeciwstawiać się tym bestiom w ludzkiej skórze niż przeciwstawić się rozjuszonemu bykowi.

Przynajmniej tak wtedy myślałem, chcąc uniewinnić się przed samym sobą i uspokoić sumienie. Ale było to bezcelowe. Do dziś męska ambicja nie pozwala mi wspomnieć tego wypadku i czuć się usprawiedliwionym. Położenie było niezwykle, przekraczało szablony postępowania i wymagało czegoś więcej niż chłodnych, rozsądnych wniosków. Jeżeli traktować fakt ze stanowiska czystej logiki, nie ma się czego wstydzić, a jednak wstyd mi na samo wspomnienie i w męskiej dumie czuję, że moja męskość została w niewytłumaczony sposób zbrukana i splamiona tym zdarzeniem.

Ale to wszystko nie ma nic do rzeczy. Od szybkiego biegu kolano zablokowało mnie tak silnie, że osunąłem się bezwładnie przy trapie. Na szczęście cockney nie gonił za mną.

— Patrzajcie go, jak wieje! Patrzajcie, jak wieje! I z chorym kolaniem. No zawróć, ty biedny maminsynku, już cię nie uderzę. Na pewno nie.

Wróciłem i zabrałem się do pracy. Na tym skończył się ten epizod, ale dalszy ciąg miał jeszcze nastąpić. Nakryłem do stołu w kajucie i o siódmej podałem śniadanie Larsenowi i łowcom.

Chociaż burza w nocy ustała, fala wciąż była silna i wiał ostry wiatr. Podczas wczesnych wacht rozwinięto wszystkie żagle z wyjątkiem dwóch topsli i bomkliwra i „Upiór” pędził naprzód. Te trzy żagle, jak podchwyciłem z rozmowy, miano rozpiąć zaraz po śniadaniu. Dowiedziałem się także, że Wilk Larsen chce skorzystać z burzy gnającej statek ku południowemu zachodowi, gdzie spodziewa się napotkać północno-wschodni pasat. Właśnie pod tym wiatrem stałym zamierzał odbyć lwią część rejsu w kierunku Japonii, z początku zataczając krąg na południe pod zwrotnik, a później, w miarę zbliżania się ku brzegom Azji, zawrócić na północ.

Po śniadaniu spotkała mnie znów jedna z przygód nie do pozazdroszczenia. Skończyłem zmywać statki, wygarnąłem popiół z pieca i wyniosłem na pokład, aby go wyrzucić. Opodał steru stali Wilk Larsen i Henderson, zatopieni w rozmowie. Sterował majtek Johnson. Gdy skierowałem się ku stronie nawietrznej,

zauważyłem, że ruszył nagle głową. Wzięłem to za przyjacielskie powitanie. W gruncie rzeczy zaś Johnson chciał ostrzec mnie, bym wyrzucił popiół przez burtę zawietrzną. Nie zdając sobie sprawy z głupstwa, jakiego się dopuszczam, przeszedłem obok rozmawiających i wyrzuciłem popiół z niewłaściwej strony. Wiatr zwał go z powrotem nie tylko na mnie, ale także na Hendersona i Wilka Larsena. W tej samej chwili Larsen kopnął mnie silnie jak kundla. Nie wiedziałem dotąd, że kopniak może sprawić aż taki ból. Bliski omdlenia zatoczyłem się na ścianę kabiny. Zakręciło mi się w głowie i zrobiło tak niedobrze, że ledwo zdążyłem dopełznąć do burty. Wilk Larsen zostawił mnie jednak w spokoju. Otrząsnął popiół z ubrania i podjął rozmowę z Hendersonem. Johansen, który z rufy widział całe zajście, posłał dwóch majtków, aby uprzątnęli pokład.

Tego samego dnia miałem niespodziankę całkiem innego rodzaju. Na rozkaz kuchty wszedłem do kajuty Wilka Larsena, by zrobić porządek i posłać koję. Przy ścianie, w głowach koi, stała półka uginająca się pod książkami. Rzuciłem na nie okiem i odkryłem ze zdumieniem nazwiska Szekspira, Tennysona*, Poego i de Quinceya**. Znajdowały się między innymi i dzieła naukowe takie, jak Tyndalla***, Proctora**** i Darwina. W księgozbiornie reprezentowane były również astronomia i fizyka. Znalazłem tam Bulfincha***** *Wiek baśni*, Shawa *Historię angielskiej i amerykańskiej literatury* i Johnsona *Historię naturalną* w dwu wielkich tomach. Leżało tam prócz tego wiele gramatyk, jak Metcalfa, Reeda i Kellogga; nie mogłem powstrzymać uśmiechu wzięwszy do ręki egzemplarz *Poradnika językowego dla duchownych*.

Jak człowiek, który miał takie książki, mógł postępować w podobny sposób? Powziąłem wątpliwość, czy je w ogóle czytał. Ale ścieląc łóżko znalazłem między prześcieradłami najwidoczniej upuszczone przy zasypianiu kompletne cambridge'owskie wydanie Browninga. Książka ta była otwarta na poemacie *Na balkonie****** i paru miejscach zakreślona ołówkiem. Więcej, przy jednym ze skoków statku tom wypadł mi z ręki i ze środka wysunął się arkusz papieru, od góry do dołu zapisany wzorami geometrycznymi i jakimiś wyliczeniami.

* Alfred Tennyson (1809—1892) — poeta angielski.

** Thomas de Quincey (1785—1859) — pisarz angielski, autor szkiców literackich i rozpraw.

*** John Tyndall (1820—1893) — fizyk irlandzki, który badał lodowce i zjawiska promieniowania cieplnego.

**** Richard Anthony Proctor (1837—1888) — astronom angielski.

***** Thomas Bulfinch (1796—1867) — amerykański uczoney i popularyzator mitologii.

***** Robert Browning (1812—1889) — poeta angielski. Poemat *Na balkonie* — *In a Balcony* — należy do słynnego cyklu *Mężczyzna i kobieta* — *Men and Women*. W Polsce jest znany z fragmentu zamieszczonego w skromnym wyborze utworów poetyckich Browninga, jaki ukazał się nakładem PIW-u w tzw. serii celofanowej.

Najwyraźniej ten straszny człowiek nie był takim niewykształconym prostakiem, za jakiego każdy wziąłby go widząc jego brutalne czyny. I od razu stał się zagadką. Jedna lub druga strona jego natury były najzupełniej zrozumiałe; wzięte razem, zdumiewały. Dawniej już zauważyłem, że język Larsena był poprawny, nieznacznie tylko skażony. Naturalnie w rozmowie z majtkami i łowcami używał gwary marynarskiej, najeżonej błędami językowymi, ale te parę zdań, które zamienił ze mną, było jasne i poprawne.

Takie wejrzenie w drugą naturę Wilka Larsena dodało mi odwagi, by zakomunikować mu o stracie pieniędzy.

— Obrabowano mnie — oświadczyłem nieco później, gdy samotnie przemierzał krokami rufę.

— Panie — poprawił ostro, ale surowo.

— Obrabowano mnie, panie.

— Jak się to stało?

Opowiedziałem mu okoliczności, a więc jak moje ubranie pozostało w kambuzie i jak później kucharz o mały włos mnie nie pobił, gdy wspomniałem o zgubie.

Wilk Larsen uśmiechał się przez cały czas.

— Koszykowe — rzekł. — Kuchta wziął sobie koszykowe. A może pan sądzi, że pańskie nędzne życie nie było tyle warte? Przy tym dobra to naučka. Z czasem nauczy się pan sam dbać o swoje pieniądze. Przypuszczam, że dotąd czynił to za pana pański adwokat lub agent handlowy.

Chociaż czułem w tych słowach ukryte szyderstwo, zapytałem:

— W jaki sposób mogę je otrzymać z powrotem?

— To pańska rzecz. Nie ma pan tutaj pod ręką adwokata i agenta, więc musi pan polegać na samym sobie. Kiedy zarobi się dolara, trzeba go pilnować. Człowiek, który podobnie jak pan zostawia pieniądze, zasługuje, żeby je stracić. Przy tym pan zgrzeszył. Nie wolno wodzić na pokuszenie bliźniego, a pan kusił kuchtę i przywiódł go do upadku. Naraził pan na szwank jego nieśmiertelną duszę. Nawiasem mówiąc, czy wierzy pan w nieśmiertelność duszy?

Kiedy zadawał to pytanie, uniósł leniwie powieki, a mnie się wydało, że zaglądam w głębię jego duszy. Ale to było tylko złudzenie. Jestem pewien, że nikt nie zajrzał nigdy w głąb duszy Wilka Larsena, choć niejednemu mogło się zdawać, że ją przejrzał. Przekonałem się później, że była to bardzo samotna dusza, która nigdy nie zdejmowała maski, chociaż czasami udawała, że to robi.

— Wyczytałem nieśmiertelność w pańskich oczach — odpowiedziałem próbując opuścić „panie”. Myślałem, że intymność rozmowy to usprawiedliwia.

Nie zwrócił uwagi na moje słowa.

— Przez duszę, jak przypuszczam, rozumie pan coś, co jest żywe, ale co nie musi żyć wiecznie.

— Dojrzałem więcej — zdobyłem się na dalszą zuchwałość.

— W takim razie uchwycił pan świadomość. Wyczytał pan świadomość żywej istoty, że żyje, nic jednak ponadto, żadnej nieśmiertelności.

Zdumiewająca jasność myślenia i dokładność wyrażania myśli! Przestał wpatrywać się we mnie z ciekawością, obrócił głowę i objął wzrokiem ołowiane morze po nawietrznej. Oczy jego straciły blask, a zarysy ust stały się surowe i ostre. Był widocznie w pesymistycznym nastroju.

— I po co? — zapytał zniecacka, znów zwracając się ku mnie. — Gdybym był nieśmiertelny, to po co?

Zaciałem się. Jakże mogłem wyłożyć moje idealistyczne poglądy takiemu człowiekowi? Jak wyrazić coś odczuwanego, przypominającego dźwięki słyszanej we śnie muzyki, coś, co przekonuje, ale przerasta zdolność wysłowienia?

— W takim razie, w cóż pan wierzy? — odpowiedziałem pytaniem.

— Wierzę, że życie to zamęt — odpowiedział bez wahania. — Coś podobnego do drożdży, do fermentacji, coś, co porusza się i może się poruszać minutę, godzinę, rok, sto lat, ale w końcu przestanie się ruszać. Duży pożera małego, aby móc nadal się poruszać, silny pożera słabego, aby zachować siłę. Szczęśliwy pożera najwięcej i porusza się najdłużej, oto wszystko. A pan co o tym sądzi?

Niecierpliwie wskazał ręką kilku majtków, którzy pracowali na śródkręciu przy jakiejś płataninie lin.

— Ruszają się. To samo robi meduza. Ruszają się, aby jeść, aby nie przestać się poruszać. To wszystko. Istnieją dla swego brzucha, a brzuch istnieje dla nich. To błędne koło. Nie widzę wyjścia. Oni też nie widzą. W końcu zatrzymują się. Przestają się ruszać. Umierają.

— Mają marzenia — przerwałem. — Promienne, cudowne sny.

— O strawie — zakończył sentencjonalnie.

— I o czymś więcej.

— O strawie. Śni im się lepszy apetyt i więcej szczęścia w zaspokajaniu go. — Głos Larsena brzmiał twardo i bynajmniej nie żartobliwie. — Bo zważ

pan tylko, oni marzą o szczęśliwych rejsach, które przyniosłyby im więcej pieniędzy, o awansach na oficerów, o znalezieniu skarbu, słowem, o lepszych warunkach żerowania na swych towarzyszach, o nocach bez wacht, o dobrym wikcie i o tym, żeby kto inny spełniał za nich najniższe posługi. Pan i ja jesteśmy zupełnie do nich podobni. Między nami i nimi nie ma różnicy, chyba ta, żeśmy jedli lepiej i więcej. Ja zjadam ich teraz, no i pana także. Ale przedtem jadłeś pan więcej ode mnie. Spałeś pan w miękkich łóżkach, nosiłeś wytworne ubrania i jadłeś smaczne potrawy. Kto słał te łóżka, robił te ubrania, przygotowywał te potrawy? Nie pan. Nigdy w życiu nie pracowałeś w pocie czoła. Żyjesz pan z kapitału, który zdobył pański ojciec. Jesteś podobny do fregaty spadającej z góry na pelikany i rabującej im złapane ryby. Należy pan do tego tłumu ludzi, którzy utworzyli coś, co nazwali rządem. Są panami wszystkich innych ludzi i pożerają żywność zdobytą przez innych, którzy też chcieliby jeść. Nosi pan ciepłe ubranie. Tamci zrobili je, a jednak dygocą z zimna w swych łachmanach i błagają o pracę pana, pańskiego adwokata czy agenta handlowego, który obraca pańskimi pieniędzmi.

— Ależ to nie ma nic do rzeczy! — zawołałem.

— Przeciwnie. — Teraz mówił prędko, a oczy mu błyszczały. — To świństwo, ale to jest życie. Co za sens lub korzyść z nieśmiertelności świństwa? Co za cel? O co w tym wszystkim chodzi? Pan nie wytworzył żywności. Ale strawa, którą pan zjadł lub zmarnował, ocaliłaby życie wielu biedakom, którzy ją wytworzyli, ale jej nie zjedli. Jakiemu nieśmiertelnemu celowi pan służył? A może oni? Weź pan siebie i mnie. Co jest warta pana osławiona nieśmiertelność w chwili, gdy wejdzie mi w drogę. Rad byś pan powrócić na ląd, gdzie są najkorzystniejsze warunki rozwoju dla pańskiego rodzaju świństwa. Spodobało mi się jednak zatrzymać pana na pokładzie tego statku, gdzie kwitnie moje świństwo. I zatrzymam. Mogę pana urobić lub złamać. Możesz pan umrzeć dziś, w tym tygodniu albo w przyszłym miesiącu. Jesteś nędznym zdechlakiem i mógłbym zabić pana natychmiast jednym uderzeniem pięści. Ale jeżeli jesteśmy nieśmiertelni, dlaczego tak postępujemy? Nie zdaje mi się, aby nieśmiertelnym wypadało być takimi plugawcami, jakimi byliśmy obaj przez całe życie. I znowu pytam, jaki sens tego wszystkiego? Czemu pana tutaj zatrzymałem?

— Bo jest pan silniejszy! — wyrwało mi się.

— Ale dlaczego silniejszy? — znów sypnął pytaniami. — Że jestem większym kawałem drożdży niż pan? Tak? Tak czy nie?

— Co za beznadziejność! — zaprotestowałem.

— Zgadzam się z panem — odpowiedział. — W ogóle po co się poruszać, skoro ruch to życie. Bez ruchu i udziału w fermentacji nie byłoby beznadziej-

ności. Ale — i o to właśnie chodzi — chcemy się poruszać i żyć, chociaż nie mamy po temu słusznego powodu, gdyż tak się składa, że istotą życia jest żyć i poruszać się, i chcieć tego. Gdyby nie to, życie by zamarło. Przyczyną pańskich marzeń o nieśmiertelności jest również życie zawarte w panu. Żyje ono i chce żyć wiecznie. Ba! Nieśmiertelność świństwa!

Odwrócił się na pięcie i ruszył ku dziobowi. Zatrzymał się jednak przy trapie i zawołał mnie.

— Ile właściwie ukradł panu kuchta?

— Sto osiemdziesiąt pięć dolarów, panie — odpowiedziałem.

Kiwnął głową. Po chwili, gdy schodziłem w dół, aby nakryć do obiadu usłyszałem, jak głośno wymyślał majtkom na śródokręciu.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Następnego ranka burza przeszła zupełnie i „Upiór” kołysał się lekko, bez wiatru w żaglach, po spokojnym morzu. Czuć było jednak czasem słabe powiewy i Wilk Larsen stale wachtował na rufie z oczyma zwróconymi na północny wschód, skąd wieje wielki pasat.

Cała załoga wyległa na pokład i przygotowywała łodzie na sezon połowu. Było ich siedem: łódź kapitana i sześć łodzi łowców. Załogę łodzi stanowi trzech ludzi: łowca, wioślarz i sternik. Na pokładzie szkunera wioślarze i sternicy należą do załogi statku. Łowcy również uważani byli za przełożonych wacht i we wszystkim podlegali rozkazom Wilka Larsena.

Dowiedziałem się tego i jeszcze wielu innych rzeczy. „Upiór” uchodził za najszybszy szkuner we flocie San Francisco i Wiktorii. Był dawniej prywatnym jachtem, a wybudowano go tak, aby był szybki. Kształt i olinowanie — choć wcale się na tym nie znam — mówią same za siebie. Podczas jednej z wieczornych wacht Johnson opowiadał mi o „Upiorze”. Mówił entuzjastycznie, z taką miłością do pięknego statku, jaką niektórzy żywią do koni. Widoki na przyszłość, jego zdaniem, są niewesołe. Dał mi do zrozumienia, że Wilk Larsen cieszy się bardzo złą sławą wśród kapitanów trudniących się połowem fok. Tylko „Upiór” skusił Johnsona, by zaciągnął się na rejs, ale zaczyna już tego żałować.

Według jego słów „Upiór” to osiemdziesięcotonowy szkuner pięknego modelu. Ma dwadzieścia trzy stopy szerokości, a długości niewiele ponad dziewięćdziesiąt. Ołowiany kil o legendarnej, lecz nie znanej wadze nadaje mu wielką stateczność, chociaż rozpiętość żagli jest ogromna. Od pokładu do szczytu wielki maszt ma ponad sto stóp, a fokszmat ze swym topslem jest o osiem do dziesięciu stóp niższy. Podaję te szczegóły dla zobrazowania wymiarów tego pływającego światka, unoszącego dwudziestu dwu mężczyzn. Był to miniaturowy światek, pyłek, plamka. Nie mogę wyjść ze zdumienia, że ludzie wąż się puszczać na morze w tak małej i kruchej łupinie.

Wilk Larsen uchodził również za ryzykanta w używaniu żagla. Przypadkiem podsłuchałem rozmowę Hendersona z innym łowcą, Kalifornijczykiem, nazwiskiem Standish. Pod kapitanem Larsenem „Upiór” stracił maszty dwa lata temu podczas burzy na Morzu Beringa i wtedy zostały osadzone obecne

maszty, daleko mocniejsze i cięższe od poprzednich. Wilk Larsen miał oświadczyć przy ich zmianie, że wolałby wywrócić statek aniżeli stracić maszty.

Chyba wszyscy, może z wyjątkiem jednego Johansena zjednanego awansem, szukają usprawiedliwienia, że zaokrętowali się na „Upiorze”. Połowa ludzi w kubryku to marynarze dalekiej żeglugi i wymawiają się, że nic w ogóle nie wiedzieli o „Upiorze” i jego kapitanie. Ci zaś, którzy go znali, szepczą, że łowcy, chociaż doskonali strzelcy, są tak powszechnie znanymi warchołami, łotrzykami, że nie zaciągnięto by ich na żaden przyzwoity szkuner.

Zaznajomiłem się z jeszcze jednym majtkiem, o okrągłej i jowialnej twarzy, zwanym Louis, Irlandczykiem z Nowej Szkocji*, człowiekiem nader towarzyskim i wielkim gadułą, jeśli tylko znalazł chętnych słuchaczy. Po południu, gdy kucharz spał w kabinie, ja zaś bez końca obierałem kartofle, Louis wpadł do kambuza na pogaduszkę. Tłumaczył się, że podpisał umowę okrętową po pijanemu. Powtarzał kilkakrotnie, że na trzeźwo nawet by mu się nie śniło zrobić podobnego szaleństwa. Ze słów jego wynikało, że od dwunastu lat nie opuszcza sezonu polowań na foki i uchodzi za jednego z dwu czy trzech najlepszych sterników w obu flotach.

— Tak, tak, mój chłopcze — kiwał złowróźnie głową — to najgorszy szkuner, jaki mogłeś wybrać, a przecież nie byłeś pijany, jak ja na przykład. Polowanie na foki to istny raj dla marynarza, ale nie na takim statku. Szturman był pierwszy, ale popamiętasz jeszcze moje słowa, będzie więcej trupów do końca rejsu. Sza! Niech to zostanie między nami, ale Wilk Larsen to sam Lucyfer, a „Upiór” — prawdziwy piekielny statek, odkąd się dostał w jego ręce. Ja bym go nie znał! Ja bym go nie znał! Pamiętam go z Hakodate, gdzie dwa lata temu zrobił burdę i ustrzelił czterech swych ludzi. A może ja nie byłem wtedy o trzysta jardów od tego miejsca, w przystani na pokładzie „Emmy L”? Tego samego roku zabił człowieka uderzeniem pięści. Tak, zabił go na miejscu. Rozwalił mu czaszkę jak skorupę jaja.

Kiedy indziej zaprosił na statek gubernatora wyspy Kura i komisarza policji, dwu japońskich panów i ich żony — malutkie, śliczne jak malowanki z wachlarza. Ma się wiedzieć, mężów zostawił — niby przypadkiem — w ich łodziach-sampanach za rufą. Po tygodniu wysadził biedne małe damulki na ląd po drugiej stronie wyspy. Nie pozostawało im nic innego, jak tylko wracać przez góry w słomkowych, malutkich sandałkach, takich, co i mili nie mogły wytrzymać.

Ja bym o nim wszystkiego nie wiedział? Ten Wilk Larsen to zwierzak, bestia z Apokalipsy! Dobrze to on nie skończy, nie, ale pamiętaj, ja ci nic nie

* N o w a S z k o c j a — prowincja we wschodniej Kanadzie.

mówiłem, nie pisałem ani słówka. Bo stary gruby Louis chce jeszcze wrócić z tego rejsu, choćby każdy z was miał pójść na pokarm dla ryb.

Wilk Larsen — parsknął po chwili. — Rozumiesz, co to słowo znaczy, nie? Wilk, prawdziwy wilk. On nie ma złego serca, jak wielu innych, o nie! Bo nie ma serca wcale. Ten Wilk to po prostu wilk i basta. Może źle go przezwano, co?

— Ale jeżeli jest tak dobrze wszystkim znany — zapytałem — jakże może znaleźć ludzi, którzy chcą pod nim pływać?

— A jak się to dzieje, że można znaleźć ludzi do każdej pracy na lądzie i na morzu? — z iście celtyckim* ferworem zachnął się Louis. — A ja? Czyżbyś mnie tu oglądał na tym pokładzie, gdybym przy podpisywaniu umowy nie był pijany jak świnia? Są tu tacy, jak ci łowcy, których na żaden przyzwoity statek nie wpuszczają, i są tacy, jak ci biedni marynarze z kubryka, co nic nie wiedzą. Ale sami zobaczą, zobaczą i będą przeklinać dzień swoich urodzin. Gotów byłbym popłakać nad nimi, gdybym nie wiedział, że mnie, biednego grubego Louisa, czeka ta sama męka. Ale pamiętaj, że nie pisałem ani słówka, ani jednego słówka.

Ci łowcy to niebezpieczne draby — wyrwał się znowu, bo język bez przerwy go świerzbził. — Ale niech no przyjdzie do jakichś bójek czy awantur, on już ich urządzi. Napełni strachem bożym ich czarne, robaczywe dusze. Weź tego łowcę Hornera z mojej łodzi. Przezywają go „Jockiem” Hornerem. Wydaje się, że taki cichy, łagodny i słodki jak panienka, aż myślisz, że sam miód mu z gęby kapie. A czy to nie rok temu zabił sternika swojej łodzi? Nazwali to nieszczęśliwym wypadkiem, ale spotkałem jego wioślarza w Jokohamie i on powiedział mi prawdę! A ten Dymek, ten czarny mały diabeł — wiesz, że za kłusownictwo na Copper Island, tym rosyjskim rezerwacie, Rosjanie trzymali go trzy lata w syberyjskich kopalniach soli. Był skuty ze swoim towarzyszem za rękę i nogę. No i co, przemówili się czy posprzecjali i Dymek wynosił towarzysza w cebrach na powierzchnię, za każdym razem po jednym kawałku, nogę — dziś, jutro — rękę, następnego dnia głowę i tak dalej.

— Niemożliwe! — krzyknąłem ogarnięty grozą.

— Niemożliwe? — rzucił błyskawicznie. — Ja nic nie powiedziałem! Głuchy jestem, niemy i tobie radzę, żebyś był taki przez pamięć na swoją matkę. Ile razy się odezwałem, to żeby dobrze mówić o nich i o nim, niech go Bóg skarże, niech gnije w czyścicu przez dziesięć lat, a potem niech idzie na samo najgłębsze dno piekła.

* Aluzja do irlandzkiego pochodzenia Louisa.

Johnson, majtek, który wyszorował mnie do krwi, kiedy dostałem się na pokład „Upiora”, wydawał się najbardziej prostolinijny ze wszystkich ludzi z kasztelu lub sterówki. Rzeczywiście nie było w nim za grosz fałszu. Biła od niego męska szczerość, miarkowana skromnością taką, że można ją było wziąć za bojaźliwość. Bojaźliwy jednak nie był. Cechowały go raczej odwaga przekonania i świadomość własnej męskości. One to skłoniły go, by na początku naszej znajomości zaprotestował przeciwko nazywaniu go Yonsonem. O tym zajściu i samym człowieku Louis też wydał sąd i przepowiedział jego los.

— To dzielny chłop ten Skandynawczyk Johnson, który jest z nami na przedzie. Najlepszy marynarz z kubryka. To mój wioślarz. Ale daję głowę, że między nim a Wilkiem Larsenem dojdzie do awantury, aż iskry się posypią. Już ja to wiem. Czuję, jak się zbiera i zbliża niby burza na niebie. Powiedziałem mu to jak brat, ale on całkiem na opak czyta sygnały. Kiedy Johnsonowi coś nie pasuje, to zaraz gdera, a zawsze znajdzie się taki, który poleci z jęzorem do Larsena.

Wilk jest silny, a obyczaj wilków nakazuje nienawidzić cudzej siły. Wilk zobaczy siłę w Johnsonie, bo ten nie ugnie się i na wyzwisko czy cios nie odpowie: „Tak, panie, dziękuję pokornie, panie”. Oho, doczekamy się, doczekamy. A Bóg wie, gdzie znajdę nowego wioślarza! Trzeba ci było widzieć, jak stary przezwał go „Yonson”, a ten wariat powiada: „Nazywam się Johnson, panie” i mówi literę po literze. Trzeba było widzieć twarz kapitana. Myślałem, że natychmiast rzuci się na niego. Nie rzucił się, ale jeszcze to robi i wykończy tego Szweda, albo ja się nie znam na marynarskich zwyczajach.

Tomasz Mugridge staje się nieznośny. Przy każdym niemal słowie powtarzać mu „panie”. Przyczyną tego jest fakt, że Wilk Larsen ostatnio go polubił. Spoufalenie kapitana z kucharzem jest przeciwne morskim obyczajom, ale Wilk Larsen nie dba o to. Zdarzyło się, że kilkakrotnie wsuwał głowę do kambuza, aby dobrotliwie zażartować z Mugridge’a, a dziś po południu gwarzył z nim dobry kwadrans na trapie rufy. Mugridge powrócił do kambuza z promieniejącą obleśnie twarzą i począł okropnym, szarpiącym uszy i nerwy falsetem nucić przy robocie jakieś uliczne piosenki.

— Ja to zawsze dam sobie radę z oficerami — zwierzał mi się poufnie. — Wiem, co robić, żeby mnie cenili. Na przykład mój ostatni szyper. Nieraz zachodziłem do jego kajuty na gawędę i kieliszeczek. „Mugridge — powiada do mnie — oj, przegapiłeś ty swoje powołanie”. „A jakie?” — pytam. „Trzeba ci było urodzić się dżentelmenem, nie pracowałbyś teraz na życie”. Niech mnie diabli wezmą, Ump, jeśli tego nie mówił, a ja sobie siedzę wygodnie w jego kabinie rozparty, palę jego cygara i piję jego rum.

Taka gadanina doprowadzała mnie do szału. Nie było dla mnie bardziej nienawistnego głosu. Jego lepki, przymilny ton, obleśny uśmiech i potworna

zarozumiałość grała na nerwach, aż zaczynałem drżeć na całym ciele. Nie ulega wątpliwości, że był najobrzydliwszą, najbardziej obmierzłą kreaturą, jaką kiedykolwiek w życiu spotkałem. Gotował w nieopisanym brudzie, a że gotował wszystko, co jadano na statku, miałem wiele trudu z wybraniem dla siebie najmniej brudnych potraw.

Ręce nienawykłe do pracy doskwierały mi bardzo. Paznokcie miałem zniszczone i czarne, a brud wgrzyzał się tak mocno w skórę dłoni, że niepodobna ich było domyć nawet szczotką do szorowania. Potem zaczęły mi jeden po drugim wyskakiwać bolesne bąble. Straciłem kiedyś równowagę wskutek kołysania statku i zatoczyłem się na piec w kambuzie, parząc dotkliwie przedramię. Stan kolana także się nie polepszył. Opuchlizna nie ustąpiła, a rzepka nie wskoczyła na miejsce. Musiałem kuśtykać tu i tam od rana do wieczora, co nie mogło wyjść nodze na dobre. Do wyzdrowienia potrzeba jej było wypoczynku.

Wypoczynek! Nigdy przedtem nie doceniałem znaczenia tego słowa. Nawet się tego nie domyślając, wypoczywałem przez całe życie. Ale gdybym teraz mógł przez jakie pół godziny siedzieć bez ruchu i nic nie robić ani myśleć, byłoby to dla mnie największą przyjemnością. Z drugiej strony jednak doznałem objawienia. Dopiero teraz nauczyłem się rozumieć życie klasy pracującej. Do tego czasu nie śniło mi się nawet, aby praca była czymś tak strasznym. Od wpół do szóstej rano do dziesiątej w nocy jestem niewolnikiem każdego, pozbawionym chwili czasu dla siebie, wyjąwszy może tę, którą zdołam ukraść pod koniec drugiej wachty. Jeżeli mi się zdarzy zapatrzeć przez minutę na roziskrzone słońcem morze, na majtka drapiącego się wzwyż ku topsłom albo na bukszpryt*, mogę być pewny, że zaraz usłyszę nienawistne wołanie:

— Ej, ty, Ump, nie obijaj się. Już ja mam na ciebie oko!

Są poszlaki, że w międzypokładziu rosną złe nastroje i krąży plotka, że Dymek pobił się z Hendersonem. Henderson robi wrażenie najlepszego z łowców. Jest to spokojny i nieskory do bójki chłop, a jednak musiało go coś sprowokować, bo Dymek przyszedł na kolację z uszkodzonym i podsiniaczonym okiem, jeszcze bardziej wściekły niż zwykle.

Przed samą kolacją zdarzyła się rzecz okrutna, dowodząca zatwardziałości i brutalności tych ludzi. Wśród załogi jest jeden żółtodziób nazwiskiem Harrison, niezgrabny parobek, opanowany prawdopodobnie żądzą przygód i odbywający swój pierwszy rejs. Pod lekkimi, zmiennymi podmuchami wiatru szkuner szedł raz prawym, to znów lewym halsem**, a więc ustawicznie przierzucano żagle z jednej strony na drugą. W takich wypadkach wysyła się na maszt mary-

* B u k s z p r y t — pochylony ku przodowi maszt na dziobie statku.

** H a l s — lina rozpinająca dolny róg żagla. Oznacza też zakos, jakim posuwa się statek lawirując, tj. żeglując pod wiatr.

narza, by przerzucał topsle. Kiedy Harrison był już na górze, szot* żagla uwiązał w bloku na końcu gafla, przez który przechodzi. Jak zrozumiałem, można było rozplatać szot w dwojaki sposób: albo spuścić fokżagiel** — rzecz stosunkowo łatwa i bezpieczna, albo wdrapać się po pikfale na nok*** gafla**** — przedsięwzięcie karkołomne.

Johansen krzyknął Harrisonowi, by wyluzował fały***** Wszyscy widzieli, że chłopak był przestraszony. I nic dziwnego, skoro musiał drapać się po cienkich i rozchwianych linach osiemdziesiąt stóp nad pokładem. Przy stałym wietrze czułby się lepiej, ale bez wiatru szkuner kołysał się na długich falach i przy każdym ruchu żagle opadały lub wydymały się, a szoty luzowały lub naprężyły. Każdej chwili mogły strącić człowieka, jak strąca się muchę trzaśnięciem z bata, na którym siedzi.

Harrison słyszał rozkaz i rozumiał, czego od niego żądano, ale zawahał się. Pewnie po raz pierwszy w życiu był na maszcie. Johansen, który zaraził się władczyimi manierami od Wilka Larsena, wybuchnął gradem wyzwisk i przekleństw.

— Wystarczy, Johansen — osadził go Wilk Larsen. — Pamiętaj, że na tym okręcie wymyślanie do mnie należy. Kiedy będę potrzebował twojej pomocy, sam ci to powiem.

— Tak jest, panie — pokornie odrzekł szturman.

Tymczasem Harrison zaczął leżeć po fałach. Z drzwi kambuza patrzyłem w górę i widziałem, że trzął się na całym cieple jak w febrze. Powoli, ostrożnie zdobywał cal po calu liny. Wyraźnie zarysowany na jasnoniebieskim tle nieba, robił wrażenie olbrzymiego pająka, łązącego po pajęczynie.

Fokżagiel sięgał wysoko, toteż Harrison wspinał się na ukos ku górze. Fały gafla, biegnąc przez różne bloki na gaflu i maszcie, dostarczały mu oparcie dla nóg i uchwytów dla rąk. Ale niebezpieczeństwo kryło się w wietrze ani dość silnym, ani dość stałym, by żagle były stale pełne. Gdy Harrison przebył już połowę drogi, „Upiór” wychylił się na długiej fali ku nawietrznej, a potem w przeciwną stronę, zapadając jednocześnie w bruzdę fal. Majtek zatrzymał się i uczepił z całych sił. Stojąc osiemdziesiąt stóp pod nim, widziałem, jak w tej walce na śmierć i życie rozpaczliwie naprężył mięśnie. Żagiel opróżnił się, a gafel opisał łuk ku śródookręciu. Fały poluzowały się i choć wszystko trwało sekundę, dojrzałem, że obwisają pod ciężarem ciała. Nagle gafel rzucił

* S z o t — lina służąca do ustawiania żagla względem wiatru.

** F o k ż a g i e l — najniższy i najwyższy żagiel na dziobie.

*** N o k — koniec wszystkich drzewc na statku.

**** G a f e l — ukośne drzewce rozpinające górny brzeg żagla.

***** F a ł — lina służąca do wyciągania żagli do góry.

się w bok, grotzagiel wydał z hukiem armatniego wystrzału, a trzy rzędy rabant* zagrzechotały o płachty żagli niby salwa karabinowa. Uczepiony liny majtek zatoczył półkole w powietrzu. Potem nastąpiła cisza. Fały gafla napreżyły się w mgnieniu oka. Było to trzaśnięcie bicia. Uchwyt pękł. Jedna z rąk puściła linę, druga chwilę jeszcze trzymała, nim poszła śladem pierwszej. Harrison poleciał w dół, ale jakimś cudem udało mu się ocaleć, bo nogami zaczepił o olinowanie. Zawisł głową w dół. Gwałtownym wysiłkiem znów uchwycił fały gafla rękami i powoli, z trudem wrócił do poprzedniej pozycji, gdzie znów zawisł — godna litości istota.

— Założę się, że stracił apetyt na kolację — doszły mnie spoza rogu kambuza słowa Wilka Larsena. — Uskocz stamtąd, ty, Johansen! Uważaj! Nadchodzi!

Rzeczywiście, Harrison zasłabł, dostał choroby morskiej. Przez długi czas wisiał na swej chwiejnej żerdzi, nie próbując się ruszyć. Mimo to Johansen nie przestał gwałtownie zachęcać go, by spełnił rozkaz.

— To hańba — burknął Johnson boleśnie poprawną i powolną angielszczyzną. Stał o parę kroków ode mnie przy olinowaniu wielkiego masztu. — Chłopak jest chętny. Dać mu tylko sposobność, a nauczy się. Ale to jest... — tu zaciął się, bo słowo „mord” cisnęło mu się na usta.

— Ani słowa więcej! — szepnął mu Louis. — Na miłość boską, trzymaj język za zębami!

Johnson, patrząc do góry na majtkę, sarkał w dalszym ciągu.

— Słuchaj pan, kapitanie — odezwał się łowca Standish do Wilka Larsena — to mój wioślarz, nie chcę go stracić.

— Zgoda, Standish — brzmiała odpowiedź. — To twój wioślarz, kiedy go masz w łodzi, ale na pokładzie jest moim majtkiem i zrobię z nim, co mi się będzie żywnie podobało.

— To nie powód, żeby... — zapalczywie wyrzucił z siebie Standish.

— Ten powód wystarczy. Dostyć! — uciał Wilk Larsen. — Powiedziałem, skończone. Człowiek do mnie należy i jeżeli mi się spodoba, zrobię z niego zupę i zjem na kolację.

Oczy łowcy rozjarzyły się wściekle, zawrócił jednak na pięcie i przystanął dopiero na trapie sterówki, skąd spoglądał w górę. Teraz już cała załoga wyległa na pokład i oczy wszystkich były skierowane wzwyż, ku człowiekowi pasującemu się ze śmiercią. Jakże przerażająca była nieczułość tych ludzi, których organizacja przemysłu uczyniła panami życia innych. Mnie, który żyłem z dala od wiru świata, nie śniło się nawet, aby ludzie pracowali w podobnych

* R a b a n t y — sznury, którymi przywiązuje się żagiel z boku do masztu lub zszywa części żagli.

warunkach. Życie ludzkie było dla mnie zawsze czymś szczególnie świętym, a tu nic nie znaczyło, wyrażało się liczbą w kalkulacjach handlowych. Owszem, przyznaję, że marynarze zdradzali współczucie, jak na przykład Johnson, ale ich dowódcy (łowcy i kapitan) zachowywali się najzupełniej obojętnie. Nawet protest Standisha wynikał z obawy, że utraci wioślarza. Gdyby chodziło o wioślarza innego łowcy, wydarzenie bawiłoby go tak samo, jak bawiło teraz jego towarzyszy.

Wróćmy jednak do Harrisona. Całe dziesięć minut Johansen lżył i znieważał biedaka, zanim go skłonił do dalszej wędrówki. Po chwili udało mu się dostać na koniec gafla, gdzie siadłszy okrakiem na drzewcu, czuł się już bezpieczniej. Rozplątał liny i mógł wracać. Powrotna droga wypadła po spadistości fałów gafla aż do masztu. Ale tu stracił odwagę. Choć pozycja na gaflu nie należała do bezpiecznych, majtek nie chciał zamienić jej na jeszcze ryzykowniejszą pozycję na fałach.

Zmierzył oczyma powietrzną drogę, którą miał przebyć, a potem spuścił wzrok na pokład. Oczy miał szeroko rozwarte, nieruchome i drżał na całym ciele. Nigdy dotąd nie widziałem na ludzkiej twarzy tak silnego piętna strachu. Daremnie Johansen nawoływał Harrisona do zejścia na pokład. Choć majtek każdej chwili mógł zostać strącony z gafla, nie ruszał się, sparaliżowany strachem. Wilk Larsen przechadzał się wzdłuż pokładu i zajęty rozmową z Dymkiem, zdawał się nie zwracać uwagi na Harrisona, mimo to jednak krzyknął ostro na sternika:

— Ej, ty tam, czego schodzisz z kursu? Uważaj, bo źle na tym wyjdiesz.

— Rozkaz, panie! — zawołał sternik przerzucając parę szprych koła.

Sprowadził on „Upiora” na kilka rumbów* z wytyczonego kursu, aby złapać co się da wiatru w żagle i zapobiec ich przerzucaniu. Chciał w ten sposób, choćby z narażeniem się na gniew Wilka Larsena, dopomóc nieszczęśliwemu Harrisonowi.

Czas mijał i dla mnie napięcie stało się nie do zniesienia. Natomiast Tomasz Mugridge uważał to za śmieszną historię i wciąż wysuwał głowę z kambuza, rzucając żartobliwe uwagi. Jakże go nienawidziłem! I jakże podczas tych okropnych chwil moja nienawiść wzmogła się i wzmagala, aż doszła do monstrualnych rozmiarów. Po raz pierwszy w życiu doświadczyłem pragnienia mordy i jak to obrazowo nazywają niektórzy pisarze, zrobiło mi się czerwono przed oczyma. Nie przeczę, że życie z reguły jest nietykalną świętością, ale życie w szczególnym przypadku Tomasza Mugridge’a stało się wielką profanacją. Przeraziła mnie świadomość, że zaczyna mi się robić czerwono przed oczyma.

* R u m b — kąt równy $11\frac{1}{4}$ stopnia, obejmujący $\frac{1}{32}$ część horyzontu.

Jak błyskawica nawiedziła mnie myśl: czyżbym uległ panującej w otoczeniu brutalności? Ja, który protestowałem przeciw prawu stosowania kary śmierci nawet względem najgorszych zbrodniarzy?

Przeszło znów pół godziny. Nagle zauważyłem, że Johnson sprzecza się o coś z Louistem, który go od czegoś powstrzymuje. Odtrąciwszy Louisa ruszył ku przodowi, przeszedł na drugą stronę pokładu, skoczył w olinowanie fok-masztu i począł się drapać ku górze. Nie uszło to uwagi Wilka Larsena.

— Ty tam, czego leziesz w górę? — krzyknął.

Johnson zatrzymał się. Spojrzał kapitanowi prosto w oczy i odpowiedział wolno:

— Chcę zdjąć tego chłopca.

— Masz natychmiast zleźć na dół! Żwawo! Słyszysz? Złaż!

Johnson zawahał się, ale nabyty długą służbą nawyk posłuszeństwa kapitanowi przemógł. Zeskoczył z niechęcią na pokład i poszedł do kasztelu.

O wpół do szóstej zszedłem na dół nakryć do stołu. Robiłem to automatycznie, bo przed oczyma miałem bez ustanku wizję człowieka dygoczącego, z kredowobiałą twarzą, rozplaszczonego jak pluskwa na gaflu.

O szóstej, przy podawaniu kolacji, przechodziłem przez pokład do kambuza po potrawy, i wciąż widziałem Harrisona w tej samej pozycji. Rozmowa przy stole toczyła się na inny temat. Nikogo widocznie nie obeszło zbędne narażanie życia ludzkiego. Później jednak, idąc jeszcze raz do kambuza, zobaczyłem z westchnieniem ulgi, jak Harrison bezsilnie stacza się z olinowania i wlecze do wjazdu kubryka. Zdobył się wreszcie na odwagę i zlął.

Nim skończę mówić o tym wypadku, podam jeszcze rozmowę, którą miałem z Wilkiem Larsenem przy myciu statków.

— Cóż to pan miał dziś taką rzadką minę? O co chodziło?

Spostrzegłem, że dobrze wie, dlaczego mdliło mnie prawie tak jak Harrisona, i że próbuje mnie pociągnąć za język, toteż odpowiedziałem:

— To z powodu brutalnego postępowania z tym człowiekiem.

Zaśmiał się krótko.

— Coś w rodzaju choroby morskiej. Niektórzy temu podlegają, inni zaś nie.

— Nie o to chodzi.

— Właśnie, że o to — prawil dalej. — Ziemia fałuje brutalnością jak morze ruchem. Są ludzie, którzy chorują od tego, inni znów od tamtego. Oto wyłączna przyczyna!

— Ale pan, pan, który kpisz z ludzkiego życia, czy nie przypisujesz mu żadnej wartości?

— Wartości? Co za wartość? — Patrzył na mnie, a choć oczy miał spokojne i nieruchome, wydawało się, że igra w nich cyniczny uśmiech. — Co za wartość? Jak ją zmierzyć? Kto ją szacuje?

— Ja.

— Cóż tedy warte jest dla pana życie? Cudze, oczywiście. No i cóż jest warte?

Wartość życia? W jaki namacalny sposób ją wyrazić? Dziwna rzecz, mnie, któremu nigdy nie zbywało na słowach, brakło ich w rozmowie z Larsenem. Z czasem doszedłem do przekonania, że w pewnej mierze było to spowodowane jego osobowością, a w znacznie większej jego zupełnie różnym niż mój poglądem na świat. W dysputach z innymi materialistami miałem zawsze jakiś wspólny punkt wyjścia, ale z Wilkiem Larsenem nie miałem nic wspólnego. Być może zapędzała mnie również w kozi róg żywiołowa prostota tego umysłu. Myśl jego biegła prosto jak strzała do sedna rzeczy, pomijając wszelkie nieistotne okoliczności i rozstrzygając sprawę ostatecznie. Doznawałem wrażenia, że tracę grunt pod nogami i tonę. Wartość życia? Czyż mogłem od razu odpowiedzieć na to pytanie? Świętość życia była dla mnie zawsze aksjomatem. Nigdy dotąd nie podawałem w wątpliwość pewnika, że ma ono wartość istotną. Lecz gdy Larsen zakwestionował ten pewnik, zabrakło mi słów.

— Mówiliśmy o tym wczoraj — podjął. — Utrzymywałem, że życie jest fermentem, czymś rosnącym jak drożdże, co pożera inne żywe istoty w celu utrzymania się przy życiu, że jest po prostu prosperującym świństwem. Jeżeli obowiązuje prawo podaży i popytu, życie jest najtańszą rzeczą pod słońcem. Jest tylko określona ilość wody, ziemi i powietrza; ale życia, które domaga się, aby je splodzić, jest bezmiar. Przyroda to rozrzutnica. Weźmy na przykład ryby składające miliony jajeczek. Weźmy choćby nas samych, mnie i pana. W biodrach naszych ukryte są możliwości milionów istnień. Gdybyśmy znaleźli czas i sposobność zażycia każdej drobiny nie narodzonego, a wegetującego w nas życia — stalibyśmy się ojcami narodów i zaludnili lądy swym potomstwem. Życie? Ba! Nie ma ono wcale wartości, jest najtańszą z tanich rzeczy i nigdzie nie znajdzie popytu. Przyroda trwoni je hojnie. Tam, gdzie ma miejsce na jedną istotę, zasiewa tysiące i dlatego jedna pożera drugą, aż ostanie się najsilniejsza i najbardziej zachłanna.

— Pan czytał Darwina — powiedziałem — ale źle go pan zrozumiał. Walka o byt bynajmniej nie sankcjonuje bezmyślnego unicestwiania życia.

Wzruszył ramionami.

— Utrzymujesz to pan tylko w stosunku do życia ludzkiego, bo zwierzę, ptactwo i ryby pożerasz równie dobrze jak ja czy każdy inny. A życie ludzkie niczym się nie różni od tych zwierzęcych wegetacji, choć pan tak czuje i sądzi, że można to udowodnić. Dlaczegoż miałbym szczenić to życie — tanie i bez wartości? Jest daleko więcej marynarzy niż okrętów na morzu, o wiele więcej robotników aniżeli fabryk i maszyn, które mogłyby ich zatrudnić. Pan mieszka na ładzie i wiesz dobrze, że zamykacie nędzarzy w slumsach miast, wydajecie ich na pastwę głodu i zarazy, a mimo to pozostają tłumy biedaków, którzy umierają z braku skórki od chleba i kawałka mięsa (życia uśmierconego) i z którymi nie wiecie, co zrobić. Czyż pan nie widział nigdy dokerów w porcie londyńskim, walczących jak dzikie zwierzęta o pracę?

Ruszył do trapu, ale odwrócił się jeszcze, by dorzucić ostatnie słowo.

— A wiesz pan, jaką życie ma wartość? Tylko taką, jaką przypisuje sobie samo. I oczywiście samo się przecenia, bo z konieczności jest stronnicze. Weźmy za przykład człowieka, który wlaził na maszt. Czepiał się lin, jak gdyby był jakimś skarbem, cenniejszym od rubinów i diamentów. Dla pana? Nie. Dla mnie? Też nie. Dla siebie? Tak. Ale ja nie uznaję jego ceny. On się przecenia, i to słono. Dużo więcej życia domaga się, by je spłodzić. Cóż by świat stracił, gdyby ten majtek zleciał, a mózg jego wyprysnął na pokład z roztrzaskanej czaszki jak miód z plastra? Dla świata nic nie jest wart, podaż zbyt wielka. Ma on wartość tylko dla siebie, a jak dalece fikcyjna jest ta wartość, widać choćby z tego, że po śmierci człowiek nie zdaje sobie sprawy z utraty życia. Wyłącznie on sam cenil się ponad diamenty i rubiny. Oto klejnoty rozsypały się po pokładzie, gdzie je natychmiast zmyje wiadro morskiej wody, a ich właściciel nie wie nawet, że przepadły. Nic nie utracił, bo z chwilą śmierci ginie i świadomość straty. Czyż pan tego nie rozumiesz? I cóż masz jeszcze do powiedzenia?

— To, że przynajmniej jest pan logiczny — oto wszystko, co zdołałem odpowiedzieć i zabrałem się na nowo do zmywania statków.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Nareszcie po trzech dniach zmiennych podmuchów schwytaliśmy północno-wschodni pasat. Tego ranka, gdy wyszedłem na pokład — wyspany mimo bólu w kolanie — „Upiór” pędził pod wszystkimi żaglami prócz kliwrów, gnany silną morką. Wspaniały, wielki pasat! Żeglowaliśmy cały dzień i całą noc, następnego dnia i znów następnego, i dzień po dniu pod stałym i silnym wiatrem, dmącym od tyłu. Szkuner płynął sam. Skończyła się praca przy linach, przerzucanie topsli, i marynarzom nie zostało do roboty nic prócz sterowania. O zachodzie słońca żagle luzowano na noc; rano, gdy zwiślały po wyparowaniu rosy, naciągano je na nowo — oto wszystko.

Robimy różnie: po dziesięć, dwanaście, jedenaście węzłów*. A silny wiatr wieje wciąż z północnego wschodu, posuwając nas po dwieście pięćdziesiąt mil** na dobę. Szybkość, z jaką oddalamy się od San Francisco i pędzimy pod zwrotnik, jednocześnie smuci mnie i cieszy. Co dzień robi się cieplej. Podczas drugiej wachty wieczornej marynarze wychodzą na pokład obnażeni i oblewają się nawzajem kubłami wody. Ukazują się ryby latające i w nocy wachta ugania się za tymi, które spadły na pokład. Tomasz Mugridge, naturalnie przekupiony, napełnia kambuz zapachem smażonej ryby; delfiny zaś podawane są w międzypokładziu i kubryku, ilekroć Johnsonowi uda się złowić z bukszprytu jakiś wspaniały srebrzysty okaz.

Cały swój wolny czas Johnson spędza tam lub na bocianim gnieździe przyglądając się, jak „Upiór” rozcina wodę pod naciskiem wiatru. W oczach odbija mu się miłość i uwielbienie: chodzi jak lunatyk, zapatrzony we wzdęte żagle, pieniające się bruzdy, podskoki i pęd okrętu po płynnych górach, sunących obok nas w nieustannej uroczystej procesji.

Dnie i noce rejsu stały się „dziwem i fantastycznym upojeniem” i chociaż moja okropna praca pozostawia mi niewiele wolnych chwil, wymykam się czasem, aby napatrzeć się bezkresnej wspaniałości, której istnienia na świecie nigdy nie przeczuwałem. Niebo nad nami jest bez plamki, błękitne jak morze, które pod dziobem lśni barwą i połyskiem lazurowej satyny. Wokoło, nad samym horyzontem zwisają jasne, wełniste obłoki, niezmiennie i nieruchome, na kształt srebrnej oprawy nieskazitelnego turkusowego nieba.

* W ę z e ł — miara szybkości; mila morska na godzinę.

** M i l a m o r s k a — 1852 m

Nigdy nie zapomnę pewnej nocy, gdy zamiast spać leżałem na dziobie i wpatrywałem się w odrzucony przez „Upiora” widmowy wał piany. Szemrała podobnie jak strumyk po omszonych głazach w jakiejś cichej kotlinie i ten łagodny śpiew porwał mnie i kazał zapomnieć o sobie tak, że przestałem być Humpem-posługaczem, a nawet Van Weydenem, człowiekiem, który prześnił wśród książek trzydzieści pięć lat życia. Ale zbudził mnie głos, który mógł być tylko głosem Wilka Larsena, przepojony niezwykłą męską pewnością siebie, a tkliwy pod wpływem recytowanych słów:

Kiedy nocą cichnie wiatr, lśni za statkiem srebrny ślad,
Jak gdyby niebo trzymał na uwięzi.
Poskrzypuje kil co sił, mży na pokład srebrny pył,
Na dnie wieloryb przerażony rzezi.
Blachy pokładu garbią się od słońca,
Liny sztywnieją od mgły —
A my płyniemy szlakiem dalekim, bez końca —
Nowe wciąż licząc noce i dni*.

— Co, Hump? Cóż o tym sądzisz? — zapytał po przerwie, jakiej wymagały słowa oraz ich tło.

Zajrzałem mu w twarz. Bił od niej blask jak od morza, a oczy promieniały w świetle gwiazd.

— Uważam za co najmniej dziwne, że pan może okazywać entuzjazm — odpowiedziałem zimno.

— Ależ człowieku, to znaczy żyć! To życie! — zawołał.

— Które jest tanie i bez wartości — odparowałem jego własnymi słowami.

Zaśmiał się i po raz pierwszy usłyszałem szczerą radość w jego śmiechu.

— Nie mogę zmusić pana, żebyś zrozumiał, nie mogę wbić panu w głowę, co to takiego jest życie. Rzeczywiście życie ma wartość tylko dla tego, kto je przeżywa. I mogę panu zareczyć, że moje życie jest teraz wysoce cenne właśnie dla mnie. Jest ponad wszelką cenę. Pan twierdzi, że to straszna przesada, ale to nie moja wina, bo to życie, które jest we mnie, tak samo siebie szacuje.

Zdawał się dłuższą chwilę czekać na słowa, którymi by mógł wyrazić swą myśl, wreszcie podjął na nowo:

— Wie pan co, czuję dziwne natchnienie, jest mi tak, jakbym rozbrzmiewał echemi wszystkich czasów i ogniskował w sobie wszelkie moce. Posiadam prawdę, odróżniam zło od dobra, słuszność od niesprawiedliwości. Wzrok mój widzi jasno i sięga daleko. Omal że wierzę w Boga. Ale — tu głos jego zała-

* W przekładzie Jerzego Bohdana Rychlińskiego.

mał się, twarz zgasła nagle — czym jest ten stan, który obecnie przeżywam, ta radość, ten triumf życia, to natchnienie, niech mi wolno będzie użyć tego słowa? Jest to stan, w który popada człowiek, gdy dobrze trawi, gdy żołądek jego jest w porządku, gdy ma ostry apetyt, a cały organizm działa sprawnie.

To urok życia, szampan krwi, musująca fermentacja, która podsuwa ludziom święte myśli, a innym ukazuje Boga albo pomaga Go stworzyć, jeśli Go nie widzą. Oto wszystko — upojenie życiem, pełzanie i ruch drożdży, paplanina istoty żywej, którą świadomość życia przyprawia o zawrót głowy. Ale — ba! Jutro zapłacę za to, jak każdy pijak. Będę wiedział, że muszę umrzeć prawdopodobnie na morzu, że przestanę pełzać z własnej woli, że będą drążyć mnie pełzające żyjątka morskie. Będę wiedział, że stanę się karmem i padliną, że oddam całą siłę i ruch mych mięśni, aby się stały siłami i ruchliwością płetw, łusek i rybich wnętrzności. Trach! Szampan już wywietrzał. Przestał pienieć się i skrzyć i stał się napojem bez smaku.

Odszedł równie nagle, jak przyszedł. Skoczył na pokład podobnie do tygrysa; był równie ciężki i sprężysty zarazem. „Upiór” płynął dalej. Zauważyłem, że bulgot pod dziobem szkunera przypominał chrapanie, i kiedy zacząłem się w nie wsłuchiwać, minęło wrażenie wywołane gwałtownym przejściem Wilka Larsena od najwznioślejszego szczęścia do rozpacz. Wtem jakiś marynarz na śródokręciu począł wspaniałym tenorem śpiewać *Pieśń pasatu*:

Mnie tak kocha żeglarz, bom z natury
Silny jak uścisk wiernej ręki.
Mój szlak wyczytasz, bracie, z chmury,
Co mknie jak łódź przez nieba błękit.

Ja dniem i nocą pcham okręty,
Jak pies ścigając je zajadle.
W południe mocny i zawzięty —
A nocą równo prężę żagle*.

* *Pieśń pasatu* — *Song of the Trade Wind* — w przekładzie Jerzego Bohdana Rychlińskiego.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Czasami z powodu dziwnych humorów i wybryków Wilka Larsena miałem go za obłąkanego albo co najmniej półobłąkanego, to znów widziałem w nim wielkiego człowieka, zapoznanego geniusza. Wreszcie doszedłem do przekonania, że jest to doskonały okaz pierwotnego człowieka, urodzonego o tysiąc lat lub o tyleż pokoleń za późno, jakiś anachronizm w naszym wieku rozkwitu cywilizacji. To z pewnością potężna indywidualność. Pomiedzy nim a resztą załogi nie ma wcale duchowego powinowactwa. Ogromna dojrzałość i siła umysłu odgradzały go od reszty załogi, nie wyłączając łowców. Dla niego byli dziećmi i tak też ich traktował, zniżając się z konieczności do ich poziomu i bawiąc się z nimi, jak człowiek zwykły igrac ze szczeniętami. Albo też z zimnym okrucieństwem zabierał się do wiwisekcji i dotykał palcami ich procesów myślowych i dusz, jakby chciał się przekonać, z czego dusza powstaje.

Wielekroć widziałem, jak przy stole, z chłodnym i niezmaconym blaskiem oczu i wyrazem zainteresowania na twarzy, lżył któregoś z łowców, po czym śledził jego czyny, odpowiedzi lub małostkowe wybuchy z ciekawością nieomal śmieszną dla mnie jako obserwatora, który go rozumiał. Doszedłem do przekonania, że jego ataki wściekłości nie są prawdziwe, że czasem to doświadczenia, a w większości wypadków pozy, które uznał za słuszne przybierać wobec towarzyszy. Z wyjątkiem zresztą jego zachowania przy śmierci szturmana, nie widziałem go nigdy naprawdę rozgniewanego i nie życzę sobie oglądać go w stanie niekłamanej furii, kiedy rzuci do walki całą swą siłę.

Skoro już mowa o wybrykach Wilka Larsena, opowiem, co zdarzyło się Tomaszowi Mugridge'owi, i skończę przy tej sposobności z wypadkiem, o którym już parokrotnie napomknąłem. Pewnego razu, po obiedzie podawanym o dwunastej, kończyłem właśnie sprzątać w kajucie, gdy zobaczyłem, jak Wilk Larsen i Tomasz Mugridge schodzą po trapie. Chociaż kuchta zajmował klitkę, do której wchodziło się przez kajutę, nie śmiał nigdy zatrzymać się w kajucie i przemykał przez nią tylko raz lub dwa na dzień niby płochliwe widmo.

— Więc umiesz grać w „napoleona” — mówił rozbawiony Wilk Larsen. — Powinienem się domyślić, że Anglik musi znać tę grę. Sam uczyłem się jej na angielskich statkach.

Tomasz Mugridge, idiotycznie uszczęśliwiony, nie posiadał się z radości, że jest za pan brat z kapitanem. Gdyby pozy, które przybierał, nie były śmie-

sze, jego żalosne silenie się na sposób bycia wysoko postawionej i urodzonej osoby wprost by mdliło. Udawał, że mnie nie widzi, chociaż kto wie, może i rzeczywiście nie mógł mnie zauważyć. Jego blade, wyprane oczy poruszały się na kształt leniwych fal, choć nie mam pojęcia, jakimi wizjami mogły być zachwycone.

— Przynieś karty, Hump — rozkazał Wilk Larsen, gdy zajęli miejsca przy stole. — Przynieś cygara i whisky z mojej kabiny.

Powróciłem akurat na czas, by usłyszeć, jak cockney dawał do zrozumienia, że otacza go jakaś tajemnica, że prawdopodobnie jest synem dżentelmena, tylko mu się w życiu nie powiodło. Napomykał też, że płacą mu odczepne za pobyt z dala od Anglii, a przynajmniej można było tak wywnioskować z jego słów: „Zapłacili grubszą forszę za to, żebym się wyniósł i więcej nie wracał”.

Przyniosłem zwykłe kieliszki, ale Wilk Larsen zmarszczył brwi, pokręcił głową i gestem dał mi do zrozumienia, bym przyniósł większe. Nalał dwie trzecie czystej whisky, bez domieszki wody.

— Pański trunek — odezwał się Tomasz Mugridge.

Tracili się ku czci sławnej gry w „napoleona”, zaćmili cygara i zaczęli tasować i rozdawać karty.

Grali na pieniądze, podnosili stawki, ciągnęli whisky bez wody, tak że musiałem przynieść więcej. Nie wiem, czy Wilk Larsen oszukiwał — był na pewno do tego zdolny — dość, że stale wygrywał. Wielokrotnie kuchta zrywał się i biegł do swej komórki po pieniądze. Za każdym razem czynił to z większą fanfaronadą, nigdy jednak nie przynosił ponad parę dolarów. Stał się ckliwy, poufały, źle rozróżniał karty i z trudem siedział na krześle. Przed odbyciem którejś tam pielgrzymki po pieniądze wsadził brudny paluch w butonierkę Larsena i głupekowato powtarzał:

— Mam pieniądze, mam pieniądze i mówię panu, że jestem synem dżentelmena.

Na Wilka Larsena trunek nie działał, chociaż pił równo z kuchtą, a nalewał sobie raczej pełniejsze kieliszki. Nic nie było po nim znać. Nawet błazeństwa partnera nie zdawały się go bawić.

Nareszcie, oświadczając podniesionym głosem, że stać go na to, by przegrał jak dżentelmen, Mugridge postawił ostatnie pieniądze i przegrał, po czym wsparł głowę na rękach i rozpłakał się. Wilk Larsen spojrzał nań z ciekawością, jakby zamierzał przystąpić do wiwisekcji, ale się rozmyślił, wychodząc widocznie z założenia, że nie ma tam co badać.

— Hump — zwrócił się do mnie z wyszukaną grzecznością — weź łaskawie pana Mugridge’a pod rękę i zaprowadź go na pokład. Niezbyt dobrze się czuje. I powiedz Johnsonowi, aby go dobrze zlano paroma wiadrami wody — dorzucił mi na ucho.

Pozostawiłem pana Mugridge’a w rękach kilku zwołanych w tym celu i szczerzących zęby majtków. Pan Mugridge jak przez sen mamrotał, że jest synem dżentelmena. Ledwie jednak zacząłem schodzić po trapie, by sprzątać ze stołu, doszedł mnie jego kwik. Widocznie dostał pierwsze wiadro wody.

Wilk Larsen obliczał wygraną.

— Równe sto osiemdziesiąt pięć dolarów — rzekł głośno. — Tak też myślałem. Ten żebrak musiał przyjść na pokład bez centa przy duszy.

— To, co pan wygrał, jest moje, panie — odezwałem się mężnie.

Obdarzył mnie drwiącym uśmiechem.

— Hump, uczyłem się w swoim czasie gramatyki, toteż sędzę, że nieprawidłowo używasz czasów. Powinieneś powiedzieć „było moje” zamiast „jest moje”.

— To nie kwestia gramatyki, tylko etyki.

Milczał przez długą chwilę.

— Czy wiesz, Hump — odezwał się powoli i poważnie, z nieuchwytnym odcieniem smutku — że po raz pierwszy słyszę z ust ludzkich słowo „etyka”. Tylko my dwaj na całym statku je rozumiemy.

— Kiedyś — podjął po nowej przerwie — marzyłem o sposobności mówienia z ludźmi, którzy używają takich słów. Pragnąłem wzniesć się z życia, do jakiego przeznaczyło mnie urodzenie, i przestawać z ludźmi wiodącymi dysputy na tematy takie, jak etyka. I oto pierwszy raz to słowo zostało przy mnie wymówione. Ale tylko wymówione, bo pan się myli. To nie kwestia ani gramatyki, ani etyki, to kwestia faktu.

— Rozumiem — powiedziałem. — Faktem jest, że pan ma pieniądze.

Twarz mu się rozjaśniła. Zdawał się być ucieszony moją przenikliwością.

— Zbaczamy jednak na manowce, gdyż w tym wypadku chodzi o kwestię prawa — mówiłem dalej.

— Aha — zauważył z krzywym uśmieszkiem — widzę, że pan wierysz wciąż jeszcze w takie rzeczy, jak dobro i zło.

— A pan? Wcale pan nie wierzy?

— Ani odrobinę. Siła to prawo, i na tym koniec. Słabość to zło. Bardzo źle wyraża to myśl, że dobrze jest być silnym, a źle słabym, albo jeszcze lepiej: przyjemnie jest być silnym ze względu na płynące stąd zyski, a przykro być słabym, bo się płaci. Na przykład posiadanie tych pieniędzy jest rzeczą przyjemną. Dobrze jest je posiadać. Skoro je posiadam, skrzywdziłbym samego siebie i życie we mnie zawarte, gdybym je panu oddał i wyrzekł się przyjemności ich posiadania.

— Ale zatrzymując je, mnie pan krzywdzi — zaprotestowałem.

— Wcale nie. Człowiek nie może krzywdzić drugiego. Może tylko krzywdzić samego siebie. Z mego punktu widzenia czynię zawsze źle, ilekroć uwzględniam korzyści innych. Czyż pan tego nie pojmuje? Jakim sposobem dwie komórki fermentacyjne mogą się krzywdzić, jeśli chcą się pożreć nawzajem? Czyż dążenie do pożerania i ucieczki przed pożarciem nie jest im wrodzone? Kiedy odstępują od tej reguły, grzeszą.

— W takim razie nie wierzy pan w altruizm?

Przez chwilę zastanawiał się nad tym słowem, choć zapewne nie było mu zupełnie obce.

— Zaraz, to coś takiego jak współpraca?

— Tak, jest między tymi pojęciami pewien związek — odpowiedziałem, nie dziwiąc się już tej luce w jego słownictwie. Zdobył je jak i wykształcenie przez odczytanie, był samoukiem, którego studiami nikt nie kierował i który myślał wiele, a rozmawiał mało lub wcale. — Czyny altruistyczne są to czyny spełnione dla dobra innych. Różnią się tym od czynów egoistycznych, które spełniam dla mego własnego dobra.

Kiwnął głową.

— Już sobie przypominam. Natrafiłem na to słowo u Spencera.

— U Spencera! Pan go czytał?

— Niewiele — wyznał. — Rozumiałem sporo z jego *Zasad*, ale już w *Biologii* szedłem pod wiatr, a w *Psychologii* ugrzązłem zupełnie, jak podczas ciszy morskiej. Naprawdę nie mogłem zrozumieć, dokąd zmierza. Wtedy przypisywałem to mej słabości umysłowej, ale potem doszedłem, że przyczyną tego jest brak przygotowania. Nie miałem właściwych podstaw. Tylko Spencer i ja wiemy, jak się namęczyłem. Ale coś niecoś wygrzebałem z jego *Podstaw etyki*. W nich to spotkałem się ze słowem „altruizm” i teraz przypominam sobie już, w jakim znaczeniu było użyte.

Co też ten człowiek mógł znaleźć w takim dziele? Dość dobrze znałem Spencera, aby wiedzieć, że altruizm jest nakazem jego ideału wzniosłego postę-

powania. Wilk Larsen widocznie przesiał nauki wielkiego filozofa, odrzucając jedne, a wybierając inne wedle swych wymagań i upodobań.

— I cóż pan tam jeszcze znalazł? — zapytałem.

Wilk Larsen ściągnął lekko brwi, starając się odpowiednio wyrazić dotąd nie sformułowane myśli. Uczułem podniecenie. Teraz ja z kolei badałem po omacku jego duchową substancję, tak jak on to czynił z duszami innych. Odkryłem dziewiczy obszar. Przed moimi oczyma rozwinął się dziwny, przerażająco obcy krajobraz.

— Krótko mówiąc — zaczął — Spencer tak to ujmuje: przede wszystkim człowiek powinien działać na swoją korzyść — to jest postępowanie moralne i dobre. Następnie powinien dbać o dobro swoich dzieci, wreszcie — o dobro swego narodu.

— A najwyższym, najlepszym, sprawiedliwym sposobem postępowania — wtrąciłem — jest ten, który przynosi korzyść jednocześnie samej jednostce, jej dzieciom i jej narodowi.

— Nie zgadzam się — odparł. — Nie pojmuję konieczności tego i nie widzę sensu. Wyłączam dzieci i naród. Nie poniósłbym dla nich żadnych ofiar. To dla mnie bzdura i sentymentalizm. Przyzna pan, że to musi być tyle warte w oczach człowieka nie wierzącego w nieśmiertelność. Gdybym miał przez sobą wieczność, altruizm opłacałby się jak zyskowny interes. Mógłbym wznieść mego ducha na wyżyny. Ale mając przed oczyma tylko śmierć, a nie żadną wieczność, obdarzony na krótko fermentacyjnym pełzaniem, które nazywamy życiem, postąpiłbym niemoralnie, gdybym się poświęcał. Tak, bo każde poświęcenie, pozbawienie mnie jednego pełnienia, jednej drgawki, jest głupotą, i nie tylko głupotą, ale krzywdą wyrządzoną sobie, więc czymś złym. Nie wolno mi tracić ani jednego ruchu, ani jednego drgnięcia, jeżeli mam wydobyć dla siebie jak najwięcej z tego fermentu. I nieśmiertelny bezruch, który mnie czeka, nie stanie się ani lżejszy, ani też cięższy przez moje sobkostwo czy też poświęcenie z okresu fermentacji i pełzania.

— A więc jest pan indywidualistą, materialistą i logicznie rzecz biorąc, hedonistą?

— Szumne słowa — uśmiechnął się. — Ale co to znaczy hedonista?

Gdy podałem mu definicję, kiwnął głową na znak zgody.

— I jest pan także człowiekiem — ciągnąłem dalej — któremu na jotę nie można wierzyć w sprawach, gdzie mógłby wchodzić w grę pański egoistyczny interes?

— Teraz zaczynasz pan rozumieć — rzekł promieniejąc.

— Jesteś pan człowiekiem zupełnie pozbawionym tego, co świat nazywa moralnością.

— Nie inaczej.

— Człowiekiem, którego zawsze trzeba się bać...

— Właśnie tak to należy ująć.

— Bać się tak samo jak węża, tygrysa i rekina.

— Teraz mnie pan znasz, tak jak jestem znany ogólnie. Ludzie nazywają mnie wilkiem.

— Jesteś pan jakimś potworem — dorzuciłem zuchwale. — Kalibanem*, który przyswoił sobie nauki Setebosa** i w chwilach wolnych rządzi się fantazjami i humorami.

Zachmurzył się. Nie zrozumiał aluzji i przekonałem się zaraz, że nie znał tego poematu.

— Dopiero czytam Browninga — przyznał. — To jest diablo trudne. Nie zaszedłem daleko, a już przestałem się orientować.

Aby nie przewlekać, powiem, że przyniosłem książkę z kajuty i przeczytałem *Kalibana* na głos. Był zachwycony. Prymitywny sposób rozumowania i patrzenia na rzeczy szczególnie doń przemawiał. Przerывał mi co chwila, komentując i krytykując. Gdy skończyłem, skłonił mnie do czytania po raz drugi i trzeci. Zaczęliśmy dyskutować o filozofii, naukach ścisłych, ewolucji i religii. Zdradzał braki wykształcenia charakterystyczne dla odczytanego samouka, a również, trzeba mu to przyznać, pewność siebie i bezpośredniość prymitywnego umysłu. Siłą jego argumentacji była jej nadzwyczajna prostota. Materializm Wilka Larsena był stokroć bardziej przekonujący od subtelnie powikłanego systemu Charleya Furusetha. Nie znaczy to, bym ja, przekonany i, według określenia Furusetha, żywiołowy idealista, miał ulec, lecz że Wilk Larsen atakował ostatnie twierdze mojej wiary z zacięłością, niezdolną co prawda mnie przekonać, niemniej jednak budzącą uznanie.

Czas mijał. Nadchodziła pora kolacji, a stół nie był nakryty. Stałem się niespokojny i zdenerwowany, a gdy Tomasz Mugridge, zbolały i zły, spojrział w dół z trapy, poruszyłem się, gotów podjąć na nowo me obowiązki. Ale Wilk Larsen zawołał do niego:

* K a l i b a n — postać z *Burzy* Szekspira, potwór symbolizujący ślepe siły przyrody uległe ludzkiemu rozumowi.

**S e t e b o s — wedle wierzeń Indian południowoamerykańskich bóg przedstawiający wrogie człowiekowi żywioły. *Kaliban o Seubosie* — poemat Roberta Browninga napisany w formie monologu Kalibana buntującego się przeciw wszechmocy ludzkiego rozumu.

— Kuchto, masz sam zwijać się dziś wieczór. Dasz sobie jakoś radę bez Humpa. Jest mi potrzebny.

I znowu stała się rzecz bezprzykładna. Tej nocy siedziałem przy stole z kapitanem i łowcami, a Tomasz Mugridge usługiwał nam i zmywał statki. Oto fanaberia Kalibana, zachcianka Wilka Larsena. Miała, jak zresztą przewidywałem, przysporzyć mi kłopotu. A tymczasem rozmawialiśmy bez końca ku ogólnemu niezadowoleniu łowców, którzy nie rozumieli ani słowa.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Trzy dni wypoczynku, trzy błogosławione dni wypoczynku spędziłem jedząc przy stole Wilka Larsena i dyskutując o życiu, literaturze i wszechświecie. Tomasz Mugridge pienił się i wściekał, ale musiał robić wszystko za mnie i za siebie.

— Strzeż się szkwału, to tylko mogę powiedzieć — ostrzegł mnie Louis. Wyszedłem właśnie na pokład, korzystając z wolnej półgodzinki, gdyż Wilk Larsen właśnie godził zwaśnionych łowców.

— Nigdy nie wiesz, co może się stać — ciągnął Louis w odpowiedzi na moje pytanie, co przez to rozumie. — Człowiek to taki zmienny, jak na przykład wiatr albo prąd wody. Nigdy nie wiesz, co zrobi. Akurat kiedy pomyślisz, że wiesz, skąd wieje, i możesz płynąć prosto z nim, obróci się nagle, zawieje z przodu i porwie ci na strzępy twoje pełne żagle.

Nie zdziwiłem się więc zbyt, gdy runął na mnie szkwał, przepowiedziany przez Louisa. Toczyliśmy właśnie gwałtowną dysputę — na temat życia, jakżeby inaczej — i zacząłem robić arcyzuchwałe przytyki do Wilka Larsena i jego życia. W gruncie rzeczy dokonywałem na nim wiwisekcji i analizowałem jego substancję duchową z równą bystrością i dokładnością, jak on to zwykł robić z innymi. Mam tę słabą stronę, że wyrażam się zbyt ostro, ale tym razem, wyzbywszy się wszelkiej ostrożności, począłem ciąć i krajać bez miłosierdzia, aż Wilk Larsen zawarczał. Jego ogorzała twarz stała się czarna z wściekłości, a oczy zapłonęły. Błędne, nieprzytomne, zdradzały przeraźliwą furję wariata. Zobaczyłem w nich nie tylko wilka, ale i wilka wściekłego.

Z głuchym rykiem skoczył ku mnie i pochwycił za ramię. W głębi serca drżałem co prawda, zdobyłem się jednak na tyle hartu, by stawić mu czoło. Olbrzymia siła tego człowieka przeważała jednak moje męstwo. Schwycił mnie za ramię tylko jedną ręką i gdy zacisnął ją na mych bicepsach, załamałem się i począłem głośno krzyczeć. Nogi ugięły się pode mną. Nie mogłem ustać z bólu. Muskły odmawiały mi posłuszeństwa. Męka była nad siły. Moje bicepsy zdawały się zgniecione na miazgę.

Ale Larsen opamiętał się. Przebłysk świadomości zaigrał mu w źrenicach. Z krótkim chichotem, podobnym raczej do warczenia, rozluźnił chwyt. Padłem na podłogę bardzo osłabiony, on zaś usiadł, zapalił cygaro i przyglądał mi się jak kot myszy. Gdy zwijałem się na deskach, w oczach błyszczała mu cieka-

wość, którą tylekroć u niego zauważyłem, zdumienie, niepewność, poszukiwanie i ustawiczne badanie tego, co się dzieje.

Wreszcie dźwignąłem się na nogi i wylazłem po trapie. Koniec wywczasów. Nie pozostawało nic innego, jak powrócić do kambuza. Lewe ramię miałem zdętwiałe, niby sparaliżowane. Minęło kilka dni, zanim zdołałem się nim posługiwać, a długie tygodnie, zanim ból i sztywność opuściły je zupełnie. Pomyśleć, schwycił je tylko i ścisnął. Obyło się przy tym bez wykręcania i wyrywania. Tylko zamknął garść i powoli zacisnął. Dopiero nazajutrz zdałem sobie sprawę, co mógłby zrobić, kiedy na nowy dowód przyjaźni wsunął głowę do kambuza i zapytał o moje ramię.

— Mogło być gorzej — dodał śmiejąc się.

Obierałem właśnie kartofle. Wybrał z brytfanny duży, jędrny i nie obrany. Wziął go w garść i ścisnął, a kartofel wyprysnął mu spomiędzy palców. Ciastowatą pozostałość wrzucił z powrotem do brytfanny i poszedł, a ja wyobraziłem sobie, co by się ze mną stało, gdyby ten potwór użył całej siły.

Mimo wszystko te trzy dni wypoczynku dobrze zrobiły mej nodze. Czułem się lepiej, opuchlizna znacznie się zmniejszyła, a rzepka zdawała się wracać na swoje miejsce. Trzydniowy odpoczynek ściągnął na mnie jednak przewidywane kłopoty. Tomasz Mugridge zdradzał wyraźną chęć zemsty. Traktował mnie podle, bezustannie wymyślał i zwał na mnie własną robotę. Odważył się nawet podnieść na mnie rękę, ale sam stałem się jak zwierzę i tak zawarczałem mu w twarz, że musiało go to odstraszyć. Obraz tego zajścia jest jednym z najprzykrzejszych mych wspomnień. Oto Humphrey Van Weyden w kącie wstrętnego kambuza, skulony nad robotą, z twarzą zwróconą do kreatury, która zamierza go uderzyć, z wargami uniesionymi w furii, warczy jak pies, oczy błyszczą mu strachem, bezradnością i odwagą, która wypływa ze strachu i bezradności. Nie lubię tego wspomnienia. Zanadto przypomina mi szczura w pułapce. Nie chcę o tym myśleć, a jednak to podziałało i obiecany cios nie spadł.

Tomasz Mugridge cofnął się z oczyma lśniącymi równie nienawistnie i występnie jak moje. Byliśmy dwoma zwierzętami zamkniętymi w jednej klatce i pokazującymi sobie zęby. Kucharz był tchórzem i bał się mnie uderzyć, ponieważ nie wykazywałem strachu przed walką. Wybrał więc inny sposób zastraszenia mnie. W kambuzie był tylko jeden nóż kuchenny, który nadawał się do czegoś. W ciągu długich lat życia ostrze jego zmieniło się w długą, wąską klingę. Wyglądał niezwykle okrutnie i na początku drżałem biorąc go do ręki. Kucharz pożyczyl sobie osekę od Johansena i zaczął nóż ostrzyć. Czynił to z ostentacją i rzucał mi znaczące spojrzenia. Wecował go od rana do wieczora.

Gdy znalazł tylko wolną chwilę, wyciągał osełkę i nóż i wecował, wecował go, aż ostrze stało się podobne do brzytwy. Próbował go na poduszce palca lub na paznokciu. Golił nim sobie włosy na ręce, patrzył wzdłuż ostrza z mikroskopijną dokładnością i wciąż wynajdywał, a przynajmniej udawał, że znajduje gdzieś jakąś nierówność. Wtedy kładł go znów na osełce i wecował, wecował, wecował, aż musiałem powstrzymać się od śmiechu, takie to było zabawne.

Ale było też poważne. Wiedziałem, że kucharz był zdolny użyć tego noża; wiedziałem, że pod warstwą tchórzostwa kryło się w nim zuchwalstwo tchórza, takie zresztą, jakiego sam dałem dowód. Mogło ono popchnąć go do czynu sprzecznego z jego naturą, czynu, którego się obawiał.

— Kuchta ostrzy swój nóż na Humpa — szeptali między sobą marynarze i nagabywali go o to. Brał nagabywanie na serio i był bardzo zadowolony, przytakiwał głową z ponurym okrucieństwem i tajemniczością, aż George Leach, dawny posługacz, rzucił jakiś grubiański żart.

A trzeba wiedzieć, że Leach był jednym z majtków, którzy zlewali Mugridge'a wodą po fatalnej grze w karty z kapitanem. Widocznie spełnił rozkaz z gorliwością, której Mugridge nie mógł mu zapomnieć. Nastąpiła kłótnia i wymysły, nie bez wzmianki o plugawym pochodzeniu przeciwników. Mugridge pogroził mu ostrzonym na mnie nożem. Leach roześmiał się i wyrzucił z siebie jeszcze więcej kwiatów słownictwa ulicznego. Nim spostrzeżliśmy, co się dzieje, już miał prawie ramię rozchlastane od łokcia do przegubu ręki. Kucharz cofnął się z bestialskim wyrazem twarzy, trzymając nóż przed sobą w obronnej postawie. Leach wziął to jednak na zimno, chociaż krew tryskała mu z rany na pokład, niczym woda z fontanny.

— Już ja cię dostanę, kuchto — powiedział — i dopiero cię urządzę. I nie będę się spieszył. Nie będziesz miał wtedy noża, jak cię złapię.

Z tymi słowy odwrócił się i ruszył najspokojniej ku dziobowi. Mugridge zzieleniał, przerażony tym, co zrobił, i tym, czego mógł się prędzej czy później spodziewać od człowieka, którego zranił. W stosunku do mnie jednak stał się odtąd jeszcze okrutniejszy. Mimo trwogi przed zapłatą za swój czyn uznał go za pogładową nauczkę dla mnie, coraz bardziej wynosił się i dyrygował mną. Widok krwi, którą przelał, obudził w nim jakąś żądzę, podobną do obłąkania. Miał czerwono przed oczyma, gdziekolwiek patrzył. Choć ten proces psychologiczny był mocno zawikłany, reakcje zachodzące w jego mózgu czytałem wyraźnie jak w książce.

Minęło kilka dni, „Upiór” gnał na skrzydłach pasatu, a ja przysiągłbym, że z każdym dniem w oczach Mugridge'a obłęd malował się coraz wyraźniej. I wyznaję, że ogarniał mnie strach, okropny strach. Wecował, wecował od rana

do wieczora. Spojrzenie, którym mnie mierzył próbując ostrza, było dosłownie ludożercze. Bałem się odwrócić doń plecami, z kambuza wychodziłem tyłem, ku ucieście marynarzy i łowców, którzy schodzili się, by być świadkami tego wychodzenia. Napięcie było zbyt wielkie. Myślałem czasem, że zwariuję — rzecz zrozumiała wśród tej załogi złożonej z obłąkanych i brutali. Każdej chwili, każdej minuty zagrażało mi niebezpieczeństwo. Byłem cierpiącą istotą ludzką, nikt jednak zarówno z kubryka, jak ze sterówki nie zdradzał dostatecznego współczucia, by przyjść mi z pomocą. Czasami byłem już gotów zdać się na łaskę Wilka Larsena, ale diabelne szyderstwo czające mu się w oczach, które wąpiły i szydziły z życia, odstręczało mnie od tego kroku. Kiedy indziej poważnie myślałem o samobójstwie i trzeba było całej siły mej optymistycznej filozofii, bym nie wyskoczył za burtę w ciemności nocy.

Kilkakrotnie Wilk Larsen próbował wciągnąć mnie w dysputę, ale odpowiadałem mu monosylabami i unikałem go. Wreszcie kazał mi przez pewien czas siadać do stołu w kajucie, a kucharzowi spełniać moje funkcje. Wówczas otwarcie powiedziałem, co znoszę od Tomasza Mugridge'a za trzy dni faworyzowania. Wilk Larsen patrzył na mnie śmiejącymi się oczyma.

— Więc pan się boisz, co? — zadrwił.

— Tak — odparłem wyzywająco i szczerze. — Boję się.

— Zawsze tak już jest z wami! — krzyknął prawie ze złością. — Rozczuliacie się nad waszą nieśmiertelnością, a drżycie przed śmiercią. Na widok ostrego noża w ręku tchórzliwego cockneya zamięłowanie do życia bierze górę nad waszymi chimerami. Przecież będziesz, mój drogi, żył wiecznie. Jesteś bogiem, a boga nie można zabić. Kuchta nic ci nie może zrobić. Jesteś pewny zmartwychwstania. Czego masz się bać?

Masz pan przed sobą żywot wieczny. Jesteś milionerem nieśmiertelności, milionerem, którego bogactwo nie może zginąć, właścicielem skarbów bardziej niezniszczalnych niż gwiazdy i równie trwałych jak czas lub przestrzeń. Nie możesz zmniejszyć swego kapitału. Nieśmiertelność nie ma ani początku, ani końca. Wieczność to wieczność, a więc umierając tutaj i teraz, będziesz żył gdzie indziej i w nieskończoność. Jakże pięknym aktem jest owo otrząśnięcie prochu ciała i wzlot wyzwolonego zeń ducha! Kuchta nic złego nie może panu zrobić. Może pchnąć pana na drogę, którą i tak iść będziesz przez całą wieczność.

Jeżeli jednak nie chce pan jeszcze być pchnięty, nie rozumiem, czemu pan pierwszy nie miałby pchnąć kuchty? Zgodnie z pańskimi przekonaniem jest on takim samym milionerem nieśmiertelności. Nie jesteś zdolny go zrujnować, jego akcje zawsze będą miały stały kurs. Zabijając go, nie skrócisz mu życia,

gdyż nie ma ono ani początku, ani końca. Przeznaczono mu w dalszym ciągu żyć gdzie indziej i inaczej. Więc pchnij go naprzód! Żgnij nożem i uwolnij jego ducha. Obecnie duch ten przebywa w obrzydliwym więzieniu i uczynisz mu jedynie przysługę wyłamaniem drzwi na wolność. Kto wie, może z tego plugawego ścierwa wzleci do nieba duch bardzo piękny. Pchnij go, ja zaś obiecuję awansować cię na jego miejsce, a kuchta zarabia czterdzieści pięć dolarów miesięcznie.

Nie było co liczyć na pomoc i litość Wilka Larsena. Trzeba było działać samemu. Zdobyłem się na odwagę zrodzoną ze strachu. Obmyśliłem plan, postanawiając obrócić przeciwko Mugridge'owi jego własną broń. Od Johansena pożyczyłem kamień szlifierski. Sternik Louis prosił mnie kiedyś o skondensowane mleko i cukier. Specjały te przechowywano w spiżarni znajdującej się pod podłogą kajuty. Upatrzywszy sposobną chwilę ukradłem pięć puszek mleka i tejsze nocy, podczas wachty Louisa, przehandlowałem je na sztylet o równie długim ostrzu i przerażającym wyglądzie, jak nóż kuchenny Tomasza Mugridge'a. Był zardzewiały i stępiony, ale ja kręciłem kamień, a Louis wyostrzył klingę. Tej nocy spałem spokojniej niż zwykle.

Nazajutrz po śniadaniu Tomasz Mugridge rozpoczął znowu wecowanie. Spoglądałem na niego ostrożnie, gdyż wybierałem na klęczkach popiół z pieca. Gdy wyrzuciłem popiół i powróciłem do kambuza, Mugridge gadał z Harrisonem. Na uczciwej, prostackiej twarzy majtko malowało się zdumienie i zachwyty.

— Tak — mówił Mugridge — wysoki sąd dał mi wszystkiego dwa lata w Reading. Gwizdać na to! Tego drugiego dobrze urządziłem. Trzeba było go widzieć. Miałem taki sam nóż jak ten. Włazł w niego jak w masło. Gość się tak darł, że bilety byś mógł sprzedawać na tę hecę. — Tutaj kuchta rzucił na mnie okiem, by ocenić, czy zrobił pożądane wrażenie. — A on mamle: „Jak Boga kocham, Tommy, nie myślałem tego!” „Już ja cię urządzę!” mówię i obrabiam go dalej. Siekam go na bigos, a on cały czas kwiczy. A raz złapał za nóż garścią i chciał go zatrzymać, a ja ciągnę i rznę mu paluchy do kości. Powiadam ci, to był widok!

Szturman zawołał Harrisona i przerwał to krwawe opowiadanie. Mugridge zasiadł na wysokim progu kambuza i podjął ostrzenie noża. Odłożyłem szufłę, usiadłem spokojnie na pace od węgla i patrzyłem wprost na niego. Świdrował mnie nienawistnym wzrokiem. Pomimo że serce biło mi zawzięcie, pozornie z całym spokojem wyjąłem sztylet Louisa i począłem go wecować na kamieniu. Byłem przygotowany na jakiś wybuch ze strony cockneya, ku memu zdziwieniu udał jednak, że nie widzi, co robię, i ostrzył swój nóż w dalszym ciągu. Ja robiłem to samo. I przez dwie godziny siedzieliśmy tak jeden naprzeciw dru-

giego, wecując, wecując i wecując, aż wieść o tym gruchnęła po całym statku i połowa załogi stłoczyła się w drzwiach, by zobaczyć ten widok.

Zasypywano mnie obficie radami i zachętami, a Jock Horner, ów spokojny i cichy łowca — zdawałoby się, niezdolny zabić muchy — radził mi nie bić w żebra, ale ciąć w brzuch z dołu do góry i jednocześnie zrobić klingą tak zwany przezeń „hiszpański skręt”. Leach paradując z obandażowanym ramieniem prosił, abym zostawił dla niego jakieś ochłapy kuchty; nawet Wilk Larsen raz czy dwa przystanął u trapu, aby rzucić ciekawym okiem na owe ruchy i pełzanie substancji fermentującej, które uważał za życie.

Niechaj mi wolno będzie wyznać, że w owej chwili życie przybrało dla mnie ten sam podły sens. Nie było w nim nic pięknego i boskiego. Tylko dwa tchórzliwe poruszające się stworzenia szlifują stal na kamieniu, wokoło zaś tłoczą się z ciekawości inne poruszające się stworzenia, jedne podszyte tchórzem, drugie odważne. Co najmniej połowa widzów pragnęła zobaczyć, jak się poleje krew. Byłoby to dla nich rozrywką. I jestem pewny, że nikt by się nie wmieszał, gdybyśmy rozpoczęli walkę na śmierć i życie.

A z drugiej strony cała sprawa była śmieszna i dziecinna. Wecują, wecują i wecują. Humphrey Van Weyden szlifuje swój nóż w kambuzie i wielkim palcem próbuje ostrza. Z wszelkich możliwych sytuacji ta była najmniej prawdopodobna. Wiem, że ludzie z mojego środowiska nie chcieliby w to uwierzyć. Nie darmo miałem przydomek maminsynka. To, że maminsynek Van Weyden zdolny jest do takiego czynu, było prawdziwą rewelacją dla Humphreya Van Weydena, który nie wiedział, czy chełpić się tym, czy się wstydić.

Ale nic się nie stało. Po dwu godzinach Tomasz Mugridge odłożył nóż i kamień i wyciągnął do mnie rękę.

— Czego robić z siebie teatr dla tych drabów? — zapytał. — Nie kochają nas i nielichą mieliby uciechę, gdybyśmy sobie grdyki poderznęli. Jesteś morowy chłop, Ump! Siarczysty z ciebie chłop, jak to mówicie w Ameryce, i nawet cię lubię. No, dawaj łapę.

Mogłem być tchórzem, ale w każdym razie mniejszym od niego. Odniosłem wyraźne zwycięstwo i ani mi się śniło zrzekać się go uściśnięciem tej nienawistnej ręki.

— Dobrze — powiedział bez ambicji. — Dasz mi rękę czy nie, i tak będę cię lubił.

I chcąc uratować sytuację zwrócił się groźnie do widzów:

— Jazda z mojego kambuza, wy przeklęte wiehcie!

Rozkaz, poparty widokiem kotła z ukropem, podziałał i marynarze wynieśli się czym prędzej. Był to dla kuchni rodzaj rekompensaty i pozwolił mu lżej znieść poniesioną porażkę. Zachował jednak zbyt dużo ostrożności, by spróbować wygnać łowców.

— Skończył się kuchta — powiedział Dymek do Hornera.

— Pewnie! — brzmiała odpowiedź. — Odtąd Hump będzie rządził w kambuzie, a kuchta schowa rogi.

Mugridge dosłyszał te słowa i rzucił na mnie szybkie spojrzenie, ale udałem, że do mnie nie dotarły. Nie przypuszczałem, aby moje zwycięstwo było aż tak doniosłe w skutkach i zupełnie, postanowiłem jednak nie utracić nic z mych zdobyczy. Z czasem przepowiednia Dymka zaczęła się sprawdzać. Cockney stał się pokorniejszy i bardziej służalczy dla mnie aniżeli nawet dla samego Wilka Larsena. Nie mówiłem mu więcej „panie”, nie zmywałem już brudnych statków i nie obierałem kartofli. Robiłem to, i tylko to, co do mnie należało, wtedy i w sposób, jaki uznawałem za stosowny. Marynarskim zwyczajem nosiłem również u boku sztylet w pochwie i zachowywałem stale względem Tomasza Mugridge’a postawę równie władcza, jak obelżywa i pełną pogardy.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Moja zażyłość z Wilkiem Larsenem wzrasta — jeżeli można w ogóle nazwać zażyłością stosunek między panem a sługą albo lepiej: między królem a błaznem.

Jestem dla niego tylko zabawką i ceni mnie tyle co dziecko zabawkę. Bawić go — oto moja funkcja i wszystko jest dobrze, póki mi się to udaje, ale niech tylko się znudzi albo wpadnie w melancholię, natychmiast muszę opuścić miejsce przy stole w kajucie i wracać do kambuza rad, że wychodzę żywy i zdrowy.

Powoli uprzytamniam sobie samotność tego człowieka. Nie ma na pokładzie mężczyzny, który nie bałby się go albo nie nienawdził, i nie ma ani jednego, którym by on nie pogardzał. Mieszka w nim i nie znajduje właściwego ujścia przerażająca siła, która go zżera. Tak właśnie mógłby wyglądać Lucyfer, ten dumny duch skazany na towarzystwo pozbawionych duszy widm Tomlinsona*.

Brzemie tej samotności jest już dość wielkie, a potęguje się jeszcze wskutek pierwotnej melancholii, właściwej jego rasie. Znając go zrozumiałem lepiej staroskandynawskie sagi. Należy on z krwi i kości do dzikich, o jasnej cerze i płowych włosach, twórców tego straszego panteonu. Jakże obca jest mu wesoła lekkomyślność rasy łacińskiej. Jeżeli Larsen się śmieje, to tylko w przystępie humoru, którego niepodobna nazwać inaczej niż okrutnym. Ale śmieje się rzadko. Zbyt często bywa posepny ową posepnością sięgającą początków jego rasy. Posepność ta jest dziedzictwem, które uczyniło jego rasę trzeźwo myślącą, porządną i fanatycznie moralną. Ta ostatnia cecha doszła w Anglii do szczytu w postaci kościoła reformowanego i pani Grundy**.

Dla tej pierwotnej melancholii normalnym ujściem była religia w swych bardziej drastycznych formach. Tymczasem dla Wilka Larsena tego rodzaju kompensata nie istnieje. Stoi temu na przeszkodzie jego brutalny materializm.

Gdy więc nachodzi go melancholia, nie pozostaje mu nic prócz wściekłości. Gdyby nie był tak straszny, budziłby we mnie czasem współczucie, jak to się zdarzyło przed trzema dniami. Wszedłem do jego kabiny, aby napełnić wodą karafkę, i zaskoczyłem go zniemacka. Nie widział mnie. Twarz miał ukrytą

* T o m l i n s o n — bohater poematu Rudyarda Kiplinga (1865—1936) pt. *Tomlinson*.

** G r u n d y — nazwisko spopularyzowane przez komedię T. Mortona z roku 1800. Stało się synonimem konwencjonalnej moralności.

w dłoniach, a ramiona drgały mu konwulsyjnie, jakby płakał. Robił wrażenie człowieka trawionego ogromnym zmartwieniem. Wycofując się po cichu dosłyszałem, że jęczy: — Boże! Boże! Boże! — Nie znaczy to, by rzeczywiście wzywał Boga; był to zwykły wykrzyknik, ale płynący z głębi duszy.

Przy obiedzie wypytywał łowców o środek na ból głowy, a wieczorem, pomimo całej swej siły, na wpół ślepy zataczał się po kabinie.

— Wiesz, Hump, nigdy w życiu nie byłem chory — mówił, gdy sprowadziłem go do kajuty. — A głowa bolała mnie tylko raz, gdy mi ją rozcięto na długość sześciu cali drągiem od kabestanu*.

Ten straszny ból nie ustawał przez trzy dni i Wilk Larsen znosił go jak zwierzę. Widocznie tak znosi się ból na statku — bez skargi, bez współczucia i w pełnym osamotnieniu.

A jednak tego ranka, gdy wszedłem do kapitańskiej kabiny, aby posłać łóżko i zrobić porządek, był już zdrowy i pracował. Stół i koję zaścielały rysunki i obliczenia. Z kompasem i ekierką w rękę prznosił jakąś skalę na wielki przezroczysty arkusz.

— Halo, Hump — powitał mnie wesoło. — Robię właśnie ostatnie pociągnięcia. Chcesz zobaczyć, jak to działa?

— Ale cóż to jest? — zapytałem.

— Pomysł zaoszczędzenia pracy marynarzom, dziecinnie uproszczona nawigacja — odpowiedział wesoło. — Od dziś nawet dziecko będzie mogło sterować statkiem. Koniec ze skomplikowanymi wyliczeniami. Wystarczy dojrzeć gwiazdę wśród najciemniejszej nocy, aby natychmiast wiedzieć, gdzie się znajdujemy. Patrz! Umieszczam przezroczystą skalę na tej mapie nieba i obracam ją biorąc za oś biegun pomocny. Naniósłem na nią równoleżniki i azymuty gwiazd. Wystarczy nałożyć skalę na gwiazdę, obracać ją, aż znajdzie się naprzeciw tych cyfr na dole mapy, i to wszystko! Masz dokładną pozycję statku!

Nuta triumfu dźwięczała w jego głosie, a oczy, tego poranka jasnobłękitne jak morze, błyszcząły.

— Musi pan być niezły w matematyce — zauważyłem. — Gdzie pan chodził do szkoły?

— Na nieszczęście nigdy nie chodziłem do żadnej szkoły. Wszystko to zdobyłem sam.

— Jak pan sądzi, dlaczego to wymyśliłem? — zapytał nagle. — Może z myślą, by moje ślady pozostały na ruchomych piaskach doczesności? — Śmiał

* K a b e s t a n — kołowrót służący do nawijania liny okrętowej. Służy także do podnoszenia kotwicy.

się arcyszyderczo. — Ani mi się śniło. Nie! Chcę to opatentować, ciągnąć z pomysłu zyski i nurzać się w świństwach, wałkonić nocami, w czasie gdy inni będą pracować. Oto mój cel. Było mi też przyjemnie to opracowywać.

— Twórcza rozkosz — wyszeptałem.

— Pewno to właściwa nazwa, ale to tylko inny sposób wyrażania radości istoty żywej, że żyje, triumfu ruchu nad materią, żywego nad martwym, pychy substancji fermentacyjnej, że fermentuje i pełza.

Rozłożyłem ręce na znak bezsilnego protestu przeciwko jego głęboko zakorzenionemu materializmowi i zabrałem się do ślania łóżka.

On zaś przenosił w dalszym ciągu linie i cyfry na przezroczystą skalę. Wymagało to nadzwyczajnej ostrożności i dokładności i musiałem podziwiać sposób, w jaki naginał swą siłę do tak delikatnej i precyzyjnej pracy.

Kiedy posłałem łóżko, spostrzegłem, że wpatruję się w Wilka Larsena oczarowanymi oczyma. Był bez wątpienia pięknym mężczyzną — pięknym po męsku. I znów, tak jak zawsze, zdumiał mnie zupełny brak piętna rozpasania, zła i grzechu na jego twarzy. Byłem przekonany, że jest to twarz człowieka, który nie czyni nic złego. Nie chcę być źle rozumiany. Chcę przez to powiedzieć, że była to twarz człowieka, który albo nie czynił nic przeciwko głosowi swego sumienia, albo też wcale nie miał sumienia. Sam skłaniałem się ku tej drugiej ewentualności. Oto wspaniały przykład atawizmu, człowiek tak idealnie prymitywny, jakby pochodził z plemienia, które przyszło na świat, zanim rozwinęła się etyka. Larsen nie był niemoralny, lecz tylko amoralny.

Jak powiedziałem, była to twarz po męsku piękna. Gładko wygolona, ukazywała wyraziste rysy, czyste i ostre niby kamea. Słońce i morze zabarwiły jasną skórę twarzy brązem, który mówił o walkach i burzach i dodawał mu dzikości i uroku. Wargi miał pełne, a mimo to zacięte, nieomal surowe, co jest typowe dla warg cienkich. Nos, oprawa ust, broda i szczeka były również ostre i zdecydowane, pełne męskiej dzikości i niezłomności. Miał nos istoty stworzonej do podbojów i rozkazywania. Nos ten przypominał dziób orła. Mógł być grecki czy rzymski, chociaż był nieco zbyt masywny na pierwszy i za delikatny na drugi. A mimo że całe oblicze mogło uchodzić za wcielenie dzikości i siły, jego pierwotna melancholia tchnęła wielkość w zarys ust, oczu i brwi, nadając twarzy pewną monumentalność i doskonałość.

Stałem tak przed nim bez ruchu, zapatrzony. Nie umiem wprost powiedzieć, jak bardzo mnie ten człowiek fascynował. Kim był? Czym? Jakim sposobem stał się taki? Zdawał się posiadać wszelkie moce i możliwości. Czemu w takim razie pozostał zapoznanym kapitanem łowieckiego szkunera, cieszącym się

wśród łowców fok reputacją niesłychanego brutala? Ciekawość moja trysnęła potokiem słów.

— Jak to się stało, że nie dokonał pan wielkich rzeczy na tym świecie? Z pańską siłą mogłeś sięgnąć po najwyższe godności. Nie obarczony sumieniem i poczuciem moralności, mógł pan opanować i ujarzmić cały świat. A tymczasem teraz, u szczytu życia, w punkcie, od którego zaczyna się już słabnięcie i zamieranie, prowadzisz nikomu nie znaną egzystencję polując na morskie zwierzęta, aby zaspokoić próżność i kokieterię kobiet, i według własnych słów nurzając się w świństwie. Egzystencję taką można uznać za wszystko, tylko nie za wspaniałość. Czemu, z całą pańską cudowną potęgą, niczego pan nie dokonał? Nic nie mogłoby stanąć na pańskiej drodze, nic nie zdołałoby pana zatrzymać. Gdzie przyczyna? Czy nie miał pan ambicji? Czy uległ pan pokusom? Jak się to stało? Jak?

Przypatrywał mi się od pierwszej chwili mego wybuchu i uprzejmie wysłuchał mnie do końca. Zatrzymałem się bez tchu, przestraszony. Milczał przez chwilę, jakby zastanawiając się, od czego zacząć, a potem rzekł:

— Hump, musisz znać przypowieść o siewcy. Przypomnij sobie, że niektóre ziarna padły na kamienie, pokryte cienką warstwą ziemi, i weszły od razu, bo było płytko. A słońce wypaliło żdźbła i powiędły, bo nie miały korzeni. Inne ziarno padło między ciernie, które wzrosły i zagłuszyły je.

— Dobrze, i cóż z tego?

— Dobrze? — podkreślił na wpół zgryźliwie. — Nie było dobrze. Byłem właśnie jednym z tych ziarn.

Pochylił się nad skalą i kończył robotę. Uprzątnąłem kabinę i właśnie otwierałem drzwi, aby ją opuścić, gdy się odezwał:

— Jeśli popatrzyasz na mapę zachodniego wybrzeża Norwegii, zobaczysz zatoczkę zwaną Romsdeal Fiord. Urodziłem się tam w pasie nadbrzeżnym, o jakieś sto mil od morza. Nie jestem jednak Norwegiem. Jestem Duńczykiem. Moi rodzice byli Duńczykami i nie mam pojęcia, dlaczego osiedlili się na tym ponurym skrawku zachodniego wybrzeża. Nigdy się tego nie dowiedziałem. Poza tym w pochodzeniu moim nie ma nic tajemniczego. Rodzice byli ludźmi biednymi i niewykształconymi, potomkami wielu pokoleń biednych, niewykształconych ludzi — chłopów morskich, którzy od niepamiętnych czasów sięgają synów po morzu. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

— Bynajmniej — zaprzeczyłem. — Dotąd nic się nie wyjaśniło.

— Cóż mam panu powiedzieć więcej? — zapytał z nową gwałtownością. — O nędzy w dzieciństwie? O rybim wikcie i twardym życiu? O wypływaniu na

morze łodziami rybackimi od tej chwili prawie, gdy począłem raczkować? O braciach, którzy jeden po drugim udawali się na dalekie połowy i już nie wracali? O mnie samym wreszcie, jak dorósłszy dojrzałego wieku lat dziesięciu, nie umiejąc ani czytać, ani pisać, zostałem chłopcem okrętowym na jednostkach przybrzeżnych? O złym jedzeniu i jeszcze gorszym traktowaniu, o kopniakach i szturchańcach, które były łóżkiem i śniadaniem i zastępowały mowę, a strach, ból i nienawiść stały się jedynymi moimi uczuciami. Nie chcę tego wspominać. Szaleństwo ogarnia mnie jeszcze teraz na samą myśl o przeszłości. Po dojsciu do męskich sił wróciłbym i zamordował niektórych dobrze znających wybrzeże szyprow, ale życie rzuciło mnie gdzie indziej. Owszem, powróciłem tam niedawno, ale na nieszczęście wszyscy szyprowie pomarli, z wyjątkiem jednego: był szturmanem za tamtych czasów, szyprem, gdy go spotkałem, a kaleką, który nigdy już nie będzie chodził, gdy go pożegnałem.

— Nie rozumiem, jak pan, który czytał Spencera i Darwina, chociaż nie był nigdy w szkole, nauczył się czytać i pisać? — spytałem.

— W angielskiej marynarce handlowej. Mając dwanaście lat byłem chłopcem do posług, mając czternaście — junga na pokładzie, szesnaście — młodszym marynarzem, siedemnaście — starszym marynarzem i największym zuchem kubryka. Niesłuchanie ambitny i równie samotny, bez niczyjej pomocy i współczucia, sam opanowałem wszystko — nawigację, matematykę, nauki ścisłe, literaturę i niejedno więcej. I na co mi się to przydało? Oto u szczytu życiowej kariery, odkąd będę już słabł i zamierał, jestem tylko kapitanem i właścicielem statku. Nędzne, prawda? A kiedy weszło słońce, zostałem wypalony i zwiędłem jak to źdźbło, które nie puściło korzeni.

— Czyż historia nie mówi o niewolnikach, którzy wzniesli się aż do purpury cesarów?

— Ale mówi ona również o okazjach, jakie mieli ci niewolnicy, co zdobyli purpurę — odpowiedział ponuro. — Nikt sam nie tworzył okazji. Wielki człowiek najwyżej poznaje ją, gdy nadchodzi. Korsykanin ją poznał. Miałem sny na miarę Korsykanina. Na pewno bym nie pominął okazji, ale nie nadarzyła mi się nigdy w życiu. Jestem tym ziarnem, które zagłuszyły ciernie. A teraz mogę ci powiedzieć, Hump, że wiesz o moim życiu więcej niż ktokolwiek z żyjących z wyjątkiem mego brata.

— Gdzie on jest i co robi?

— Jest kapitanem parowca „Macedonia”, trudni się połowem fok. Spotkamy go prawdopodobnie u wybrzeży japońskich. Marynarze nazywają go Śmierć Larsen.

— Śmierć Larsen! — powtórzyłem bezwiednie. — Czy jest do pana podobny?

— Raczej nie. To kawał zwierza, ale bez głowy. Ma on całe moje... moje...

— Bestialstwo — odpowiedziałem.

— Tak, dziękuję za słowo, całe moje bestialstwo, ale ledwie umie czytać i pisać.

— I nigdy nie filozofował o życiu?

— Nie — odpowiedział Wilk Larsen z wyrazem nieopisanej melancholii. — I dlatego, że nie filozofuje, jest ode mnie szczęśliwszy. Jest zbyt zajęty życiem, aby o nim myśleć. Największą omyłką mojego życia było to, że wziąłem książkę do ręki.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

„Upiór” osiągnął najbardziej południowy punkt łuku, który zataczał na Pacyfiku. Zakręca teraz w kierunku północno-zachodnim, ku jakiejś samotnej wyspie, gdzie jak mówią, ma wziąć zapas wody na sezon połowu fok wzdłuż japońskich wybrzeży. Łowcy naćwiczyli się do syta w strzelaniu z karabinów i strzelb i wypróbowali broń, a wiosłarze i sternicy uszyli proste żagle, oprawili wiosła i dulki w skórę i okręcili sznurami, aby przy podchodzeniu fok nie robić hałasu. Łodzie zostały wykończone na medal, jak to po swojemu określił Leach.

Tymczasem ramię Leacha zagoiło się zupełnie, choć szrama pozostanie mu na całe życie. Tomasz Mugridge żyje w śmiertelnym strachu przed nim i boi się wyjść na pokład po zmroku. W kubryku trwają dwie czy też trzy stałe waśnie. Louis powiedział mi, że plotki majtków dochodzą na rufę i że dwu donosicieli zostało ciężko pobitych przez towarzyszy. Nie przestaje przepowiadać smutnego końca Johnsonowi, wiosłarzowi z jego łodzi. Johnson parę razy zbyt jawnie wypowiadał swe zdanie i ze trzy razy starł się z Wilkiem Larsenem, bo ów wadliwie wymawiał jego nazwisko. Odkąd którejś nocy na szkafucie wygarbował skórę Johansenowi, szturman wymawia je jak należy. Ale naturalnie jest nie do pomyślenia, aby Johnson mógł pobić Wilka Larsena.

Louis udzielił mi też dodatkowych informacji o Śmierci Larsenie, które zgadzają się z krótkim opisem kapitana. Możemy spodziewać się spotkania ze Śmiercią Larsenem przy wybrzeżach Japonii. — Wtedy gotuj się na szkwał — przepowiadał Louis — bo oni nienawidzą się między sobą jak wilcze szczeniaki. Śmierć Larsen dowodzi jedynym łowieckim parowcem we flocie. Jego „Macedonia” ma czternaście łodzi, a pozostałe szkunery tylko po sześć. Wiele się gada o armatach na tym statku, o jego tajemniczych rejsach i ekspedycjach, poczynając od szmuglowania opium do Stanów i broni do Chin, a kończąc na handlu niewolnikami i jawnym korsarstwie.

Nie mogłem nie wierzyć Louisowi, gdyż nie złapałem go jeszcze nigdy na kłamstwie, przekonałem się natomiast niejednokrotnie, że jest chodzącą encyklopedią w zakresie połowów fok i znajomości załóg flot łowieckich.

Tak samo jak w kubryku i w kambuzie dzieje się w międzypokładziu i na rufie tego prawdziwie piekielnego statku. Ludzie walczą i sięgają okrutnie po cudze życie. Łowcy wyczekują lada chwila wymiany strzałów między Dym-

kiem a Hendersonem, których stary spór nie został załagodzony, a Wilk Larsen zapewnia, że w razie zwady zabije tego, który zostanie przy życiu. Oświadcza otwarcie, że nie kierują nim względy moralne. Nie miałyby nic przeciwko temu, aby łowcy, pozabijali się i pozjadali, gdyby nie to, że potrzebni mu są żywi do bicia fok. Jeżeli natomiast powstrzymają się do końca sezonu, obiecuje urządzić im królewskie zapusty, podczas których uregulują wszelkie porachunki, a pozostałym przy życiu wolno będzie wyrzucić trupy wrogów za burtę i ułożyć historyjki o tym, jak poginęli na morzu. Wydaje mi się, że nawet łowcy są przerażeni jego bezwzględnością. Chociaż sami są źli, drżą przed nim ze strachu.

Tomasz Mugridge jest mi uległy jak kundel, ja zaś odnoszę się do niego z utajonym strachem. Jego odwaga jest odwagą tchórza — dziwne zjawisko, które znam dobrze z własnego doświadczenia — i może każdej chwili przemóc strach i skłonić go do targnięcia się na moje życie. Z kolanem lepiej, chociaż czasem boli mnie jeszcze długo, a w ściśniętym swego czasu przez Wilka Larsena ramieniu powoli odzyskuję władzę. Poza tym zdrowie mi dopisuje i czuję się wspaniale. Muskuly mi twardnieją i rosną. Tylko ręce są obrazem nędzy i rozpacz. Wyglądają na oparzone, skórki przy paznokciach mam pozdzierane, paznokcie połamane i posiniaczone, na odartych z paznokci miejscach tworzą się grzybiaste narośle. Jednocześnie cierpię na wrzody. Dostałem ich widocznie od stawy, bo nigdy dotąd nic podobnego mi nie dokuczało.

Przed paru dniami miałem przedstawienie. Widziałem, jak Wilk Larsen czyta Biblię, której egzemplarza szukano daremnie na początku rejsu, a znaleziono w kufrze marynarskim zmarłego szturmana. Ciekaw jestem, co Larsen w niej znajdował. Zaczął mi czytać z Kaznodziei Salomonowego, a mnie się zdawało, że wypowiada własne poglądy. Głos jego, odbijając się o ściany ciasnej kabiny, brzmiał basowo i żałośnie, czarował mnie i przykuwał. Choć niewykształcony, Wilk Larsen niewątpliwie umiał ożywić pisane słowo. Słyszę go teraz i słyszeć będę zawsze, jak z pierwotną melancholią drżącą w głosie czytał:

Zgromadziłem też sobie srebro i złoto, i klejnoty od królów i krain. Sporządziłem też sobie śpiewaków i śpiewaczki, i inne rozkosze synów ludzkich, i muzyczne naczynia rozliczne.

A tak stałem się wielkim i mądrzejszym nad wszystkich, którzy byli przede mną w Jerozolimie; a nadto mądrość moja zostawała przy mnie. (...)

Lecz gdym się obejrzał na wszystkie sprawy swoje, które czyniły ręce moje, i na prace, którym podejmowałem pracując: oto wszystko marność, i utrapienie ducha, i nie masz nic pożytecznego pod słońcem*.

* Kaznodzieja Salomonowy, rodz. II, 8, 9, 11.

Wszystko się dzieje jednakowo wszystkim; jednoż przychodzi na sprawiedliwego i nie-zbożnego, na dobrego i na czystego i nieczystego, na ofiarującego i na tego, który nie ofiaruje; na dobrego, i na grzesznego, na przysięgającego, i na tego, co się boi.

A toć jest najgorsza między wszystkim, co się dzieje pod słońcem, iż jednoż przychodzi na wszystkich; a owszem, że serce synów ludzkich pełne jest złego, a iż głupstwo trzyma się serca ich za żywota, a potem idą do umarłych.

Albowiem ktokolwiek się towarzyszy ze wszystkimi żywymi, ma nadzieję, (Gdyż i pies żywy lepszy jest niż lew zdechły;)

Boć ci, co żyją, wiedzą, że umrzeć mają; ale umarli o niczem nie wiedzą, i nie mają więcej żadnej zapłaty, gdyż w zapamiętanie przyszła pamiątka ich.

Owszem i miłość ich, i zazdrość ich, i nienawiść ich już zginęła, a nie mają więcej działu na wieki we wszystkim, co się dzieje pod słońcem*.

— A więc to tak, Hump — rzekł zakładając książkę palcem i podnosząc wzrok na mnie. — Nauczyciel i król izraelski myślał tak samo jak ja. Nazywasz mnie pesymistą. Czy jego pesymizm nie jest najrozpaczliwszy? Wszystko jest próżnością i uciśnieniem ducha. Z niczego nie masz korzyści pod słońcem. Jednakże jest kres wszystkiego, jednakże kres głupca i mędrca, czystego i nieczystego, grzesznika i świętego, a ten kres — to śmierć, rzecz zła, według niego. Nauczyciel kochał życie i nie chciał umierać, skoro twierdził, że lepszy żywy pies od zdechłego lwa. Wolał próżność i udręczenie od ciszy i bezruchu grobowca. Ja tak samo. Pełzać — to po świńsku; ale nie czynić tego, pomyśleć, że się będzie jak gruda lub skała — to obrzydliwość. Brzydzi się tego życie zawarte we mnie, którego istotę stanowi ruch, moc ruszania się i świadomość tej mocy. Życie nie zadowala, ale przewidywanie śmierci jeszcze bardziej nie zadowala.

— Z panem jest gorzej niż z Omarem** — powiedziałem. — On przeszedł przynajmniej przez udręczenie właściwe młodzieńczym umysłem, znalazł ukojenie i nadał weselsze barwy swemu materializmowi.

— Kim był Omar? — zapytał Wilk Larsen, a ja nie pracowałem już tego dnia, ani przez dwa następne.

Czytając książki, jakie wpadły mu w rękę, nie trafił dotąd na *Rubáiyát*, toteż ucieszył się niby ze znalezienia skarbu.

Pamiętałem wiele, prawie dwie trzecie strof, a resztę udało mi się bez trudu dokończyć. Godzinami dyskutowaliśmy nad poszczególnymi zwrotkami. Odkrywał w nich tak głęboką skargę i takie porywy buntu, jakich ja sam nigdy bym nie wyczuł.

* Kaznodzieja Salomonowy, rodz. IX, 2—7.

** O m a r K h a y y a m — poeta perski w XI w., którego poemat *Rubáiyát* w przekładzie E. Fitzgeralda zdobył w Anglii XIX w. wielką popularność. U nas tłumaczony między innymi przez K. Libickiego i A. Gawrońskiego.

Miał tak dobrą pamięć, że kiedy recytowałem za drugim razem, a często już za pierwszym, umiał czterowiersz na pamięć. Uwypuklał intonacją niepokój i namiętny bunt w sposób niemal przekonujący, podczas gdy ja recytowałem to samo nadając wierszowi odcień raczej pogodny.

Zaciekawilo mnie, który czterowiersz najbardziej mu się podoba. Jak należało się spodziewać, wybrał werset zrodzony z chwilowego rozdrażnienia, stojący w jawnej sprzeczności z całą pogodną filozofią Persa i zalecaną przezeń regułą życia:

 Nie wiedząc czemu — pędzony tu skąd?
 I nie pytając, dokąd gnany stąd?
 O, ileż kruż zakazanego* wina
 Musí utopić zuchwały ten sąd!

— Wielkie! — wołał Wilk Larsen. — Prawdziwie wielkie. Oto klucz. Zuchwały! Niepodobna znaleźć lepszego słowa.

Daremnie czyniłem zarzuty i przeczyłem. Zatapiał, przytłaczał mnie argumentami:

— Nie może być inaczej, to wypływa z samej istoty życia. Kiedy istota żywa widzi, że musi umrzeć, zaczyna się buntować. Nic na to nie może poradzić. Mędrzec biblijny uważa życie i jego dzieła za marność i udręczenie, ale śmierć, która kładzie koniec marności i strapieniom, uważa za coś jeszcze gorszego. W każdym rozdziale prześladowuje go wizja ostatecznej chwili, nadchodzącej dla wszystkich jednakowo. Dotyczy to Omara, mnie, pana, nawet pana, skoroś nie chciał umierać, gdy kuchta ostrzył na ciebie nóż. Bałeś się umierać, życie zawarte w tobie, z którego się składasz, które jest czymś większym od ciebie, nie chciało umrzeć. Mówił pan o instynkcie nieśmiertelności. Ja zaś mówię o instynkcie samozachowawczym, który nakazuje żyć, a gdy wychynie śmierć groźna i bliska, bierze w nas górę nad tak zwanym instynktem nieśmiertelności. Nie może pan zaprzeczyć, że zwyciężył on w panu, ponieważ obłąkany kucharz ostrzył nóż.

Pan boisz się go teraz. Boisz się mnie. Nie możesz temu zaprzeczyć. Niech tylko schwyce pana za gardło, tak (poczułem jego rękę na gardle i nie mogłem już złapać tchu), i pocznę wyciskać z pana życie, pański instynkt nieśmiertelności przygaśnie, a instynkt samozachowawczy, łaknący życia, rozpali się i będzie pan walczył w swojej obronie. A co? Widzę w pańskich oczach strach przed śmiercią. Machasz rękami. Wszystkie swe siły, siły komara, natężasz w walce o życie. Ręka pańska zaciska się na moim ramieniu tak lekko, jakby usiadł na nim motyl. Dyszy pan, wywała język, twarz panu ciemnieje, a oczy zachodzą

* Zakazanego dla mahometan.

mgłą. „Życ! żyć! żyć!” — krzyczy pan, i to żyć tutaj i teraz, nie potem. Czy wątpisz o swojej nieśmiertelności, co? Cha! cha! Nie jesteś jej pewien. Nie chcesz ryzykować. Tylko to życie uważasz za rzeczywiste. Aha, robi się ciemno i coraz ciemniej. Oto cienie śmierci, kres istnienia, czucia, ruchu; zbierają się, nacierają, piętrzą wokoło. Już oczy stają panu w ślup. Szklą się. Głos mój wydaje się słaby i daleki. Nie widzisz mej twarzy. A wciąż jeszcze wijesz się w mym uchwycie. Wiergasz nogami. Oto ciało pańskie zwija się w supły jak ciało węża. Pierś wznosi się i pręży. Życ! żyć! żyć!

Przestałem słyszeć. Tak plastycznie przezeń opisana ciemność zatarła moją świadomość. Gdy się ocknałem, leżałem na podłodze, Larsen zaś palił cygaro i przyglądał mi się w zadumie z błyskami dobrze znanej ciekawości w oczach.

— Jakże, czy przekonałem pana wreszcie? — zapytał. — Napij się pan tego. Chcę panu zadać parę pytań.

Przecząco potoczyłem głową po deskach.

— Argumenty pańskie są... hm... za dobitne — udało mi się wymówić kosztem silnego bólu krtani.

— Za pół godziny przyjdiesz pan do siebie — zapewnił. — Obiecuję panu nie stosować już więcej lekcji pogładowych. No, podnieś się pan. Możesz usiąść na krześle.

Byłem zabawką tego potwora. Dyskusja nad Omarem i mędrcom biblijnym potoczyła się znowu. Przesiedzieliśmy tak do północy.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ostatnia doba to prawdziwe krwawe zapusty. Od rufy do kubryku grasuje zaraza mordu. Nie wiadomo, od czego zacząć. Nie ulega wątpliwości, że to zasługa Wilka Larsena. Stosunki wśród załogi, naciągnięte i naprężone do ostatecznych granic wskutek ciągłych zwad, kłótni i nurtujących zawiści, były w stanie chwiejnej równowagi, aż złe namiętności buchnęły płomieniem jak trawy na prerii.

Tomasz Mugridge to lizus, szpieg, donosiciel. Zaczął powtarzać kapitanowi plotki o marynarzach z kubryku, aby przypochebić się i wkupić na nowo w jego łaski. Wiem z pewnością, że nie kto inny powtórzył Wilkowi Larsenowi niektóre pochopne wypowiedzi Johnsona.

Johnson kupił podobno z magazynu kapitańskiego płaszcz ceratowy i stwierdziwszy, że jest w bardzo złym gatunku, począł się nad tym szeroko rozwodzić. Magazyn kapitański to miniaturowy skład towarów na szkunerze, zaopatrzone w odpowiednie dla potrzeb marynarzy artykuły. Cenę zakupów potrąca się majtkom z zarobków łowieckich, bo zarówno łowcy, jak wioślarze i sternicy zamiast płacy otrzymują tak zwaną „dole”, czyli wynagrodzenie za każdą skórę zdobytą przez ich łódź.

Ale o sarkaniu Johnsona na magazyn kapitański nic nie wiedziałem, toteż zajście, którego byłem świadkiem, zaskoczyło mnie. Skończyłem właśnie zamiatać kajutę. Wilk Larsen wciągnął mnie w dyskusję nad Hamletem, swą ulubioną Szekspirowską postacią, gdy po trapie zszedł Johansen, prowadząc za sobą Johnsona. Ten wedle morskiego zwyczaju zdjął czapkę i z szacunkiem zwrócony do kapitana stanął pośrodku kabiny, ciężko i niezgrabnie kołysząc się w takt ruchów statku.

— Zamknij drzwi i luki — rzekł do mnie Wilk Larsen.

Zauważyłem niespokojny błysk w oczach Johnsona, ale nie domyślałem się przyczyny. Nie przeczuwałem, co się stanie, aż do ostatniej chwili, ale on od samego początku wiedział, co się szykuje, i czekał odważnie. Czyn Johnsona stanowi w moich oczach całkowite obalenie materializmu Wilka Larsena. Majtek kierował się ideą, zasadą, prawdą i szczerością. Miał rację, wiedział, że ją ma, i nie bał się. Gotowy na śmierć za słuszną sprawę, pozostanie wierny sam sobie, uczciwy w stosunku do siebie. Oto wyraz triumfu ducha nad ciałem, nieposkromiona, moralna wspaniałość ducha nie poddającego się ogranicze-

niom i wznoszącego ponad czas, przestrzeń, materię z nieprzewyciężoną pewnością, której źródłem może być tylko wieczność i nieśmiertelność.

Wróćmy jednak do opowiadania. Zauważyłem niespokojny błysk w oczach Johnsona, ale wziąłem to za wyraz wrodzonej mu nieśmiałości i zmieszania. Szturman Johansen stał o kilka stóp z boku, a Wilk Larsen siedział o dobre trzy łokcie przed nim, w jednym z wykręcanych krzeseł okrętowych. Odkąd zamknąłem drzwi i luk, upłynęła długa chwila. Oczekiwanie przerwał Wilk Larsen.

— Yonson — zaczął.

— Nazywam się Johnson, panie — poprawił majtek odważnie.

— Dobrze, niech będzie Johnson, do diabła! Czy wiesz, dlaczego po ciebie posłałem?

— Tak i nie, panie — brzmiała powolna odpowiedź. — Robię, co do mnie należy, i robię dobrze. Szturman wie o tym i pan też wie, kapitanie. Więc nie może być zarzutów.

— I to wszystko? — badał Wilk Larsen niskim, łagodnym głosem, jakby mrużąc.

— Wiem, że się pan na mnie uwziął — mówił Johnson nadal powoli i rozważnie. — Pan mnie nie lubi. Pan, pan...

— Mów dalej — przynaglał Wilk Larsen. — Nie bój się mnie urazić.

— Ja się nie boję — odparł majtek z lekkim rumieńcem gniewu, przebijającym przez opaleniznę. — Jeżeli nie mówię prędko, to dlatego, że później niż pan wyjechałem ze starego kraju. Pan mnie nie lubi, bo jestem za bardzo odważny. Oto przyczyna, panie.

— To znaczy, że jesteś zbyt odważny z punktu widzenia dyscypliny okrętowej. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? — odciął się Wilk Larsen.

— Rozumiem po angielsku i wiem, co pan chce powiedzieć, panie — odparł Johnson z jeszcze ciemniejszym rumieńcem wywołanym przez przytyk do jego angielszczyzny.

— Johnson — odezwał się Wilk Larsen takim tonem, jakby wszystko, co dotąd powiedziano, było tylko wstępem do zasadniczej sprawy. — Słyszałem, że nie podobał ci się ten płaszcz?

— Tak, nie podobał mi się. Jest zły, panie.

— I wygadywałeś o tym.

— Mówię, co myślę, panie — odważnie odpowiedział majtek, nie zapominając jednak dodać po każdym zdaniu owego „panie”, stanowiącego kanon marynarskiej uprzejmości.

Mimochodem spojrzałem na Johansena. Jego wielkie pięści zaciskały się i otwierały, a twarz nabrała całkiem diabelskiego wyrazu, tak złośliwie patrzył na Johnsona. Pod okiem Johansena zauważyłem siniak, już przybladły, pozostałość po frycówce sprawionej mu przez majtka kilka dni temu. Pierwszy raz przyszło mi na myśl, że zanoszą się na coś strasznego, ale nie mogłem zgadnąć na co.

— Czy wiesz, co się dzieje z takimi, którzy tak jak ty wygadują na mój magazyn i na mnie? — nalegał Wilk Larsen.

— Wiem, panie — brzmiała odpowiedź.

— Co? — zapytał Wilk Larsen ostro i rozkazująco.

— To, co pan i ten tam szturman chcecie ze mną zrobić, panie.

— Spójrz na niego, Hump — zwrócił się do mnie Wilk Larsen. — Spójrz na tę drobinę ożywionego prochu, to połączenie cząstek materii, ruszające się, oddychające, wyzywające mnie i głęboko przekonane, że jest z lepszej gliny. Jest on pod wrażeniem wymyślonych przez ludzi fikcji, takich jak prawość i uczciwość, i będzie się nimi kierował bez względu na wszystkie osobiste niewygodę i groźby. Co o nim myślisz, Hump? Co o nim myślisz?

— Myślę, że to daleko odważniejszy człowiek od pana — odparłem jakby pochłonięty pragnieniem, by ściągnąć na siebie cząstkę wściekłości, mającej lada chwila runąć na majtka. — Jego ludzkie fikcje, jak je pan nazwał, to szlachetność i człowieczeństwo. Pan nie ma złudzeń, marzeń, ideałów. Pan jest nędzarzem.

Skinął głową w przystępie dzikiego zadowolenia.

— Racja, Hump, zupełna racja. Nie mam złudzeń, które rodzą szlachetność i człowieczeństwo. Powtarzam słowa mędrca, że lepszy żywy pies od zdechłego lwa. Jedyłą moją doktryną jest droga do celu i to pozwala mi przeżyć innych. Ten kawał fermentującej materii zwany Johnsonem, kiedy przestanie już być fermentującą materią i zamieni się w proch i popiół, będzie miał tyle szlachetności co każdy proch i popiół, ja zaś nadal będę żył i szalał. Czy wiesz pan, co zamierzam zrobić? — zapytał.

Potrząsnąłem głową.

— Cóż, chcę skorzystać z mego przywileju szaleństwa, chcę pokazać panu, jak się powodzi szlachetnym. Niech pan patrzy.

Był o trzy jardy od Johnsona i w dodatku siedział. Dziewięć stóp! A mimo to jednym susem porwał się z krzesła nie stając nawet na podłodze. Wyskoczył z krzesła, tak jak siedział, zgięty. Ten skok z pozycji siedzącej przypominał dzikie zwierzę, tygrysa. Jak tygrys też przebył dzielącą go od ofiary przestrzeń. Była to lawina furii, przed którą Johnson daremnie usiłował się zastawić. Jednym ramieniem zasłonił żołądek, a drugim głowę; ale pięść Wilka Larsena z miażdżącym, głuchym łomotem uderzyła w środek, w pierś. Oddech Johnsona umknął nagle przez usta i równie nagle został wstrzymany, wciągnięty głośno, z wysiłkiem, jak przez człowieka, który podnosi siekiere. Majtek o mało co nie upadł na wznak i zachybotał się starając odzyskać równowagę.

Nie czuję się na siłach podawać dalszych szczegółów tej strasznej sceny. Była zbyt oburzająca. Na samo wspomnienie dostaję mdłości. Johnson walczył dzielnie, ale nie mógł oczywiście sprostać Wilkowi Larsenowi, a tym bardziej Larsenowi i Johansenowi. Okropność! Nie przypuszczałem, by istota ludzka mogła znieść tyle i żyć, i wciąż walczyć. A Johnson walczył. Nie było przecież dla niego najmniejszej nadziei i wiedział to tak dobrze jak ja, ale jego człowieczeństwo nie pozwoliło mu zaprzestać walki w obronie człowieczeństwa.

Dla mnie było już za wiele. Czułem, że zwariuję — rzuciłem się ku trapowi, aby otworzyć drzwi i uciec na pokład. Ale Wilk Larsen, porzucając na chwilę swą ofiarę, jednym ogromnym skokiem dopadł mnie i rzucił w przeciwny róg kajuty.

— To ciekawe przejawy życia — drwił ze mnie. — Zostań i patrz! Może zbierzesz dowody na poparcie twierdzenia, że dusza jest nieśmiertelna. A zresztą wiesz, że nie sposób skrzywdzić duszy Johnsona. Niszczymy tylko doczesną jej powłokę.

Bicie trwało mniej niż dziesięć minut, ale mnie wydawało się, że trwa wieki. Wilk Larsen i Johansen tłukli biednego człowieka. Bili pięściami, kopali ciężkimi butami. Zwalali na podłogę i stawiali na nogi, aby na nowo obalić. Johnson już nie widział, krew płynąca mu z uszu, nosa i ust zamieniła kajutę w jatkę. Gdy nie mógł już powstać, walili i kopali leżącego.

— Wolnego, Johansen, zmniejsz obroty — przemówił nareszcie Wilk Larsen.

Ale w szturmanie zbudziło się rozjuszone zwierzę i Wilk Larsen musiał łagodnym na pozór zamachem ramienia odrzucić go w tył. Johansen zatoczył się jak korek i prasnął głową o ścianę. Na poły ogłuszony padł na podłogę i przez chwilę leżał, bezmyślnie mrugając oczyma i z trudem chwytając powietrze.

— Otwórz drzwi na oścież, Hump — rozkazał Wilk Larsen.

Usłuchałem, a dwaj brutale schwycili nieprzytomną ofiarę jak worek ze śmieciem, przenieśli bez trudu po trapie przez wąskie drzwi i rzucili na pokład.

Krew bluznęła szkarłatną strugą na nogi sternika, którym był Louis, kolega Johnsona z łodzi. Louis jednak kręcił sterem, wpatrzony w szafkę kompasu.

Inaczej zareagował George Leach, dawny posługacz. Jego zachowanie wprawiło nas wszystkich, zarówno majtków, jak i łowców, w nieopisane zdumienie. Bez żadnego rozkazu poszedł na rufę i zawlókł Johnsona do kasztelu, gdzie jak umiał zaczął opatrywać mu rany i łagodzić cierpienia. Johnson zmienił się nie do poznania, a co więcej, jego rysy straciły podobieństwo do rysów ludzkich, tak dalece zmieniły barwę i napuchły w ciągu paru minut, które upłynęły od pierwszego uderzenia do chwili, kiedy wywleczono ciało z kajuty.

Ale dalej o zachowaniu Leacha... Przez ten czas, gdy ja doprowadzałem do porządku kajutę, on zajmował się Johnsonem. Wyszedłem na pokład, aby odetchnąć świeżym powietrzem i uspokoić wyczerpane nerwy. Wilk Larsen palił cygaro i oglądał log*, holowany zwykle za rufą, a teraz z jakiegoś powodu wyciągnięty na pokład. Nagle doszedł mych uszu głos Leacha, nateżony, chrapliwy od niepohamowanej furii. Odwróciłem się, Leach stał tuż pod rufą, po lewej stronie kuchni. Twarz miał konwulsyjnie wykrzywioną i bladą, oczy mu się jarzyły i zaciśnięte pięści wzniosł nad głową.

— Niech Bóg pośle twoją duszę do piekła, Wilku Larsenie, choć piekła nawet mało dla ciebie, ty tchórze, ty morderco, ty świnió! — zaczął.

Stanałem jak wryty. Spodziewałem się, że Leach natychmiast zostanie starty na proch. Ale Wilkowi Larsenowi widocznie co innego strzeliło do głowy. Powoli i niedbale przeszedł na koniec rufy i wsparty łokciem o róg kabiny patrzył z góry na podnieconego wyrostka, zadumany i pełen ciekawości.

A tymczasem chłopak oskarżał Wilka Larsena jak nikt dotąd. Marynarze, zbici w dygocącą ze strachu gromadę, stali tuż przy włączu kubryka, patrzyli i słuchali. Łowcy, jeden przez drugiego, wypadli z międzypokładzia, ale w miarę tyrady Leacha wesołość pierzchła im z twarzy. Nawet oni zlekli się, co prawda nie strasznych słów, ale strasznej zuchwałości wyrostka. Zdawało się niemożliwe, aby żywa istota ludzka mogła tak urągać Wilkowi Larsenowi. Ja sam byłem przejęty podziwem dla Leacha i widziałem w nim wspaniałą moc duszy nieśmiertelnej, która przemaga ciało i jego trwogi, aby na wzór starożytnych proroków potępić nieprawość.

I co za potępienie! Obnażył duszę Wilka Larsena i wystawił na pogardę towarzyszy. Zalał deszczem klątw boskich i niebieskich i palił żarem wyrzutów, przypominających średniowieczną ekskomunikę kościoła katolickiego.

* L o g — przyrząd do mierzenia szybkości biegu statku.

W oskarżeniu swoim to wzbijał się na wyżyny gniewu wzniosłego, niemal bożego, to znów zupełnie wyczerpany spadał do poziomu najohydniejszych i najplugawszych obelg.

Jego gniew był szaleństwem. Wargi pokryła mu piana, czasami bulgotał, dusił się i zacinał. A Wilk Larsen, wciąż obojętny i nieczuły, stał wsparty na łokciu i patrzył w dół, widocznie ogarnięty ogromną ciekawością. Owo dzikie poruszenie się fermentu życia, straszliwy bunt, wyzwanie rzucone przez będącą w ruchu materię zdziwiło go i zaciekawiło.

Nie tylko ja, ale wszyscy spodziewali się, że lada chwila skoczy i zabije wyrostka. Ale nie przyszła mu taka fantazja. Wypalił cygaro i nie przestał patrzeć ciekawie i w milczeniu.

Tymczasem Leach doprowadził się do szału, do bezsilnej furii.

— Świnia! świnia! świnia! — powtarzał, ile tchu w piersiach. — Czego nie zleziesz i nie zabijesz mnie, ty morderco? Możesz to zrobić! Ja się nie boję! Nie ma tu takiego, kto by cię powstrzymał! Sto razy lepiej umrzeć i uciec przed twoimi szponami niż znaleźć się w nich żywcem. Chodź tutaj, ty tchórze! Zamorduj mnie! Zamorduj! Zamorduj!

W takiej właśnie chwili niespokojny duch Tomasza Mugridge'a wysunął go na scenę. Dotąd przysłuchiwał się przy drzwiach kambuza, ale teraz wyszedł pod pretekstem, że chce wyrzucić za burtę odpadki, a w gruncie rzeczy, aby być świadkiem spodziewanego morderstwa. Uśmiechnął się obleśnie do Wilka Larsena, ale ten zdawał się go nie spostrzegać. Cockney nie speszył się i popełnił czyn szalony, całkiem szalony. Zwrócił się do Leacha ze słowami:

— Takie wyrazy! Okropne!

Furia Leacha przestała być bezsilna. Nareszcie coś nawinęło mu się pod rękę. A przy tym pierwszy raz od pamiętnego puszczenia krwi cockney wyszedł za próg kambuza bez swego noża. Ledwie to powiedział, już leżał powalony przez Leacha. Trzykrotnie porywał się na nogi, aby ująć do kambuza, i trzykrotnie padał.

— O Jezu! — wrzeszczał. — Ratunku! Ratunku! Weźcie go ode mnie! Weźcie go!

Łowcy zarechotali z ulgą. Skończyła się tragedia i rozpoczęła farsa. Teraz marynarze śmiało pchali się ku rufie, szyderczo wykrzywieni, i ustępowali sobie miejsca, aby zobaczyć, jak znienawidzonemu cockneyowi garbują skórę. Nawet ja uczułem, jak pierś zalewa mi ciepła fala radości. Wyznaję, że byłem zachwycony, gdy Leach grzmocił Mugridge'a, choć było to tak samo straszne jak bicie, które Mugridge ściągnął na Johnsona. Wilk Larsen nie zmienił nawet

wyrazu twarzy, tak samo jak nie zmienił pozycji i patrzył w dalszym ciągu z jednakową ciekawością. Wyglądało, jakby mimo pragmatycznej pewności swoich przekonań podpatrywał jeszcze grę i ruch życia w nadziei, że wykryje w konwulsyjnych, szalonych jego drgawkach coś, czego dotąd nie zauważył — jakiś klucz do tajemnicy życia, który pomoże mu wszystko rozwikłać i wyjaśnić.

Cóż to było za bicie! Zupełnie podobne do tego, które widziałem w kabinie. Daremnie cockney starał się bronić przed rozwścieczonym chłopcem. Nie udawało mu się również skryć w kabinie. Toczył się do niej, pełzał i padał pod uderzeniami zwrócony w tę stronę. Cios następował za ciosem z błyskawiczną szybkością. Póki cockney trzymał się na nogach, Leach miotał nim jak korciem, a gdy go ostatecznie powalił, bił i kopał leżącego bezradnie, jak przedtem oprawcy Johnsona. I nikt mu nie przeszkodził. Mógł zabić swą ofiarę, ale najwidoczniej dopełnił już zemsty, gdyż porzucił rozciągnięte ciało wroga i poszedł do kasztelu. Tymczasem kucharz zawodził i skomlał jak szczeniak.

Te dwa wydarzenia stanowiły tylko prolog do wypadków dnia. Po południu Dymek i Henderson rzucili się na siebie. W międzypokładziu rozległa się strzelanina, po czym czterej pozostali łowcy wypadli w popłochu na pokład. Przez otwarty trap buchnął słup gęstego, kwaskowatego dymu, który zawsze powstaje z czarnego prochu, i przez jego kłęby Wilk Larsen skoczył w dół. Do uszu naszych doszedł odgłos uderzeń i harmider utarczki. Obydwaj przeciwnicy byli ranni, a Wilk Larsen tłukł obu za to, że nie usłuchali jego rozkazu i pokaleczyli się wzajemnie przed rozpoczęciem sezonu łowów. Byli naprawdę ciężko ranni i po zbitiu ich kapitan przystąpił do operowania i opatrywania ran w prymitywny sposób. Służyłem za asystenta, gdy badał i czyścił dziury po kulach, i widziałem, jak ci ludzie bez środków znieczulających, pokrzepieni zaledwie kubkiem mocnej whisky, znosili jego zabiegi chirurgiczne.

Podczas pierwszej wieczornej wachty nastąpiło znów zamieszanie w kubryku. Były to skutki obmów i plotek, które spowodowały pobicie Johnsona. Sądząc ze słyszanych przez nas hałasów i z wyglądu pokiereszowanych majtków następnego dnia, jedna połowa mieszkańców kasztelu widocznie zdrowo pobiła drugą.

Następną wachtę i cały ten dzień zakończyła bójka między Johansenem i Latimerem, szczupłym łowcą, o wyglądzie Jankesa. Wywołały ją przycinki Latimera do hałasów urządzanych we śnie przez szturmana. Chociaż Johansen został oćwiczony, nie dał łowcom spać przez resztę nocy, a sam w błogim śnie przeżywał stoczoną walkę.

Mnie zaś dusiła zhora. Ten dzień przypominał jakiś straszliwy sen. Objawy brutalności następowały jedne po drugich, a gwałtowne namiętności i okrucień-

stwo pchały ludzi, by sięgali po cudze życie, ranili, kaleczyli i zabijali. Nerwy miałem rozstrojone, byłem wstrząśnięty. Całe życie spędziłem we względnej niewiedzy o zwierzęcości człowieka. W gruncie rzeczy znałem życie tylko w jego aspektach intelektualnych. Doświadczyłem brutalności, ale brutalności intelektu — tnącego sarkazmu Charleya Furusetha, okrutnych epigramów, okolicznościowych cierpkich dowcipów kolegów z „Bibelota” i dokuczliwych uwag niektórych profesorów za czasów studenckich.

To było wszystko. To, że ludzie wywierają złość na innych tłukąc ich i przelewając krew, stanowiło dla mnie niezrozumiałe i straszliwe odkrycie. W przerwach między jednym koszmarem a drugim, rzucając się na koi, myślałem, że nie bez powodu nazywano mnie maminsynkiem. Moja nieznajomość prawdziwego życia musiała być rzeczywiście kompletna. Zaśmiałem się gorzko w duchu i wydało mi się, że w odstręczającej filozofii Wilka Larsena znajdę słuszniesze wyjaśnienie zagadki życia niż w mej własnej.

Przeraziłem się uprzytomniwszy sobie, dokąd zmierzam myślami. Ciągła brutalność otoczenia wpływała znikczemiająco. Groziło mi unicestwienie wszystkiego, co w życiu najlepsze i najpiękniejsze. Rozsądek pouczał, że pobicie Tomasza Mugridge’a było czymś złym, a jednak za nic na świecie nie potrafiłbym zakazać sobie radości z tego powodu. Nawet przytłoczony wielkością mego grzechu — niewątpliwie był to grzech — chichotałem w obłądnym zachwycie. Nie byłem już Humphreym Van Weydenem, ale Humpem, posługaczem na szkunerze „Upiór”. Wilk Larsen — to mój kapitan, Tomasz Mugridge i reszta załogi — moi towarzysze, a ja sam czuję na czole piętno, którym oni wszyscy zostali naznaczeni.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Przez trzy dni prócz mej własnej wykonywałem jeszcze robotę Tomasza Mugridge'a i pochlebiam sobie, że dobrze ją wykonywałem. Wiem, że zyskałem uznanie Wilka Larsena, a marynarze promienieli z zadowolenia w czasie mego krótkiego panowania w kambuzie.

— To pierwszy czysto przyrządzony kąsek, odkąd wszedłem na ten pokład — powiedział do mnie Harrison przy drzwiach kambuza oddając garnki i półmiski po posiłku w kubryku. — Żarcie Tomasza czuć zawsze łojem, i to stęchłym w dodatku. Wydaje mi się, że koszuli to on nie zmieniał od samego Frisco.

— A ja wiem, że tak jest — odpowiedziałem.

— Założyłbym się, że w niej sypia — dorzucił Harrison.

— I nie przegralibyście — przyznałem mu rację. — Sypia w tej samej i nie zdjął jej ani razu przez cały czas.

Ale Wilk Larsen zostawił kuchcie tylko trzy dni na przyjście do siebie po biciu. Na czwarty dzień kulejącego i poranionego, na wpół ślepego od opuchlizny cockneya ściągnięto za kark z koi i zapędzono do roboty. Stękał i beczał, lecz Wilk Larsen był nieubłagany.

— I pamiętaj, abyś więcej nie podawał pomyj — rozkazał na pożegnanie. — Żeby nie było więcej łoju i brudów, zapamiętaj to sobie i od czasu do czasu wciągnij czystą koszulę, bo jak nie, to poholujemy cię za burtą na lince. Zrozumiano?

Tomasz Mugridge powlókł się z trudem po pomoście kambuza i zachwiał się przy gwałtownym skoku „Upiora”. Aby odzyskać równowagę, wyciągnął rękę ku żelaznej poręczy biegnącej wokół pieca i zapobiegającej ześlizgiwaniu się garnków. Chybił jednak i całym ciężarem oparł się ręką na gorącej blasze. Syk. Zaleciało spalonym ciałem i zabrzmiał ostry krzyk bólu.

— O Boże, Boże! — co ja zrobiłem — zaskomlił siadając na pace od węgla i kiwając się, by złagodzić ból. — Dlaczego to wszystko się na mnie wali? Nie mogę już tego znieść, a przecież całe życie tak się staram nikomu nie szkodzić i nie robić krzywdy.

Po obrzmiałych, posiniaczonych policzkach toczyły mu się łzy i twarz miał ściągniętą bólem. Przemknął po niej jakiś dziki wyraz.

— Och, jak ja go nienawidzę. Jak ja go nienawidzę — zagrzmiał.

— Kogo? — zapytałem, lecz nieszczęśliwiec znów opłakiwał swego pecha. Łatwiej było wszakże odgadnąć, kogo nienawidził, niż kogo znosił. Do tej pory zdołałem się przekonać, że to człowiek opętany przez demona nienawiści, który kazał mu nienawidzić cały świat. Czasami zdawało mi się, że nienawidzi samego siebie, tak groteskowo i potwornie zarazem został potraktowany przez życie. W takich chwilach czułem przypływ wielkiego współczucia i wstyd mnie brał, że cieszyłem się z jego porażek i bólów. Życie postąpiło z nim niesprawiedliwie. Spłatało mu wstrętnego figla, kiedy zrobiło z niego to, czym był, i nie przestawało już płatać mu wstrętnych figłów. Jakie miał szansę, by zostać czymś innym, niż był? Jakby odpowiadając na moje myśli zaskomlił:

— Nigdy nie miałem szansy, najmniejszej szansy! Czy miał mnie kto posłać do szkoły albo dać mi jeść, kiedy byłem głodny, czy utrzcęć mi smarkatego nosa, kiedy byłem bębniem? Kto co dla mnie kiedy zrobił, kto, pytam?

— Mniejsza z tym, Tommy — odezwałem się kładąc mu uspokajająco rękę na ramieniu. — Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Masz długie lata przed sobą i możesz zrobić z siebie, co tylko zechcesz.

— To łgarstwo! Śmierdzące łgarstwo! — wrzasnął mi prosto w twarz, strząsając moją rękę. — To łgarstwo i ty o tym wiesz. Jestem już całkiem zrobiony, i to zrobiony z resztek i odpadków. To dobre dla ciebie, boś się urodził panem. Nie byłeś nigdy głodny, nie zabekiwałeś się do snu, gdy coś w żołądku gryzie i gryzie jak szczur. Nic już się nie zmieni. Niech będę jutro prezydentem Stanów, czy to napcha żołądek za ten czas, kiedy byłem bębniem i głodowałem?

Czy to możliwe, powiadam? Urodziłem się do trosk i cierpień. Gorzej się nacierpiałem niż dziesięciu mężczyzn razem wziętych. Pół mego psiego życia spędziłem po szpitalach. Miałem febrę w Aspinwallu, Hawanie i Nowym Orleanie. Małom nie umarł na skorbut na Barbados i gnilem tam przez sześć miesięcy. Ospa w Honolulu, złamanie obu nóg w Szanghaju, zapalenie płuc na Alasce, trzy żebra złamane i zgniecione wnętrzości we Frisco. A teraz od nowa. Patrzaj na mnie! Patrzaj na mnie! Znów żebra odbite od grzbietu. Nie dotrzymam do ósmego dzwonu, a już będę pluł krwią. Jak mi to wynagrodzą, ja się pytam. Kto to robi? Bóg? Jak mnie Bóg musi nienawidzić, kiedy przeznaczył mi rejs na tym przeklętym świecie.

Ta tyrada przeciw przeznaczeniu trwała dobrą godzinę, a potem, kulejąc i pojękując, zabrał się do roboty. Z oczu patrzyła mu wielka nienawiść do wszystkiego, co żywe. Diagnoza kuchty co do stanu jego zdrowia sprawdziła się, gdyż odtąd co pewien czas wymiotował i pluł krwią, cierpiąc przy tym ogromnie. I widocznie miał rację mówiąc, że Bóg za bardzo go nienawidzi,

by pozwolił mu umrzeć, gdyż w końcu zaczął powracać do zdrowia i stał się złośliwszy niż dotychczas.

Upłynęło jeszcze kilka dni, a Johnson wypełził na pokład i bez zapachu wziął się do pracy. Wciąż jeszcze był chory i nieraz widziałem, z jakim trudem gramolił się na topsle albo jak stojąc u steru ledwie się trzymał na nogach. Gorzej. Zdawał się być złamany na duchu. Nikczemnie płaszczył się przed Wilkiem Larsenem, a przed Johansenem prawie pełzał. Inaczej Leach. Ten chodził po pokładzie jak tygrysie szczenię, nie kryjąc nienawiści do kapitana i jego pomocnika.

— Jeszcze ci pokażę, ty szwedzki platfusie — słyszałem pewnej nocy, jak odezwał się do Johansena na pokładzie.

Ten począł obsypywać go w ciemności wyzwiskami i w tej chwili jakiś pocisk ostro uderzył w ścianę kambuza. Nowa salwa przekleństw i szyderczy śmiech. A gdy wszystko ucichło, wymknąłem się z kambuza i znalazłem ciężki nóż wbity głębiej niż na cal w twardym drzewie. Po paru minutach Johansen zaczął po ciemku obmacywać ścianę. Nazajutrz zwróciłem w sekrecie nóż Leachowi. Gdy mu go oddawałem, uśmiechnął się, a uśmiech ten zawierał w sobie więcej szczerzej podziękowań niż mnóstwo form grzecznościowych, którymi posługują się ludzie z mojej sfery.

W przeciwieństwie do całej załogi nie miałem teraz zwad z nikim i ze wszystkimi byłem w dobrych stosunkach. Łowcy pewnie tylko mnie tolerują, ale nie są mi niechętni, a Dymek i Henderson, rekonwalescenci kołyszący się dzień i noc w hamakach pod płóciennym dachem, mówią mi, że doglądam ich lepiej od zawodowej pielęgniarki. Obiecują nie zapomnieć o mnie, gdy po rejście przyjdzie do wypłaty (jak gdybym potrzebował pieniędzy, ja, który mogłem ponad dwadzieścia razy kupić ich z całym dobytkiem i szkuner z jego ekwipunkiem!) Mnie jednak przypadło dogładanie ich i opatrywanie, więc zrobiłem dla nich wszystko, co było w mojej mocy.

Wilk Larsen uległ nowemu atakowi bólu głowy, który trwał dwa dni. Musiał strasznie cierpieć, skoro przywoływał mnie do siebie i posłusznie jak chore dziecko spełniał moje rozkazy. Ale żadne zabiegi nie pomagały. Idąc jednak za moją radą przestał palić i pić. Nie mogę tylko pojąć, jakim sposobem takie wspaniałe zwierzę może cierpieć na migrenę.

— W tym jest ręka boska, już ja ci mówię — tak rozumiał to Louis. — To kara boska za jego podłe czyny. Ale to jeszcze nie wszystko i coś gorszego go spotka albo...

— Co? — przynagliłem.

— Albo też Pan Bóg się zdrzemnął i nie robi, co do niego należy, choć nie powinienem tak mówić.

Myliłem się twierdząc, że jestem w dobrych stosunkach ze wszystkimi. Tomasz Mugridge nie tylko mnie nienawidził, ale ostatnio wymyślił nowy powód do tej nienawiści. Długo musiałem się zastanawiać, zanim odkryłem przyczynę — idzie mu o to, że jestem szczęśliwiej od niego urodzony, że jak mówi, urodziłem się dżentelmenem.

— No i jakoś nikt dotąd nie umarł — zadrwiłem z Louisa, gdy Dymek i Henderson po raz pierwszy ramię w ramię przechadzali się po pokładzie gawędząc przyjaźnie.

Louis popatrzył na mnie szarymi, przebiegłymi oczyma i poważnie potrząsnął głową.

— Idzie, idzie, ja ci to powiadam, a kiedy przyjdzie i zacznie wyć, trzeba będzie wszystkim chwycić za fały i szoty. Przez długi czas czuję tę śmierć wyraźnie, a teraz tak wyraźnie, jak w ciemną noc czuje się wanty. Blisko jest, blisko.

— Kto pójdzie pierwszy? — zapytałem.

— Obiecuję ci, że nie stary gruby Louis — zaśmiał się. — Bo mam przecucie, że na przyszły rok o tej porze spojrzę starej matce w oczy, znużone wypatrywaniem pięciu synów, których oddała morzu.

— O czym on z tobą gadał? — zapytał po chwili Tomasz Mugridge.

— Że kiedyś jeszcze wróci do domu, zobaczy matkę — odpowiedziałem dyplomatycznie.

— Ja jej nigdy nie miałem — zauważył cockney patrząc na mnie pozbawionymi blasku, beznadziejnymi oczyma.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Poczęło mi świtać w głowie, że nigdy należycie nie doceniałem rodzaju żeńskiego. Nie jestem na ogół jakoś specjalnie kochliwy, a jednak całe życie otaczała mnie kobieca atmosfera. Matka i siostry zawsze krążyły wokół mnie i zawsze też starałem się im uciec, bo doprowadzały mnie do szału troską o moje zdrowie i urządzanymi co pewien czas najazdami na mą jaskinię. Z porządnego bałaganu, z którego byłem dumny, robiły wtedy jeszcze większy i mniej porządny bałagan, choć bardzo schludny na oko. Po takim najściu nigdy nie mogłem znaleźć. Ale teraz jakże pożądana byłaby ich obecność i furkot, i szum sukien, owe szmery, których tak nie lubiłem. Jeśli kiedyś powrócę do domu, pewien jestem, że nigdy już mnie nie zirytują. Pozwolę o każdej porze dnia i nocy poić się lekarstwami i kurować, porządkować, sprzątać i omiatać moją jaskinię, kiedy tylko zechcą. Będę się im przyglądał oparty o poduszki i wdzięczny, że mam matkę i kilka sióstr.

Wszystko to sprawiło, że zacząłem się zastanawiać. Gdzież są matki tych dwudziestu paru ludzi z „Upiora”? Uważam za zjawisko niezdrowe i przeciwne naturze, gdy mężczyźni są zupełnie odseparowani od kobiet i wędrują po świecie w ściśle męskich stadach. Dzikość i szorstkość są tego nieuchronnymi następstwami. Moi towarzysze powinni mieć żony, siostry i córki, a wówczas łagodność, delikatność i sympatia nie byłyby im obce. Tymczasem ani jeden z nich nie jest żonaty. Przez długie lata żaden nie miał do czynienia z uczciwą kobietą, nie znajdował się pod zbawczym wpływem, który taka istota zawsze roztacza. Stąd w życiu ich nie ma równowagi. Ich męskość, będąca w gruncie rzeczy tylko brutalnością, rozwinęła się nadmiernie, natomiast druga, duchowa strona ich natury skarłała, uległa atrofii.

Są zbiorowiskiem ludzi wolnych, którzy ścierają się wzajemnie i stają coraz bardziej nieczuli. Czasem wydaje mi się niemożliwe, żeby i oni mieli kiedyś matki. Były to stworzenia o postaci na wpół ludzkiej, a na wpół zwierzęcej — specjalny gatunek pozbawiony płci. Wylęgli się widać na słońcu jak żółwie z jaj czy też w inny, nie mniej ohydny sposób, przez całe życie nurzali się w brutalności i rozpuście, aby wreszcie umrzeć równie nędznie, jak żyli. Chcąc zaspokoić rozbudzoną w tym kierunku ciekawość, wdałem się ostatniej nocy w rozmowę z Johansenem. Były to pierwsze zbędne słowa, którymi zaszczycił mnie od początku podróży. Otóż opuścił on Szwecję mając lat osiemnaście, a teraz ma trzydzieści osiem i ani razu przez ten czas nie był w domu. Parę lat

temu w jakiejś marynarskiej gospodzie w Chile spotkał kogoś ze swego miasta i dowiedział się, że matka jeszcze żyje.

— Już na dobre musiała się postarzyć — dodał wpatrując się w szafkę kompasu i rzucając nagle ostre spojrzenie sterującemu Harrisonowi, który na jeden rumb zszedł z kursu.

— Kiedyście pisali do niej po raz ostatni?

Zaczął głośno liczyć:

— W osiemdziesiątym pierwszym... nie, w drugim, hm. A może nie... chyba w osiemdziesiątym trzecim? Tak, w osiemdziesiątym trzecim. Dziesięć lat temu. Z jakiegoś małego portu na Madagaskarze, gdzie handlowałem.

Widzisz — kontynuował, jakby mówił do swej zapomnianej matki przez dzielącą ich półkulę — co rok miałem wrócić do kraju. Więc po co było pisać? Tylko rok. I co roku stawało coś na przeszkodzie i nie wracałem. Ale teraz zostałem szturmanem i gdy dostanę z pięćset dolarów odprawy we Frisco, zaokrętuje się na kliper płynący wokół Przylądka do Liverpoolu, co przyniesie jeszcze więcej pieniędzy, a stamtąd zapłacę już za dojazd do kraju. Wówczas matka nie będzie już pracować.

— To ona wciąż pracuje? A ile ma lat?

— Około siedemdziesiątki. — I z przechwałką w głosie dodał: — W naszym kraju pracuje się od urodzenia aż do śmierci. Dlatego żyjemy tak długo. Ja dożyję setki.

Nigdy nie zapomnę tej rozmowy. Były to ostatnie słowa, jakie słyszałem z jego ust. Może były to w ogóle jego ostatnie słowa. Schodząc do kabiny stwierdziłem, że jest za duszno, aby tam spać. Noc była spokojna. Wypadliśmy już z drogi pasatu i „Upiór” robił ledwie jeden węzeł. Wziąłem więc poduszkę i kołdrę pod pachę i wyszedłem na pokład.

Przechodząc między Harrisonem i szafką kompasu wbudowaną w szczyt kajuty, zauważyłem, że tym razem zszedł z kursu całe trzy rumby. Przekonany, że śpi, zagadałem, by zaoszczędzić mu nagany lub czegoś gorszego. Ale nie spał. Oczy miał szeroko otwarte i nieruchome. Zdawał się mocno zaniepokojony. Nie był w stanie mi odpowiedzieć.

— Co wam jest? Czyście chorzy? — zapytałem.

Potrząsnął głową i jak człowiek zbudzony ze snu, głębokim westchnieniem wciągnął powietrze.

— Lepiej trzymać się kursu — zganiałem go.

Wybrał kilka szprych i zobaczyłem, jak róża wiatrów przekreśliła się powoli ku północno-północnemu zachodowi i zatrzymała drżąc lekko.

Podniosłem pościel i miałem odejść, gdy uderzył mnie jakiś niezwykle ruch i rzuciłem okiem ku rufie. Żyłasta, ociekająca wodą ręka chwyciła za poręcz burty. Potem wynurzyła się z ciemności druga ręka. Stałem jak wryty. Jakież to gość miał za chwilę wychynąć z czarnej otchłani? Kimkolwiek był, wiedziałem, że drapie się po linie logu. Po chwili zarysowała się okolona mokrymi, sterczącymi włosami głowa, a potem oczy, których nie sposób nie poznać, i twarz Wilka Larsena. Z rany w głowie płynęła mu krew i zalewała prawy policzek.

Gwałtownym ruchem wciągnął się za burzę i stanął na nogach obrzucając majtkę przy sterze byстрыm spojrzeniem, jakby chciał stwierdzić, który to jest, i przekonać się, że z tej strony nic mu nie zagraża. Ociekał wodą. Spływała po nim z bulgotem, który mnie oszalał. Zrobił krok w moją stronę, ja zaś cofnąłem się instynktownie, gdyż w oczach jego wypisana była śmierć.

— Nie bój się, Hump — powiedział przyciszonym głosem. — Gdzie szturman?

Potrząsałem głową.

— Johansen! — zawołał do cichu. — Johansen! Gdzie on jest? — zapytał Harrisona.

Młody łowca musiał już ochłonać, bo odpowiedział dość stanowczo:

— Nie wiem, panie. Widziałem, jak przed paru minutami szedł na dziób.

— Ja też poszedłem na dziób. Ale widziałeś przecież, że nie wróciłem tą samą drogą. Jak to sobie tłumaczysz?

— Musieliście być za burzą, panie.

— Czy mam go poszukać w międzypokładziu, panie? — zapytałem.

Wilk Larsen zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie znalazłbyś go, Hump. Ale przydasz się. Chodź ze mną. Mniejsza o pościel. Zostaw ją, gdzie leży.

Poszedłem za nim. Na śródokręciu panowała cisza.

— Ci przekłeci łowcy — zauważył. — Za tłuści i tak diablo leniwi, że nie mogą wytrzymać czterogodzinnej wachty.

Ale na dziobie znaleźliśmy trzech śpiących majtków. Obrócił ich, aby zająć im w twarze. Należeli do wachty pokładowej. Było w zwyczaju, że przy

pogodzie pozwalano wachcie spać z wyjątkiem oficera, sternika i wachtowego na oku.

— Kto jest na oku? — zapytał.

— Ja, panie — odpowiedział Holyoak, jeden z majtków dalekiej żeglugi, z lekkim drżeniem w głosie. — Zdrzemnąłem się właśnie, panie. Pokornie proszę o wybaczenie. To się więcej nie zdarzy.

— Czy widziałeś lub słyszałeś coś na pokładzie?

— Nie, panie, ja...

Ale Wilk Larsen z krótkim parsknięciem obrzydzenia odwrócił się od majtka, który przecierał oczy, zdumiony, że uszło mu tak na sucho.

— Cicho teraz — ostrzegł Wilk Larsen szeptem, zginając się we dwoje przy zejściu przez mały luk do kubryku.

Szedłem za nim z biciem serca. Nie wiedziałem, co się stanie, tak jak nie wiedziałem, co się stało. Ale krew się połała i Wilk Larsen nie dla fanaberii znalazł się za burtą z raną na głowie. A poza tym znikł gdzieś Johansen.

Po raz pierwszy zszedłem do kubryku i nie zapomnę tak szybko wrażenia, jakie odniosłem zatrzymawszy się u stóp trapu. Kubryk był w samym dziobie szkunera i miał kształt trójkąta. Przy każdej ze ścian stały dwupiętrowe prycze, w sumie dwanaście. Kubryk nie był większy od pokoiku w jakimś nędznym domu, a zagnano tam dwunastu ludzi. Musieli w nim spać, jeść i spełniać wszelkie funkcje życiowe. Moja sypialnia w domu nie należała do dużych, lecz pomieściłaby ze dwanaście takich kubryków, a wzięwszy pod uwagę wysokość — co najmniej dwadzieścia.

Powietrze było kwaśne, stęchłe, a w mętym świetle kołyszącej się lampy okrętowej widać było, jak gęsto najmniejszy skrawek ściany został obwieszony gumowymi butami i płaszczami, czystymi i brudnymi częściami garderoby wszelkiego rodzaju. Za każdym ruchem statku wszystko to kołysało się wydając dźwięki takie, jak gałęzie, kiedy ocierają się o dach lub ścianę. Noc była cicha, spokojna, tutaj jednak rozlegało się nieustanne skrzypienie drewnianych wiązań i przegród statku i odgłosy dolatujące spod pokładu, jakby z otchłani.

Uśpieni mieszkańcy kubryku nic sobie z tego nie robili. Było ich ośmiu — więc dwie wachty — a i to powietrze zgęstniało od gorąca oddechów i wyziewów. Rozlegały się chrapania, westchnienia, półjęki, oznaki świadczące, że zwierzę ludzkie odpoczywa. Ale czy spali rzeczywiście? Wszyscy? Od jak dawna spali? Widocznie Wilk Larsen zszedł, by wykryć, kto udawał, że śpi, a nie spał jeszcze przed chwilą. Wziął się do tego w sposób przypominający opowieść Boccaccia.

Podał mi lampę, którą wyjął z ruchomej obsady. Rozpoczął od prycz po prawej stronie statku. Na górnej pryczy leżał Kanak*, zwany przez towarzyszy Ufty-Ufty, wspaniały marynarz. Leżał na wznak i oddychał spokojnie jak kobieta. Jedną rękę podłożył pod głowę, drugą trzymał na kocu. Wilk Larsen ujął go wielkim i wskazującym palcem za puls i począł liczyć. Nim skończył, Kanak obudził się równie spokojnie, jak spał. Ciało jego nawet nie drgnęło, poruszyły się tylko oczy. Rozwarły się szeroko, wielkie i czarne, i bez mrugnięcia zawisły na naszych twarzach. Wilk Larsen położył palce na ustach na znak milczenia i oczy zamknęły się znowu.

Na dolnej pryczy leżał Louis, obrzydliwie tłusty, rozgrzany i spocony. Spał naprawdę, i to ciężkim snem. Gdy Wilk Larsen ujął go za puls, poruszył się niespokojnie i naprężył; tak że przez chwilę opierał się tylko na plecach i piętach. Poruszył wargami i przemówił zagadkowo:

— Ćwierć dolara to szyling, ale uważaj na trzypensówki, bo oberżysta wtryni ci je za sześciopensówki.

Potem przewrócił się na drugi bok z ciężkim, podobnym do szlochu westchnieniem, dodając:

— Sześć pensów to „tanner”, szyling to „bob”, ale co znaczy „pony”** — tego nie wiem.

Przekonany, że on i Kanak spali naprawdę, Wilk Larsen podszedł do dwóch następnych prycz po prawej stronie statku. Jak stwierdziliśmy przy świetle lampy, górną zajmował Leach, a dolną Johnson.

Wilk Larsen nachylił się nad dolną pryczą, aby zmierzyć puls Johnsona, a ja stałem wyprostowany i świeciłem lampą, kiedy zauważyłem, jak Leach ukradkiem uniósł głowę i wychylił się, aby popatrzeć, co się dzieje. Widać odgadł podstęp Wilka Larsena i zdał sobie sprawę z niezawodności tego środka badania, gdyż w jednej chwili wytrącił mi lampę z ręki. Kubryk pogrążył się w ciemnościach. W tej samej sekundzie Leach musiał zeskoczyć wprost na Wilka Larsena.

Pierwsze odgłosy walki przypominały starcie byka z wilkiem. Rozjuszony Wilk Larsen zaryczał, a Leach warczał desperacko w sposób mrożący krew w żyłach. Johnson musiał natychmiast przyjść z pomocą Leachowi, więc jego uniżoność i płaszczenie się na pokładzie, którego byłem świadkiem w ciągu kilku ubiegłych dni, okazały się zwykłym manewrem.

Ta walka w ciemnościach przejęła mnie takim strachem, że dygocąc na całym ciele oparłem się o trap, niezdolny uciec na górę. Jak dawniej, uczułem

* K a n a k — krajowiec z Wysp Hawajskich.

** P o n y (gwarowe) — 25 funtów szterlingów.

mdłości na dnie żołądka, którym zawsze ulegałem na widok użycia brutalnej siły. W tym wypadku nic nie mogłem zobaczyć, ale słyszałem odgłos razów — przygłuszony łomot ciała uderzającego z całą siłą o ciało. Potem splecione ciała upadły z hałasem na podłogę, doszły mnie z trudem dobywane oddechy i krótkie urywane syki świadczące o nagłym bólu.

Musiało być więcej ludzi wciągniętych do spisku przeciw szyprowi i szturmanowi, z odgłosów walki wywnioskowałem bowiem, że Leach i Johnson szybko dostali posiłki.

— Daj tam który noża — darł się Leach.

— Zdziel go po łbie. Niech mu mózg pryśnie — krzyczał Johnson.

Wilk Larsen ryknął tylko z początku, później już nie, robił hałasu. Wściekle, w milczeniu, walczył o życie. Był w ciężkiej opresji. Od razu zwalony z nóg, nie mógł już powstać i mimo całej jego przerażającej siły czułem, że nie ma dla niego ratunku.

Kłęb ciał przytłoczył mnie na chwilę. Zostałem tak poturbowany, że jasno sobie wyobraziłem, z jaką potworną walczyli siłą. Na szczęście w zamieszaniu udało mi się zejść im z drogi i wśliznąć na jedną z dolnych prycz.

— Razem! Mamy go! Mamy go! — wrzeszczał Leach.

— Kogo? — pytali ci, którzy spali rzeczywiście, a zostali obudzeni w tak niezrozumiały sposób.

— To ścierwo, szturmana — odpowiedział przebiegle Leach zdławionym głosem.

Wiadomość tę powitano radosnymi wiwatami i od tej chwili Wilk Larsen miał przeciwko sobie siedmiu silnych ludzi, to jest wszystkich z wyjątkiem Louisa, który jak sądzę, nie przyłączył się do nich. W kubryku huczało jak w ulu poruszonym przez intruza.

— Hej! Co się dzieje tam na dole? — wrzeszczał z góry przez właz Latimer, zbyt ostrożny, aby zstąpić do tego piekielnego kotła, którego wrzenie słyszał pod stopami.

— Czy nikt nie ma noża? Czy nikt nie ma noża? — błagał Leach korzystając z chwili względnej ciszy.

Ale liczba napastników powodowała zamieszanie. Przeszkadzali sobie nawzajem, gdy tymczasem Wilk Larsen, mając jeden określony cel, wreszcie go osiągnął. Celem tym było wywalczyć sobie drogę do trapu. Choć panowała zupełna ciemność, śledziłem jego drogę po odgłosach walki. Tylko chyba olbrzym zdobyłby się na to, co uczynił Wilk Larsen, kiedy dotarł do stóp trapu.

Z całą sforą napastników usiłujących ściągnąć go w tył i w dół podnosił się na rękach, aż stanął wyprostowany. A wówczas, krok za krokiem, czepiając się rękoma i nogami, zaczął powoli piąć się po trapie.

Widziałem sam koniec tego, gdyż Latimer przyniósł wreszcie latarnię i trzymał ją tak, że światło padało z włazu na trap. Chociaż nie mogłem dojrzeć Wilka Larsena, wiedziałem, że jest już prawie u góry. Widać było tylko masę ludzką, przyczepioną do niego. Wiła się wokół ofiary na podobieństwo ogromnego wielonogiego pająka i bujała naprzód i w tył w takt równomiernego kołysania statku. I wciąż, choć z długimi przerwami, masa ludzka podnosiła się krok po kroku. Raz zachwiała się i o mało nie spadła, ale Wilk Larsen przytrzymał się i dźwignął kłęb dalej do góry.

— Kto to? — krzyknął Latimer.

W świetle latarni zobaczyłem wyraz zdumienia na spoglądającej w dół twarzy Latimera.

— Larsen — doszedł mnie przytłumiony głos z kłębu ludzi.

Latimer podał wolną rękę. Zobaczyłem dłoń wyciągniętą szybko na spotkanie. Latimer szarpnął i Larsen jednym skokiem przebył kilka ostatnich szczebli trapu. Wtedy drugą ręką chwycił brzeg włazu. Oderwał od trapu masę wciąż jeszcze przyczepioną do umykającego wroga. Zaczęli teraz odpadać otłukiwani o kanciaste brzegi włazu i strącani kopniakami potężnych nóg. Leach odpadł ostatni. Zwalił się w tył, ze szczytu trapu, głową na ciała rozciągniętych u dołu towarzyszy. Wilk Larsen znikł wraz ze światłem latarni i pozostaliśmy w ciemnościach.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ludzie powaleni u stóp trapu zaczęli wstawać z klątwami i jękami.

— Czy kto nie ma zapalek? Wielki palec mam wybity — odezwał się jeden z nich, Parsons, smagły, ponury sternik z łodzi Standisha, w której Harrison był wioślarzem.

— Znajdziesz je przy kabestanie — rzekł Leach, siadając na brzegu pryczy, gdzie się schroniłem.

Usłyszałem grzebanie w pudełku zapalek i tarcie, aż wreszcie latarka zapłonęła mętnie i zaczęła filować. W niesamowitym jej świetle na pół ubrani majtkowie wzięli się do opatrywania ran i skaleczeń. Ufty-Ufty złapał za wielki palec Parsonsa, pociągnął mocno i z trzaskiem nastawił. Zauważyłem przy tej okazji, że knykcie Kanaka były przecięte do kości. Pokazywał je odsłaniając w uśmiechu piękne białe zęby i mówił, że skaleczył się tak wyróżnawszy Wilka Larsena prosto w szczękę.

— Więc to ty mi to zrobiłeś, ty, łajdaku? — wojowniczo zapytał niejaki Kelly, mieszaniec irlandzko-amerykański, szczur lądowy, który odbywał pierwszy rejs jako wioślarz w łodzi Kerfoota.

Z tymi słowy splunął krwią i zębami i zbliżył zajadłą twarz ku Ufty-Ufty, który skoczył w tył, porwał długi nóż ze swej pryczy i drugim skokiem powrócił do przeciwnika.

— Daj spokój, mam już dość tego dobrego — wmieszał się Leach. Widać było, że choć młodzik bez doświadczenia, on jednak rządził kubrykiem.

— Odczep się, Kelly, zostaw Ufty. Jak, u diabła, miał cię poznać po ciemku?

Kelly zamruczał coś pod nosem, ale uspokoił się, a Kanak zaświecił białymi zębami we wdzięcznym uśmiechu. Ten Kanak to piękny twór natury, o ładnych, prawie kobiecych liniach ciała. W jego wielkich oczach malowały się łagodność i marzycielstwo, stojące w sprzeczności z dobrze zasłużoną w bijatykach i kłótniach reputacją.

— Jakim cudem uciekł? — zapytał Johnson.

Siedział na brzegu swej pryczy i z całej jego postaci przebijało ostateczne przygnębienie i rozpacz. Oddychał jeszcze ciężko po niedawnym wysiłku.

W walce zupełnie zdarto z niego koszulę. Krew ciekła mu z rany na policzku, spływała po nagiej piersi, znaczyła czerwony ślad na białym udzie i kapiała na podłogę.

— Bo to diabeł, jak już nieraz ci mówiłem. — Z tymi słowy Leach skoczył na równe nogi i począł szaleć ze łzami zawodu w oczach.

— I nikt z was nie miał noża — skarżył się bez końca.

Ale pozostali drżeli ze strachu przed skutkami awantury i nie zwracali na niego uwagi.

— Jak się dowie, kto go napadł? — zapytał Kelly oglądając się groźnie. — Chyba że który nas wsypie.

— Dowie się, jak tylko rzuci na nas okiem — odpowiedział Parsons. — Wystarczy spojrzeć na ciebie.

— Powiedz mu, że pokład skoczył do góry i powybił ci zęby — uśmiechnął się Louis. On jeden nie opuścił pryczy i teraz cieszył się, że nie miał żadnych obrażeń wskazujących na udział w walce. — Poczekajcie, jak zobaczy jutro pyski całej waszej bandy — zachichotał.

— Powiemy, że wzięliśmy go za szturmana — odezwał się któryś.

A drugi na to:

— Wiem już, powiem, że usłyszałem bójkę i skoczyłem z koi, a tu ktoś chlust mnie w szczękę za moje zasługi, to oddałem. Po ciemku nic nie widać, więc walę na ślepo.

— I rozumie się, że mnie właśnie rąbnałeś — podtrzymał tę wersję Kelly, rozchmurzywszy się na krótką chwilę.

Leach i Johnson nie brali udziału w dyskusji. Towarzysze uważali oczywiście, że nie minie ich najgorsza kara, że nie ma dla nich nadziei i że już są prawie nieboszczykami. Leach znosił długo obawy i wymówki, aż wreszcie wybuchnął:

— Mam tego dość. Ładna z was banda. Żebyście tak mniej ruszali językami, a zrobili coś rękami, już by było po nim. Czy żaden, ale to żaden nie mógł mi dać noża, kiedy zacząłem krzyczeć? Diabli mnie na was biorą. Skamlą i jęczą, jakby miał ich z miejsca pozabijać. Ale dobrze wiecie, że tego nie robi. Nie może sobie na to pozwolić. Nie ma tu kapitanów i włóczęgów portowych. Potrzebni mu jesteście do roboty, diablo potrzebni. Kto mu będzie wiosłował, sterował, żeglował, jeśli was straci? To skrupi się na mnie i na Johnsonie. Władzcie na prycze i stulcie pyski. Chce mi się spać.

— No dobrze, może nas zaraz nie pozabija — podjął Parsons — ale popamiętacie moje słowa, od dziś piekło będzie lodownią w porównaniu z tym statkiem.

Przez cały czas drzałem o własną skórę. Co się ze mną stanie, jeśli mnie tu odkryją? Nie mógłbym nigdy wywalczyć sobie odwrotu, jak to zrobił Wilk Larsen. Właśnie w tej chwili Latimer podszedł do włazu i krzyknął:

— Hump! Stary cię woła.

— Nie ma go tu — odkrzyknął Parsons.

— Nie, jestem — powiedziałem wysuwając się z pryczy i usiłując nadać głosowi jak najpewniejsze i najśmielsze brzmienie.

Marynarze spojrzeli na mnie zaskoczeni. Na twarzach ich odmalował się strach i zrodzona ze strachu złośliwość.

— Idę — krzyknąłem do Latimera.

— Nie, nie idziesz — ryknął Kelly stając między mną a trapez i wyciągając do mnie prawą rękę chwytem prawdziwego dusiciela. — Ty przeklęty szpiclu. Już ja ci zamknę gębę.

— Daj mu odejść — rozkazał Leach.

— Nigdy w życiu — odparował wściekle Kelly.

Leach nie ruszył się nawet z krawędzi pryczy i tylko jakimś zgrzytliwym, metalicznym głosem powtórzył:

— Daj mu odejść, słyszysz.

Irlandczyk zawahał się. Ruszyłem naprzód — odsunął się z drogi. Kiedy już byłem przy trapie, odwróciłem się do kręgu bestialskich i złośliwych twarzy, spoglądających na mnie w półmroku. Wezbrała we mnie nagle fala sympatii. W pamięci tkwiły mi słowa cockneya. Jakże Bóg musiał ich nienawidzić, skoro wydał ich na takie męki.

— Nic nie widziałem i nic nie słyszałem, wiercie mi — powiedziałem spokojnie.

— Mówię ci, możesz się go nie bać — mówił do towarzyszy Leach, kiedy byłem już na trapie. — Kocha starego tak jak i my.

Zastałem Wilka Larsena w kabinie. Czekał na mnie bez ubrania, pokrwa-wiony. Powitał mnie jednym ze swych dziwnych uśmiechów.

— Chodź i bierz się do roboty, doktorze. Wygląda, że podczas tego rejsu nie zabraknie ci praktyki. Źle byłoby z „Upiorem”, gdybyśmy ciebie nie mieli

na pokładzie. Jako szyper powinienem ci powiedzieć, że jestem głęboko wdzięczny, tylko jak wiesz, nie zwykłem żywić podobnie szlachetnych uczuć.

Zawartość skromnej apteczki „Upiora” była mi dobrze znana, toteż od razu przystąpiłem do grzania wody w piecyku kajuty i przygotowania środków opatrunkowych. Przez ten czas kapitan chodził z kąta w kąt śmiejąc się i gadając i uważnie oglądał swe obrażenia. Nigdy dotąd nie widziałem go rozebranego. Po prostu zapało mi dech z podziwu na widok jego ciała. Kult ciała był mi zawsze obcy, ale jestem na tyle artystą, by docenić to arcydzieło.

Przyznaje, że oczarowała mnie doskonałość kształtów Wilka Larsena i to, co nazwałbym ich straszliwym pięknem. Przyglądałem się majtkom w kubryku. Chociaż niektórzy z nich mieli potężne mięśnie, zawsze czegoś im brakowało. Mięśnie ich były tu zbyt, ówdzie niedostatecznie rozwinięte, jakieś załamania, skrzywienia niszczyły symetrię; nogi mieli za krótkie lub za długie, zbyt albo za mało żylaste czy kościste.

Jedynie budowa Ufty-Ufty niczym nie raziła, ale to, co w niej było powabne, miało, że tak powiem, charakter kobiecy.

Natomiast Wilk Larsen był typem mężczyzny, ucieleśnieniem męskości tak doskonałym, że dorównywał prawie antycznym bogom. Wielkie mięśnie chodziły i grały pod gładką skórą przy każdym ruchu lub podniesieniu ramion. Zapomniałem dodać, że opalenizna kończyła się na szyi. Dzięki skandynawskiemu pochodzeniu ciało miał równie białe jak kobieta o najbielszej cerze. Gdy podniósł rękę, aby obmacać ranę na głowie, bicepsy poruszyły się pod skórą niby żywa istota pod białym pokrowcem. Były to te same bicepsy, które nieomal wycisnęły ze mnie życie i które na moich oczach zadawały tyle morderczych ciosów. Nie mogłem oderwać od niego wzroku. Stałem bez ruchu, a sterylizowany bandaż rozwijał się w moich rękach i słał po podłodze.

— Spojrzał na mnie i dopiero wtedy uprzytomniłem sobie, że się w niego wpatruję.

— Bóg dobrze pana zbudował — powiedziałem.

— Naprawdę? Sam często tak myślałem i zastanawiałem się dlaczego?

— Cel — zacząłem.

— Użyteczność — przerwał. — Ciało zostało stworzone, aby go używać. Mięśnie są po to, żeby chwytać, drzeć i niszczyć żywe istoty, które staną na drodze życia. Ale czy pomyślał pan o innych żywych istotach? One też mają takie czy inne mięśnie, żeby chwytać, drzeć i niszczyć. Gdy stają na drodze mego życia, ja je przewyższam w chwytaniu, rozdzieraniu, niszczeniu. Cel tego nie wytłumaczy. Użyteczność, owszem.

— Nie ma w tym nic pięknego — zaprotestowałem.

— Chce pan powiedzieć, że życie nie jest piękne — zaśmiał się. — A jednak twierdzisz pan, że jestem dobrze zbudowany. Patrz!

Napreżył nogi i stopy, wpierając się w podłogę i jakby chwytając ją palcami nóg. Węzły, bruzdy i grzbiety mięśni splotły się i skupiły pod skórą.

— Pomacaj — rozkazał.

Były twarde jak żelazo. Zauważyłem również, że ciało jego ściągnęło się podświadomie, czujne i sprężone; mięśnie pełzły delikatnie i układały się wokół bioder, wzdłuż kręgosłupa i w poprzek pleców: napinały się przy lekkim uniesieniu ramion, a palce dłoni zakrzywiały się drapieźnie niby szpony. Nawet wyraz oczu się zmienił; stały się czujne, spostrzegawcze i zabłysnął w nich ogień walki.

— Stałość, równowaga — powiedział odprężając się błyskawicznie i wracając w stan spoczynku. — Stopami przyczepiam się do ziemi, na nogach stoję i zapieram się nimi, podczas gdy ramionami i rękami, zębami i paznokciami usiłuję zabić, a siebie ochronić. Cel? Użyteczność to odpowiedniejsze słowo.

Nie oponowałem. Obejrzałem mechanizm pierwotnego drapieżnego zwierzęcia i wyniosłem takie samo wrażenie, jak gdybym widział mechanizm transatlantyckiego parowca lub wielkiego pancernika.

Po dziekiew walce w kubryku spodziewałem się, że Wilk Larsen odniósł poważniejsze obrażenia i zdziwiłem się widząc, jak są powierzchowne. Pochlebiam sobie, że zręcznie je opatrzyłem. Z wyjątkiem kilku głębszych ran resztę stanowiły zwykłe stłuczenia i zadrapania. Cios, który otrzymał przed upadkiem za burzę, rozciął mu skórę na głowie na długości kilku cali. Ranę tę, zgodnie z jego wskazówkami, umyłem i zeszyłem, wygoliwszy uprzednio jej brzegi. Miał także uszkodzoną łydkę; wyglądała jak pogryziona przez buldoga. Twierdził, że jakiś majtek wgryzł się w nią na początku walki i nie chciał puścić. Larsen włókł go za sobą aż na sam szczyt schodów i tu dopiero strącił go kopniakiem.

— Mówiłem ci już, Hump, że uważam cię za zręcznego człowieka — podjął Wilk Larsen po opatrunku. — Wiesz, że znów brak nam szturmana. Odtąd będziesz prowadził wachty, otrzymywał siedemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie i zarówno w kubryku, jak i na rufie mają ci mówić „panie Van Weyden”.

— Ja... Przecież pan wie, że nie znam się zupełnie na nawigacji — wyjąkałem.

— To całkiem zbyteczne.

— Ale ja naprawdę nie chcę mieć wyższego stanowiska — protestowałem — Nawet przy obecnej, skromnej pozycji moje życie jest dość niepewne. Brak mi doświadczenia. I przeciętność, wie pan, ma swe dobre strony.

Uśmiechnął się, jakby wszystko zostało już ułożone.

— Nie chcę być szturmanem na tym piekielnym statku — krzyknąłem wyzywająco.

Widziałem, jak twarz jego staje się surowa, a bezlitosny połysk wślizguje się do oczu. Ruszył ku drzwiom kabiny ze słowami:

— Dobranoc panu, panie Van Weyden.

— Dobranoc panu, panie Larsen — odpowiedziałem potulnie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Nie mogę powiedzieć, aby szturmaństwo miało jakieś inne dobre strony prócz tej, że przestałem zmywać statki. Nie znałem swoich najprostszych obowiązków i źle byłoby ze mną, gdyby nie współczucie majtków. Nie miałem pojęcia o linach, szczegółach olinowania, ożaglowania, o rozpinaniu żagli, ale marynarze usiłowali mi wszystko wyjaśnić. Louis okazał się szczególnie dobrym nauczycielem. Przy tym nie miałem prawie kłopotów z podkomendnymi.

Co innego było z łowcami.

W niejednakowym stopniu, ale obznajmieni z morzem, nie traktowali mnie poważnie. W gruncie rzeczy sam uważałem za żart to, że ja, najtypowszy szczur lądowy, spełniam funkcję szturmana. Być jednak traktowanym jak błazen przez innych — to rzecz całkiem różna. Nie skarżyłem się, lecz Wilk Larsen wymagał jak najdokładniejszego zachowania morskiej etykiety względem mej osoby, i to daleko bardziej niż względem biednego Johansena. Za cenę kilku bójek, grózb i wielkiego niezadowolenia doprowadził wreszcie łowców do porządku. W kubryku i międzypokładziu byłem teraz „panem Van Weydenem” i tylko nieoficjalnie sam Wilk Larsen mówił mi Hump.

Było to zabawne. Dajmy na to w czasie obiadu wiatr zmienił kierunek o kilka rumbów. Wstaję od stołu, a Wilk Larsen mówi: „Panie Van Weyden, zechciej pan łaskawie przejść na prawy hals”. Idę na pokład, przywołuję Louisa i dowiaduję się od niego, co należy zrobić. Po upływie kilku minut, przetrawiwszy jego wskazówki i opanowawszy cały manewr, przystępuję do wydawania rozkazów. Pamiętam, że podczas jednego z pierwszych takich wypadków na scenie ukazał się Wilk Larsen właśnie w chwili, kiedy zaczynałem rzucać rozkazy. Palił cygaro i w milczeniu przyglądał się całej operacji do końca. Potem spacerowaliśmy razem po nawietrznej stronie rufy.

— Hump — odezwał się — przepraszam, panie Van Weyden, wieszuję. Sądzę, że możesz teraz nogi ojca wrzucić z powrotem do grobu. Znalazłeś swe własne nogi i nauczyłeś się na nich stać. Jeszcze trochę pracy przy linach i szyciu żagli, doświadczenia z burzami i temu podobne, a po rejsie będziesz mógł zaokrętować się na każdy szkuner.

Okres od śmierci Johansena do przybycia na tereny łowieckie był dla mnie najprzyjemniejszy z całego rejsu. Wilk Larsen postępował wyrozumiale, mary-

narze mi pomagali i nie byłem już w irytującej styczności z Tomaszem Mugridge'em. Przyznaję, że z biegiem czasu rosła we mnie skryta duma.

Fantastyczna sytuacja! Szczur lądowy pierwszym pomocnikiem kapitana. A mimo to dobrze dawałem sobie radę. Byłem przez ten krótki czas dumny z siebie i pokochałem kołysanie „Upiora” pod moimi, nogami, gdy nurzał się, w podzwrotnikowym morzu zmierzając na północny zachód, ku wyspie, gdzie mieliśmy uzupełnić zapas słodkiej wody.

Ale moje szczęście nie było niezmacone. Było względne, po prostu okres mniejszych cierpień, wpleciony między okrutne cierpienia przeszłości i okrutne cierpienia, jakie mnie czekały. Bo dla załogi „Upiór” ani na chwilę nie przestał być diabelskim statkiem najgorszego rodzaju. Marynarze nie mieli ani chwili spokoju i wypoczynku. Wilk Larsen nie zapomniał ani zamachu na jego życie, ani pobicia w kubryku. Zarówno rano, w południe, wieczorem, jak i całymi nocami poświęcał wszystkie swe siły, aby ich życie uczynić nieznośnym.

Znał doskonale znaczenie psychologiczne drobiazgów i nimi to właśnie doprowadzał majtków prawie do szaleństwa. Przy mnie ściągnął Harrisona z koi po to tylko, by położył na właściwym miejscu rzucony niedbale pędzel. Jednocześnie zbudził z ciężkiego snu obydwie przemęczone wachty, kazał im wyjść i patrzeć, jak Harrison to robi. W gruncie rzeczy — bagatela, ale podobne zwykany, powtarzane na tysiącne wymyślne sposoby zrodzone w głowie tej miary, pozwolą zrozumieć psychiczny stan załogi.

Rzeczywiście, sarkanie nie ustawało i ciągle wybuchały drobne bunty. Padały więc ciosy i stale kilku majtków musiało leczyć rany zadane rękami ludzkiej bestii, która była ich kapitanem. O jakiejś wspólnej akcji nie mogło być mowy wobec bogatych arsenałów broni na rufie i w kajucie. Największymi ofiarami diabelskiej złośliwości Wilka Larsena byli Johnson i Leach. Wyras głębokiej melancholii, który nie zniknął z twarzy i oczu Johnsona, krwawił mi serce.

Inaczej przedstawiała się sprawa Leacha. Za wiele w nim było dzikiego zwierzęcia. Żarła go nienasycona furia, nie pozostawiając czasu na smutek. Wargi miał wykrzywione ustawicznym warczeniem, które na sam widok Wilka Larsena, prawdopodobnie podświadomie, wyrywało mu się straszne, złowróżbne. Wodził oczami za kapitanem jak zwierzę za swym pogromcą, a dzikie warczenie dobywało mu się z głębi krtani i wibrowało w powietrzu.

Pamiętam, jak raz na pokładzie w biały dzień dotknąłem ramienia Leacha, chcąc wydać mu rozkaz. Był odwrócony tyłem i gdy tylko poczuł rękę na ramieniu, skoczył w górę i w bok, warcząc i odwracając w skoku głowę. Wziął mnie za znieawidzonego wroga.

Zarówno on, jak i Johnson zamordowaliby Wilka Larsena przy pierwszej sposobności, ale sposobność taka się nie nadarzyła. Wilk Larsen był na to za mądry, a zresztą nie mieli odpowiedniej broni, z gołymi zaś rękoma nie mogli się z nim mierzyć. Wielokrotnie wybuchały bójki między Wilkiem Larsenem a Leachem, który walczył jak dziki kot, zębami, pazurami i pięściami, póki wyczerpany albo nieprzytomny, nie padał na pokład. A jednak nigdy nie unikał nowego starcia. Diabeł, który go opętał, wyzywał do walki diabła mieszkającego w Wilku Larsenie. Wystarczyło, by się jednocześnie ukazali na pokładzie, a już w następnej chwili kłęli, warczeli, bili. Widywałem również, jak Leach rzucał się pierwszy na Wilka Larsena, bez uprzedzenia i nie sprowokowany. Raz cisnął swym ciężkim nożem, chybiając o cal gardło kapitana. Kiedy indziej znów rzucił stalowym marszpikiem z salingu bezanmasztu*. Trudno trafić takim pociskiem na kołyszącym się statku, a jednak, gwizdząc w powietrzu, ostrze spadło z wysokości siedemdziesięciu pięciu stóp i tylko o mały włos chybiło głowę Wilka Larsena, który wychodził właśnie z kajuty. Marszpikiem utkwił w twardych deskach pokładu przeszło na dwa cale. I znów pewnego razu Leach wśliznął się do międzypokładzia, chwycił nabitą strzelbę i uciekał z nią na pokład, gdy został schwytany i rozbrojony przez Kerfoota.

Częstokroć zastanawiałem się, dlaczego Wilk Larsen nie zabije go dla świętego spokoju. Ale on śmiał się tylko i zdawał rozkoszować niebezpieczeństwem. Było to widocznie dla niego pewną podniętą, podobnie jak dla niektórych mężczyzn poskramianie dzikich zwierząt.

— Życie robi się pełne emocji — wyjaśnił mi — jeżeli wisi ciągle na włosku. Człowiek to z natury gracz, a życie jest jego największą stawką. Im większa stawka, tym silniejsza emocja. Czemu miałbym odmawiać sobie rozkoszy doprowadzenia Leacha do białej gorączki? Czynię mu tym przysługę. Mamy obaj silne wrażenia. Nie domyślając się tego nawet, żyje on wspanialej niż jego towarzysze, ma bowiem coś, czego im brakuje — cel, coś do roboty i do zrobienia, co go pochłania, dążenie, żądzę zamordowania mnie i nadzieję, że mnie zamorduje. Naprawdę, Hump, życie jego jest pełne i głębokie. Wątpię, czy kiedykolwiek żył tak gwałtownie i żarliwie. Szczerze mu zazdroszczę w chwilach, gdy jego furia sięga szczytów pasji i świadomości.

— Ależ to tchórzliwie, tchórzliwie — zawołałem. — Cała przewaga jest po pana stronie.

— Z nas dwu, pana i mnie, kto jest większym tchórzem? — zapytał poważnie. — Gdy tylko sytuacja staje się niemiła, zaraz pan idzie na kompromis ze swoim sumieniem i staje po stronie silniejszego. Gdyby pan był rzeczywiście wielkim i wiernym swym ideałom człowiekiem, szedłby pan ręką w rękę

* B e z a n m a s z t — tylny, niższy maszt na statku żaglowym.

z Johnsonem i Leachem. Ale pan się boi, boi się i chce żyć. Życie zawarte w panu krzyczy, że chce żyć za wszelką cenę, i dlatego pan żyje nikczemnie, sprzeniewierza się pan najlepszym swoim marzeniom grzesząc przeciwko swemu lichemu kodeksowi moralnemu, a gdyby istniało piekło, duch pański zmierzałby tam prostą drogą. Ba! moja gra jest śmielsza. Nie grzeszę, bo słucham głosu życia, które jest we mnie. Ja jestem szczery, przynajmniej wobec samego siebie, a pan nie.

Słowa te ukłuły mnie do żywego. Może rzeczywiście zachowałem się tchórzliwie. Im więcej rozmyślałem, tym bardziej przekonywałem się, że moim obowiązkiem względem siebie samego jest pójść za tą radą, stanąć po stronie Leacha i Johnsona i wspólnie dążyć do śmierci Wilka Larsena. Widocznie odezwało się we mnie nieubłagane sumienie purytańskich przodków popychające mnie ku okrutnym czynom i sankcjonujące nawet morderstwo, byle popełnione w słusznej sprawie. Myśl ta zastanowiła mnie. Byłoby postępkim wysoce moralnym uwolnić świat od takiego potwora. Ludzkość zyskałaby tylko na tym, a życie stałoby się piękniejsze i przyjemniejsze.

Myślałem nad tym długo, leżąc bezsennie w mej koi i rozpatrując długą procesję faktów, które składały się na obraz sytuacji. Podczas nocnych wacht, gdy Wilk Larsen spał, rozmawiałem z Johnsonem i Leachem. Obydwaj stracili już nadzieję — Johnson na skutek wrodzonego pesymizmu, a Leach z wyczerpania bezskuteczną walką. Którejś nocy Leach chwycił mnie w uniesieniu za rękę i powiedział:

— Mam pana za uczciwego człowieka, panie Van Weyden. Ale niech pan pozostanie na swym miejscu i trzyma język za zębami. Niech pan milczy i trzyma się. My jesteśmy skazańcy, wiem o tym, a mimo to może odda nam pan jakąś przysługę, kiedy będziemy jej diablo potrzebowali.

Następnego dnia po nawietrznej, równo w pół burty zarysowała się Wainwright Island i Wilk Larsen wygłosił prorocstwo. Przedtem rzucił się na Johnsona, został zaatakowany przez Leacha i teraz właśnie kończył tłuc obydwu.

— Leach — powiedział — wiesz chyba, że prędzej czy później cię zabiję, prawda?

Odpowiedzią było warknięcie.

— A tobie, Johnson, zanim z tobą skończę, tak życie zbrzydni, że sam wyskoczysz za burtę. Zobaczysz, tak będzie.

— To myśl — dodał, gdyśmy się znaleźli w kajucie. — Założę się z panem o miesięczną pensję, że tak zrobi.

Żywiłem nadzieję, że przy odnawianiu zapasów słodkiej wody ofiary znajdą sposobność do ucieczki, ale Wilk Larsen dobrze wybrał miejsce. „Upiór” zarzucił kotwicę o pół mili od przyboju strzegącego bezludnej plaży. Na brzegu było głębokie źródło o prostopadłych wulkanicznych ścianach, na które wdrapać się było niepodobieństwem. Tu właśnie Leach i Johnson pod bezpośrednim dozorem Wilka — sam wyszedł na brzeg — napełniali małe baryłki i staczali do zatoki. Nie mieli więc okazji uciec w jednej z łodzi.

Na próbę ucieczki zdobyli się jednak Harrison i Kelly. Stanowili oni załogę jednej z łodzi i mieli kursować między szkunerem a brzegiem i zabierać za każdym razem po jednej beczce. Przed samym obiadem, wyruszając do zatoki z próżną beczką, zmienili kurs i ruszyli ku lewemu brzegowi, aby okrążyć wysunięty w morze przylądek, zaporę między nimi i wolnością. Za spienionym u podstawy cyplem leżały śliczne wioski japońskich kolonistów i gościnne doliny, wiodące w głąb wyspy. Obiecywali sobie, że gdy dotrą już do tych warowni, będą mogli drwić z Wilka Larsena.

Zauważyłem, że Henderson i Dymek przez cały ranek krążyli po pokładzie, a teraz dopiero przekonałem się, w jakim celu. Wzięli karabiny i niedbale otworzyli ogień do dezertarów. Z zimną krwią popisywali się celnością strzałów. Z początku kule zapluskwały nieszkodliwie z obu stron łodzi, ale gdy marynarze nie przestawali energicznie wiosłować, poczęły padać coraz bliżej i bliżej.

— Uwaga! Biorę na cel prawe wiosło Kelley’ego — powiedział Dymek celując staranniej.

Patrzyłem przez lornetę i zauważyłem, że pióro wiosła rozleciało się po wystrzale. Potem Henderson zrobił to samo z prawym wiosłem Harrisona. Łódź zakręciła się na miejscu. Wkrótce strzaskali i dwa pozostałe wiosła. Marynarze spróbowali posłużyć się szczątkami wiosła, ale wystrzelono je z ich rąk. Kelly zaczął zagarniać wodę wyrwaną z podłogi deską, ale puścił ją z okrzykiem bólu, gdy drzazgi pokaleczyły mu ręce. Wówczas zrezygnowali i pozwolili znosić się falom, póki druga łódź, przysłana przez Wilka Larsena z brzegu, nie wzięła pierwszej na linę i nie przyholowała do statku.

Przed wieczorem podnieśliśmy kotwicę. Czekало nas trzy do czterech miesięcy łowów. Ponura perspektywa, toteż wykonywałem swoją robotę z ciężkim sercem. Prawie żalobny nastrój spadł na „Upiora”. Wilk Larsen dostał znowu jednego ze swych dziwnych dotkliwych bólów głowy i nie opuszczał kabiny. Harrison, obojętny na wszystko, stał przy sterze, wisząc prawie na kole, jakby zmęczony ciężarem własnego ciała. Marynarze byli ponurzy i milczący. Zaskoczyłem Kelly’ego, jak skurczony przy zawietrznej klapie wjazdu, z oplecioną rękami głową na kolanach, trwał w postawie zdradzającej nieopisaną rozpacz.

Johnson rozciągnął się jak długi na dziobie i wpatrywał w zwichrzony odmet. Ze zgrozą przypominałem sobie przepowiednię Wilka Larsena. Czyżby miała się sprawdzić? Spróbowałem przerwać bieg chorobliwych myśli i odwołać go stamtąd, ale uśmiechnął się smutnie i nie usłuchał. Gdy powróciłem z dziobu, Leach zbliżył się do mnie.

— Chcę pana o coś prosić, panie Van Weyden — powiedział. — Gdyby pan miał szczęście powrócić do Frisco, proszę odszukać Matta McCarthy’ego. To mój stary. Mieszka na wzgórzu za piekarnią Mayfair. Ma warsztat szewski, który zna każdy i nietrudno panu będzie go znaleźć. Niech mu pan powie, że żałuję tej biedy, jaką na niego sprowadziłem, i tego, co zrobiłem, i jeszcze..., jeszcze niech mu pan powie ode mnie: niech Bóg ma go w swej opiece.

Kiwnąłem głową na znak zgody i dodałem:

— Wszyscy wrócimy do San Francisco, Leach, i będziesz ze mną, kiedy pójde odwiedzić Matta McCarty’ego.

— Chciałbym panu wierzyć — odpowiedział ściskając mi rękę — ale nie mogę. Wilk Larsen wykończy mnie, to murowane. Mam tylko nadzieję, że zrobi to prędko.

Gdy odszedł, to samo pragnienie odezwało się i w moim sercu. Skoro ma się to stać, niech się dzieje szybko. Ogólne przygnębienie ogarnęło i mnie. Musiało przyjść najgorsze. Spacerując godzinami po pokładzie, czułem, jak przenikają do mnie odrażające poglądy Wilka Larsena. Jakiż sens tego wszystkiego? Gdzie wielkość życia, jeżeli możliwe jest takie nieograniczone marnowanie dusz ludzkich? Widocznie to życie jest mimo wszystko tanie i tandetne, a im krócej trwa, tym lepiej. Niech się skończy! Ja również przechyliłem się przez burtę i począłem tęsknie wpatrywać się w morze, przekonany, że prędzej czy później będę pogrążał się i pogrążał coraz głębiej w chłodną, zieloną otchłań zapomnienia.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Dziwne to, ale wbrew przeczuciom całej załogi nic specjalnego nie zaszło na pokładzie „Upiora”. Gnaliśmy na północny zachód, aż na wysokości wybrzeży japońskich natknęliśmy się na wielkie stado fok. Nie wiadomo skąd, z bezkresnego Pacyfiku ciągnęły na północ, odbywając doroczną wędrówkę ku bekowiskom na Morzu Beringa. Gnaliśmy za nimi na północ dziesiątkując i niszcząc, ciskając na pożarcie rekinom nagie ścierwa, a skóry soląc, by później zdobiły piękne ramiona miejskich kobiet.

Masowa rzeź dla dogodzenia kobietom. Nikt z nas nie jadł mięsa fok ani nie używał ich tranu. Po dniu pomyślnych łowów pokład zarzucony był skórami i ciałami, śliski od krwi i tłuszczu, a przez luki odpływowe ściekała krew. Maszty, liny i burty, wszystko ochlapane posoką, a ludzie z obnażonymi jak rzeźnicy krwawymi ramionami i rękami płatali, podcinali wielkimi nożami, a potem obciągali skóry ze ślicznych morskich stworzeń, które pomordowali.

Do mnie należało liczenie fok, w miarę jak je podawano z łodzi na pokład. nadzór nad obciąganiem skór, a potem nad uprzątaniem pokładu i przywróceniem statkowi właściwego wyglądu. Nie była to przyjemna praca. Nie tylko dusza, ale i żołądek buntował się przeciw niej, a jednak takie dowodzenie i kierowanie ludźmi wyszło mi pod pewnymi względami na dobre. Rozwijało odrobinę zdolności kierowniczych, jakie miałem. Zdawałem sobie też sprawę, że krzepnę i twardnieję, co musiało być zdrowe dla „maminsynka” Van Weydena.

Zaczęło mi świtać, że nigdy już nie będę taki, jaki byłem. Choć mój optymizm i wiara w życie oparły się rozkładowemu krytycyzmowi Wilka Larsena, wywołał on jednak zmianę moich poglądów na sprawy mniejszej wagi. Otworzył przede mną świat realny, o którym nic właściwie nie wiedziałem i od którego zawsze stroniłem. Nauczyłem się z bliska patrzeć na prawdziwe życie, przyznawać, że jest na świecie coś takiego jak fakty, porzucać królestwo myśli i wreszcie nadawać pewne wartości niektórym konkretnym i obiektywnym fazom istnienia.

Od czasu wypłynięcia na łowisko stykałem się z Wilkiem Larsenem częściej niż dotychczas. Przy pogodzie, gdy tkwiliśmy w środku stada, cała załoga wyruszała na łodziach, a na pokładzie zostawialiśmy tylko on, ja i Tomasz Mugridge, ale ten nie wchodził w rachubę. I nie było jakie mieliśmy zadanie. Wszystkie sześć łodzi rozchodziło się od szkunera jak wachlarz, aż pierwsza z nawietrznej

strony i ostatnia z zawietrznej były od siebie oddalone o jakie dziesięć do dwudziestu mil i płynęły prostym kursem, dopóki zapadająca noc lub zła pogoda nie zagnała ich z powrotem na szkuner. A my musieliśmy skierować „Upiora” na zawietrzną, dalej od ostatniej zawietrznej łodzi, aby w razie szkwału lub grożącej burzy wszystkie łodzie mogły wracać pełnym wiatrem.

Nie jest łatwo dwu ludziom, szczególnie przy silnym wietrze, prowadzić taki statek jak „Upiór”, sterować, obserwować, rozpinąć i zwijać żagle, toteż musiałem się uczyć, i to uczyć prędko. Umiejętność sterowania przyszła mi dość łatwo. Większą trudność sprawiało mi natomiast wspinanie się na maszty. Kiedy traciłem oparcie dla nóg, siłą ramion podciągałem ciało coraz wyżej. Ale i tę sztukę posiadałem w krótkim czasie, opanowany żądzą zrehabilitowania się w oczach Wilka Larsena i dowiedzenia mu, że mam prawo żyć nie tylko umysłowo.

Przyszedł nawet czas, kiedy sprawiało mi przyjemność gonić na szczyt masztu i trzymając się tylko nogami na tej zawrotnej wysokości, przez lornetę ogarniać wzrokiem morze w poszukiwaniu łodzi.

Pamiętam jeden pogodny dzień, gdy załogi wyruszyły wcześniej, a wystrzały łowców przycichły, oddaliły się, aż wreszcie zamarły, tak daleko i szeroko rozproszyły się łodzie. Pchał nas leciutki zachodni podmuch i ledwie zdążyliśmy przesunąć się za ostatnią zawietrzną łódź, już ustał zupełnie. Byłem na szczycie masztu i widziałem, jak wszystkie sześć łodzi znika za wypukłością globu w pogoni za ciągnącymi na zachód fokami. My zaś, ledwie się kołysząc na gładkim morzu, nie mogliśmy za nimi podążyć. Wilk Larsen był zaniepokojony. Barometr spadł i niebo na wschodzie nie podobało mu się wcale. Badał je wzrokiem z nieustającą czujnością.

— Jeżeli przyjdzie stamtąd ostra i gwałtowna burza — powiedział — i znajdziemy się na nawietrznej w stosunku do łodzi, prawdopodobnie będą puste koje w międzypokładziu i kubryku.

O jedenastej morze stało się gładkie jak lustro. W południe, chociaż byliśmy daleko na północy, upał stał się zabójczy. Powietrze utraciło świeżość. Temperatura i duchota przywiodły mi na myśl dawne kalifornijskie określenie: „Pogoda przed trzęsieniem ziemi”. Było w tym coś złowróbnego i w nieuchwytny sposób człowiek odczuwał zbliżanie się rzeczy strasznych. Powoli całą wschodnią połą nieba wypełniły chmury, spiętrzając się niby czarne łańcuchy górskie któregoś z piekielnych kręgów. Tak wyraźnie widać było kanion, rozpadlinę, przepaść i zalewające ją cienie, że odruchowo szukałem oczyma białej linii przyboju i grzmiących jaskiń, w których morze uderza o ląd. A my wciąż jeszcze chwialiśmy się z lekka, bez najłżejszego powiewu.

— To nie szkwał — zauważył Wilk Larsen. — Staruszka przyroda ma wielką ochotę stanąć dęba i dać, dać co tchu w piersiach. Będzie taniec, Hump, żeby ocalić choć połowę łodzi. Lepiej skocz na maszt i rozwiń topsle.

— Ale jak zacznie dać, a nas będzie tylko dwóch? — zapytałem z nutą protestu w głosie.

— Nic nam nie pozostaje, tylko skorzystać z pierwszych podmuchów i pognąć ku łodziom, zanim zedrze żagle. A za to, co się później stanie, nie dałbym i złamanego szeląga. Maszty wytrzymają i my dwaj będziemy musieli wytrzymać, ale czeka nas nie lada robota.

Cisza trwała nadal. Zjedliśmy obiad, ja prędko i nerwowo, bo myślałem o tych osiemnastu ludziach z załogi, rozproszonych po morzu za wypukłością globu, i o ciągnącym po niebie górskim łańcuchu chmur, który się do nas zbliżał. Wilk Larsen natomiast wydawał się niewzruszony. Gdy jednak wrócił na pokład, nozdrza mu drgały, a ruchy jego były wyraźnie przyspieszone. Twarz miał surową, rysy twarde, a mimo to oczy — błękitne, jasnobłękitne tego dnia — dziwnie błyszcząły jasnym, skrzącym się światłem. Uderzyło mnie, że był radosny na jakiś drapieżny sposób, że cieszył się z nadchodzącej walki, że przejmowała go dreszczem i pobudzała świadomość, iż nadchodzi jedna z wielkich chwil w życiu, kiedy to wzbiera w człowieku gwałtowny przypływ sił żywotnych.

Raz, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, ani z tego, że nań patrzę, roześmiał się na głos, szyderczo i wyzywająco — jakby w twarz nadciągającej burzy. Widzę go jeszcze, jak stoi niby karzeł z *Arabskich nocy* przed olbrzymią postacią jakiegoś złośliwego ducha. Stawiał czoło Przeznaczeniu, i to bez trwogi w sercu.

Poszedł do kambuza.

— Kuchto, jak skończysz zmywać, będziesz potrzebny na pokładzie. Bądź gotów na wezwanie.

— Hump — powiedział zauważywszy, że wodzę za nim oczarowanymi oczyma — to lepsze od whisky i tu twój Omar nie ma racji. Mnie się wydaje, że mimo wszystko nie żył pełnią życia.

Przez ten czas zachodnia połać nieba zmroczyła. Zamglone słońce znikło zupełnie. Była druga po południu, a tymczasem zapadł widmowy półmrok przetykany błędnymi, purpurowymi smugami. W tym świetle twarz Wilka Larsena pałała coraz bardziej, a podniecona wyobraźnia ukazywała mi ją w aureoli. Byliśmy w samym środku niesamowitego kręgu ciszy, a wszystko dokoła wróżyło, że rozpęta się dźwięk i ruch. Duszność i upał stały się nie do zniesienia.

Pot występował mi na czoło i spływał po nosie. Czułem, że mdleję, i chciałem się wesprzeć o burłę.

W tej właśnie chwili musnął nas prawie nieuchwytny wiatr. Dmuchał ze wschodu jak szept i znów zamarł. Obwisłe płachty żagli nie drgnęły, a jednak poczułem chłód na policzku.

— Kuchto — zawołał cicho Wilk Larsen. Tomasz Mugridge zwrócił do nas zastrachaną, żalowaną twarz. — Zwolnij szoty foka i gdy żagiel przejdzie na drugą burłę, zamocuj je. Jak narobisz bigosu, będzie to ostatni bigos w twoim życiu. Zrozumiano? Panie Van Weyden, dopomóż pan przerzucić przednie żagle. Skocz potem ku topsłom i przerzuć je na drugi hals — im prędzej pan to zrobisz, tym łatwiej ci to przyjdzie. A kuchcie, jak nie będzie się zwijał, daj między oczy.

Zrozumiałem komplement i ucieszyłem się, że do instrukcji dla mnie nie dołączył żadnej groźby. Staliśmy dziobem ku północo-zachodowi i Larsen chciał zmienić kurs przy pierwszym podmuchu.

— Będziemy mieli wiatr z tyłu — wyjaśnił mi. — Sądząc z ostatnich strzałów, łódzie zniosło trochę na południe.

Odwrócił się i podszedł do steru, ja zaś na dziób, gdzie zająłem posterunek przy przednich żaglach. Nowe tchnienie wiatru przemknęło raz i drugi. Żagle zatrzepotały leniwie.

— Dzięki Bogu nie wali się na nas od razu, panie Van Weyden — krzyknął entuzjastycznie cockney.

Ja byłem naprawdę wdzięczny za to, bo nabrałem już na tyle doświadczenia, by wiedzieć, jaką katastrofą dla idącego pod pełnymi żaglami szkunera byłby podobny szkwał. Szepty wiatru przeszły w podmuchy, żagle wydeły się i „Upiór” ruszył. Wilk Larsen położył ster na lewą burłę i zaczęliśmy odchodzić od wiatru. Szliśmy teraz pełnym wiatrem. Szumiał i dął coraz mocniej, przednie żagle trzepotały gwałtownie. Nie wiedziałem, co się dzieje dokoła, tylko odczułem nagle ruch naprzód i przechylenie szkunera, gdy wiatr zmienił się i uderzył z tyłu w fok i grotżagiel.

Porąłem się z kliwrem, bomkliwrem i sztakslem*, a gdy wreszcie wykonałem tę część mego zadania, „Upiór” parł ku południowemu zachodowi ze wszystkimi żaglami położonymi na prawą burłę. Bez chwili wytchnienia, choć po tych wysiłkach serce biło mi jak młot parowy, skoczyłem ku topsłom i zanim wiatr zbyt się wzmocnił, już były poluzowane i ściągałszy je w dół. Potem udałem się na rufę po rozkazy.

* S z t a k s e l — trójkątny skośny żagiel między masztami.

Wilk Larsen kiwnął mi głową na znak uznania i ustąpił steru. Wiatr wzmagął się stale, a fala rosła. Sterowałem godzinę z coraz większym trudem. Brakło mi doświadczenia w sterowaniu przy tak silnym wietrze z baksztagu*.

— Teraz skocz na maszt z lornetą i szukaj łodzi. Zrobiliśmy co najmniej dziesięć węzłów, a w tej chwili robimy dwanaście lub trzynaście. Stary zuch umie chodzić.

Wdrapałem się tylko na saling** fokmasztu, o jakieś siedemdziesiąt stóp nad pokładem. Obiegnęłam oczyma pusty przestwór morza i zrozumiałem, jak bardzo trzeba się śpieszyć, aby odzyskać kogokolwiek z naszych ludzi. Właściwie na widok wielkiej fali, po której gnaliśmy, zwątpiłem, czy choć jedna łódź ocaleje. Zdawało się niemożliwe, by podobna łupina mogła sprostać takiej mocy wiatru i fali.

Nie wyczuwałem pełnej siły wiatru, gdyż pędziliśmy wraz z nim, ale patrząc w dół niby z punktu obserwacyjnego leżącego poza „Upiorem”, widziałem, jak ostro zarysowany na tle spienionego morza, popychany wewnętrznym impulsem, pędzi naprzód. Czasami wzbijał się i skakał przez jakąś olbrzymią falę, która zakrywała reling sterburty powodzią piany i zalewała pokład aż po luki. W takich chwilach od bieguna odchylenia po nawietrznej stronie leciałem w powietrzu z oszałamiającą szybkością, jakby przytwierdzony do końca olbrzymiego, wywróconego wahadła, które przy największym kołysaniu statku opisywało łuk długości siedemdziesięciu, a nawet i więcej stóp. Raz zląkłem się tego zawrotnego lotu i chwilę wisiałem bezsilny, dygocący, kurczowo zaczepiony rękami i nogami, niezdolny wypatrywać zaginionych łodzi. Cały ocean przestał dla mnie istnieć prócz jednej fali, która ryczała w dole i usiłowała wywrócić „Upiora”.

Ale otrząsnąłem się na myśl o ludziach w sercu huraganu i wypatrując ich, zapomniałem o sobie. Przez godzinę nie widziałem nic prócz nagiej pustki morza. Aż wreszcie, w miejscu gdzie błędny snop promieni słonecznych padł na powierzchnię wody i upodobił ją do wrzącego srebra, dojrzałem maleńki czarny punkcik ciśnięty ku niebu i natychmiast strącony w otchłań.

Wyczekiwałem cierpliwie. I znów drobny punkcik zamigotał we wrzącym blasku o kilka rumbów dalej na lewo. Nie próbowałem krzycheć, lecz dałem o tym znać Wilkowi Larsenowi machaniem ręki. Zmienił kurs, kiedy zaś punkcik ukazał się na kursie, zasygnalizowałem: „W porządku”.

* B a k s z t a g — kurs żaglowca z wiatrem wiejącym na ukos z rufy. Oznacza również wiatr wiejący z ćwiartki rufowej.

** S a l i n g — połączenie kolumny, dolnego pnia masztu, ze stengą, górnym pniem. Także platforma na tym połączeniu.

Punkcik rósł w oczach tak prędko, że teraz dopiero zdałem sobie sprawę z naszej szybkości. Wilk Larsen dał mi znak, abym zszedł, a kiedy stanąłem przy sterze, wyjaśnił, co mam robić przy stawaniu w dryf.

— Będzie piekielny taniec — ostrzegł — ale nie przejmuj się tym i rób, co ci każe, a kuchtę zmuś do stania przy fokżaglu.

Ruszyłem ku przodowi nie wybierając nawet drogi, bo nawietrzna strona pogażała się w fali równie często jak zawietrzna. Wyjaśniwszy Tomaszowi Mugridge'owi, co ma robić, sam wydrapałem się na kilka stóp w olinowanie fokmasztu. Łódź była teraz bardzo blisko i widziałem wyraźnie, jak zwrócona dziobem do wiatru i fali włóczy za sobą maszt i żagiel wyrzucone za burtę jako dryfkotew. Wszyscy trzej ludzie z załogi czerpali wodę. Co chwila znikali za górami fal, mnie zaś dech zapierało na ten widok i drżałem, czy się jeszcze ukażą.

Nagle jednym szalonym rzutem łódź przecinała spieniony grzbiet, wznosząc się dziobem ku niebu i w całej długości ukazując mokre, czarne dno. Wówczas majaczył mi w oczach przelotny obraz trzech ludzi gorączkowo wylewających wodę, gdy tymczasem łódź waliła się dziobem naprzód w ziejącą rozpadlinę, ukazując całe wnętrze aż do rufy, uniesionej prawie pionowo nad dziobem. Każde jej wynurzenie było cudem.

Raptem „Upiór” zmienił kurs i oddalił się od łodzi. Przez chwilę myślałem z oburzeniem, że Wilk Larsen uznał ratunek za niemożliwy. Zaraz jednak zdałem sobie sprawę, że gotuje się do stawania w dryf, i zeskoczyłem na pokład, aby być do pomocy. Szliśmy teraz pełnym wiatrem. Łódź pozostała za nami daleko i cokolwiek z boku. Uderzyło mnie nagłe zelżenie, chwilowy brak wszelkiego napięcia i ciśnienia przy jednoczesnym zwiększaniu szybkości. Szkunier zakręcił, dokonując ostrego zwrotu pod wiatr.

Gdy stanęliśmy pod kątem prostym do fali, chwycił nas wiatr, przed którym dotąd uchodziliśmy. Nieświadomy niczego stanąłem niefortunnie twarzą pod wiatr. Spiętrzył się przede mną niby mur i napełnił płuca powietrzem, z którego nie mogłem ich opróżnić.

Zacząłem krztusić się i dusić właśnie w chwili, gdy „Upiór”, przechylony, zjechał burtą pomiędzy fale i zaczął gwałtownie skręcać pod wiatr. Odwróciłem się od wiatru, zaczerpnąłem powietrza i znowu spojrzałem. Fala przewyższała kadłub „Upiora”, musiałem dobrze zadrzeć ku niej głowę. Promień słońca musnął kędzierzawy czub i zamajaczyła mi przed oczami przezroczysta lawina zieleni pokryta mlecznym pyłem piany.

Runęła i rozpętało się piekło. Wszystko stało się jednocześnie. Spadł na mnie druzgocący, oszałamiający cios, nie na jakąś określoną część ciała, lecz

na mnie całego. Straciłem uchwyt, byłem pod wodą i przemknęła mi myśl, że to okropność, o której tyle słyszałem — zmycie z bruzdą fali. Powaliło mnie, tłukło, miotało mną i toczyło wzdłuż pokładu, a gdy już dłużej nie mogłem powstrzymać oddechu, wciągnąłem w płuca gryzącą, słoną wodę. Przez cały czas czepiałem się tylko jednej myśli, że muszę pchać kliwer na wiatr. Nie bałem się śmierci. Czuję, że w jakiś sposób ocaleję. W mojej przyćmionej świadomości przetrwała tylko myśl o wykonaniu rozkazu Wilka Larsena. Oczyma ducha widziałem go przy sterze w środku najdzikszego odmętu, jak przeciwstawia swą wolę woli żywiołu i rzuca mu wyzwanie.

Upadłem raptownie na coś, co wziąłem za burtę, odetchnąłem, i o dziwo, odetchnąłem pocziwym powietrzem. Spróbowałem powstać, ale uderzyłem się w głowę i zwałem na ręce i kolana. Jakiś kaprys morza zmył mnie w kluzę* pod okap kubryku, wyłaząc stamtąd na czworakach, potknąłem się o ciało Tomasza Mugridge'a, który leżał bezwładnie i jęczał. Nie było czasu na rozpatrywanie. Miałem przerzucić kliwer.

Kiedy wydostałem się na pokład, odniosłem wrażenie, że to już koniec. Wszędzie rozlatywało się i trzeszczało drzewo, stal i żagle, „Upiór” był szarpany i rozdzierany na części. Fokżagiel i foktopsle, pozbawione wiatru tym manewrem i na czas nie zwinięte, z hukiem rozlatywały się w strzępy, a ciężki bom** walił to w jedną, to w drugą burtę, rozbijając się w drzazgi. W powietrzu aż gęsto było od spadających zewsząd ułamków, oderwane liny i reje*** świszczwały, wiły się jak żmije, a nagle wśród tego chaosu z ogłuszającym trzaskiem gruchnął gafel przedniego żagla.

Drag chybił mnie ledwie o kilka cali i pobudził do działania. Może sytuacja nie była beznadziejna. Przypomniałem sobie ostrzeżenie Wilka Larsena. Przewidział przecież ten diabelski taniec. A gdzie jest on sam? Zauważyłem go, jak charczał przy szotach wybierając je i napinając żagiel swymi potężnymi mięśniami. Rufa szkunera podleciała wysoko ku niebu i sylwetka kapitana zarysowała się na tle rwącej obok białej powodzi. A wszystko to — i bodaj że więcej — cały świat chaosu i zniszczenia objąłem wzrokiem, słuchem i poznałem w ciągu jakichś piętnastu sekund.

Nie przystanąłem nawet, by rzucić okiem, co się stało z łodzią, lecz skończyłem do kliwra. Zaczynał trzepotać, a w miarę jak wypełniał się wiatrem i opróżniał, ostro łopotał. Za każdym klaśnięciem, dobywając wszystkich sił, wypychałem powoli płachtę żagla na wiatr. Wiem jedno, zrobiłem, co mogłem.

* K l u z a — otwór w burcie statku, przez który przechodzi łańcuch kotwiczny.

** B o m — drzewce rozpinające dolny brzeg skośnego żagla. Oznacza też żuraw okrętowy.

*** R e j a — poprzeczna belka na maszcie do przyczepiania i rozpinania żagli.

Tak mocno ciągnąłem płótno, że pokrwawiłem sobie czubki palców. Przez ten czas bomkliwer i sztaksel pękły i poleciały z wiatrem.

Ciągnąłem bom, podwójnym owinięciem liny zabezpieczałem to, co zyskałem, a kiedy płachta klasnęła znowu, pociągałem dalej.

Wreszcie żagiel łatwiej już poddał się parciu. Wilk Larsen stanął za mną i sam wypychał, ja zaś wybierałem tylko luźne liny.

— Umocuj! — krzyknął. — I chodź!

Idąc za nim zauważyłem, że pomimo ruiny i zniszczenia na statku panował pewien porządek. „Upiór” stał w dryf. Mógł jeszcze żeglować i żeglować nie przestał. Chociaż reszta żagli została porwana, kliwer wypchnięty na wiatr, a grotżagiel ściągnięty do maksimum pracowały i utrzymywały statek dziobem do wścieklej fali.

Gdy Wilk Larsen porządkował szluptalie, jak szukałem oczyma łodzi i znalazłem ją na ogromnej fali na zawietrznej, o niecałe dwadzieścia stóp od nas. Kapitan obliczył wszystko tak dokładnie, że zniosło nas akurat ku łodzi. Pozostawało tylko zahaczyć ją z obu końców linami i wciągnąć. Ale łatwiej to napisać niż zrobić.

Na dziobie był Kerfoot, Ufty-Ufty na rufie, a pośrodku Kelly. Gdy podeszliśmy jeszcze bliżej, łodzią rzuciło tak wysoko, a nas zniosło w bruzdę tak nisko, że tuż nad sobą widziałem twarze tych trzech, wychylone za burłę i spoglądające w dół. Ale w następnej chwili my unieśliśmy się i szybowaliśmy w górę, a oni zapadali głęboko w bruzdę. Wydawało się, że przy następnej fali szkuner musi zdruzgotać małą łupinkę.

We właściwej jednak chwili rzuciłem talię Kanakowi, a Wilk Larsen — Kerfootowi, który stał przy dziobie łodzi. Obydwie talie zahaczono w mgnieniu oka i wszyscy trzech, dobrze wymierzywszy tempo kołysania fal, skoczyli jednocześnie na pokład. Gdy burta „Upiora” wynurzyła się z wody, wwindowaliśmy po niej łódź, a nim statek znów się zanurzył, wyciągnęliśmy ją na pokład i wyróciliśmy dnem do góry. Zauważyłem, że krew tryska Kerfootowi z lewej ręki. Zgniotło mu na miazgę środkowy palec. Niczym jednak nie dał po sobie poznać bólu i prawą ręką pomagał przywiązać łódź na miejsce.

— Dopomóż ściągnąć ten kliwer, Ufty — rozkazał Wilk Larsen, gdy tylko skończyliśmy z łodzią. — Kelly, ruszaj na tył i zwolnij grotżagiel! A ty, Kerfoot, pójdiesz na dziób zobaczyć, co się dzieje z kuchtą! A pan, panie Van Weyden, skoczysz znów do góry wartować. Po drodze niech pan obcina wszystko, co zwisa luzem.

Wydał rozkazy i tygrysimi skokami pognał na rufę, do steru. W miarę jak począłem mozolnie drapać się na fokmaszt, szkuner powoli odpadał od wiatru. Tym razem, gdy wpadliśmy w bruzdę, nie było już nadających pęd żagli. Oto wisiałem w połowie drogi do gniazda, rozplaszczony na olinowaniu całą siłą wiatru, tak że nawet bez trzymania nie mógłbym spaść. „Upiór” kładł się i kładł, aż maszty leżały równolegle do powierzchni morza, toteż chcąc zobaczyć pokład, nie patrzyłem już w dół, lecz prawie pod prostym kątem do normalnego kierunku masztów. Dostrzegłem jednak tylko miejsce, gdzie pokład winien się znajdować, bo sam zniknął całkowicie w dzikim tumulcie fal. Widziałem jedynie dwa sterczące z odmętu maszty — i to wszystko. Szkuner został na chwilę pogrzebany pod wodą. Ale w miarę jak skręcał uciekając przed naporem wiatru bocznego, prostował się, aż wreszcie wynurzył z toni niby grzbiet wieloryba.

Odtąd gnaliśmy dziko po wzburzonym morzu, ja zaś wisiałem w gnieździe jak mucha i wypatrywałem dalszych łodzi. W pół godziny później dojrzałem drugą. Była wywrócona dnem do góry. Czepiali się jej rozpaczliwie Jock Horner, gruby Louis i Johnson. Tym razem pozostałem na górze. Wilkowi Larsenowi udało się stanąć w dryf tak, by fala go nie zniosła. Jak poprzednio podpłynęliśmy do łodzi. Zahaczono ją i rzucono liny ludziom, którzy wdrapali się na pokład jak małpy. Przy wyciąganiu łódź uderzyła o burtę i rozleciała się z trzaskiem. Szczątki jej porządnie zabezpieczono, bo okazała się zdatna do naprawy.

Jeszcze raz „Upiór” zawrócił przed sztormem, tak głęboko nurzając się w morzu, że przez parę sekund myślałem, iż więcej się nie podniesie. Nawet koło sterowe, zwykle sterczące wysoko nad śródkręciem, znikło kilkakrotnie pod falą. W takich momentach czułem się dziwnie sam na sam z Bogiem. Byłem z nim sam i obserwowałem chaos jego gniewu. Ale po chwili ster się wynurzył, a z nim szerokie bary Wilka Larsena, który ścisnął szprychy steru, trzymając szkuner na obranym kursie. Oto ziemskie bóstwo panujące nad burzą, otrząsające się z wody i wykorzystujące żywioł dla własnych celów. Cud, istny cud! Żeby maleńcy ludzie mogli żyć, oddychać, pracować i gnać tak kruchą łupinę z drzewa i płótna na przekór furii skłóconego żywiołu!

I tym razem „Upiór” rozłupał pokładem falę, wynurzył się z bruzdy i pognał z wiatrem. Było to w pół do szóstej. O szóstej, gdy ostatnie blaski dnia wsiąkły w mętny i skłębiony zmierzch, wypatrzyłem trzecią łódź. Płynęła do góry dnem i bez załogi. Wilk Larsen powtórzył swój manewr; minął łódź, skręcił pod wiatr i zdryfował. Tym razem jednak chybił i łódź pozostała za rufą o jakieś czterdzieści stóp.

— Łódź numer cztery! — krzyknął Ufty-Ufty, bystrym wzrokiem odczytując cyfrę w sekundzie, gdy wynurzyła się z piany.

Była to łódź Hendersona i wraz z nim zginęli Holyoak i Williams, jeden z majtków dalekomorskiej żeglugi. Zginęli bez wątpienia, ale pozostała łódź i Wilk Larsen zrobił nową ryzykowną próbę, aby ją odzyskać. Zszedłem na pokład w chwili, gdy Horner i Kerfoot bezskutecznie protestowali przeciwko temu przedsięwzięciu.

— Do diabła, nie dam sobie zrabować łodzi... żadnej burzy, nawet z samego piekła — krzyczał Larsen i choć wszyscy czterej dotykaliśmy się głowami, żeby lepiej słyszeć, głos jego wydawał się słaby i daleki, jakby dochodził z ogromnej odległości. — Panie Van Weyden — wołał, ja zaś przez zgiełk słyszałem coś zbliżonego do szeptu. — Stań pan z Johnsonem i Ufty-Ufty przy tym kliwrze! Reszta niech rusza do grotzagli. I żywo! Bo jak nie, to przeniosę was do królestwa niebieskiego! Zrozumiano?

A gdy porwał za ster i położył go na burtę, tak że dziób „Upiora” zakręcił, łowcom nie pozostało nic innego, jak słuchać i możliwie najszybciej wykonać ten szalony manewr.

W całej pełni zdałem sobie sprawę z ryzyka dopiero, gdy jeszcze raz znalazłem się pod walącymi wściekle falami, kurczowo przyczepiony do jarzma fokmasztu. Palce nie wytrzymały i zmyło mnie nad pokładem i nad burtą w morze. Nie umiałem pływać, nim jednak zdążyłem zatonać, następna fala zniosła mnie z powrotem na pokład. Chwyliła mnie silna garść, a gdy „Upiór” zupełnie zanurzył się, zobaczyłem, że zawdzięczam życie Johnsonowi. Niepokojnie oglądał się wokoło i zauważyłem, że brakowało Kelly’ego, który w ostatnim momencie poszedł na dziób.

Chybiwszy raz i znajdując się w innej niż przedtem pozycji, kapitan musiał użyć innego manewru. Popłynął z wiatrem, pozostawiając wszystko po prawej burcie, zawrócił i szedł ostro pod wiatr lewym halsem.

— Wspaniale — wrzasnął mi nad uchem Johnson, gdy statek przebił się przez wywołany zwrotem potop. Wiedziałem, że pochwała dotyczy zalet samego „Upiora”, nie zaś sztuki żeglarskiej jego kapitana.

Choć zrobiło się tak ciemno, że nie widać było łodzi, Wilk Larsen utrzymywał kurs w tym strasznym wirze, jakby kierowany niezawodnym instynktem. Szkuner był stale półzanurzony, ale tym razem nie wpadliśmy w bruzdę, toteż zdryfowaliśmy wprost ku wywróconej łodzi, rozbijając ją mocno przy windowaniu na pokład.

Minęły jeszcze dwie godziny szalonej pracy, podczas których wszyscy, a więc dwu łowców, trzech majtków, Wilk Larsen i ja, zarefowaliśmy najpierw kliwer, a potem grotzagiel. „Upiór” dryfował pod skróconymi żaglami, woda

przestała już prawie zalewać pokład, a statek podskakiwał i nurzał się w falach jak korek.

Zaraz na początku pokaleczyłem sobie czubki palców i przy refowaniu łzy bólu spływały mi po twarzy. Gdy wszystko było już zrobione, załamałem się jak kobieta i padłem na pokład śmiertelnie wyczerpany.

Właśnie wyciągano Tomasza Mugridge'a jak utopionego szczura spod okapu kubryku, gdzie tchórzliwie się ukrywał. Widziałem, jak wleczono go do kabiny, i ze zdziwieniem zauważyłem brak kambuza. Tam gdzie stał kambuz, widniał teraz gładki pokład.

W kabinie znalazłem całą załogę nie wyłączając majtków. Na małym piecyku gotowaliśmy kawę, pijąc przez ten czas whisky i zagryzając sucharami. Nigdy w życiu nie pragnąłem tak jedzenia i nigdy gorąca kawa tak mi nie smakowała. „Upiór” walił się, ciskał i tarzał do tego stopnia, że nawet marynarze musieli czepiać się przy chodzeniu i parę razy po ostrzegawczym „teraz go kładzie!” rzucało nas w bezładnej masie na ścianę kajuty, jak gdybyśmy byli na pokładzie.

— Do diabła z wachtami — rzekł Wilk Larsen, gdyśmy napili się i najedli. — Nie ma co robić na pokładzie. Gdyby co miało na nas wpaść, i tak nie uszlibyśmy temu z drogi. Wszyscy zostają na dole i spać!

Zapaliwszy boczne światła, marynarze przemknęli się do kubryku, a łowcy zostali na nocleg w kajucie, bo uznano za zbyt ryzykowne otwieranie wchodowego luku sterówki.

Wilk Larsen i ja odcięliśmy we dwóch zmiażdżony palec Kerfoota i zaszyliśmy kikut. Mugridge już przedtem, zmuszony do rozniecienia ognia, gotowania i podawania kawy, skarżył się na jakieś bóle, a teraz zaklinał się, że ma na pewno złamane dwa żebra. Przy badaniu wyszło na jaw, że złamane ma aż trzy. Ale jego przypadek odłożyliśmy do następnego dnia, głównie dlatego, że nie miałem pojęcia o złamaniu żeber i chciałem o tym najpierw przeczytać.

— Czy było warto — odezwałem się do Wilka Larsena — poświęcać życie Kelly'ego dla rozbitej łodzi?

— Kelly nie był dużo wart — brzmiała odpowiedź. — Dobranoc.

Należało oczekiwać, że po tym wszystkim nieznośny wprost ból w czubkach palców i myśl o trzech zaginionych łodziach, nie mówiąc już o dzikich skokach „Upiora”, nie pozwoli mi zmrużyć oka. Ledwie jednak dotknąłem głową poduszki, zapadłem w sen i zupełnie wyczerpany przespałem całą noc, podczas której „Upiór” — samotny i nie kierowany — wywalczał sobie drogę wśród burzy.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Następnego dnia burza zaczęła słabnąć. Wilk Larsen i ja, naprędce poduczyszy się anatomii i chirurgii, nastawiliśmy żebra Mugridge'a. Gdy burza przeszła, Wilk Larsen począł krążyć po wodach, na których nas zaskoczyła, i cokolwiek ku zachodowi, a załoga naprawiała łodzie, szyła nowe żagle. Napotykaliliśmy jeden po drugim szkunery łowieckie. W większości wypadków poszukiwały zaginionych łodzi i miały na pokładzie uratowane obce łodzie i załogi. Cała flota łowiecka była skoncentrowana bardziej na zachód, toteż łodzie, rozsypane po olbrzymiej połaci morza, w dzikiej ucieczce szukały schronienia na najbliższych statkach.

Dwie nasze łodzie ze zdrową i całą załogą zabraliśmy z pokładu „Cisco” i ku ogromnej uciesze Wilka Larsena, a mej rozpaczycy ściągnęliśmy z „San Domingo” Dymka z Nilsonem i Leachem. Pod koniec więc piątego dnia brakowało nam z całej załogi tylko czterech ludzi: Hendersona, Holyoaka, Williamsa i Kelly'ego. Znowu polowaliśmy na flankach stada fok.

Ciągnąc za stadem ku północy, weszliśmy w niebezpieczny pas mgieł morskich. Dzień po dniu spuszczałyśmy łodzie w mgłę. Znikały nam sprzed oczu, nim dotknęły wody. W regularnych odstępach czasu dęliśmy w róg na pokładzie i co piętnaście minut strzelaliśmy z moździerza. Ustawicznie gubiono i odnajdywano łodzie. Weszło w zwyczaj, że nie wracały one do swego szkunera, lecz dobijały do pierwszego lepszego i póty na nim razem polowały, póki nie zgłosił się po nie właściciel. Jak można się było spodziewać, Wilk Larsen, któremu brakowało jednej łodzi, zawładnął pierwszą lepszą z zabłąkanych, zmusił załogę, by polowała z „Upiorem”, i nie pozwolił wrócić na własny szkuner. Kiedy ich kapitan mijał nas z bliska i obwoływał, Wilk Larsen, przytknąwszy łowcy lufę do piersi, zmusił go i jego dwu ludzi do wycofania się pod pokład.

Tymczasem Mugridge, tak dziwnie i uparcie czepiający się życia, wkrótce kulał znów po statku i wykonywał podwójną funkcję kucharza i posługacza. Johnson i Leach znowu byli terroryzowani i bici jak dawniej i spodziewali się zginąć z końcem sezonu. Reszta załogi, zaganiana jak sfora psów przez niemiłosiernego pana do pracy, prowadziła iście psie życie. Moje stosunki z Wilkiem Larsenem ułożyły się całkiem dobrze, choć nie mogłem wyzbyć się myśli, że powinienem go zabić. Niezmiernie mnie fascynował i strasznie się go bałem. Nie mogłem go sobie zresztą wyobrazić powalonego przez śmierć. Było w nim

coś niezniszczalnego, jak gdyby wieczna młodość, coś, co nie pozwalało myśleć w ten sposób. Widziałem go tylko żyjącego wiecznie, ujarzmionego, walczącego, niszczącego, a samego wychodzącego zawsze zwycięsko.

Kiedy zdarzyło się nam zapędzić w środek stada, a morze było zbyt burzliwe, by spuścić łodzie, Wilk Larsen lubił wyruszać na łowy z dwoma wioślarzami i sternikiem. Był dobrym strzelcem i przywoził za każdym razem sporo skór, mimo że łowcy uważali takie warunki polowania za niemożliwe. Zdawał się lubować w ryzyku i stawianiu życia na kartę w walce przeciw olbrzymiej przewadze.

Coraz bardziej doskonaliłem się w sztuce żeglarskiej. Pewnego pogodnego dnia — dni takie należą teraz do rzadkości — miałem satysfakcję samodzielnie sterować „Upiorem” podczas zbierania łodzi na pokład. Ból głowy powalił Wilka Larsena, a ja od rana do wieczora stałem przy sterze, utrzymując „Upiora” na kursie poza ostatnią zawietrzną łodzią, lawirując i wciągając najpierw ją, a potem pięć pozostałych, bez rozkazów i wskazówek kapitana.

Co pewien czas chwytały nas potężne wichry, bo znajdowaliśmy się na surowych i burzliwych wodach. W połowie czerwca złapał nas tajfun, pamiętny dla mnie i ważny ze względu na zmiany, jakie spowodował w moim życiu. Znaleźliśmy się gdzieś blisko środka burzy. Wilk Larsen uciekał przed nią na południe, najpierw pod podwójnie zarefowanym kliwrem, a potem z gołymi masztami. Nie wyobrażałem sobie, aby mogły się tworzyć takie fale. Tamte, z którymi się dotąd spotykałem, były malutkie w porównaniu z tymi górami, które miały z pół mili od grzbietu do grzbietu i jestem przekonany, że sięgały wyżej niż nasze maszty. Były tak wielkie, że nawet Wilk Larsen, choć znoszony daleko na południe od stada fok, nie odważył się kłaść w dryf.

Kiedy tajfun przycichł, musieliśmy być gdzieś w okolicy szlaku transpacyficznego parowców i tutaj, ku zdumieniu łowców, wpadliśmy w sam środek stada fok, które, jak oświadczyli, dziwiąc się niezwykłości tego zjawiska, było drugim stadem, jakby ariergardą pierwszego. Znowu więc spuściliśmy łodzie, rozległ się huk strzałów i wstrętna rzeź trwała jak dzień długi.

Tego właśnie dnia Leach zwrócił się do mnie. Skończyłem akurat liczyć skóry ostatniej łodzi, gdy zbliżył się w ciemności i zapytał przyciszonym głosem:

— Czy może mi pan powiedzieć, panie Van Weyden, jak daleko jesteśmy od wybrzeży i jaki kurs na Jokohamę?

Odgadłem od razu jego zamiary i serce mocniej zabiło mi z radości. Podałem mu kurs: zachodnio-północny zachód, a odległość — pięćset mil.

— Dziękuję, panie — było całą jego odpowiedzią i z tymi słowami zniknął w ciemnościach.

Następnego dnia brakowało łodzi numer 3, Johansona i Leacha, a także baryłki ze słodką wodą i skrzynek z prowiantem ze wszystkich innych łodzi oraz posłań i worków marynarskich obu uciekinierów. Wilk Larsen wściekł się. Kazał rozwinąć wszystkie żagle i pognał na zachodnio-północny zachód. Dwóch łowców stale obserwowało z masztów morze przez lornety, a on sam przemierzał pokład jak rozdrażniony lew. Znając moje sympatie dla dezertersów, tym razem nie posłał mnie na oko.

Dął pomyślny, ale kapryśny wiatr i wypatrywanie nikłej łupiny na lazurowym bezkresie było szukaniem igły w stogu siana. Wilk Larsen jednak nadał „Upiorowi” możliwie największą szybkość, by odciąć zbiegów od lądu. Osiągnąwszy ten cel począł krążyć tam i z powrotem po wodach, których ci dwaj nie mogli ominąć.

Na trzeci dzień rano, wkrótce po wybiciu ósmego dzwonu, Dymek krzyknął z masztu:

— Łódź, ahój!

Cała załoga cisnęła się ku burcie. Urywana morka dęła z zachodu i należało się spodziewać, że przybierze na sile. Na zawietrznej, w srebrzącym się od promieni wschodzącego słońca odmęcie, ukazywała się nikła czarna plamka.

Wzięliśmy na nią kurs. Serce ciążyło mi ołowiem. Na samą myśl o tym, co miało zająć, robiło mi się niedobrze. Kiedy patrzyłem na błysk triumfu w oczach Wilka Larsena, postać jego zaczynała się jakby zacierać, i czułem pragnienie, by rzucić się na niego. Myśl o nadchodzącym gwałcie pozbawiła mnie zimnej krwi i rozsądku. Dość, że półprzytomny wśliznąłem się do sterówki i z nabitą strzelbą wracałem właśnie na pokład, gdy doszedł mnie pełen zdumienia okrzyk.

— Pięciu mężczyzn w tej łodzi!

Słaby i drżący zatrzymałem się na trapie. Głosy innych marynarzy potwierdzały to spostrzeżenie. Wtedy kolana ugięły się pod mną i osunąłem się na ziemię, już przytomny, ale przerażony myślą o czynie, którego o mały włos nie popełniłem. Z westchnieniem ulgi odłożyłem broń i wyśliznąłem się na pokład.

Nikt nie zauważył mojej nieobecności. Łódź była dość blisko, by zmiarkować, że jest większa i inaczej zbudowana niż łodzie łowieckie. Zbliżyliśmy się jeszcze bardziej. W łodzi spuszczone żagiel i położono maszt, a wreszcie wciągnięto wiosła i załoga czekała, aż szkuner stanie w dryf i zabierze ich na pokład.

Dymek, który tymczasem zszedł na pokład i stanął przy mnie, zachichotał znacząco. Spojrzałem na niego zdumiony.

— O psiakrew! — parsknął.

— Co się stało? — zapytałem.

Zachichotał znowu.

— Czy pan nie widzi tam pod żaglami... na dnie rufy? Niech nie zastrzełę już ani jednej foki, jeżeli to nie kobieta!

Patrzyłem dobrze, ale nie byłem pewny, dopóki ze wszech stron nie wybuchnęły okrzyki. W łodzi znajdowało się czterech mężczyzn, a piątym pasażerem była naprawdę kobieta. Byliśmy ogromnie podnieceni, wszyscy z wyjątkiem Wilka Larsena, wyraźnie rozczarowanego, że to nie jego własna łódź z dwiema ofiarami jego nienawiści.

Ściągnęliśmy bomkliwer przerzucając kliwer ku nawietrznej i wybierając do końca szoty grota, zdryfowaliśmy i skręciliśmy pod wiatr. Wiosła plusnęły parę razy i łódź przybiła do burty. Teraz mogłem po raz pierwszy dobrze spojrzeć na kobietę. Wiało świeżym chłodem poranka, więc zawinięta była w długi płaszcz i nie dojrzałem nic prócz twarzy i masy jasnokasztanowatych włosów, które wymykały się spod marynarskiej czapki. Miała duże, piwne, błyszczące oczy, usta ładne, wrażliwe i delikatny owal twarzy, chociaż słońce i wiatr morski opaliły ją na czerwono.

Wydała mi się istotą z innego świata. Poczułem, że pragnę jej jak człowiek umierający z głodu łaknie chleba. Lecz przecież od tak dawna nie widziałem kobiety. Byłem zdumiony, prawie osłupiały — więc to jest kobieta? Zapomniałem się zupełnie, zapomniałem o obowiązkach szturmańskich i nie pomagałem przybyszom wejść na pokład. Gdy jeden z majtków podniósł ją i podał w wyciągnięte ramiona Wilka Larsena, spojrzała w górę na nasze zaciekawione twarze i rozbawiona tym, uśmiechnęła się słodko, jak tylko kobieta może się uśmiechnąć. Od tak dawna nie widziałem podobnego uśmiechu, że zapomniałem o jego istnieniu.

— Panie Van Weyden!

Głos Larsena brutalnie ściągnął mnie z obłoków.

— Może pan zechce sprowadzić panią na dół i zadbać o jej wygody. Niech pan przygotuje tę pustą kabinę po lewej stronie i zagna kuchnię do roboty. I może uda się panu coś pomóc na to oparzenie, jest bardzo mocne.

Odwrócił się od nas raptownie i począł rozpytywać nowo przybyłych. Łódź porzucono, choć jeden z rozbitków uważał, że to „diabelny wstyd”, skoro się jest tak blisko Jokohamy!

Kobieta, którą prowadziłem na rufę, napełniała mnie dziwną obawą. Zachowywałem się niezręcznie. Zupełnie jakbym po raz pierwszy uprzytomnił sobie, jakim delikatnym i słabym stworzeniem jest kobieta. Gdy schodziliśmy po trapie, ująłem ją za ramię i zdumiałem się, że jest tak mała i miękkie. W rzeczywistości należała do kobiet smukłych i delikatnych, mnie jednak wydała się istotą wprost eterycznie smukłą i delikatną. Miałem poważne obawy, aby pokazać wrażenie, jakie po długiej rozłące z kobietami wywarła na mnie przedstawicielka płci pięknej w ogóle, a Maud Brewster w szczególności.

— Proszę, niech pan nie zadaje sobie ze mną tyle trudu — protestowała, gdy przyciągnąłem dla niej z kajuty Wilka Larsena jego fotel. — Dziś rano moi towarzysze każdej chwili spodziewali się zobaczyć ląd. Już w nocy statek powinien być w porcie, jak pan sądzi?

Ta naiwna wiara w najbliższą przyszłość zbiła mnie z tropu. Czy mogłem wyjaśnić jej, w jakim znalazła się położeniu, opowiadać o dziwnym człowieku, przemierzającym morze jak Przeznaczenie, o tym wszystkim, co zrozumiałem dopiero po długich miesiącach. A jednak odpowiedziałem uczciwie.

— Gdybyśmy mieli do czynienia z kim innym, nie zaś z naszym kapitanem, powiedziałbym, że jutro będziemy w Jokohamie, ale nasz kapitan to dziwny człowiek, i proszę, niech pani będzie przygotowana na wszystko — czy pani mnie rozumie? Na wszystko!

— Przyznaję, że nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć — odparła z wahaniem i w oczach jej pojawiło się lekkie zaniepokojenie. — Chyba mam rację, że rozbitkom zawsze przychodzi się z wszelką pomocą. Chodzi zresztą o taką drobnostkę. Jesteśmy tak blisko lądu.

— Mówiąc szczerze, nic nie wiem — starałem się ją pokrzepić. — Chciałem tylko przygotować panią na najgorsze, gdyby to najgorsze miało się zdarzyć. Ten człowiek, ten kapitan to brutal, to wcielony diabeł i niepodobna przewidzieć, co strzeli mu do głowy.

Zaczynałem się denerwować, ale przerwała mi bąknąwszy „tak, tak” słabym, umęczonym głosem. Zrozumiałem, że trudno jej zebrać myśli. Była wyraźnie o krok od załamania fizycznego.

Nie pytała już o nic więcej, ja zaś wstrzymałem się od dalszych uwag. Stosownie do rozkazu Wilka Larsena starałem się urządzić ją jak najwygodniej. Uwijałem się jak gospodyni domu, przygotowałem łagodzącą maść na jej opaleniznę, zrobiłem najazd na prywatne zapasy Wilka Larsena, bo wiedziałem, że ma w nich portwejn, i przypilnowałem Tomasza Mugridge’a, aby posprzątał wolną kabinę.

Wiatr przybierał na sile i „Upiór” zataczał się coraz gwałtowniej, a zanim kajuta była gotowa, pomykał już szybko przed siebie. Zupełnie zapomniałem o istnieniu Leacha i Johnsona, gdy nagle przez otwarty luk niby piorun poraził mnie okrzyk: „Łódź, ahój!” Nie ulegało wątpliwości, że to Dymek woła ze szczytu masztu. Rzuciłem okiem na kobietę — leżała w wygodnym fotelu, odchylona w tył, z zamkniętymi oczyma, zupełnie wyczerpana. Widać nic nie słyszała, toteż postanowiłem oszczędzić jej widoku bestialstwa, które musiało nastąpić po schwyceniu dezertersów. Była przemęczona. Tym lepiej. Będzie spała.

Na pokładzie krzyżowały się szybko rozkazy, dochodziło mnie dudnienie stóp i klaskanie reflin — to wypadanie z oka wiatru przy zwrocie. Zmieniono hals, szkuner pochylił się. Wreszcie chwycił wiatr. Fotel zaczął ślizgać się i gdybym nie skoczył z pomocą, uratowana kobieta wypadłaby na podłogę.

Powieki jej ciążyły. Ledwie na małą chwilę rozwarła oczy, w których odbił się przeblysłk sennego zdumienia, jakie ogarnęło ją na mój widok. Gdy prowadziłem ją do przygotowanej kajuty, chwiała się i potykała. Mugridge uśmiechnął mi się dwuznacznie w twarz, kiedy wypchnąłem go z kajuty i kazałem wracać do kambuza. Mścił się potem, rozsiewając wśród łowców pochwalne sprawozdanie, jaką to okazałem się wspaniałą panną służącą.

Kobieta oparła się na mnie całym ciężarem ciała i musiała zasnąć na nowo pomiędzy fotelem a kajutą. Przekonałem się o tym, gdy przy nagłym skoku szkunera prawie upadła na koję. Ocknęła się, uśmiechnęła nieprzytomnie i znowu zapadła w sen. Zostawiłem ją śpiącą pod przykryciem z dwóch ciężkich marynarskich koców i z głową na poduszce, wyciągniętej z koi Wilka Larsena.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy wyszedłem na pokład, „Upiór” gnał lewym halsem ku nawietrznej stronie znanego mi dobrze żagla, idącego tym samym halsem przed nami. Cała załoga była na pokładzie, bo wszyscy wiedzieli, że coś musi się stać, gdy Leach i Johnson zostaną wciągnięci na statek.

Wybito drugą godzinę. Louis przyszedł na rufę, by zmienić sternika. Powietrze było przesycone wilgocią i zauważyłem, że miał na sobie płaszcz nieprzemakalny.

— Co będzie z pogodą? — zapytałem.

— Zadmie zdrowo, to się czuje. Trochę deszczu też, ale niedużo — odpowiedział.

— Najgorzej, żeśmy ich dojrzeli — odezwałem się właśnie w chwili, gdy spory bałwan zbił nas na rumb z kursu, a łódź przemknęła poza płachtami przednich żagli szkunera i znalazła się w polu naszego widzenia.

Louis obrócił szprychę i zauważył: — Widzi mi się, że nigdy by nie zobaczyli lądu, panie.

— Myślicie, że nie?

— Tak myślę, panie. Czy pan tego nie czuje? — Podmuchi zakręcił szkunerem i zmusił Louisa, by dla utrzymania kursu pokręcił kołem. — Za godzinę będzie fala, na której taka łupina nie wytrzyma, mają szczęście, że ich przychwycimy.

Wilk Larsen, rozmówiwszy się z rozbitkami na śródokręciu, szedł ku nam na rufę. Kocia elastyczność w jego chodzie była trochę wyraźniejsza niż zwykle, a oczy rzucały ostre błyski.

— Trzech smarowników, a czwarty mechanik — odezwał się na powitanie. — Ale zrobimy z nich żeglarzy albo wioślarzy w najgorszym razie. Jakże ta pani?

Nie wiem czemu, gdy o niej wspomniał, zakłuło mnie coś, zabolęło jak od cięcia nożem. Głupie przewrażliwienie z mej strony, ale nie potrafiłem się przemóc i zamiast odpowiedzieć wzruszyłem ramionami.

Wilk Larsen złożył wargi do przeciągłego, kpiarskiego gwizdu.

— A więc jakże się nazywa? — zapytał.

— Nie wiem. Śpi. Była bardzo zmęczona. W gruncie rzeczy spodziewałem się dowiedzieć czegoś od pana. Co to był za statek?

— Parowiec pocztowy — odparł lakonicznie. — „Tokio” z Frisco, z przeznaczeniem do Jokohamy. Zatonął w tym tajfunie. Stare pudło zaczynało przeciekać jak sito górą i dołem. Nosiło ich przez cztery dni. A pan nie wie, kto ona i czym jest... Panną, mężatką, wdową? No, no.

Ironicznie kiwał głową i przyglądał mi się roześmianymi oczyma.

— Czy pan... — zacząłem. Na końcu języka miałem pytanie, czy zamierza zawieźć rozbitków do Jokohamy.

— Czy co? — zapytał.

— Co pan zamierza zrobić z Leachem i Johnsonem?

Potrząsnął głową. — Doprawdy, Hump, jeszcze nie wiem. Widzi pan, wraz z tymi przybyszami mam całą załogę, jakiej mi potrzeba.

— A oni mają już dosyć tej ucieczki — odparłem. — Czemu nie miałby pan zmienić sposobu postępowania w stosunku do nich? Niech pan weźmie ich na pokład i traktuje po ludzku. Do wszystkiego, co zrobili, zostali przecież zmuszeni pańskim traktowaniem.

— Moim?

— Tak, pańskim — odpowiedziałem twardo. — I ostrzegam pana, Wilku Larsenie, że gdybyś maltretował tych biedaków zanadto, żądza, zabicia ciebie przemoże wzgląd na me własne życie.

— Brawo! — zawołał. — Dumny jestem z ciebie, Hump! Naprawdę stanąłeś na własnych nogach, i to jeszcze jak! Teraz jesteś człowiekiem, indywidualnością. Zły los wychował pana w komforcie, a jednak pan się rozwija i to mi się w panu podoba.

Nagle głos jego zmienił się, twarz spoważniała.

— Pan wierzy w obietnice? — zapytał. — Czy są dla pana święte?

— Naturalnie.

— W takim razie możemy zawrzeć układ — zaczął grając swą rolę z talentem urodzonego aktora. — Jeżeli panu obiecuję, że nie tknę Leacha i Johnsona, czy pan ze swej strony obieca mi, że nie targnie się na moje życie? Nie proponuję tego ze strachu przed panem, bynajmniej nie ze strachu — dodał pośpiesznie.

Ledwie wierzyłem własnym uszom. Co mu się stało?

— Czy zgoda? — zapytał niecierpliwie.

— Zgoda — odpowiedziałem.

Wyciągnął do mnie rękę i w chwili, gdy ścisnąłem ją serdecznie, przysięgłbym, że demon szyderstwa czaił się w jego oczach.

Przeszliśmy na zawietrzną stronę rufy. Łódź była tuż, w opłakanej sytuacji. Johnson sterował, a Leach czerpał wodę. Dogoniliśmy ich, robiliśmy prawie dwie stopy na ich jedną. Na znak Wilka Larsena Louis zoczył nieco z kursu i pomknęliśmy obok łodzi, burta w burtę, ledwie o kilkanaście stóp ku nawietrznej. „Upiór” zasłonił od wiatru żagiel łodzi, który zwiśł luźno i załopotał. Łódź tak raptownie wyprostowała się, że uciekinierzy porwali się i czym prędzej zmienili miejsca, by zapobiec jej wywróceniu. Podczas gdy nas uniosła olbrzymia fala, pozbawiona pędu łódź przewaliła się przez nią i zsunęła w brudę.

Wtedy to Leach i Johnson spojrzeli w twarze swych towarzyszy stojących wzdłuż burty na śródokręciu. Nikt ich nie pozdrowił! W oczach załogi ci dwaj byli nieboszczykami i powstała między nimi przepaść, jaka zawsze oddziela żywych od umarłych.

W następnej już chwili znaleźli się naprzeciw rufy, gdzie staliśmy z Wilkiem Larsenem. Zapadaliśmy w brudę, a oni wjeżdżali na grzbiet. Johnson popatrzył na mnie i zobaczyłem, że jego twarz była wyniszczona i zmizerowana. Pokiwałem ku niemu ręką, on zaś odpowiedział mi, ale jakimś żalonym, zrezygnowanym gestem. Było to jakby pożegnanie. Nie spojrzałem w oczy Leachowi, bo patrzył na Wilka Larsena, a twarz miał po dawnemu wykrzywioną grymasem nieubłaganej, nieustępliwej nienawiści.

Jeszcze chwila i zostali za rufą. Wówczas żagiel, wzdęty nagle wiatrem, położył ich małą, bezpokładową łódź, aż wyglądało, że musi się wywrócić. Srebrny grzbiet spiętrzył się i przewalił nad nią kłębem śnieżnej piany. Na wpół zatopiona, wychynęła z wody. Leach czerpał wodę, a Johnson, z twarzą bladą i niespokojną, kurczowo uczeplił się steru.

Wilk Larsen warknął mi w ucho krótkim śmiechem i przeszedł na nawietrzną stronę rufy. Spodziewałem się, że każe postawić statek w dryf, ale „Upiór” trzymał kurs, a kapitan nie dawał znaku. Louis niewzruszenie stał przy sterze, ale marynarze zgrupowani na przodzie zwrócili ku nam niespokojne twarze. „Upiór” rwał wciąż naprzód, aż łódź stała się punkcikiem. Wtedy Wilk Larsen rzucił komendę, szkuner zrobił zwrot i poszedł prawym halsem.

Trzymaliśmy się o całe dwie mile ku nawietrznej od walczącej z falą łupiny, gdy wreszcie ściągając bomkliwer stanęliśmy w dryf. Łodzie łowieckie nie są przeznaczone do lawirowania pod wiatr. Nadzieja ich leży w tym, że utrzymają się nawietrznej strony szkunera, aby w razie burzy uciekać do niego z wiatrem.

Ale na całej tej dzikiej pustyni „Upiór” był jedyną ucieczką dla Leacha i Johnsona, toteż zdecydowanie zaczęli lawirować pod wiatr. Szło to powoli na tak wzburzonym morzu. Narażali się każdej chwili na przywalenie spiętrzonymi bałwanami. Niezliczoną ilość razy wpełzali na olbrzymie grzywacze, ale w pół drogi tracili pęd i zostawali odrzucani niby korek.

Johnson był doskonałym żeglarzem i równie dobrze znał małe łodzie, jak i statki żaglowe. Po upływie półtorej godziny znalazł się prawie burta w burcie z nami i następnym halsem zamierzał do nas przybić.

— Więc zmieniliście postanowienie? — mruknął pod nosem Wilk Larsen na w pół do siebie, na w pół do nich, jak gdyby mogli usłyszeć. — Chcecie na pokład, co? Dobrze, dostawajcie się.

— Ster na burcie! — rozkazywał Kanakowi Ufty-Ufty, który zastąpił Louisa przy kole.

Komenda padała za komendą. W miarę jak szkuner odpadał od wiatru, luzowano szoty foka i grota z powodu zbyt silnych podmuchów. I znów byliśmy pod wiatrem i gnaliśmy wielkimi skokami, a Johnson, nie zważając na niebezpieczeństwo, zwalniał żagiel i w odległości jakich stu stóp przecinał bruzdę za naszą rufą. Wilk Larsen śmiał się i dawał im znaki, by nas gonili. Widocznie chciał pobawić się z nimi i jak przypuszczałem, zamiast bicia dać im nauczkę, bardzo niebezpieczną, gdyż krucha łupina każdej chwili mogła zatonać.

Johnson zmienił kurs i pognał za nami. Nic innego nie pozostawało mu do zrobienia. Śmierć czaiła się wokoło i było tylko kwestią czasu, kiedy jedna z wielu olbrzymich fal padnie na łódź i przewali się przez nią.

— Boją się śmierci — szepnął mi do ucha Louis, gdy przechodziłem ku przodowi dojrzeć ściągania bomkliwra i sztaksla.

— Och, za chwilę zdryfuje i ściągnie ich na pokład — odpowiedziałem pogodnie. — Chce im dać nauczkę, to wszystko.

Louis spojrział na mnie przenikliwie. — Tak pan myśli?

— Naturalnie — odpowiedziałem. — A jak wy myślicie?

— Ja o niczym teraz nie myślę, tylko o własnej skórze — brzmiała jego odpowiedź. — Dziw tylko, że to akurat tak się plecie. Ach, w ładną awanturę zaplątała mnie ta whisky we Frisco, lecz w jeszcze gorszą zaplączone pana ta kobieta tam z rufy. No, ale mam pana za skończonego wariata.

— Co przez to rozumiecie? — zapytałem Louisa, który powiedział, co wiedział, i odchodził.

— Co rozumiem? — wrzasnął. — I to pan się pyta? Nie chodzi o to, co ja rozumiem, ale o to, co Wilk sobie ułoży. Wilk, powiadam panu, Wilk!

— Czy mogę na was liczyć w razie jakiegoś zatargu? — rzuciłem odruchowo, bo słowa były echem moich własnych obaw.

— Liczyć na mnie? Na mnie może liczyć tylko stary, gruby Louis, a i tak będzie dosyć awantur. Teraz się dopiero zacznie, już ja to mówię. Teraz się dopiero zacznie!

— Nie wiedziałem, że z was taki straszny tchórz — zadrwiłem.

Spojrzał na mnie pogardliwie.

— Jeśli nigdy nie podniosłem ręki w obronie tego biednego wariata — wskazał mały żagiel za naszą rufą — czy pan myśli, że zdrowego łba będę nadstawiał za kobietę, którą dziś pierwszy raz widzę na oczy?

Odwróciłem się z pogardą i ruszyłem na rufę.

— Panie Van Weyden, niech pan każe zwinąć te topsle — powiedział Wilk Larsen.

Rozkaz ten sprawił mi ulgę ze względu na dezertków. Oczywiście, kapitan nie chciał pozostawić ich zbyt daleko w tyle. Ożywiło to moje nadzieje, toteż niezwłocznie przystąpiłem do wykonywania rozkazu. Załoga skwapliwie rzuciła się je wykonywać; jedni porwali za fały, inni zaś drapali się na maszty. Ochota, z jaką to robili, nie uszła uwagi Wilka Larsena, który uśmiechnął się okrutnie.

Odległość między nami o łodzią rosła w dalszym ciągu, ale kiedy łódź pozostała za rufą o dobre kilka mil, stanęliśmy w dryf i czekaliśmy. Oczy wszystkich śledziły, jak się zbliża, nie wyłączając Wilka Larsena, ale on był jedynym człowiekiem na pokładzie, który ani na chwilę nie stracił równowagi. Nawet udający obojętność Louis nie zdołał ukryć niepokoju.

A łódź goniła nas i dogoniła, miotając się po wrącej zieleni niby żywa istota; wzbijała się, rzucała, wskakiwała na garby olbrzymich grzywaczy, aby zaraz potem zniknąć z nimi i znowu wychynąć niby wystrzelona w niebo. Chwile jej zdawały się policzone i każde wynurzenie z odmetu było cudem. Powiał ulewny szkwał, i z lotnej wilgoci łódź wynurzyła się tuż koło nas.

— Ster za burzę! — krzyknął Wilk Larsen. Skoczył do koła i sam przerzucił szprychy.

I tym razem szkuner skręcił i pomknął z wiatrem, a Leach i Johnson gonili go jeszcze przez dwie godziny. Zdryfować i uciec, zdryfować i uciec — a za rufą stale białął płat żagla ciskany ku niebu i pogrążony w pędzące wawy.

Był znów w odległości ćwierci mili, gdy zniknął nam sprzed oczu za welonem gęstego deszczu. Nie wynurzył się więcej. Wiatr oczyścił niebo, ale nie dojrzeliliśmy plamy żagla na skotłowanej powierzchni. Przez chwilę wydało mi się, że widzę dno wywróconej łodzi, czerniejące na grzbiecie fali. W najlepszym razie to było wszystko. Dla Leacha i Johnsona skończyła się męka egzystencji.

A marynarze wciąż stali na śródokręciu. Nikt nie schodził do wnętrza i nikt nie przemówił. Nie zamieniano między sobą nawet spojrzeń. Ogłuszeni, głęboko zamyśleni, nie byli jeszcze w stanie uprzytomnić sobie, co zaszło. Lecz Wilk Larsen nie dał im czasu na rozmyślenia. Bez zwłoki powrócił do dawnego kursu, kursu na stado fok, nie zaś na port jokohamski. Tym razem marynarze nie byli już tak chętni przy ciągnięciu lin. Przekleństwa padały z ich ust, zaciśniętych i zmartwiałych jak oni sami. Co innego łowcy. Na nic nieczuły Dymek opowiedział jakąś zabawną historię i schodząc do sterówki wszyscy pokładali się ze śmiechu.

Ruszyłem ku rufie. Na zawietrznej stronie kambuza podszedł do mnie uratowany mechanik. Twarz jego była biała; usta mu drżały.

— Wielki Boże! co to za statek, panie? — zawołał.

— Oczy pan ma; widział pan przecież! — odpowiedziałem prawie brutalnie, gdyż sam odczuwałem ból i strach. — A obietnica? — zapytałem Wilka Larsena.

— Gdym obiecywał, nie śniło mi się nawet przyjmować ich na pokład — odparł. — Bądź co bądź, chyba pan przyzna, że ich nie tknąłem. Skąd, nawet ich nie tknąłem — zaśmiał się po chwili.

Nic nie odpowiedziałem. Byłem zbyt oszołomiony, by mówić. Wiedziałem, że muszę mieć czas na przemyślenie tego wszystkiego. Czułem tylko, że ciąży na mnie odpowiedzialność za los kobiety śpiącej w tej chwili w kabinie, a jedyną rozsądną myślą, jaka przeleciała mi przez głowę, było, że nie wolno mi uczynić żadnego gorączkowego kroku, jeżeli mam jej pomóc.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Poza tym nie wydarzyło się już tego dnia nic ważnego. Zdrowy podmuch zmoczył nas i przycichł powoli. Mechanik i trzech smarownicy po gorącej przeprawie z Wilkiem Larsenem otrzymali ekwipunek z magazynu okrętowego, zostali przydzieleni łowcom do poszczególnych łodzi oraz wacht na statku i zegnani do kubryka. Protestowali co prawda, ale przyciszonymi głosami. Byli przerażeni tym, co już zdążyli zaobserwować w charakterze Wilka Larsena, a w kubryku usłyszeli zaraz żalosne opowiadanie załogi, co ostatecznie odjęło im chęć oporu.

Panna Brewster — nazwiska jej dowiedzieliśmy się od mechanika — wciąż spała. Przy kolacji poprosiłem łowców, by rozmawiali ciszej, więc jej nie zbudzono. Ukazała się dopiero następnego ranka. Chciałem, by posiłek podawano jej oddzielnie, ale tutaj Wilk Larsen uparł się. Kto ona taka, żeby nie mogła jadać przy wspólnym stole w towarzystwie zbierającym się w kajucie? — pytywał.

Gdy jednak przyszła do stołu, wytworzyła się dość zabawna sytuacja. Łowcy zamilkli jak na komendę. Tylko Jock Horner i Dymek nie speszyli się, rzucali na nią ukradkowe spojrzenia i mieszali się do rozmowy. Pozostali czterej wlepili oczy w talerze i żuli spokojnie, z rozwagą, ruszając uszami do taktu szczękom, jak czworonogi.

Wilk Larsen z początku mówił mało, a właściwie odpowiadał tylko na pytania, choć wcale nie dlatego, by był zmieszany. W jego oczach ta kobieta była nowym typem, okazem nie znanej mu dotąd rasy. Zaciekawiała go, więc przyglądał się jej, rzadko spuszczać wzrok z twarzy, jedynie po to, by śledzić ruchy rąk i ramion. Ja również obserwowałem gościa. Choć podtrzymywałem rozmowę, byłem lekko onieśmielony, niezupełnie opanowany. Tymczasem Wilk Larsen, pewny siebie, ani na chwilę nie stracił równowagi. Tak samo nie bał się kobiet jak walc i burz.

— Kiedy będziemy w Jokohamie? — zapytała odwracając się i patrząc mu prosto w oczy.

Postawiła sprawę jasno. Łowcy przestali żuć i ruszać uszami, a choć nadal wpatrywali się w talerze, znać było, że czyhają na odpowiedź.

— Za cztery miesiące, może za trzy, jeżeli sezon wcześniej się skończy — odparł Wilk Larsen.

Otworzyła usta, jakby zabrakło jej powietrza, i wyjąkała:

— Myślałam... myślałam... mówiono mi, że Jokohama jest oddalona stąd tylko o dzień żeglugi. To — urwała i obrzuciła spojrzeniem krąg obojętnych twarzy, wpatrzonych w talerze — to niesłuszne — zakończyła.

— O tym może pomówi pani z obecnym tu panem Van Weydenem — odparł skinąwszy głową w moją stronę ze złośliwym mrugnięciem. — Pan Van Weyden jest autorytetem w takich kwestiach. Ja zaś jestem tylko marynarzem i na tę sprawę zapatruję się trochę inaczej.. Jeżeli nawet dla pani konieczność pozostania z nami stanowi przykrą perspektywę, dla nas jest na pewno szczęśliwym zbiegiem okoliczności.

Patrzył na nią z uśmiechem. Spuściła oczy, aby po chwili rzucić mi spojrzenie pełne sprzeciwu. Wyczytałem w nim nieme pytanie: „Czyżby to było słuszne?” Ale zdecydowany grać rolę neutralnego, nie odpowiedziałem.

— Co pan o tym sądzi? — zapytała mnie wprost.

— Sądzę, że to niepomysłne, zwłaszcza jeżeli ma pani dotrzymać jakichś terminów w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Mówiła pani jednak, że odbywa pani podróż do Japonii dla zdrowia. Otóż mogę panią zapewnić, że tu, na pokładzie „Upiora”, poprawi się ono najlepiej.

W oczach jej błysnęło oburzenie. Tym razem ja spuściłem wzrok i oblałem się rumieńcem. Postąpiłem jak tchórz, ale co miałem robić?

— Przez usta pana Van Weydena przemawia powaga autorytetu — roześmiał się Wilk Larsen.

Skinąłem głową. Panna Brewster odzyskała równowagę i czekała na dalszy ciąg.

— Pewnie, że jeszcze niczym nie jest, ale ogromnie się poprawił. Trzeba go było widzieć, kiedy zjawił się na naszym pokładzie. Trudno sobie wyobrazić nędzniejszy okaz ludzki. Co za chuchro. Może nie, Kerfoot?

Zaskoczony pytaniem łowca tak się zmieszał, że upuścił nóż na podłogę i ledwie zdołał bąknąć, że to racja.

— Rozwijał się obierając kartofle i zmywając statki. No nie, Kerfoot?

Osobistość ta znów coś bąknęła.

— Niech pani spojrzy na niego. Prawda, nie można nazwać go muskularnym, ale ma przecie mięśnie, których nie miał, gdy się tu dostał. Potrafi także

stać teraz na własnych nogach. Na pierwszy rzut oka nie pomyślałaby pani, że z początku nie potrafił stać o własnej sile.

Łowcy chichotali, ale w jej oczach było tyle współczucia, że poczułem się sownie nagrodzony za dokuczliwość Wilka Larsena. Od tak dawna nikt nie okazywał mi współczucia, toteż wzruszyłem się i z radością zostałem jej niewolnikiem. Ale Wilk Larsen mnie rozzłościł. Swoimi insynuacjami starał się rzucić cień na mą męskość i tę umiejętność stania na własnych nogach, której uważał, że mnie nauczył.

— Przypuśćmy, że nauczyłem się stać na własnych nogach — odparłem — ale jeszcze nie depczę nimi innych.

Spojrzał na mnie bezczelnie.

— W takim razie nauka dobiega zaledwie połowy — powiedział szorstko i odwrócił się do panny Brewster. — My tutaj na „Upiorze” jesteśmy bardzo gościnni. Pan Van Weyden już się o tym przekonał. Czyż nie robimy wszystkiego, aby nasi goście czuli się jak w domu? Co pan na to, panie Van Weyden?

— Zmusza ich pan nawet do obierania kartofli i mycia statków — odpowiedziałem — nie mówiąc już o skręcaniu im karków z przyjaźni.

— Bardzo proszę, niechże pani nie wysuwa czasem fałszywych wniosków ze słów pana Van Weydena — wtrącił z udaną trwogą. — Czy pani nie zastanawia, że pan Van Weyden nosi u pasa sztylet, co przecie... hm, hm... co nie leży w zwyczaju oficerów marynarki. Skądinąd jest on zresztą godny szacunku, ale czasami — no, jakby to powiedzieć... hm... robi się kłótniwy i wtedy trzeba względem niego stosować surowe środki. Kiedy nad sobą panuje, jest rozsądny i uczciwy. Na przykład w tej chwili, będąc zupełnie opanowany, nie zaprzeczy chyba, że nie dalek niż wczoraj godził na moje życie.

Dusiłem się prawie, a oczyma z pewnością ciskałem płomienie.

— Niech pani spojrzy na niego teraz. Nawet w pani obecności z trudem panuje nad sobą. Nie jest zresztą przyzwyczajony do damskiego towarzystwa. Nie odważę się chyba bez broni wyjść z nim na pokład.

Potrząsnął smutnie głową, mrużąc pod nosem: — To źle, to bardzo źle. — Łowcy zanosili się od śmiechu.

Ryki tych ludzi morza grzmiały i dudniły w zamkniętej przestrzeni, wywołując jakiś dziki efekt. Cała sceneria była dzika i gdy tak patrzyłem na tę zabłąkaną kobietę, pojąłem, jak bardzo tutaj nie pasuje, i po raz pierwszy uświadomiłem sobie, jak dalece sam stałem się już częścią tego świata. Znałem tych ludzi i ich sposób myślenia, byłem jednym z nich, żyłem życiem łowców fok, jadłem to, co oni, i myślałem przeważnie o ich sprawach. Nic mnie już tu nie

raziło: ani szorstkie ubrania, ani ordynarne twarze, ani dziki śmiech, ani chybotanie statku i kołysanie się lamp okrętowych.

Smarując chleb masłem, spojrzałem przypadkowo na swoje ręce. Kostki odarte z naskórka i zaognione, palce napuchnięte, brud za paznokciami. Czułem, że twarz i szyję okala mi bujny zarost, wiedziałem że rękaw mam rozdarty i że przy mojej granatowej bluzie brak u samej góry guzika. Wspomniany przez Wilka Larsena sztylet wisiał w pochwie u pasa. Nie widziałem w tym nic dziwnego, dopóki nie spojrzałem na to jej oczami i nie wyobraziłem sobie, jak to i wszystko dokoła musi jej się wydawać dziwne.

A jednak wyczuła szyderstwo w słowach Wilka Larsena i znów padło na mnie współczujące spojrzenie. W jej oczach był jednak wyraz zmieszania, gdyż szyderstwo kapitana jeszcze bardziej komplikowało sytuację.

— A może jaki statek weźmie mnie po drodze na pokład — rzuciła.

— Jeżeli spotkamy jakie statki, to tylko inne łowieckie szkunery — brzmiała odpowiedź Wilka Larsena.

— Ależ ja nie mam sukien, w ogóle nic. Pan nie zdaje sobie sprawy, że nie jestem mężczyzną i nie przywykłam do koczowniczego życia, jakie prowadzą pan i pańscy towarzysze.

— Im prędzej się pani do niego przyzwyczai, tym lepiej. Dam pani materiał i igły, i nici — dodał. — Zrobić sobie jedną, dwie suknie nie będzie przecież dla pani zbyt ciężko.

Z grymasu jej ust wywnioskowałem, że nie ma pojęcia o szyciu. Była wyraźnie przestraszona i zaniepokojona, ale dzielnie starała się to ukryć.

— Przypuszczam, że pani należy do ludzi takich jak pan Van Weyden, którzy lubią, żeby inni za nich pracowali. Sądzę jednak, że zrobienie kilku rzeczy dla siebie samej nie zaszkodzi pani zdrowiu. Jeśli już o tym mowa, czy pani zarabia na życie?

Spojrzała nań z nie tajonym zdumieniem.

— Nie mam zamiaru pani urazić, proszę mi wierzyć. Ludzie jedzą, więc muszą jakoś zdobywać środki utrzymania. Ci ludzie zarabiają na życie bijąc fokę, ja — prowadząc statek, a pan Van Weyden, przynajmniej obecnie, zarabia na swój marynarski wikt pomagając mi w tym interesie.

Wzruszyła ramionami.

— Czy pani utrzymuje się sama, czy też kto inny panią utrzymuje?

— Niestety, na ogół inni dostarczali środków na moje utrzymanie — odpowiedziała żartobliwie, starając się dostroić do tonu tych dochodzeń, choć

w miarę jak obserwowała Wilka Larsena, w oczach jej budziło się i rosło prze-
rażenie.

— No i przypuszczam, że nie pani sama, lecz kto inny ściele pani łóżko.

— Zdarzało się, że słałam je sama.

— Bardzo często?

Potrząsnęła głową z żartobliwą skruchą.

— Czy pani wie, co w Stanach Zjednoczonych robią z ubogimi, którzy
podobnie jak pani nie pracują na życie?

— Tak mało wiem — bronila się. — Nie wiem, co robią z biednymi ludźmi,
którzy są do mnie podobni.

— Wtrącają ich do więzień. Przestępstwo, jakim jest to, że nie zarabiają na
życie, nazywa się w ich przypadku włóczęgostwem. Gdybym był panem Van
Weydenem, który wiecznie rozwodzi się nad prawem i bezprawiem, zapytałbym,
jakim prawem pani żyje, jeżeli nic pani nie robi, by na to życie zasłużyć.

— Skoro jednak pan nie jest panem Van Weydenem, nie muszę chyba odpo-
wiedzieć?

Uśmiechnęła się do niego z oczyma pełnymi strachu. Widok ten przejął
mnie litością. Czułem, że muszę jakoś wmieszać się do rozmowy i skierować
ją na inne tory.

— Czy zarobiła pani kiedy choć dolara własną pracą? — zapytał, pewien
odpowiedzi, z nutą mściwego triumfu w głosie.

— Tak — odpowiedziała z namysłem, ja zaś o mało nie roześmiałem się
z jego zawiedzionej miny. — Pamiętam, kiedyś, gdy byłam małą dziewczynką,
ojciec dał mi dolara za to, że byłam zupełnie cicho przez pięć minut.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Ale to było dawno — mówiła dalej. — Chyba nie można wymagać, by
dziewięcioletnia dziewczynka zarabiała na życie.

— Za to teraz — podjęła po nowej krótkiej przerwie — zarabiam rocznie
około tysiąca ośmiuset dolarów.

Jak na komendę wszyscy oderwali wzrok od talerzy i utkwili w niej oczy.
Warto obejrzeć kobietę zarabiającą tysiąc osiemset dolarów rocznie. Wilk Lar-
sen nie ukrywał podziwu.

— Pensja czy od sztuki? — zapytał.

— Od sztuki — odpowiedziała szybko.

— Tysiąc osiemset — liczył. — To wynosi sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie. A więc panno Brewster, my na „Upiorze” też nie jesteśmy skąpi. Może się pani uważać za zaangażowaną z tą pensją na czas, który pani z nami spędzi.

Nic nie odpowiedziała. Pomysły tego człowieka były dla niej zbyt obce, by miała traktować je ze spokojem.

— Zapomniałem spytać — ciągnął grzecznie — o rodzaj pani zajęcia. Co pani wyrabia? Jakich potrzeba pani surowców i narzędzi?

— Papieru i atramentu — zaśmiała się. — A także i maszyny do pisania.

— Pani jest Maud Brewster — odezwałem się powoli i z przekonaniem, jakbym oskarżał ją o jakieś przestępstwo.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

— Skąd pan wie?

— Czyż tak nie jest?

Skinieniem głowy przyznała mi rację.

Teraz zdziwił się Wilk Larsen. Nazwisko i jego magia nic mu nie mówiły. Czułem się dumny, że dla mnie coś ono znaczy, i po raz pierwszy od dawna odczułem w pełni swoją wyższość nad nim.

— Pamiętam, że napisałem recenzję cienkiego, małego tomiku — zacząłem niedbale, ale nie pozwoliła mi skończyć.

— Pan! — zawołała — pan jest?... — Patrzyła na mnie szeroko otwartymi, zdumionymi oczyma.

Z kolei ja skinąłem twierdząco głową.

— Humphrey Van Weyden — zakończyła, a po chwili dodała z westchnieniem ulgi, nieświadoma, że patrzy przy tym na Wilka Larsena: — Jakże się cieszę. Pamiętam tę recenzję — dorzuciła, jakby chcąc zatuszować niezręczną uwagę — tę nader, tę zbyt przychylną recenzję.

— Ależ nie, ani trochę — zaprzeczyłem energicznie. — Podaje pani w wątpliwość mój trzeźwy sąd i przypisuje pani małą wagę moim kryteriom. Zresztą wszyscy koledzy krytycy byli mojego zdania. Czyż Lang* nie zalicza pani *Wymuszonego pocałunku* do czterech najpiękniejszych sonetów napisanych po angielsku przez kobietę?

— Ale pan nazwał mnie amerykańską panią Meynell**!

* Andrew Lang — głośny w swoim czasie krytyk angielski.

** Alice Meynell (1847—1922) — poetka angielska.

— Czy to nieprawda?

— Ależ nie o to chodzi. Czułam się dotknięta.

— O nie znanym sądzimy zestawiając je ze znanym — odparłem z całym dawnym akademickim wyszukaniem. — Jako krytyk musiałem jakoś panią zaszeregować. Dzisiaj innych mierzy się miarą pani. Mam w bibliotece siedem małych tomików pani wierszy i dwa większe tomy esejów, które, proszę pozwolić mi na szczerłość, choć nie wiem, którym utworom w ten sposób pochlebię, w niczym nie ustępują wierszom. Może już niedługo nowa gwiazda wszędzie na literackim horyzoncie Anglii, a krytycy nazwą ją angielską Maud Brewster.

— Pan jest bardzo uprzejmy — odpowiedziała półgłosem, a ta zdawkowość tonu i słów zbudziła we mnie tysiączne wspomnienia dawnego życia w innym świecie. Przebiegł mnie dreszcz na te wspomnienia, a jednocześnie ogarnęła tęsknota.

— Więc pani jest Maud Brewster — odezwałem się uroczyście, spoglądając na nią.

— A pan Humphreym Van Weydenem — rzekła odpowiadając mi nie mniej uroczystym i pełnym szacunku spojrzeniem. — Jakie to niezwykle! Nic nie rozumiem. Nie mamy się chyba spodziewać, by spod pańskiego trzeźwego pióra wyszła jakaś dzika, romantyczna powieść morska.

— O nie, nie zbieram tu materiału, zapewniam panią. Nigdy nie miałem ani zdolności, ani zamiłowania do powieściopisarstwa.

— A czemu zawsze się pan ukrywał w Kalifornii? To nieładnie z pańskiej strony. Nam ze Wschodu* udzielał się pan tak mało! Zbyt rzadko widzieliśmy drugiego dziekana literatury amerykańskiej**.

Skłoniłem się protestując przeciw komplementowi.

— O mało co nie spotkałem pani w Filadelfii. Miała pani odczyt o Browningu czy na jakiś podobny temat. Ale pociąg mój spóźnił się o cztery godziny.

A potem zapomnieliśmy, gdzie się znajdujemy, i zostawiliśmy milczącego Wilka Larsena na mieliźnie wśród powodzi naszych plotek. Łowcy wstali od stołu i poszli na pokład, a myśmy wciąż rozmawiali. Nie ruszył się tylko Wilk Larsen. Nagle zdałem sobie sprawę z jego obecności. Odsunął się od stołu i z zainteresowaniem słuchał rozmowy, prowadzonej w języku nie znanego mu świata.

* Mowa o stanach wschodnich.

** „D z i e k a n l i t e r a t u r y a m e r y k a ń s k i e j” — tak nazywano Ralpa Waldo Emersona (1803—1882), poetę i eseistę.

Urwałem w środku zdania. Teraźniejszość, pełna niebezpieczeństw i trwóg, uderzyła we mnie z oszałamiającą siłą. Tak samo uderzyła w pannę Brewster, która spojrzała na Wilka Larsena oczyma pełnymi nieopisanej grozy.

Ten wstał i zaśmiał się niezręcznie. Śmiech jego zabręczał jak metal.

— O, nie zwracajcie na mnie uwagi! — powiedział ze skromnym gestem. — Ja się nie liczę. Nie przeszkadzajcie sobie, mówcie dalej.

Ale tok rozmowy został przerwany i my również wstaliśmy od stołu śmiejąc się nienaturalnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Pominięty przez nas w rozmowie przy stole Wilk Larsen musiał swoim zwyczajem zemścić się na kimś za doznane upokorzenie. Tym razem ofiarą padł Tomasz Mugridge, który nie zmienił ani sposobu przyrządzania potraw, ani koszuli na grzbiecie, chociaż twierdził, że włożył świeżą. Wygląd tej części garderoby był dość przekonywający, a warstwa brudu na piecu, garnkach i patelniach nie świadczyła o ogólnej czystości.

— Uprzedzałem cię, kuchto! — ryknął na niego Wilk Larsen. — No, teraz dostaniesz za swoje!

Twarz Mugridge'a zbieleła pod pokładem sadzy, a gdy Wilk Larsen kazał podać linę i zawołał paru ludzi, nieszczęsny cockney w panice zwiął z kambuza i zaczął uciekać po pokładzie, wymykając się z rąk uśmiechniętej ponuro załogi. Nie mogło być nic miłszego dla załogi, jak wynurzać kucharza za burta, bo do kubryku posyłał najwstrętniejsze potrawy i lury. Okoliczności sprzyjały temu przedsięwzięciu. „Upiór” ślizgał się z szybkością nie większą niż trzy mile na godzinę, a morze było dość spokojne. Ale Mugridge nie miał ochoty na kąpiel. Pewnie widział już nieraz ludzi ciągniętych na linie. Woda musiała też być okropnie zimna, a zdrowie Mugridge'a nie należało do najlepszych.

Jak zwykle, gdy zapowiadała się jakaś rozrywka, łowcy i podwachta wybiegli na pokład.

W przystępie prawdziwego wodowstrętu Mugridge dawał dowody zwinności i ruchliwości, o jakie nikt go dotąd nie posądzał. Zagnany w prawy róg między kambuzem a rufą, jak kot wskoczył na dach nadbudówki i pognał ku rufie. Uprzedzony jednak przez prześladowców, zakręcił, przebiegł nad kambuzem i ześliznął się na pokład po wchodowym łuku sterówki. Stąd pognał prosto ku dziobowi, z wioślarem Harrisonem następującym mu na pięty. Tutaj podskoczył nagle i chwycił się fału kliwra. Zawieszony na rękach, zgiął się i wierzgnął obydwoma nogami. Nadbiegający Harrison dostał prosto w żołądek, jęknął mimo woli, zwinął się z bólu i zwałił na pokład.

Oklaski i głośny śmiech łowców powitały ten wyczyn. Tomasz Mugridge wywinął się połowie prześladowców przy fokmaszcie i manewrując zręcznie między pozostałymi, pognał ku rufie z szybkością skrzydłowego na boisku piłkarskim. Zmierzał prosto przez tylny pokład ku rufie.

Biegł tak szybko, że zakręcając przy rogu kabiny, pośliznął się i upadł. Przy sterze stał Nilson i toczące się ciało cockneya zważyło go z nóg. Upadli razem, ale podniósł się tylko Mugridge. Dziwny kaprys losu sprawił, że chudeusz złamał silnemu drabowi nogę jak patyk.

Przy sterze stanął Parsons i gonitwa została wznowiona. Marynarze gonili po pokładzie nieprzytomnego ze strachu Mugridge'a, nawołując się i podając sobie wskazówki, łowcy zaś porykiwali słowa zachęty i parskali śmiechem. Mugridge padł na pokrywę przedniego luku przywalony przez trzech marynarzy, ale po chwili, z krwią na ustach i w strzępach fatalnej koszuli, wysliznął się z kłębu ciał jak węgorz i skoczył w olinowanie wielkiego masztu. Drapał się coraz wyżej, ponad drabliny, na sam szczyt.

Z pół tuzina majtków rzuciło się za nim. Ścigali go aż do gniazda, gdzie postanowili czekać, a Ufty i Czarny (sternik z łodzi Latimera) zaczęli pięć się po cienkich stalowych prętach, podciągając się ku górze na rękach.

Było to niebezpieczne, gdyż uczepleni rękoma na wysokości ponad stu stóp od pokładu nie bardzo mogli się osłaniać przed kopniakami Mugridge'a. Mugridge zaś wierzgał jak opętany, dopóki Kanak, trzymając się jedną ręką, drugą nie schwycił go za nogę. Po chwili Czarny zrobił to samo z drugą nogą. Wszyscy trzej poczęli się wic, aż wreszcie ześliznęli się i spadli w ramiona towarzyszy w gnieździe.

Powietrzna walka się skończyła. Mugridge skamlał i bełkotał, a z ust leciała mu krwawa piana. W tym stanie ściągnięto go na pokład. Wilk Larsen zrobił z liny pętlę i zarzucił ją kuchcie pod pachy. Potem zawlekli cockneya na rufę i rzucili w morze. Czterdzieści—pięćdziesiąt—sześćdziesiąt stóp liny wyluzowano i dopiero wtedy Wilk Larsen krzyknął:

— Mocuj!

Ufty-Ufty założył jeden zwój na kabestan; lina wyprężyla się, a „Upiór”, płynąc naprzód, wyciągnął kuchtę na powierzchnię.

Było to żalosne widowisko. Choć nie mógł utonąć, a życia miał w sobie za dziewięciu, znosił wszystkie męki topielca. „Upiór” szedł bardzo powoli i w chwilach, kiedy rufą wzbijał się na fali, a dziobem ślizgał ku przodowi, wyciągał biedaka na powierzchnię i dawał mu złapać powietrze. Kiedy jednak rufa opadała, a dziób ledwie wpęłzał na następną falę, lina luzowała się i człowiek szedł pod wodę.

Zapomniałem zupełnie o istnieniu Maud Brewster i drgnąłem na odgłos jej lekkich kroków. Wyszła pierwszy raz na pokład, odkąd dostała się na „Upiora”. Powitano ją głuchym milczeniem.

— Co jest powodem tej uciechy? — spytała.

— Niech pani zapyta kapitana Larsena — odpowiedziałem spokojnie i zimno, chociaż wszystko się we mnie gotowało na myśl, że ma być świadkiem tego bestialstwa.

Wzięła moją wskazówkę, za dobrą monetę i już miała to zrobić, gdy wzrok jej padł na stojącego tuż przed nią Ufty-Ufty, który czujnie i z wdziękiem trzymał zwój liny.

— Czy pan łowi ryby?

Nie odpowiedział. W jego oczach, wpatrzonych w nurt za statkiem, pojawił się nagły błysk.

— Rekin, ahoy, panie! — krzyknął.

— Ciągnij! Żywo! Wszyscy razem! — wrzasnął Wilk Larsen i skoczył ku linie wyprzedzając najzwawszych.

Mugridge usłyszał ostrzegawczy krzyk Kanaka i darł się jak obłąkany. Dojrzałem czarną płetwę prującą wodę szybciej, niż wciągano kuchtę na pokład. Szansę nasze i rekina były równe, o ratunku Mugridge'a decydowały sekundy. Gdy był już pod nami, rufa zaczęła się zsuwać po spadzistości fali i to dało przewagę rekinowi. Płetwa zniknęła. Rekin wyskoczył z wody migając białym podbrzuszem. Niemal równie szybki był ruch Wilka Larsena. Z całej siły szarpnął za linę. Ciało cockneya wzleciało w górę, a tuż za nim rekin. Człowiek podciągnął nogi i zarłacz ledwie dotknął jednej z nich, nim z pluskiem zapadł się w wodę. Ale w chwili gdy się o niego otarł, Tomasz Mugridge krzyknął. Potem opisał łuk jak złowiona na wędkę ryba i przeleciawszy wysoko nad burtą zwałił się na pokład. Padł na ręce i kolana i potoczył się po deskach.

Krew trysnęła mu z nogi. Nie miał prawej stopy. Rekin uciął ją równo przy samej kostce.

Natychmiast spojrzałem na Maud Brewster. Twarz jej pobladła, oczy rozwarły się grozą. Nie patrzyła na Tomasza Mugridge'a, tylko na Wilka Larsena. Zdawał sobie z tego sprawę, bo odezwał się ze swym krótkim śmiechem:

— Męska zabawa, panno Brewster. Na pewno nieco brutalniejsza od tych, do których pani przywykła, ale bądź co bądź... męska zabawa. Co prawda rekin nie wchodził w rachubę. To...

Tutaj przerwał mu Mugridge, który uniósł głowę i zobaczywszy rozmiar poniesionej straty, potoczył się po pokładzie i zatopił zęby w jego nodze. Wilk Larsen schylił się i z najzimniejszą krwią nacisnął mu wielkim i wskazującym palcem nasadę szczęki poniżej ucha. Szczeka rozwarła się opornie i Wilk Larsen został oswobodzony.

— Jak mówiłem — ciągnął, jakby nie stało się nic niezgodnego z jego wolą — rekin nie był brany w rachubę. Była to... hm, hm... że się tak wyrażę, Opatrzność.

Nie dała poznać po sobie, że słyszy, lecz odwróciła się z wyrazem nieopisanego obrzydzenia. Przy pierwszym kroku jednak potknęła się, zachwiała i słabym gestem wyciągnęła do mnie rękę. W samą porę podtrzymałem ją i posadziłem przy kajucie, bo o mało nie upadła. Bałem się, że zemdleje, ale się opanowała.

— Panie Van Weyden, niech pan przyniesie tampon — zawołał Wilk Larsen.

Wahałem się. Maud Brewster poruszyła wargami i choć nie zdołała powiedzieć ani słowa, rozkazała mi oczyma, bym szedł na pomoc nieszczęśliwemu. Wreszcie udało jej się szepnąć:

— Proszę...

Musiałem usłuchać.

Nabrałem już takiej wprawy w chirurgii, że Wilk Larsen, rzuciwszy ledwie parę wskazówek, pozostawił mnie opatrunek i dodał mi do pomocy paru majtków. Na siebie wziął zemstę nad rekinem. Na wielkim obracającym się haku spuszczone w morze kawał solonej wieprzowiny na przynętę.

Przewiązywałem jeszcze uszkodzone żyły i arterie, gdy marynarze z okrzykami wciągali na pokład przekłętego potwora. Nie widziałem tego na własne oczy, ale moi pomocnicy uciekali kolejno, by zobaczyć, co się dzieje na śródokręciu.

Szesnastostopowy rekin zawisł na olinowaniu wielkiego masztu. Rozdziałono mu jak najszerzej paszczę i wstawiono w nią zastrugany z obu końców mocny palik, tak że po wyciągnięciu klinów szczęki oparły się na nim. Następnie wycięto hak z ciała i puszczone rekina z powrotem w morze. Zachowując wszystkie siły żywotne był bezradny, skazany na powolną śmierć głodową — śmierć za życia, mniej zasłużoną przez niego niż przez człowieka, który tę karę wymyślił.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Gdy tylko skierowała kroki w moją stronę, odgadłem, z czym przychodzi. Widziałem, jak przedtem dobre dziesięć minut rozmawiała poważnie z mechanikiem. Kładąc palec na ustach odprowadziłem ją na bok, aby sternik nie mógł nas słyszeć. Twarz miała bladą i stężałą, a wielkie oczy, teraz zdecydowane i jeszcze większe niż zwykle, przenikliwie wpatrywały się we mnie. Czułem się niezbyt pewny siebie, zakłopotany, bo Maud Brewster przyszła odszukać duszę Humphreya Van Weydena, a Humphrey Van Weyden, odkąd znalazł się na pokładzie „Upiora”, niewiele miał powodów do dumy.

Doszedłszy do końca kajuty odwróciła się i spojrzała mi prosto w twarz. Rzuciłem okiem, czy nikt nas nie podsłuchuje.

— O co pani chodzi? — zapytałem łagodnie, ale wyraz zdecydowania nie ustąpił jej z twarzy.

— Mogę przyjąć — zaczęła — że dzisiejsze wydarzenie było przede wszystkim dziełem przypadku, ale rozmawiałam z panem Haskinsem. Opowiedział mi, że w dniu naszego ocalenia, gdy spałam w kabinie, dwu ludzi utopiono, rozmyślnie utopiono, zamordowano.

W głosie jej brzmiało pytanie i wpatrywała się we mnie oskarżycielsko, jak gdybym to ja popełnił przestępstwo lub przynajmniej był współwinny.

— Wiadomość jest prawdziwa — odpowiedziałem. — Ci dwaj zostali zamordowani.

— I pan do tego dopuścił?! — krzyknęła.

— Nie mogłem temu zapobiec, tak raczej należałoby się wyrazić — odparłem, wciąż jeszcze łagodnie.

— Ale pan próbował temu zapobiec?

Położyła nacisk na słowo „próbował”, a w jej głosie zabrzmiała nuta usprawiedliwienia.

— Więc pan nawet nie próbował? — wtrąciła z pośpiechem zgadując moją odpowiedź. — Ale dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

— Zapomina pani, że od niedawna zamieszkuje pani nasz mały światek i że nie rozumie pani jeszcze praw, które nim rządzą. Przyniosła pani z sobą pewne wzniosłe koncepcje, jak ludzkość, męskość, przyzwoitość i tym podobne, które tutaj, jak się pani przekona, są błędne. Sam się o tym przekonałem — dodałem z mimowolnym westchnieniem.

Potrząsnęła niedowierzająco głową.

— Więc co by pani radziła? — zapytałem. — Chwycić nóż, karabin czy siekiere i zabić tego człowieka?

Cofnęła się.

— Nie, tylko nie to.

— Więc cóż miałem robić? Popęłnić samobójstwo?

— Używa pan terminów na wskroś materialistycznych — zaprotestowała. — Istnieje przecież cywilna odwaga, która zawsze wywiera wpływ.

— Ach! — uśmiechnąłem się — radzi mi pani nie zabijać ani jego, ani siebie i pozwolić, żeby on mnie zabił. — Podniosłem rękę widząc, że chce mi przerwać. — Odwaga cywilna jest w naszym małym pływającym świecie zaletą bez wartości. Leach, jeden z zamordowanych, przejawiał niezwykłą odwagę cywilną. Tak samo drugi z nich, Johnson. Nie tylko nie wyszło im to na dobre, ale właśnie ich zgubiło. Tak byłoby i ze mną, gdybym przejawiał choćby tę dozę odwagi, jaką posiadam. Musi pani zrozumieć, i to dobrze, że ten człowiek jest potworem. Jest pozbawiony sumienia. Nie ma dlań nic świętego, nie ma też nic tak ohydneho, na co by się nie ważył. Strzeliło mu najpierw do głowy zatrzymać mnie siłą na pokładzie. Jego fantazji zawdzięczam, że jeszcze żyję. Nic nie robię, nic nie mogę przedsięwziąć, bo jestem niewolnikiem tego potwora, tak samo jak teraz pani jest jego niewolnicą, bo chcę żyć, jak i pani będzie chciała zostać przy życiu; bo nie mogę walczyć z nim i zwyciężyć, jak i pani nie będzie mogła w walce z nim zwyciężyć.

Czekała, co powiem dalej.

— Cóż mi pozostaje? Gram rolę słabego. Milczę i znoszę hańbę, tak zresztą jak i pani będzie musiała milczeć i znosić hańbę. Tak trzeba. Jest to najlepszy sposób postępowania, jeżeli chcemy żyć. Zwycięstwo nie zawsze przypada w udziale silnemu. Brak nam sił, by zmierzyć się z tym człowiekiem. Musimy się maskować i o ile to możliwe, zwyciężyć przebiegłością. Jeżeli pani posłucha mojej rady, tak właśnie będzie pani postępowała. Moją sytuację uważam za niepewną, ale muszę powiedzieć bez ogródek, że położenie pani jest bodaj gorsze. Powinniśmy, nie ujawniając tego, działać w tajemnym przymierzu. Nie będę mógł otwarcie stanąć po pani stronie i choćby mi przyszło znosić najwię-

ksze upokorzenia, pani również będzie musiała milczeć. Należy unikać starć z tym człowiekiem i nie przeciwstawiać się jego woli. A przy tym trzeba się doń uśmiechać i być uprzejmym, choćby był nie wiem jak odpychający.

Musnęła dłonią czoło z jakimś gestem zdumienia i rzuciła:

— Wciąż jeszcze nie mogę pojąć...

— Musi pani postępować tak, jak mówię — przerwałem autorytatywnie, gdyż zauważyłem, że Wilk Larsen, który spacerował po śródkręciu z Latimerem, zaczyna zwracać na nas uwagę. — Niech pani działa według moich wskazówek, a wkrótce przekona się pani, że mam rację.

— Cóż mam więc robić? — zapytała chwytając w locie niespokojne spojrzenie, jakie rzuciłem na przedmiot naszej rozmowy. Pochlebiam sobie, że moja powaga wywarła na niej wrażenie.

— Niech pani zapomni o cywilnej odwadze, jak tylko pani potrafi — odpowiedziałem krótko. — Niech pani nie drażni tego człowieka, zachowując się względem niego przyjaźnie, rozmawia z nim, dyskutuje o literaturze i sztuce — on lubi takie tematy. Znajdzie w nim pani słuchacza gorliwego i bynajmniej nie głupiego. Przez wzgląd na siebie samą niech pani stara się nie widzieć bestialstw zachodzących na pokładzie. To ułatwi pani odgrywanie właściwej roli.

— Mam kłamać — powtórzyła uparcie, z buntem w głosie — kłamać słowem i czynem.

Wilk Larsen zostawił Latimera i zawrócił ku nam. Byłem zrozpaczony.

— Proszę, bardzo proszę, niech pani zechce mnie zrozumieć — dorzuciłem prędko, zniżając głos. — Całe doświadczenie pani w stosunku do innych ludzi i spraw nie przyda się tu na nic. Musi pani zacząć od nowa. Wiem, zauważyłem, że pani przywykła rozkazywać ludziom wzrokiem, wypowiadać swą cywilną odwagę oczami. Pokierowała już pani mną, rzuciła mi pani rozkaz spojrzeniem. Ale niech pani nie próbuje tego na Wilku Larsenie. Znaczyłoby to tyle, co poskramiać lwa, a on i tak zrobiłby z pani swą zabawkę. On... byłem zawsze dumny, że to ja go odkryłem — przeskoczyłem na inny temat w chwili, gdy Wilk Larsen wszedł na rufę i zbliżył się do nas. — Redaktorzy bali się go, a wydawcy nie chcieli drukować. Ale ja wiedziałem, i jego talent, i mój sąd odniosły triumf, gdy *Kuźnia* zyskała takie niebywałe powodzenie.

— I to jako wiersz w gazecie — wtrąciła gładko.

— Rzeczywiście, po raz pierwszy ukazała się w jednej z gazet — odpowiedziałem — ale nie dlatego, że wydawcy periodyków nie mieli okazji wcześniej jej przeczytać. Mówimy o Harrisie — zwróciłem się do Wilka Larsena.

— O tak — przyznał mi rację. — Pamiętam *Kuźnię*. Przepęlniona mdłymi uczuciami i głęboką wiarą w złudzenia ludzkości. Lepiej byłoby jednak, panie Van Weyden, żeby pan odwiedził kucharza. Skarży się i jest niespokojny.

W ten bezceremonialny sposób chciał się mnie pozbyć. Znalazłem bowiem Mugridge'a pogrążonego w głębokim śnie po dawce morfiny, którą mu poprzednio wstrzyknąłem. Nie śpieszyłem się z powrotem na pokład, a gdy wreszcie wyszedłem, zobaczyłem z zadowoleniem, że panna Brewster żywo dyskutuje z Wilkiem Larsenem. Powiedziałem „z zadowoleniem”, bo znaczyło to, że stosuje się do moich wskazówek. A jednak byłem trochę zaskoczony i urażony tym, że jest zdolna spełnić prośbę, która budziła w niej tak wyraźną odrazę.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Rzeźwe, mocne wiatry szybko gnały „Upiora” na północ, ku stadu fok. Napotkaliśmy je ponad czterdziestym czwartym równoleżnikiem na burzliwym morzu, po którym wiatr nieustannie pędził i strzepił ławice mgieł. Często przez parę dni nie widzieliśmy słońca i nie mogliśmy dokonać obserwacji. Potem wiatr rozpędzał chmury, fale migotały, lśniły, a my dowiadaliśmy się, gdzie jesteśmy. Następował dzień, trzy albo cztery dni pogody, i znowu zawisała wokół mgła, gęstsza na pozór niż poprzednio.

Polować było niebezpiecznie, a jednak co rano spuszczaaliśmy łodzie. Znikały prawie natychmiast w szarych mrokach i nie widzieliśmy ich aż do zapadnięcia nocy, a niekiedy i znacznie dłużej. Dopiero wtedy wynurzały się zwykle jedna po drugiej z ciemności jak morskie widziadła. Wainwright — łowca, którego Wilk Larsen przywłaszczył sobie wraz z łodzią i podkomendnymi — skorzystał z mgły i uciekł. Pewnego ranka znikł i nie ujrzeliśmy go więcej, choć niebawem dowiedzieliśmy się, że wraz ze swymi ludźmi przewędrował od szkunera do szkunera, zanim odnalazł własny.

Postanowiłem pójść za jego przykładem, ale daremnie czekałem na okazję. Do obowiązków szturmana nie należało wypływanie łodziami i choć zręcznie o to zabiegałem, Wilk Larsen nigdy mi nie pozwolił. Gdyby tylko to zrobił, już bym w jakiś sposób zdołał zabrać pannę Brewster z pokładu. W obecnym stanie rzeczy sytuacja zaczęła przybierać zatrważający obrót. Bezwiednie uciekałem przed tą myślą, lecz mimo to wracała do mnie jak upiorna zjawia. Czytałem w swoim czasie powieści morskie, gdzie musiała naturalnie występować samotna kobieta wśród męskiej załogi, ale dopiero teraz zobaczyłem, że nigdy nie rozumiałem głębszego znaczenia takiej sytuacji, którą zresztą powieściopisarze tak dokładnie opisali i wyzyskali. A teraz sam musiałem się z tym zmierzyć. Żeby zagadnienie to uczynić bardziej dla mnie istotnym, kobietą była Maud Brewster, która oczarowała mnie swą osobą, tak jak przedtem swymi utworami.

Trudno wyobrazić sobie kogoś mniej pasującego do otoczenia. Była istotą delikatną, eteryczną, smukłą i gibką, lekką i pełną wdzięku. Nigdy mi nie

przyszło na myśl, że ona chodzi, to znaczy, że chodzi na sposób zwykłych śmiertelników. Poruszała się zwiewnie i nieopisanie lekko, tak że gdy nadchodziła, miało się wrażenie, jakby to puch albo ptak o bezszelestnych skrzydłach płynął w powietrzu.

Przypominała figurynkę z drezdeńskiej porcelany i stałe byłem pod wrażeniem jej — to chyba najbardziej odpowiednie słowo — kruchości. Jak w chwili, gdy ująłem Maud Brewster za ramię, by pomóc jej zejść do kabiny, byłem ciągle przygotowany na to, że brutalnie czy szorstko potraktowana gotowa jest się pokruszyć. Nigdy nie widziałem ciała tak harmonijnie zespolonego z duchem. Nazwijmy za krytykami jej poezję wysubtelnioną i uduchowioną, a będziemy mogli nazwać tak i jej ciało. Stanowiło ono cząstkę ducha, miało takie same jak duch właściwości i łączyło ducha z życiem delikatnymi więzami. Rzeczywiście dotykała ziemi lekko i brakło jej czerstwego zdrowia.

Kontrast pomiędzy nią a Wilkiem Larsenem był uderzający. Żadne z nich nie miało w sobie nic z drugiego, było tym, czym nie było drugie. Obserwowałem ich, jak pewnego ranka spacerowali po pokładzie, i przyszło mi na myśl, że stanowią przeciwległe końce drabiny ewolucji rodzaju ludzkiego: on — szczyt dzikości, ona — arcydzieło najwspanialszej cywilizacji. Prawda, że Wilk Larsen miał umysł niepomiarownie rozwinięty, ale oddawał go na wyłączne usługi swym pierwotnym instynktom, a intelekt czynił go tym niebezpieczniejszym dzikusiem. Chód tego potężnego, muskularnego mężczyzny odznaczał się wprawdzie, jak chód człowieka pierwotnego, pewnością i prostotą, nie był jednak ciężki. W każdym jego stąpieniu czaiła się dżungla i dzikość. Wilk Larsen chodził jak kot, giętki i silny, zawsze silny. Przypominał wielkiego tygrysa, bestię czujną i drapieżną. Był podobny do niej, a takie same przenikliwe błyski, jakie czasami strzelały mu z oczu, widziałem u lampartów i innych drapieżników zamkniętych w klatkach.

Tego dnia uderzyło mnie, że to ona przerwała przechadzkę. Podeszli do trapu, skąd ich obserwowałem. Choć niczym nie uzewnętrzniła swego nastroju, wyczułem, że była czymś bardzo zaniepokojona. Spojrzała na mnie i zrobiła jakąś uwagę bez znaczenia, śmiejąc się dość swobodnie, ale jej oczy powędrowały mimo woli ku jego oczom jak zamagnetyzowane. Spuściła je, ale nie dość szybko, by ukryć napływające przerażenie.

Przyczynę tego niepokoju wykryłem w jego oczach. Zwykle szare, zimne, ostre, teraz pały — ciepłe, tkliwe i złociste, rozpląsane ognikami, które przysgasały i nikły, to znów tryskały i napełniały całe oczy promiennym żarem. Może dlatego były złociste, a były takie rzeczywiście, kusicielskie i ujarzmiające. Nęciły i zniewalały zarazem, wyrażając tęsknotę i żądę w sposób oczywisty dla każdej kobiety, a tym bardziej dla Maud Brewster.

Przestrach jej udzielił się i mnie. W tej chwili lęku, najokropniejszego lęku, jakiego doświadczyć może mężczyzna, zobaczyłem, że jest mi nieopisanie droga. Świadomość, że ją kocham, ogarnęła mnie wraz z lękiem i oba te uczucia ścisnęły mi serce, jednocześnie mroząc i burząc w nim krew. Jakaś obca, przytłaczająca moc kazała mi wbrew mej woli spojrzeć Wilkowi Larsenowi w oczy. Ale ten odzyskał już zimną krew. Znikły złociste blaski i płasające ogniki. Oczy jego stały się znów zimne, szare i lśniąco. Ostro skinął nam głową na pożegnanie i odszedł.

— Boję się — wyszeptała z drzeniem — jakże się boję!

Ja się też bałem, a odkąd zdałem sobie sprawę z uczucia dla niej, umysł mój był jak zamroczony. Mimo to udało mi się odpowiedzieć całkiem spokojnie:

— Wszystko dobrze się skończy. Niech pani mi wierzy, wszystko będzie dobrze.

Odpowiedziała nikłym uśmiechem wdzięczności, który sprawił, że serce moje zabiło jak młotem, i zaczęła schodzić po trapie.

Przez długą chwilę stałem bez ruchu. Czuję palącą potrzebę, by pomyśleć nad tą zmianą sytuacji i jakoś się do niej dopasować. Nadeszła wreszcie miłość, w chwili, kiedy najmniej się jej spodziewałem, i w okolicznościach najmniej sprzyjających. Oczywiście przewidywałem, że prędzej czy później muszę odpowiedzieć na ten zew, ale długie lata strawione w ciszy biblioteki tak mnie pochłonięły, że zew miłości zastał mnie nie przygotowanego.

A teraz miłość nadeszła! Maud Brewster! Sięgnąłem pamięcią do pierwszego cienkiego tomiku na mym biurku i jak na jawie zobaczyłem przed sobą rząd cienkich tomików z półki mej biblioteki. Jakże miłe witałem każdy z nich! Co roku jeden taki tomik wychodził spod prasy, a dla mnie zawsze było to doniosłym wydarzeniem. Objawiał się w nich umysł i duch mi pokrewny, toteż przyjmowałem je jak dobrych kolegów; teraz jednak znalazły sobie miejsce w mym sercu.

— Moje serce? W uczuciach mych nastąpiła zmiana. Wydało mi się, że stoję poza sobą i przyglądam się sobie z niedowierzaniem. Maud Brewster! Humphrey Van Weyden, ten sam, którego Charley Furuseth nazwał „zimnokrwistą rybą”, „nieczułym potworem”, „maniakiem analizy” — zakochany! Ni stąd, ni zowąd, jeszcze sobie nie wierząc, przeskoczyłem myślą do krótkiej wzmianki biograficznej w czerwonooprawnej księdze informacyjnej i powtórzyłem: „Urodziła się w Cambridge i ma dwadzieścia siedem lat”. A po chwili dodałem „Dwadzieścia siedem lat, nie zaangażowana uczuciowo i panna?” Ale skąd wiem, że nie zaangażowana? Ból sprawiony kiełkującą zazdrością rozpro-

szył resztę wątpliwości. Nie mogło być dwóch zdań. Byłem zazdrosny, więc kochałem. Kobieta, którą kochałem, była Maud Brewster.

To ja, Humphrey Van Weyden, byłem zakochany! I znów zwątpiłem. Nie dlatego, by miłość przejmowała mnie trwogą czy niechęcią. Przeciwnie, jako głęboki idealista zawsze widziałem i ceniłem i w niej najważniejszą ze spraw ludzkich, cel i szczyt istnienia, najwyższą radość i szczęście, jakie może dać życie, rzecz upragnioną, godną pożądaną i tego, by przyjąć ją do serca. Tylko teraz, gdy przyszła, nie mogłem w nią uwierzyć. Czyż podobna, by właśnie mnie spotkało takie szczęście? Wydało mi się to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Przyszedł mi na myśl wiersz Symonsa*:

W tych latach całym przewędrował świat,
Ciebie szukając pośród kobiet tłumu.

Potem przestałem już szukać. Zdecydowałem wówczas, że ta największa rzecz pod słońcem jest nie dla mnie. Przyznałem rację Furusethowi. Byłem nienormalny, „nieczuły potwór”, mól książkowy, zdolny jedynie do wzruszeń intelektualnych. Choć przez całe życie otoczony kobietami, patrzyłem na nie wyłącznie z estetycznego punktu widzenia. Czasami zdawało mi się, że jestem inny niż wszyscy, jak zakonnik pozbawiony zarówno głębokich, jak i przelotnych namiętności, które widziałem i tak dobrze rozumiałem u innych. A teraz nadeszła! Niespodziewana i nie zwiastowana miłość.

Prawie w ekstazie zeszedłem z dotychczasowego stanowiska przy zejściu do kabiny i idąc po pokładzie szeptałem tę piękną zwrotkę Elżbiety Browning:

Za towarzystwo mająca jedynie
Wizje — miast mężczyzn i kobiet, tak żyłam.
Miłe mi były i już nie marzyłam
słodszej muzyki niż ta, co z nich płynie**.

Ale teraz dźwięczała mi w uszach jeszcze słodsza muzyka. Zapomniałem o całym świecie. Zbudził mnie szorstki głos Wilka Larsena: — Co pan, u diabła, robi?

* Arthur Symons (1865—1945) — drugorzędny poeta i krytyk angielski; wydał zbiory liryków impresyjnych naśladowujących Baudelaire’a: *Silhouettes i London Nights*; nie był wydany po polsku; cytaty w przekładzie Jerzego Bogdana Rychlińskiego.

** Elizabeth Barrett Browning (1806—1861) — poetka angielska, znana przede wszystkim z pięknego cyklu sonetów miłosnych pt. *Sonety z portugalskiego* (*Sonnets from the Portuguese*, 1850). Cytowany fragment pochodzi z sonetu XXVI z tego cyklu, w przekładzie Ludmiły Marjańskiej. (Patrz Elizabeth Browning: *Poezje wybrane*. PIW, Warszawa 1976.)

Zabłądziłem na dziób, gdzie marynarze malowali pokład. Oprzytomniawszy zobaczyłem, że jeszcze chwila, a przewróciłbym garnek z farbą.

— Lunatyzm czy udar słoneczny? Co panu jest? — warknął.

— Niestrawność — odparłem i najspokojniej ruszyłem naprzód, jakby nic się nie wydarzyło.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Następne czterdzieści godzin, od momentu gdy zrozumiałem, kim jest dla mnie Maud Brewster, głęboko wbiły mi się w pamięć. Przez trzydzieści pięć lat, dopóki nie zaplątałem się w tę najbardziej bezsensowną przygodę, prowadziłem spokojny tryb życia i nie pamiętam, bym kiedyś w ciągu czterdziestu godzin przeżył tyle wypadków i wzruszeń. A przy tym wydaje mi się, że mimo wszystko mogę być z siebie dumny.

Zacząło się od tego, że Wilk Larsen oświadczył łowcom przy obiedzie, iż odtąd mają jadać w międzypokładziu — rzecz bezprzykładna na łowieckich szkunerach, gdzie łowców traktuje się nieoficjalnie jako oficerów okrętowych. Nie podał motywów zarządzenia, ale i tak dla nas były one oczywiste. Horner i Dymek zalecali się do Maud Brewster w sposób śmieszny i nieszkodliwy, ale nieznośny dla Wilka Larsena.

Zapadła martwa cisza, tylko czterej pozostali łowcy spojrzeli znacząco na towarzyszy, którzy byli przyczyną tego usunięcia z kajuty. Jock Horner i tym razem zachował zwykły spokój, natomiast Dymkowi krew uderzyła do twarzy i już miał coś powiedzieć. Przyczajony, ze stalowymi błyskami w oczach, Wilk Larsen tylko na to czyhał, ale Dymek zacisnął zęby i nie odzywał się ani słowem.

— Masz co do powiedzenia? — rzucił napastliwie Wilk Larsen.

Było to wyzwanie, ale Dymek nie podniósł rękawicy.

— O czym? — zagadnął tak niewinnie, że Wilk Larsen zmieszał się, a łowcy wyszczerzyli zęby.

— E, nic — odpowiedział niezręcznie. — Myślałem, że ci się coś nie podoba.

— A co? — niewzruszenie pytał Dymek.

Teraz towarzysze Dymka śmiali się od ucha do ucha. Gdyby nie obecność Maud Brewster, kapitan byłby zdolny zabić Dymka, a w każdym razie krew by się poląła. Ale właśnie jej obecność pozwoliła Dymkowi zachować się w ten sposób. Był on zbyt przezorny i ostrożny, by narażać się na gniew Wilka Larsena w chwili, gdy ten mógłby go wyładować gwałtowniej niż w słowach. Miałem poważne obawy, że między tymi dwoma rozpęta się walka, ale sytuację uratował okrzyk sternika.

— Dym, ahój! — zawołał przez otwarty luk kajuty.

— Gdzie? — odkrzyknął Wilk Larsen.

— Wprost za rufą, panie.

— Może rosyjski — rzucił Latimer.

Na twarzach łowców odbił się niepokój. Okręt rosyjski mógł znaczyć tylko jedno — krążownik. Łowcy zawsze tylko z grubsza zdawali sobie sprawę z położenia szkunera, wiedzieli jednak, że znajdujemy się gdzieś na samej granicy wód zakazanych, a przy tym sława Wilka Larsena jako kłusownika była ustalona. Oczy wszystkich spoczęły na nim.

— Jesteśmy zupełnie w porządku — zapewnił ze śmiechem. — Tym razem nie będzie kopalni soli, Dymek. Ale wiecie co, załóżmy się. Stawiam pięć przeciw jednemu, że to „Macedonia”.

Nikt nie chciał się zakładać, więc dodał:

— A jeżeli tak jest rzeczywiście, stawiam dziesięć przeciw jednemu, że będzie z tego jakaś burda.

— Nie, dziękuję — odezwał się Latimer. — Mogę ostatecznie stracić pieniądze, ale chcę mieć jakąś szansę wygrania. Jeszcze nigdy nie spotkał się pan z tym swoim bratem, żeby nie było awantury. Na to chętnie postawię dwadzieścia przeciw jednemu.

Wszyscy nie wyłączając Wilka Larsena wybuchnęli śmiechem i obiad potoczył się gładko, ale moim kosztem, bo Wilk Larsen do końca traktował mnie strasznie i kpinami i lekceważeniem doprowadzał do wściekłości. Pamiętałem jednak, że od mojej zimnej krwi zależy los Maud Brewster i zdołałem się pohamować. Nagrodziła mnie przelotnym spojrzeniem, które mówiło wyraźnie „Bądź dzielny, bądź dzielny!”

Wstaliśmy od stołu i wyszli na pokład. Mile wita się wszelką odmianę na tych monotonnych wodach, a przekonanie, że to Śmierć Larsen i „Macedonia”, stanowiło tym silniejszą atrakcję.

Wczorajsza rześka morka i duża fala uspokoiły się dziś rano i dlatego można było spuścić łodzie na popołudniowe łowy. Polowanie zapowiadało się dobrze. Od świtu żeglowaliśmy po opuszczonym przez fok morzu, ale teraz doganiałszy stado.

Dym widać było jeszcze o parę mil za rufą, ale zbliżał się szybko podczas spuszczenia łodzi. Łodzie rozpierchły się po oceanie i wzięły kurs na północ. Co chwila widzieliśmy, jak żagiel opada, rozlegały się wystrzały i żagiel znowu wlatywał po maszcie. Od fok aż się roiło, wiatr przycichał i zamierał.

Wszystko wróżyło pomyślny połów. Gnając ku nawietrznej, by zająć stanowisko na zawietrznym flanku ostatniej łodzi, natrafiliśmy na wody dosłownie usłane śpiącymi fokami. Żeglowaliśmy środkiem stada. Fok było więcej niż kiedykolwiek. Leżały parami, trójkami lub po kilka wyciągnięte na powierzchni wody i śpiące zupełnie jak leniwe psy.

Pod pióropuszem dymu rozrastał się kadłub i nadburcia parowca. Była to „Macedonia”. Odczytałem nazwę przez lornetę, gdy parowiec mijał nas zaledwie o milę z prawej strony. Wilk Larsen miotał złe spojrzenia, a Maud Brewster była wyraźnie zaciekawiona.

— Gdzie ta awantura, której pan oczekiwał? — spytała go żartem.

Przebłyśki wesomości na chwilę wygładziły mu twarz.

— Czego właściwie się pani spodziewała? Może mieli zdobyć „Upiora”, a nam poderznąć gardła?

— Spodziewałam się czegoś w tym rodzaju — przyznała. — Łowcy fok są dla mnie ludźmi tak nowymi i dziwnymi, że spodziewam się po nich wszystkiego.

Skinął głową. — Słusznie, zupełnie słusznie. Tylko omyliła się pani nie przewidując rzeczy najgorszej.

— Cóż może być gorszego od podejrzenia gardła? — zapytała z naiwnym zdziwieniem.

— Odciecie nam sakiewek — odparł. — Współczesny człowiek tak jest stworzony, że jego zdolność do życia zależy od posiadanych pieniędzy.

— „Kto kradnie mi sakiewkę, kradnie głupstwo” — zacytowała.

— Kto kradnie mi sakiewkę, kradnie moje prawo do życia, wbrew staremu przysłowiu — brzmiała odpowiedź. — Bo kradnie mi chleb, mięso i łóżko, a tym samym wystawia moje życie na niebezpieczeństwo. Za mało jest kuchni dobroczynnych, toteż ludzie z pustymi kieszeniami przeważnie umierają, i to nędznie umierają — chyba że zdołają dość prędko napełnić sakiewki.

— Lecz nie widzę, aby ten parowiec sięgał po pańską sakiewkę.

— Zaraz się pani przekona — odpowiedział ponuro.

Nie musieliśmy długo czekać. Wyprzedziwszy o kilka mil nasze łodzie, „Macedonia” poczęła spuszczać swoje. Wiedzieliśmy, że ma ich czternaście na naszych pięć (brakowało nam znowu jednej łodzi wskutek dezercji Wainwrighta).

Zaczęła je spuszczać w poprzek naszego kursu, daleko poza naszym zawietrznym flankiem, a skończyła daleko za nawietrznym. Dla nas oznaczało to

koniec polowania. Za nami nie było już fok, a przed nami czternaście łodzi gnało przez sobą stado.

Jeszcze przez pewien czas nasze łodzie polowały na przestrzeni dwóch czy trzech mil, które im pozostawały na linii łodzi „Macedonii”, a potem zawróciły. Wiatr ucichł jeszcze bardziej, ocean się wygładzał, a przed sobą mieliśmy stado fok. Były to wyśmienite warunki do polowania, jakie trafiają się dwa czy trzy razy w ciągu pomyślnego sezonu. Gromada wściekłych ludzi — wioślarzy, sterników i łowców — stłoczyła się przy burcie. Każdy czuł się okradziony. Wciągano łodzie wśród takich przekleństw pod adresem Śmierci Larsena, że gdyby przekleństwa miały jaką moc, los jego byłby przesądzony na całą wieczność. Louis naciągnął liny służące do umocowywania łodzi na pokładzie, wyprostował się i mrugając na mnie rzucił:

— Zdechnij i bądź przeklęty na wieki.

— Posłuchaj ich pan, a dowiesz się, co jest najsilniejsze w ich duszach — odezwał się Wilk Larsen. — Wiara? Może miłość? Czy szczytne ideały? Dobro? Piękno? A może prawda?

— Ich wrodzone poczucie sprawiedliwości zostało pogwałcone — wmieszała się do rozmowy Maud Brewster.

Stała o jakie dwanaście stóp od nas, oparta o wanty wielkiego masztu, kołysząc się w takt lekkiego chybotania statku. Nie podniosła głosu, a mimo to byłem zdumiony jego jasnością i czystością. Słodko zabrzmiał mi w uszach. Bałem się na nią spojrzeć, by się nie zdradzić. Na czubku głowy miała czapkę chłopca okrętowego, a jasnokasztanowate włosy, ułożone w luźne, puszyste sploty, chłoneły słońce tworząc aureolę wokół delikatnego owalu twarzy. Była czarująca, słodka i uduchowiona, niemal święta. I znowu na widok tej wspaniałej inkarnacji życia odczułem dla niego podziw, a materialistyczne tłumaczenie życia i jego istoty przez Wilka Larsena wydało mi się śmieszne.

— Sentymentalistka — szydził. — Jak pan Van Weyden. Ci ludzie klną, gdyż zawiodły ich nadzieje urzeczywistnienia pragnień. Nic ponadto. A jakich pragnień? Dobrej strawy, miękkich łóżek na łądzie, kobiet, alkoholu, wszystkiego, co daje im dobra wypłata. Pragną obżarstwa i bestialstwa, w których przejawia się ich prawdziwa istota, to, co w nich najlepszego, ich szczytne aspiracje i ideały. Zewnętrzne objawy uczuć tych ludzi nie są widokiem budującym, ale wskazują, jak dalece ich to dotknęło, jak zaboląła ich strata sakiewek. Uderzyć ich po kieszeni, a dusze się odezwą.

— Ale pan za to nie wygląda na dotkniętego utratą sakiewki — zauważyła z uśmiechem.

— Tylko dlatego, że zachowuję się inaczej, bo ten cios ugodził zarówno w moją kieszeń, jak i w duszę. Przy obecnych cenach skór na rynku londyńskim połów dzisiejszy, sprzątnięty nam sprzed nosa przez „Macedonię”, powinien być przynieść około tysiąca pięciuset dolarów.

— Tak spokojnie pan to mówi — zaczęła.

— Ale nie jestem spokojny. Potrafiłbym zabić tego, który mnie obrabował — przerwał jej. — No tak, wiem, to mój brat, ale cóż z tego? Sentymenty.

Nagle zmienił się na twarzy i zupełnie szczerze, łagodniejszym już głosem powiedział:

— Wy sentymentalisci musicie być jednak szczęśliwi, naprawdę szczęśliwi, kiedy marzycie o dobroci i uważacie świat za dobry. Uważając niektóre rzeczy za dobre, sami czujecie się dobrzy. Więc powiedzcie mi, oboje, czy ja jestem dobrym człowiekiem?

— Dobrze się prezentującym... w pewnym sensie — odparłem.

— Ma pan wszelkie dane po temu, aby być dobrym — brzmiała odpowiedź Maud Brewster.

— Otóż to! — krzyknął prawie ze złością. — Słowa wasze są dla mnie bez treści. Myśl wasza nie jest jasna, ostra, zdecydowana. Nie można by jej ująć w ręce i obejrzeć. W rzeczywistości to nie myśl, tylko wrażenie, uczucie, coś iluzorycznego, a bynajmniej nie wytwór umysłu.

Mówił dalej, a w głos jego zaczęła się znów wkradać łagodna i poufna nuta.

— Trudno uwierzyć, ale ja czasami łapię się na tym, że chciałbym nie widzieć rzeczywistości i także żyć fantazjami i złudzeniami. Są one oczywiście błędne, zupełnie błędne i przeczą zdrowemu rozsądkowi, a jednak rozsądek mówi mi, że niezależnie, czy to błędne, marzyć i żyć złudzeniami jest wyższą rozkoszą. A ostatecznie nagrodą za życie ma być rozkosz. Inaczej jest ono bez wartości. Mordować się w życiu i nie mieć za to nagrody — to gorzej niż umrzeć. Kto czerpie najwięcej rozkoszy, ten żyje najintensywniej, a wasze sny i fantazje mniej was niepokoją i więcej dają zadowolenia niż mnie moje fakty.

Potrząsnął głową w zadumie.

— Często wątpliwa, co najmniej wątpliwa, wydaje mi się wartość rozsądku. Sny muszą być bardziej istotne i zadowalające. Rozkosz emocjonalna jest pełniejsza i trwalsza od intelektualnej, pomijając już to, że za przeżycie intelektualne trzeba płacić melancholią. Tymczasem rozkosz emocjonalna wywołuje najwyżej zmęczenie zmysłów, które szybko przychodzi do normy. Zazdroszczę wam, jakże zazdroszczę.

Urwał nagle i krzywiąc się jednym z właściwych sobie szyderczych uśmiechów dodał:

— Ale zauważcie dobrze, że zazdrozczę wam tylko na podstawie przesłanek, rozumowych, nie zaś z popędu serca. Tak każe mi rozum. Dyktuje mi to rozum. Jestem podobny do trzeźwego, który patrzy na pijanych i będąc bardzo, ale to bardzo zmęczony, żałuje, że sam nie jest pijany.

— Albo jak mędrzec, który patrzy na głupców i żałuje, że sam nie jest głupcem — zaśmiałem się.

— Nie inaczej. Jesteście parą nieprzytomnych, zbankrutowanych szaleńców. Wszystkie wasze czeki są na nie istniejące banki.

— A jednak hojni jesteśmy nie mniej od pana — zauważyła Maud Brewster.

— Hojniejszy, ponieważ to was nic nie kosztuje.

— I ponieważ wystawiamy weksle płatne w wieczności — odparła.

— Wystawiacie lub zdaje się wam, że to robicie, co zresztą na jedno wychodzi. Ale wydajecie to, czego nie macie, a otrzymujecie w zamian więcej aniżeli ja, wydając to, co mam i co zdobyłem w pocie czoła.

— Więc czemu pan nie zmieni podstawy swej waluty? — zapytała żartobliwie.

Rzucił na nią szybkie spojrzenie, w którym zatliła się iskierka nadziei, a potem odpowiedział z żalem:

— Za późno. Choćbym chciał, już nie mogę. Pugilares mój jest wypchany starą walutą, a to rzecz uparta. Nie potrafiłbym się zmusić do uznania innej podstawy wartości.

Zamilkł. Wzrok jego w zamyśleniu ominął ją i powędrował po gładkim morzu. Ogarnęła go pierwotna melancholia. Drżał pod jej ciężarem. Roztrząsaniem tych spraw sam wpędził się w depresję. Przez parę następnych godzin można się było po nim wszystkiego spodziewać.

Przypomniałem sobie Charleya Furusetha i zrozumiałem, że smutek Wilka Larsena był grzywną, jaką każdy materialista płaci za swój materializm.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Był pan na pokładzie, panie Van Weyden — odezwał się do mnie Wilk Larsen przy śniadaniu następnego dnia. — Jakie widoki na dzisiaj?

— Pogoda — odpowiedziałem rzucając okiem na smugę słoneczną, spływającą przez otwarty luk wchodowy. — Wcale niezła bryza* zachodnia, która będzie się wzmagać, jeżeli można wierzyć Louisowi.

Skinął głową z zadowoleniem.

— Mgła się nie pokazuje?

— Gęste ławice na północ i północny zachód.

Skinął głową jeszcze bardziej zadowolony.

— Co z „Macedonią”?

— Nie dostrzeżono — odpowiedziałem.

Przysięgłbym, że na tę wiadomość twarz mu się wydłużyła, jakby doznał zawodu. Wtedy nie mogłem tego zrozumieć. Ale zrozumiałem już wkrótce.

— Dym, ahój! — doszedł nas okrzyk z pokładu i Wilk Larsen rozpromienił się natychmiast.

— Świetnie! — zawołał i pobiegł na pokład, a stąd do sterówki, gdzie łowcy po raz pierwszy siedzieli przy śniadaniu.

Maud Brewster i ja prawie nie tknęliśmy jedzenia. Z niepokojem patrzyliśmy na siebie i słuchali głosu Wilka Larsena, przenikającego przez ściankę dzielącą nas od sterówki. Mówił długo, a kiedy skończył, wybuchła radosna wrzawa. Ścianka była za gruba, byśmy mogli słyszeć, co mówił, musiał jednak wyrzeć silne wrażenie na słuchaczach, gdyż po rykach nastąpiły wiwaty i okrzyki radości.

Z odgłosów dochodzących z pokładu wywnioskowałem, że zwołano marynarzy i spuszczone łodzie.

Maud Brewster wyszła ze mną na górę, ale zostawiłem ją przy tylnym pokładzie, skąd trzymając się na uboczu mogła obserwować, co się dzieje. Marynarze, sądząc z ich zapału i energii, jaką włożyli w pracę, musieli już

* B r y z a — periodyczny wiatr terenowy wiejący prostopadle do ogólnej linii brzegowej — w nocy od lądu ku morzu, w dzień od morza ku lądowi.

dowiedzieć się o planach kapitana. Łowcy wysypali się na pokład ze strzelbami, skrzynkami z amunicją i, wbrew dotychczasowej praktyce, karabinami. Karabiny zabierali rzadko, gdyż foka, ustrzelona z daleka, tonie, zanim łódź zdoła do niej przypląć. Ale tego dnia każdy łowca wziął karabin i duży zapas ładunków. Zauważyłem, że na widok dymu „Macedonii”, który wznosił się coraz wyżej, w miarę jak statek zbliżał się z zachodu, szczerzyli zęby z zadowoleniem.

Pięć łodzi spuszczonech pospiesznie rozwinęło szyk wachlarzowy i pomknęło na północ, tak samo jak ostatniego popołudnia. Szkunier szedł w tyle. Przez dłuższy czas obserwowałem łodzie z zaciekawieniem, ale zachowywały się normalnie. Żagiel opadał, słychać było strzały, wciągano żagiel i łodzie płynęły naprzód, tak jak zawsze. „Macedonia” powtórzyła swój wczorajszy zaborczy manewr i spuściła łodzie tak, by przecięły kurs naszym. Czternastu łodziom potrzeba do polowania znacznej przestrzeni, więc całkowicie zastawiwszy naszą linię, parowiec popłynął dalej na północo-zachód, wciąż spuszcza-
jąc jeszcze łodzie po drodze.

— Co to ma być? — zapytałem Wilka Larsena, kiedy nie mogłem już dłużej utrzymać ciekawości na wodzy.

— Mniejsza z tym, co ma być — mruknął niechętnie. — Zaraz się pan przekonasz, a tymczasem módl się tylko o dobry wiatr. A zresztą... co tam, powiem panu — odezwał się po chwili. — Chcę odpłacić memu braciszкови tą samą monetą. Krótko mówiąc, teraz ja będę zachłanny, i to nie jeden dzień, lecz przez całą resztę sezonu... jeżeli nam się uda.

— A jeżeli nie?

— To nie wchodzi w rachubę — zaśmiał się. — Musi się udać, bo inaczej już po nas.

Podszedł do steru, a ja skorzystałem z tego i udałem się do szpitala w kubyku, gdzie leżeli dwaj chorzy, Nilson i Tomasz Mugridge. Nilson był pogodny, jak zresztą przypuszczałem, bo jego złamana noga zrastała się doskonale. Cockney był za to straszliwie przybity. Poczulem ogromną sympatię dla tego nieszczęśliwca. Najdziwniejsze jednak było, że wciąż jeszcze żyje i czepia się życia. Lata poniewierki uczyniły z niego fizyczną ruinę, a mimo to w tym szczątku chuderlawego ciała iskra życia żarzyła się niczym nie stłumiona.

— Ze sztuczną stopą, a wyrabiają teraz doskonałe protezy, będziesz kuśtykał po kambuzach statków całe wieki — pocieszałem go jowialnie.

Ale odpowiedź jego brzmiała poważnie, więcej, bo uroczyście:

— Nie wiem, o czym pan mówi, panie Van Weyden, ale wiem, że nie umrę w spokoju, nim nie zobaczę, jak ten piekielny pies zdycha. Nie może żyć tak długo jak ja. Nie ma prawa żyć i jak powiedziano w Piśmie: „Na pewno musi umrzeć”. A ja mówię „Amen” i oby tylko prędzej.

Powróciwszy na pokład zastałem Wilka Larsena sterującego jedną ręką, z lornetką w drugiej. Obserwował położenie łodzi, a szczególnie pozycję „Macedonii”. Jediną zmianą, jaką zauważyłem w zachowaniu się naszych łodzi, było to, że szły teraz ostro pod wiatr, zbaczając na kilka rumbów ku zachodowi w stosunku do poprzedniego kursu. Nie rozumiałem celu tego manewru, gdyż ciągle były odcięte od stada przez pięć nawietrznych łodzi „Macedonii”, które również sunęły ostro pod wiatr. W ten sposób oddalały się jednak powoli od reszty łodzi. Nasze łodzie szły nie tylko pod żaglami, ale i pod wiosłami. Nawet łowcy wiosłowali i widać było, że pod trzema parami wiosła przeganiają nieprzyjaciela.

Dym „Macedonii” rozpląnął się w mgławą plamę na północno-wschodnim horyzoncie. Samego parowca niepodobna było dojrzeć. My zaś wałęsaliśmy się rozmyślnie, gubiąc wiatr z żagli i dwukrotnie na krótko stając w dryf. Ale teraz wałęsanie się skończyło. Regulując wszystkie żagle Wilk Larsen nadał statkowi maksymalną szybkość. Przemknęliśmy przez linię naszych łodzi i wzięliśmy kurs na pierwszą nawietrzną łódź nieprzyjaciela.

— Luzuj bomkliwer, panie Van Weyden — rozkazał Wilk Larsen. — Przygotuj się do przerzucenia kliwrów.

Popędziłem na dziób, spuściłem i uwiązałem bomkliwer, zanim minęliśmy łódź o jakie sto stóp po zawietrznej.

Trzej ludzie stanowiący załogę patrzyli na nas podejrzliwie. Sprzątnęli nam foki sprzed nosa, a Wilka Larsena znali przynajmniej ze słyszenia. Zauważyłem, że łowca, olbrzymi Skandynaw siedzący na dziobie, trzyma na kolanach gotowy do strzału karabin, który powinien leżeć w osadzie. Kiedy znaleźli się naprzeciw naszej rufy, Wilk Larsen powitał ich gestem i zawołał:

— Chodźcie na pokład na „stado”.

Przyjść „na stado” znaczy w środowisku łowieckim tyle, co „odwiedzić”, „poplotkować”. Jest wyrazem gadulstwa marynarzy i stanowi miłą rozrywkę wśród monotonii życia na morzu.

„Upiór” zakręcił i wyszedł pod wiatr. Uporałem się z przednimi żaglami w sam czas, by skoczyć w tył i pomóc przy grotżaglu.

— Pani zechce pozostać na pokładzie, panno Brewster — rzucił Wilk Larsen idąc ku przodowi na powitanie gościa. — I pan, panie Van Weyden.

Łódź spuściła żagiel i przybiła do burty szkunera. Łowca, złotobrody jak wiking, przeskoczył przez burtę i stanął na pokładzie. Był to olbrzym, a jednak zdradzał pewne obawy. Na jego twarzy wyraźnie malowała się podejrzliwość i niedowierzenie. Spod zarostu wyglądała szczerą twarz. Odbiło się w niej uczucie ulgi, gdy przebiegłszy oczyma od Wilka Larsena do mnie, stwierdził, że prócz nas nikogo nie ma na pokładzie. Potem spojrzął na swoich ludzi, którzy przyszli jego śladem. Rzeczywiście nie miał powodów do strachu. Przy Wilku Larsenie robił wrażenie Goliata. Na oko miał ze sześć stóp i osiem lub dziewięć cali. Później dowiedziałem się, że ważył dwieście czterdzieści funtów. A przy tym nie był tłusty — same kości i mięśnie.

Znowu cień nieufności przemknął po twarzy olbrzyma, gdy Wilk Larsen, stojąc przy głównym trapie, począł zapraszać go na dół. Ale spojrzawszy z góry na gospodarza nabrał pewności siebie. Wilk Larsen, choć rosły mężczyzna, przy nim wyglądał niepozornie. Odpędziwszy więc obawy, olbrzym zszedł z Wilkiem Larsenem do kajuty. Tymczasem dwaj pozostali przybysze poszli zwyczajem marynarskim do kubryku, aby również skorzystać z gościny.

Nagle z kajuty doszedł przeraźliwy, zdławiony ryk, a po nim odgłosy wściekłej walki. Rzekłbyś, że walczą lampart i lew. Lew czynił cały rumor. Wilk Larsen był lampartem.

— Widzi pani, co warta nasza gościnność — odezwałem się z goryczą do Maud Brewster.

Skinęła głową na znak, że słyszy. Na twarzy jej odmalowało się obrzydzenie, jakie i we mnie wywoływał odgłos czy widok brutalnej walki w pierwszych tygodniach pobytu na „Upiorze”.

— Może lepiej, póki się to wszystko nie skończy, niech pani przejdzie obok sterówki na dziób — zaproponowałem.

Potrząsnęła głową i spojrzała na mnie żałośnie. Nie była przestraszona, raczej jakby wstrząśnięta ludzkim bestialstwem.

— Proszę, niech pani pamięta — skorzystałem z okazji, by ją uprzedzić — że cokolwiek zrobię teraz lub później, to tylko z konieczności, abyśmy mogli ująć cało z tych tarapatów. Mnie też nie jest lekko — dodałem.

— Rozumiem — odpowiedziała słabym, jakby dalekim głosem, ale po oczach poznałem, że istotnie zrozumiała.

Odgłosy z dołu prędko ucichły, a niebawem Wilk Larsen wyszedł na pokład. Pod opalenizną znać było lekki rumieniec, poza tym żadnych śladów walki.

— Panie Van Weyden, przyślij pan tych dwu ludzi na śródokręcie — zwrócił się do mnie.

Spełniłem rozkaz. Nie upłynęło parę minut, a już stali przed nim.

— Wciągnijcie łódź na pokład — powiedział. — Wasz łowca zdecydował się zostać pewien czas na pokładzie i nie chce, aby łódź tłukła się przy burcie. Wciągnijcie łódź, powiedziałem — powtórzył ostrzej, widząc, że się wahają.

— Kto wie? Może przez pewien czas będziecie żeglowali ze mną — podjął, kiedy powoli ruszyli spełnić rozkaz. Mówił miękkim, jedwabistym głosem, z którego przebijała ukryta groźba zadająca kłam łagodnemu tonowi. — Lepiej więc bądźmy ze sobą w zgodzie. Żywo teraz. U Śmierci Larsena musicie prędzej skakać i dobrze o tym wiecie.

Pod wpływem tej zachęty ruchy majtków stały się szybsze, a kiedy łódź znalazła się na pokładzie, Wilk Larsen posłał mnie na dziób, bym poluzował kliwry. Sam stanął przy sterze i skierował „Upiora” ku następnej nawietrznej łodzi „Macedonii”.

Nie mając nic do roboty podczas tego kursu, zwróciłem uwagę na łodzi. Trzecią nawietrzną łódź „Macedonii” napadły dwie nasze, czwartą — trzy pozostałe; piąta łódź nieprzyjacielska pomagała najbliższej towarzysze. Bitwa rozpoczęła się na znacznej odległości i trzask karabinów nie ustawał ani na chwilę. Wiatr podniósł ruchliwą, krótką falę, która uniemożliwiała celny ogień. Zbliżając się do pola bitwy, coraz częściej widzieliśmy, jak kule przecinały grzbiety fal.

Goniona przez nas łódź zakreśliła i pędziła pełnym wiatrem, aby nam uciec, a po drodze odeprzeć atak naszych łodzi.

Żagle i bloki pochłaniały całą moją uwagę i nie miałem czasu obserwować, co się dzieje, ale byłem akurat na rufie, gdy Wilk Larsen kazał dwóm obcym majtkom zejść do kubryku. Poszli, choć niechętnie. Potem kazał zejść na dół pannie Brewster i zaśmiał się na widok przerażenia, jakie natychmiast odmalowało się w jej oczach.

— Nie ma tam nic strasznego — powiedział. — Tylko cały i zdrów człowiek przykrępowany do klamer. Tu na pokładzie będą gwizdać kule, a nie chcę pani śmierci.

Jakby na potwierdzenie tych słów z miedzianej główki szprychy sterowej ześliznęła mu się między rękoma kula i zagwizdała w powietrzu, odlatując ku nawietrznej.

— Widzi pani — powiedział do niej, a potem do mnie: — Pan, panie Van Weyden, stanie przy sterze.

Maud Brewster zeszła głównym trapem, tak że widać było tylko jej głowę. Wilk Larsen uzbroił się w karabin i właśnie go nabijał. Błagałem wzrokiem, by zeszła na dół, ale powiedziała z uśmiechem:

— Choć według niego jesteśmy szczury lądowe i nie umiemy stać na własnych nogach, pokażemy kapitanowi Larsenowi, że potrafimy być równie odważni jak on.

Spojrzał na nią z podziwem.

— Zyskała pani w tej chwili sto procent w moich oczach — powiedział. — Odczytanie, inteligencja i odwaga. Jest pani wszechstronna. Taka kobieta wybornie nadaje się na żonę dowódcy pirackiego statku. Hm, hm, pomówimy o tym później — uśmiechnął się, bo jakaś kula głęboko zaryła w ścianę kajuty.

Zauważyłem, że przy tych słowach oczy błysnęły mu złotem, a w oczach Maud Brewster odbiło się przerażenie.

— Nie, my jesteśmy odważniejsi — wtrąciłem z pośpiechem. — Przynajmniej o sobie mogę to powiedzieć, bo wiem, że jestem odważniejszy od kapitana Larsena.

Teraz mnie zaszczycił przelotnym spojrzeniem. Nie był pewien, czy z niego nie kpię.

Przerzuciłem trzy czy cztery szprychy, bo „Upiór” skreślił pod wiatr. Potem wyrównałem kurs. Wilk Larsen wciąż czekał na wyjaśnienie, więc wskazałem swoje kolana.

— Niech pan zwróci uwagę — powiedziałem — że drżą lekko. Pochodzi to stąd, że się boją, a właściwie boi się ciało. W myślach również drżę ze strachu, gdyż nie chcę umrzeć. Ale mój duch panuje nad drżącym ciałem i wątpliwościami umysłu. Jestem więcej niż odważny. Jestem mężny. Pańskie ciało się nie boi. Pan się nie boi. Nie tylko nic pana nie kosztuje mierzyć się z niebezpieczeństwem, ale sprawia to panu nawet przyjemność. Pan to lubi. Pan, kapitanie Larsen, nie boi się, ale musi pan przyznać, że to ja jestem mężny.

— Ma pan rację — przyznał od razu. — Nigdy dotąd nie myślałem o tym w ten sposób. Ale czy i odwrotne twierdzenie jest słuszne? Jeżeli pan jest mężniejszy ode mnie, czy przez to ja mam być tchórzliwszy od pana?

Obydwaj zaśmialiśmy się z tego paradoksu, po czym Larsen zszedł na pokład i oparł karabin na burcie. Kule dosięgały nas dotąd z prawie milowej odległości, ale teraz odległość zmniejszyła się o połowę. Wilk Larsen mierzył starannie i strzelił trzy razy. Pierwsza kula upadła o pięćdziesiąt stóp od łodzi ku nawietrznej, druga uderzyła koło burty, a przy trzecim wystrzale sternik wypuścił ster i osunął się na dno łodzi.

— Myślę, że to wystarczy — powiedział Wilk Larsen wstając. — Nie stać mnie na to, aby dostało się łowcy, ale mam nadzieję, że wioślarz nie umie sterować, wtedy łowca nie będzie mógł strzelać i sterować jednocześnie.

Rachuby go nie zawiodły, bo łódź wypadła nagle spod wiatru i łowca skoczył na miejsce sternika. Między szkunerem i łodzią skończyła się wymiana strzałów, chociaż w innych łodziach trzask ognia nie ustawał ani na chwilę.

Łowcy udało się znowu wysterować łódź pod pełny wiatr, ale doganialiśmy go robiąc co najmniej dwie stopy na ich jedną. Przepłynęliśmy jeszcze ze sto jardów i zobaczyłem, jak wioślarz podaje łowcy karabin. Wilk Larsen podszedł na śródokręcie i zdjął z ćwieka zwój liny. Potem stanął przy burcie z podniesioną bronią. Zauważyłem, że łowca dwukrotnie wypuszczał ster z ręki i sięgał niezdecydowanie po karabin. Teraz gnaliśmy już burta w burtę, a nawet wyprzedzaliśmy łódź nieprzyjaciela.

— Ty tam! — krzyknął nagle Wilk Larsen do wioślarza. — Uwiąż to.

W tej samej chwili rzucił zwój liny trafiając tak celnie, że o mało nie przewrócił wioślarza. Ten nie usłuchał, spojrzał tylko pytająco na łowcę. Łowca stracił głowę. Trzymał karabin między kolanami, gdyby jednak wypuścił ster z ręki, łódź skreśliłaby i zderzyła się ze szkunerem. Przy tym lufa karabinu Wilka Larsena patrzyła prosto w niego i zrozumiał, że sam nie zdąży nawet wystrzelić.

— Uwiąż — powiedział spokojnie wioślarzowi.

Wioślarz posłuchał, okręcił linę wokół małej ławki na przodzie, a kiedy się wyprężyła, dał jej luzu. Łódź odbiła gwałtownie od szkunera, a łowca nadał jej kurs równoległy do „Upiora”, utrzymując ją w odległości jakich dwudziestu stóp.

— Teraz spuszczać żagiel i przybijać — rozkazał Wilk Larsen.

Ani na chwilę nie rozstawał się z karabinem i nawet szluptalie luzował jedną ręką. Łódź zahaczona przy obu końcach, zawisała na blokach. Obaj zdrowi ludzie przygotowywali się do skoku na pokład. Wówczas łowca podniósł karabin pod pozorem, że chce go umieścić w bezpiecznym miejscu.

— Rzuć to! — krzyknął Wilk Larsen i łowca wypuścił go z rąk jak oparzony.

Znalazłszy się na pokładzie, jeńcy wciągnęli łódź, a potem słuchając wskazówek Wilka Larsena znieśli rannego sternika na dół.

— Jeżeli nasze pięć łodzi spisie się tak jak pan i ja, będziemy mieć ładny komplet załogi — powiedział do mnie Wilk Larsen.

— A człowiek, którego pan zranił... jest, mam nadzieję... — drżącym głosem odezwała się Maud Brewster.

— Dostał w ramię. Nic groźnego. Pan Van Weyden postawi go na nogi w ciągu trzech, czterech tygodni. Tamtym za to, sądząc na oko, nic już nie pomoże — dodał wskazując trzecią z rzędu łódź „Macedonii”, ku której sterowałem i z którą niemal się zrównaliśmy. — To robota Hornera i Dymka. Mówiłem im, że potrzebujemy żywych, nie trupów. Ale dobrzy strzelcy nad wszystko przedkładają celny strzał. Czy pan tego doświadczył, panie Van Weyden?

Potrząsnąłem przecząco głową i przyglądałem się ich robocie. Była krwawa, nie ma co mówić. Teraz odbili i przyłączyli się do trzech innych łodzi atakujących ostatnie dwie łodzie nieprzyjaciela. Zostawiona przez nich łódź zjeżdżała w brudę jak pijana, przetaczając się przez bałwany, ze zwalonym masztem i klaskającym na wietrze żaglem. Łowca i wiosłarz leżeli na dnie jak kłody, sternik zaś zwisał na samej krawędzi, połową ciała w łodzi, a drugą połową za burtą. Ramiona jego wlokły się po wodzie, a głowa bezwiednie opadała z boku na bok.

— Niech pani nie patrzy, panno Brewster, niech pani nie patrzy — błagałem i cieszyłem się, że posłuchała i że widok ten został jej oszczędzony.

— Panie Van Weyden, kurs prosto na te łodzie — zakomenderował Wilk Larsen.

Podeszliśmy bliżej. Ogień ustał. Było już po bitwie. Ostatnie dwie łodzie nieprzyjacielskie zostały zdobyte przez pięć naszych i wszystkie siedem czekało na zabranie ich na pokład.

— Niech pan patrzy! — zawołałem mimo woli, wskazując ku północno-wschodowi.

Plama dymu, unosząca się nad „Macedonią”, ukazała się znowu.

— Widzę ją od dawna — brzmiała spokojna odpowiedź Wilka Larsena. Zmierzył wzrokiem odległość do ławicy mgły i przez chwilę nastawiał policzek, by wyczuć siłę wiatru. — Myślę, że damy sobie radę. Ale może pan być pewny, że ten mój przeklęty braciszek zwietrzył, co się święci, i leci do nas. Hej, patrz pan!

Plama dymu rozlała się nagle i poczerniała.

— A jednak pobiję cię, kochany braciszku — zachichotał. — Pobiję cię i mam nadzieję, że zniszczysz na szmelc swoje stare maszyny.

Gdy zdryfowaliśmy, zapanował gorączkowy, ale nie bezładny pośpiech. Łodzie wciągano ze wszystkich stron naraz. Gdy jeńcy wyszli na pokład, nasi łowcy sprowadzili ich do kubryku. Tymczasem marynarze wciągali jedną łódź

przez drugą. Rzucali je gdziekolwiek i nie tracili czasu na przymocowywanie. Gnaliśmy już pod wszystkimi żaglami i gdy ostatnia łódź zawisła na linach, zwolniliśmy część żagli, bo chcąc utrzymać kurs musieliśmy żeglować półwiatrem.

Mieliśmy powód do pośpiechu. Parowiec, wyrzucając z komina najczarniejszy dym, walił ku nam z północo-wschodu. Nie zważając na pozostałe łodzie, zmienił kurs. Nie gnał wprost na nas, ale zabiegał nam drogę. Kursy nasze schodziły się jak ramiona kąta, którego wierzchołek leżał na skraju ławicy mgły. Tam tylko parowiec mógł nas schwytać. Nadzieją zaś „Upiora” było przejść ten punkt przed „Macedonią”.

Wilk Larsen sterował. Jego oczy błyskały i sypały iskrami, gdy śledził każdy po kolei szczegół pościgu. To badał morze z nawietrznej strony, wypatrując, czy wiatr się wzmacnia, czy słabnie, to znów obserwował „Macedonię” albo wędrował oczyma od żagla do żagla i rozkazywał tu na włos zwolnić żagiel, tam na włos mocniej naciągnąć, aż dobył z „Upiora” maksimum szybkości.

Wszystkie kłótnie i urazy poszły w kąta i ze zdumieniem patrzyłem, z jaką ochotą ludzie, którzy tak długo znosili najgorszą poniewierkę ze strony Wilka Larsena, spełniają jego rozkazy. I gdy tak wzbijaliśmy się, przetaczali i kładli na burtę, rzecz dziwna, przyszedł mi na myśl nieszczęsny Johnson i uczułem żal, że nie ma go wśród nas — tak przecież kochał „Upiora” i zachwycał się jego żeglarskimi zaletami.

— Hej chłopcy, weźcie lepiej za karabiny! — zawołał Wilk Larsen do naszych łowców i pięciu mężczyzn stanęło z bronią w ręku przy zawietrznej burcie.

Teraz parowiec był ledwie o milę. Czarny słup dymu dosłownie leżał za kominem, tak wściekle Śmierć Larsen nas gonił. „Macedonia” musiała robić z siedemnaście węzłów i „grzmiała po toni”, jak zacytował wpatrzony w nią Wilk Larsen. My nie robiliśmy ponad dziewięć mil, ale ławica mgły była tuż.

Kłęb dymu porwał się z pokładu „Macedonii”, usłyszeliśmy ciężki huk wystrzału i w naciągniętej płachcie grotżagla powstała okrągła dziura. Strzelali do nas z jednej z tych małych armat, o których od dawna krążyły pogłoski wśród łowców. Nasi ludzie, skupieni na śródookręciu, zamachali czapkami i wybuchnęli szyderczymi okrzykami. Znowu obłoczek dymu i głośny huk — tym razem pocisk padł nie dalej niż o dwadzieścia stóp za rufą i dwukrotnie przeskakując z fali na falę, zapadł się w głąb po nawietrznej.

Ale karabiny nie odezwały się wcale, bo wszyscy nieprzyjacielscy łowcy albo byli w łodziach na morzu, albo u nas w niewoli. Gdy statki zbliżyły się na pół mili, gruchnął trzeci wystrzał i pocisk zrobił nową dziurę w płachcie grot-

żagla. Potem weszliśmy we mgłę. Otoczyła nas zewsząd, osłaniając i kryjąc swym gęstym, mokrym welonem.

To nagłe przejście było zaskakujące. Jeszcze przed chwilą gnaliśmy w słońcu, pod niebem bez chmurki i po falach załamujących się i przewalających aż do krańców horyzontu, a za nami pędził okręt rzygając dymem, ogniem i żelazem. I naraz słońce zgasło, niebo przestało istnieć, znikły nawet szczyty naszych masztów, a horyzontu mieliśmy tyle, ile go mogą widzieć zachodzące łzami oczy.

Obok nas niosła się niby deszcz szara mgła. Na każdym włóknie ubrania, na każdym włosie zwiśł kryształowy paciorek. Wanty były przepojone wilgocią. Z olinowania kapało nam na głowy. Na rejach tworzyły się długie, chybotliwe łańcuchy kropelek, które przy każdym zanurzeniu statku odrywały się i jak deszcz spadały na pokład. Poczułem ucisk i duszność. Jak szum fal, prutych dziobem okrętu, tak i nasze myśli wracały do nas niesione przez mgłę. Umysł nie chciał rozmyślać nad światem, który znikł za otulającą nas zasłoną. To był świat, cały wszechświat, ze ścianami tak blisko, że człowiek odruchowo wyciągał ręce, aby je odepchnąć. Reszta świata nie mogła kryć się za tymi ścianami z szarzyzny. Reszta — to sen, to tylko wspomnienia snu.

Czułem się dziwnie nieswojo. Spojrzałem na Maud Brewster i poznałem, że odczuwa to samo. Potem przeniosłem wzrok na Wilka Larsena, ale ten nie poddawał się subiektywnym nastrojom. Całą uwagę koncentrował na bezpośredniej, obiektywnej terażniejszości. Sterował nadal i zrozumiałem, że mierzy bieg czasu i liczy minuty według skoków naprzód i przechyleń na burzę „Upiora”.

— Idź pan na dziób. Wyjdziemy pod wiatr. Tylko bez hałasu — odezwał się do mnie przyciszonym głosem. — Najpierw każ pan ściągnąć topsle. Przydziel ludzi do wszystkich żagli. Żeby mi nie było słychać skrzypu bloków ani głosów. Bez hałasu, zrozumiano!

Gdy wszystko było gotowe, doszła do mnie podana z ust do ust komenda: „Ster na zawietrzną” i „Upiór” przeszedł na lewy hals w zupełnej prawie ciszy. Jednak tu i ówdzie klasnęło parę reflinek czy zatrzeszczało serce bloku i wszystkie te dźwięki odbiły się grobowym echem pod całunem, którym byliśmy owinięci.

Ledwie wykonaliśmy ten manewr, mgła zrzędnęła niespodziewanie i znaleźliśmy się znowu w słońcu, a morze rozciągało się przed nami aż po krańce horyzontu. Ale ocean był pusty. Gniewny parowiec nie pruł jego powierzchni ani nie ćmił dymem błękitu nieba.

Wilk Larsen skreślił i szedł po krawędzi mgławicy. Fortel jego polegał na tym, że wszedł w mgłę po nawietrznej stronie parowca, który na ślepo ruszył za nim, w nadziei, że go złapie. Pod osłoną „Upiór” zrobił zwrot, wynurzył się z mgły i pognął jej skrajem, by wejść w nią z powrotem po zawietrznej. Gdy manewr się udał, nawet przysłowie o igle w stogu siana nie mogło zobrazować trudności, jakie napotkał Śmierć Larsen w tych poszukiwaniach.

Wilk Larsen nie gnał długo. Postawił fok i grotzagle na motyla i rozpinając topsle pomknęliśmy znowu w mgłę. Przysiągłbym, że zanim w nią weszliśmy, niejasny kontur kadłuba wynurzył się po nawietrznej. Spojrzałem prędko na Wilka Larsena. Pomimo że byliśmy już zagrzebani we mgle, skinął głową. I on również widział cień. Była to „Macedonia”. Śmierć Larsen przejrzał nasz manewr i spóźnił się tylko o jedno mgnienie. Nie ulegało jednak wątpliwości, że uszliśmy nie zauważeni.

— Nie może nas dłużej gonić — odezwał się Wilk Larsen. — Musi zawrócić po resztę łodzi. Panie Van Weyden, niech pan przydzieli majtka do steru, każe mu utrzymywać kurs i wyznaczy wachty, bo nie będziemy dziś zwlekali. Dałbym pięćset dolarów, żeby choć przez pięć minut być na pokładzie „Macedonii” i słyszeć, jak mój braciszek klnie — dodał po chwili.

— A teraz, panie Van Weyden — powiedział, gdy zastąpiono go przy sterze — musimy przyjąć naszych gości. Każ pan dać łowcom sporo whisky i pošlij kilka flaszek do kubryku. Założę się, że jutro każdy z nich będzie polował dla Wilka Larsena z równym zapalem jak dla Śmierci Larsena.

— A nie zemkną jak Wainwright? — zapytałem.

Zaśmiał się chytrze.

— Nie ma o to obawy, póki nasi starzy łowcy będą tu mieli coś do powiedzenia. Obiecałem im po dolarze od każdej skóry upolowanej przez nowych łowców. Temu zawdzięczam co najmniej połowę okazanego dziś przez nich entuzjazmu. O nie, nie będzie żadnych ucieczek, póki będą mieli coś do powiedzenia. A teraz idź pan do kubryka i weź się do opatrunków. Czeka pana nie lada robota.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Wilk Larsen zastąpił mnie przy rozdawaniu whisky i butelki zaczęły krążyć, gdy tymczasem zająłem się nową partią rannych w kubryku. Nieraz widziałem, jak pije się whisky na sposób praktykowany w klubach, z wodą sodową, ale nigdy tak, jak to robili ci ludzie — z pełnych kubków, kuflów i butelek. Każdy ich haust starczyłby innym do upicia. Oni jednak nie zadowalali się jednym lub dwoma. Pili bez końca, wciąż przybywało pełnych butelek i pili dalej.

Pili wszyscy. Nawet ranni. Ufty-Ufty, który mi pomagał, pił także. Tylko jeden Louis ledwie maczał wargi w trunku, choć w orgii brał udział z równym rozpasaniem jak inni. Były to saturnalia. Z wrzaskiem rozprawiali o stoczonych walce, sprzeczali się o szczegóły, wpadali nagle w rozrzewnienie i zawierali przyjaźń z ludźmi, z którymi niedawno walczyli. Jeńcy i zwycięzcy męczeni czkawką brali się w ramiona i przysięgali sobie nawzajem szacunek i przyjaźń. Oplakiwali niedole minione i przyszłe, te, których spodziewali się pod żelaznym kułakiem Wilka Larsena. Wszyscy przeklinali go i opowiadali potworne przykłady jego bestialstwa.

Oryginalny i okropny obraz — mała, obramowana pryzmami przestrzeń, podłoga i ściany chybocą się i skaczą, światło przyćmione, kołyszą się cienie, to widmowo wydłużone, to potwornie skurczone, powietrze nasiąkłe dymem, wyziewami ciała i jodoformem, rozpalone twarze ludzi, a raczej półludzi. Spojrzałem na Ufty-Ufty. Trzymał w ręku koniec bandaża, obrzucając tę scenę aksamitnym, promiennym spojrzeniem sarnich oczu, a jednak znam pierwotnego diabła, który czai się w nim i zadaje kłam owej łagodności, kobiecej prawie delikatności twarzy i postaci. Zauważyłem też chłopcę z twarzą Harrisona — niegdyś dobroduszną, teraz maskę demona — wykreconą skurczem nienawiści, gdy opowiadał przybyszom o diabelskim statku, na jakim się znajdują, i miotał przekleństwa na Wilka Larsena.

Ciągle Wilk Larsen i tylko Wilk Larsen, pogromca i kat, Cyrce* płci męskiej, a to jego świnię, skatowane bestie, które pełzają przed nim, do buntu zaś zdolne są tylko po pijanemu i w ukryciu. Czyż i ja byłem jedną z tych świń? A Maud Brewster? Nie! Zgrzytnąłem, zębami z taką furją i determinacją, że ranny, którego w tej chwili opatrywałem, skrzyknął się z bólu, a Ufty-Ufty spojrzał na mnie z zaciekawieniem. Uczułem raptowny przypływ sił. Świeżo odkryta

* C y r c e — czarodziejka z *Odysei*; przemieniła towarzyszy Odysa w świnię.

miłość czyniła ze mnie olbrzyma. Nie bałem się już niczego. Nic to, że trzydzieści pięć lat prześlęczałem nad książkami, teraz postawię na swoim wbrew woli Wilka Larsena. Wszystko będzie dobrze! Jak tak zrobię. Rozegzaltowany, odrodzony poczuciem mej mocy, zwróciłem się plecami do tego wyjącego piekła i wdrapałem na pokład, gdzie wśród nocy mgła unosiła się widmowo w powietrzu słodkim, czystym i spokojnym.

Międzypokładzie, gdzie leżało dwóch rannych łowców, było drugim wydaniem kubryku, z tą różnicą, że tu nie przeklinano Wilka Larsena. Z ulgą wynurzyłem się znowu na pokład i powędrowałem do kajuty. Wilk Larsen i Maud czekali na mnie z kolacją.

Podczas gdy załoga piła na umór, on pozostawał trzeźwy. Nie wziął kropli alkoholu do ust. Nie ważył się na to w obecnej sytuacji, bo mógł liczyć tylko na mnie i na Louisa, który właśnie sterował.

Żeglowaliśmy wśród mgły bez wachty i świateł. Dziwiłem się bardzo, że Wilk Larsen tak hojnie częstował alkoholem, ale byłem pewien, że lepiej ode mnie zna psychikę swych ludzi i najlepszy sposób scementowania przyjaźni tego, co rozpoczęło się od przelewu krwi.

Zwycięstwo nad Śmiercią Larsenem dziwnie nań podziałało. Poprzedniego wieczoru rozmyślał tak wiele, że wpędził się w melancholię. Każdej chwili oczekiwałem nowego wybuchu. Ale nic się nie stało, a teraz był w doskonałym nastroju. Może więc zwykła reakcja nie nastąpiła dzięki temu, że udało mu się zdobyć tylu łowców i tyle łodzi. W każdym razie melancholia minęła i demony nie dały znać o sobie. Przynajmniej tak mi się wtedy zdawało, ale niestety za mało go znałem i nie wiedziałem, że właśnie w tej chwili zbierał się do najstraszliwszego z dotychczasowych wybuchów.

Po wejściu do kajuty od razu zauważyłem, że jest w doskonałym humorze. Od wielu tygodni nie cierpiał na ból głowy, oczy miał błękitne jak niebo, opalenizna świadczyła o doskonałym zdrowiu, życie mocnym strumieniem wzbierało, pulsowało mu w żyłach. Czekaając na mnie nawiązał z Maud ożywioną dyskusję. Za temat wybrali pokusę. Z paru dosłyszanych słów zrozumiałem, że jego zdaniem pokusa jest pokusą o tyle tylko, o ile przywodzi człowieka do upadku.

— Bo niech pani weźmie pod uwagę — mówił — podług mnie pobudką czynów ludzkich jest pragnienie. Człowiek ma wiele pragnień. Może pragnąć uniknięcia bólu albo doznania rozkoszy. Lecz wszystko, co robi, robi zawsze dlatego, że tak pragnie.

— Ale przypuśćmy, że pragnie naraz dwu różnych rzeczy, z których jedna nie pozwoli mu zrobić drugiej — przerwała Maud.

— O tym właśnie chciałem mówić.

— W tym właśnie konflikcie objawia się duch człowieka — ciągnęła. — Dobry duch pragnie spełnić dobry czyn, a zły — akurat coś przeciwnego. To duch rozstrzyga.

— Nonsens! — zawołał niecierpliwie. — To pragnienie rozstrzyga. Weźmy człowieka, który, dajmy na to, chce się upić. Jednocześnie nie chce być pijany. Cóż robi? Jak postępuje? Jest marionetką, niewolnikiem swych pożądań i pójdzie za głosem silniejszego — to wszystko. Duch jego nic tu nie ma do powiedzenia. Jak może oprzeć się pokusie pijaństwa i pozostać trzeźwy? Jeżeli pragnienie, by pozostać trzeźwym, przeważa, to dlatego, że jest silniejsze. W tym wypadku pokusa nie odgrywa żadnej roli, chyba — przerwał chcąc sformułować nową myśl, która mu przysłała do głowy — chyba że kusi go pozostanie trzeźwym. Cha! cha! — zaśmiał się. — Cóż pan na to, panie Van Weyden?

— Że dzielicie włos na czworo. Duch człowieka i jego pragnienia to jedno. Albo jeżeli pan woli, suma pragnień człowieka — to jego duch. Pod tym względem obie strony są w błędzie. Pan uzależnia wszystko od pragnienia, traktując je niezależnie od ducha. Panna Brewster zaś podkreśla znaczenie ducha niezależnie od pragnień, a w rzeczywistości duch i pragnienie to jedno i to samo.

— Jednakże — mówiłem dalej — panna Brewster ma rację twierdząc, że pokusa jest pokusą niezależnie od tego, czy człowiek się jej poddaje, czy ją zwycięża. Wiatr rozdmuchuje żar, póki nie buchnie płomień. Pragnienie jest jak żar. Widok pożądanego przedmiotu, nowy nęcący opis czy obraz rzeczy pożądanej rozżarza pragnienie jak wiatr. W tym kryje się pokusa. Jest ona tym wiatrem, który rozdmuchuje pragnienie, aż z żaru buchnie płomień. To jest pokusa. Nie zawsze zdoła ona rozdmuchać namiętności do tego stopnia, by całkiem opanowały człowieka, dopóki jednak je rozdmuchuje, dopóty pozostaje pokusą. A zresztą, słusznie pani zauważyła, że człowiek może być kuszony zarówno przez dobro, jak i przez zło.

— Przy tych słowach zasiedliśmy do stołu. Byłem z siebie dumny. Moje słowa rozstrzygnęły dysputę, a w każdym razie położyły jej koniec.

Ale Wilk Larsen stał się gadatliwy i skłonny do rozmowy jak nigdy. Odniosłem wrażenie, że rozsadza go energia, która musi znaleźć jakieś ujście. Niemal natychmiast zaczął się rozwodzić o miłości. Jak zwykle, jego punkt widzenia był na wskroś materialistyczny, a Maud — idealistyczny. Ja nie brałem udziału w dyskusji, czasem tylko dorzuciłem jakąś uwagę czy coś sprostowałem.

Zarówno Wilk Larsen, jak i Maud byli błyskotliwi. Straciłem na chwilę wątek rozmowy podziwiając jej twarz zazwyczaj bladą, ale teraz ożywioną i zaróżowioną. Maud tryskała dowcipem i widać było, że dyskusja upaja ją tak

jak i Wilka Larsena. Z jakiegoś powodu — nie wiem już w obronie jakiej tezy, tak dalece byłem pogrążony w kontemplacji jednego z kasztanowych loków Maud — Wilk Larsen zacytował słowa Izoldy:

Błogosławionam ponad niewiastami,
Bo grzech mój większy niż wszystkie ich grzechy
I doskonalszy występki*.

Jak wówczas, kiedy odczytywał pesymizm w wierszu Omara, tak uwypuklał teraz oszałamiający triumf i uniesienie w utworze Swinburne'a. Deklamował trafnie i dobrze. Ledwie zamilkł, Louis wsunął przez luk głowę i szepnął:

— Bądźcie państwo cicho! Mgła się podniosła i w tej przekłętej chwili przecina nam kurs bakburtowe** światło parowca.

Wilk Larsen jednym skokiem znalazł się na pokładzie. Był tak szybki, że nie zdążyliśmy wyjść za nim, już zatrzasnął drzwi międzypokładzia, skąd dobywały się pijackie wrzaski, i biegł ku przodowi, by zrobić to samo z włazem do kubryku. Mgła się nie roziała, tylko podniosła wysoko. Przesłoniła gwiazdy i noc stała się zupełnie czarna. Tuż przed nami zobaczyłem dwa jaskrawe światła — czerwone i białe — i usłyszałem wyraźnie pulsowanie maszyn parowca. Nie ulegało wątpliwości, że to „Macedonia”.

Wilk Larsen powrócił na rufę, gdzie staliśmy w milczeniu, patrząc, jak światła prędko schodzą nam z kursu.

— Moje szczęście, że nie mają reflektora — powiedział Wilk Larsen.

— Co by się stało, gdybym krzyknął? — zapytałem szeptem.

— Byłoby po nas — odparł. — Ale czy pomyślał pan, co stałoby się jeszcze przed tym?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, ścisnął mi gardło swoim gorylim chwytem. Muskuly jego drgnęły lekko, pokazując delikatnie, w jaki sposób skrzyłby mi kark. Po chwili puścił mnie i w dalszym ciągu obserwowaliśmy światła „Macedonii”.

— A gdybym ja krzyknęła? — zapytała Maud.

— Za bardzo panią lubię, żebym jej miał zrobić co złego — odpowiedział łagodnie, więcej, bo takim tklwym i pieszczotliwym głosem, że aż drgnąłem.

* Słowa Izoldy pochodzą z poematu Algernona Charlesa Swinburne'a (1837—1909) pt. *Tristram of Lyonesse*, w którym świetny angielski poeta dał własną wersję średnio-wiecznego francuskiego arcydzieła, znanego pt. *Dzieje Tristiana i Izoldy*. Cytat w przekładzie Jerzego Bogdana Rychlińskiego.

** B a k b u r t a — lewa burta.

— Niech pani tego jednak nie robi, bo z punktu skrucę kark panu Van Weydenowi.

— Jeżeli o mnie chodzi, może pani krzyknąć — odezwałem się wyzywająco.

— Bardzo wątpię, żeby pani zdecydowała się poświęcić życie drugiego „dziekana amerykańskiej literatury” — zadrwił.

Nie otworzyliśmy już ust, ale tak zdążyliśmy się do siebie przyzwyczać, że milczenie nie wprawiało nas w zakłopotanie. Dopiero gdy znikły czerwone i białe światła, powróciliśmy do kajuty, by dokończyć przerwanej kolacji.

I znów zaczęło się recytowanie. Maud deklamowała *Impenitentia Ultima* Dawsona. Deklamowała pięknie, ale patrzyłem nie na nią, tylko na Wilka Larsena. Fascynował mnie oczarowany wzrok, jakiego z niej nie spuszczał. Nie panował już nad sobą i zauważyłem, że porusza nieświadomie ustami, powtarzając za nią każde słowo. Przerwał przy zwrotce:

Oczy jej będą światłem, gdy słońce zgaśnie,
Skrzypce głosu — ostatnim dźwiękiem w moich uszach*.

— Ale pani głos brzmi jak muzyka — wypalił bez ogródek, a złote blaski zaigrały mu w oczach.

Jakże ucieszyło mnie opanowanie Maud. Skończyła ostatni czterowiersz bez zająknięcia, a potem powoli skierowała rozmowę na mniej niebezpieczne tory. Przez cały czas siedziałem jak zamroczony. Pijane wrzaski przenikały ze sterówki, a człowiek, którego się bałem, i kobieta, którą kochałem, rozmawiali bez końca. Stół nie był sprzątnięty. Zastępca Mugridge’a przyłączył się widać do swych towarzyszy z kubryku.

Jeżeli kiedykolwiek Wilk Larsen osiągnął kulminacyjny punkt swego życia, uczynił to tego wieczoru. Co pewien czas odbiegałem od własnych myśli, by śledzić jego wywody. Zdumiewał mnie i porywał ten niezwykle intelekt, oczarowała pasja, z jaką głosił apoteozę buntu.

Za przykład musiał oczywiście posłużyć Miltonowski Lucyfer. We wnikliwości, z jaką analizował i przedstawiał tę postać, objawił się cały jego geniusz. W swych wywodach przypominał Taine’a, choć wiedziałem, że nie słyszał nigdy o tym wspaniałym i niebezpiecznym myślicielu.

* Ernest Christopher Dawson (1867—1900) — drugorzędny poeta angielski, znany przede wszystkim jako autor poematów. W Polsce nie wydawany. Jerzy Bogdan Rychliński przytacza fragment jego wiersza we własnym przekładzie.

— Walczył o przegraną sprawę i nie bał się piorunów Boga — mówił Wilk Larsen. — Strażony do piekieł, nie został pokonany. Pociągnął za sobą trzecią część aniołów i natychmiast skłonił ludzi do buntu przeciw Bogu, zdobywając dla siebie i piekła większość ludzkich pokoleń. Cemu został wyparty z niebios? Czyżby był mniej mężny od Boga? Mniej dumny? Mniej ambitny? Nie. Po tysiąc razy — nie! Bóg, wedle Lucyfera, był potężniejszy, a moc swą czerpał z piorunu, którym władał. Ale Lucyfer był wolnym duchem. Służyć znaczyło dla niego tyle, co się dusić. Wolał cierpieć na wolności niż zażywać rozkoszy w wygodnym poddaństwie. Nie chciał służyć Bogu. Nie chciał służyć niczemu. Nie był figurantem. Stał na własnych nogach. Był indywidualnością.

— Pierwszy anarchista — zaśmiała się Maud wstając i gotując się do odejścia.

— W takim razie dobrze być anarchistą! — zawołał.

Podniósł się również, stanął naprzeciwko niej w drzwiach, gdzie się zatrzymała, i zacytował:

Tutaj wolnymi będziemy przynajmniej;
Gdyż nie zazdrości Wszechmogący tego,
Co tu wzniosł: wygnać nas już stąd nie zechce.
Możemy władać tu bezpiecznie. Sądzę,
Że warto władać w piekle, bowiem lepiej
Być władcą w piekle niż sługą w niebiosach *.

wyzwanie rzucone przez potężnego ducha. Wciąż jeszcze wibrował w kajucie jego głos. On zaś stał kołysząc się, jego opalona twarz promieniała. Głowę miał władczo podniesioną, a oczy złote i męskie, niezwykle męskie, zwrócił z łagodnym naleganiem na Maud.

W jej oczach pojawiła się niewysłowiona groza. Maud powiedziała prawie szeptem.

— Pan jest Lucyferem.

Drzwi zamknęły się za nią. On zaś stał z minutę patrząc w stronę, gdzie zniknęła, zanim oprzytomniał i zdał sobie sprawę z mojej obecności.

— Zmienię Louisa przy sterze — rzucił krótko. — Pana zawołam o północy. Tymczasem niech pan idzie się przespać.

Wyciągnął rękawicę bez palców, nałożył czapkę i wyszedł po trapie, ja zaś usłuchałem jego rady i położyłem się spać. Z jakichś niewiadomych, z tajemniczego źródła płynących przyczyn położyłem się całkiem ubrany. Przez pewien

* Cytat z *Raju utraconego* J o h n a M i l t o n a (1608—1674), według wydania PIW-owskiego z roku 1974, w przekładzie Macieja Słomczyńskiego, wersy 303—308 z *Księgi pierwszej*.

czas słuchałem hałasów dochodzących ze sterówki i zdumiewałem się nad miłością, która mnie opanowała, ale że na „Upiorze” sen miałem smaczny i zdrowy, wkrótce śpiwy i krzyki przycichły, oczy mi się zamknęły, świadomość zatarła i utonąłem w półśmierci — śnie.

Nie wiem, co mnie obudziło, dość że znalazłem się na ziemi, zupełnie przytomny. Ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem dźwięczało mi w duszy równie wyraźnie, jakby to był dźwięk trąbki alarmowej. Pchnąłem drzwi kajuty. Lampa ledwie się ćmiła. Ujrzałem Maud, moją Maud, mocującą się i wydzierającą z ramion Wilka Larsena. Zobaczyłem, jak daremnie walczy i usiłuje się wyrwać, przyciskając twarz do jego piersi. Cały ten obraz objąłem wzrokiem i w tej samej chwili rzuciłem się naprzód.

Nim podniósł głowę, uderzyłem go pięścią w twarz, ale był to słaby cios. Ryknął jak dzikie zwierzę i odepchnął mnie ręką. Popchnął mnie tylko, musnął przegubem ręki, ale z taką siłą, że poleciałem w tył jak wystrzelony z katapulty. Uderzyłem w drzwi dawniejszej kajuty Mugridge’a, aż poleciały drzazgi. Nie czułem żadnych obrażeń, ale z trudem wygrzebałem się spod desek i porwałem na nogi. Zdawałem sobie sprawę tylko z ogarniającej mnie wściekłości. Musiałem i ja ryknąć, kiedy wyrwałem nóż z pochwy i po raz drugi rzuciłem się naprzód.

Coś się jednak stało. Zostali rozdzieleni. Byłem tuż przy nim ze wzniesionym nożem, ale powstrzymałem cios. Działo się coś niepojętego. Maud, wsparta o ścianę, szukała ręką jakiegoś uchwytu, a on zataczał się, lewą dłonią przyciskał czoło i osłaniał oczy, a prawą jak zamroczony macał wokół siebie. Natrafił na ścianę i ciało jego, zdawało się, wyraziło jakby fizyczną ulgę, że zorientował się, gdzie jest, ustalił swe położenie w przestrzeni i znalazł oparcie.

Znów opanował mnie szal mordu. Niby przy świetle oślepiającej błyskawicy ujrzałem upokorzenia i krzywdy — wszystko, co sam z jego rąk wycierpiałem i co wycierpieli inni, całą potworność faktu, że taki człowiek żyje. Skoczyłem na ślepo, nieprzytomnie i wbiłem mu nóż w łopatkę. Jednocześnie uświadomiłem sobie, że to tylko powierzchowna rana, bo czułem, jak stal ześliznęła się po kości. Podniosłem nóż, by uderzyć w jakiś delikatniejszy organ.

Ale Maud widziała pierwszy cios i krzyknęła:

— Nie! Proszę tego nie robić!

Na mgnienie opuściłem rękę, ale tylko na mgnienie. Znów podniosłem nóż i Wilk Larsen zginąłby niewątpliwie, gdyby Maud nie stanęła między nami. Oplotła mnie rękami, dotykając włosami mej twarzy. Puls mi załomotał w spo-

sób niepożądany, ale jednocześnie wzrosła i wściekłość. Maud spojrzała mi odważnie w oczy.

— Przez wzgląd na mnie — prosiła.

— Powinienem go zabić przez wzgląd na panią! — krzyknąłem starając się delikatnie uwolnić rękę.

— Cicho — powiedziała, kładąc palce na moich ustach. Gdybym się ośmielił, ucałowałbym je nawet wtedy, w ataku furii, tak słodki był jej dotyk.

— Proszę, tak proszę — błagała i rozbroiła mnie tymi słowami. Przekonałem się później, że jej słowa zawsze wywierały na mnie ten sam wpływ.

Odsunąłem się i włożyłem nóż do pochwy. Spojrzałem na Wilka Larsena. Lewą rękę przyciskał wciąż do czoła. Osłaniał nią oczy. Głowę spuścił na piersi. Robił wrażenie, jakby zwiotczał. Zgiął się w biodrach, a jego wielkie bary pochylły się ku przodowi.

— Van Weyden! — zawołał chrapliwie, głosem drżącym od trwogi. — Och! Van Weyden! Gdzie pan jest?

Spojrzałem na Maud. Nie odezwała się, tylko skinęła głową.

— Jestem tu — odpowiedziałem i podszedłem do niego. — O co chodzi?

— Pomóż mi pan usiąść — poprosił tym samym chrapliwym, przełęczym głosem. — Jestem chory, bardzo poważnie chory, Hump — powiedział, kiedy podtrzymywany przeze mnie osunął się na krzesło.

Oparł głowę o stół i oplótł ją rękoma. Od czasu do czasu kołysał nią w przód i w tył, jakby z bólu. Raz, gdy ją nieco uniósł, zobaczyłem, że kroplisty pot wystąpił mu na czoło u nasady włosów.

— Jestem chory, bardzo chory — powtarzał bez ustanku.

— Co się stało? — zapytałem kładąc mu rękę na ramieniu. — W czym mogę panu pomóc?

Niecierpliwym ruchem strząsnął moją rękę. Długo stałem przy nim w milczeniu. Maud patrzyła na niego zdumiona i przerażona. Nie pojmowaliśmy jeszcze, co mu się stało.

— Hump — odezwał się na koniec — muszę się dostać do mojej koi. Podaj mi rękę. Za chwilę przyjdę do siebie. Myślę, że to jeden z moich przeklętych bólów głowy. Bałem się ich. Miałem uczucie, jakby... nie, nie wiem, co mówię. Pomóż mi... do koi.

Ale kiedy ułożyłem go na koi, znów ukrył twarz w dłoniach i zasłonił oczy. Wychodząc z kajuty słyszałem, jak szeptał:

— Jestem chory, jestem bardzo chory.

Gdy wróciłem, Maud spojrzała na mnie pytająco. Potrząsnąłem głową i powiedziałem:

— Coś mu się stało. Nie wiem co. Jest bezradny i przestraszony, pewnie po raz pierwszy w życiu. Musiało się to stać, zanim go zraniłem. Rana jest zresztą powierzchowna. Czy pani nie zauważyła, jak to się stało?

Pokręciła głową.

— Nic nie widziałam. Też nie wiem, co mu się stało. Raptem puścił mnie i począł się zataczać. Ale co zrobimy? Co ja mam robić?

— Proszę, niech pani poczeka, aż wrócę.

Poszedłem na pokład. Przy sterze stał Louis. — Możecie iść do kubryku — powiedziałem zmieniając go.

Posłuchał z ochotą i zostałem sam na pokładzie „Upiora”. Możliwie najciszej ściągnąłem topsle, spuściłem bomkliwer i sztaksel, wypchnąłem na wiatr kliwer i naciągnąłem grotżagiel. Potem zszedłem na dół do Maud. Z palcem na ustach, zalecając jej milczenie, wszedłem do kajuty Wilka Larsena. Leżał, jak go zostawiłem, i kiwał, niemal rzucał z boku na bok głową.

Nie odpowiedział od razu; dopiero gdy powtórzyłem pytanie, przemówił:

— Nie, nie, jest mi dobrze. Niech mnie pan zostawi do rana.

Odchodząc już, zauważyłem, że znowu kiwa głową.

Maud czekała na mnie cierpliwie. Dreszczem radości przejął mnie jej królewski sposób trzymania głowy i niezmacone piękno jej oczu. Malował się w nich jej wewnętrzny spokój i opanowanie.

— Czy sześćsetmilowy rejs pod moją opieką nie przeraża pani? — spytałem.

— Pan chciałby?... — zawahała się odgadując, co miałem na myśli.

— Tak. Nie pozostaje nam nic, tylko próbować szczęścia w otwartej łodzi.

— To mnie nic innego nie pozostaje — poprawiła. — Pan jest tu równie bezpieczny, jak dotąd.

— Obojgu nam nie pozostaje nic innego, tylko łódź — odpowiedziałem twardo. — Niech pani ubierze się jak najcieplej, ale prędko, i zawinie w węzeł wszystko, co pani chce ze sobą zabrać. I proszę bardzo się śpieszyć — dorzuciłem, gdy wychodziła z kajuty.

Spizarnia była bezpośrednio pod kajutą. Otworzyłem klapę w podłodze, zszedłem do wnętrza z zapaloną świecą i począłem wybierać zapasy okrętowe,

prawie wyłącznie puszki. Kiedy skończyłem, Maud przyszła mi z pomocą i zaczęła odbierać to, co jej z dołu podawałem.

Pracowaliśmy w milczeniu. Ze składu okrętowego zabrałem koce, rękawice, płaszcze nieprzemakalne, czapki i tym podobne. To nie fraszka płynąć w małej łodzi po tak surowym i burzliwym morzu. Należało dobrze zabezpieczyć się przed wilgocią i zimnem.

Pracowaliśmy w gorączkowym pośpiechu. Wyciągnęliśmy łup na pokład, składając go na śródokręciu. Maud, której siły były więcej niż ograniczone, zupełnie wyczerpana, musiała przerwać pracę i usiąść przy trapie. Niewiele to jej jednak pomogło i po chwili wyciągnęła się na wznak na twardej deskach z rozkrzyżowanymi rękoma, wypoczywając całym ciałem. Przypomniałem sobie, że moja siostra używała takiego samego sposobu i stąd wywnioskowałem, że Maud prędko przyjdzie do siebie. Nie zapomniałem też o broni i udałem się do kajuty Wilka Larsena po jego karabin i strzelbę. Zagadałem do niego, ale nie odpowiedział, chociaż nie spał, głowa wciąż opadała mu z boku na bok.

— Żegnaj, Lucyferze — szepnąłem, cicho zamykając drzwi za sobą.

Należało jeszcze zdobyć zapas naboju. Było to całkiem łatwe, chociaż w tym celu musiałem wejść na trap międzypokładzia. Tu łowcy składali pudła z amunicją, zabierane zwykle do łodzi, i tu — o dwa kroki od ich orgii — zawładnąłem dwoma pudłami.

Teraz trzeba było spuścić łódź. Niełatwa to rzecz dla jednego mężczyzny. Odrzuciwszy liny mocujące łódź, podciągnąłem najpierw talię dziobową, potem rufową, aż łódź przeszła przez reling. Wtedy luzowałem to jedną szluptalię, to drugą, po kilka stóp w dół, póki łódź nie zawisała tuż nad wodą, przy burcie szkunera. Upewniłem się, że jest zaopatrzona w wiosła, dulki i żagle. Woda była bardzo ważna, zabrałem więc baryłki ze wszystkich łodzi. Ponieważ było ich dziewięć, mieliśmy dość słodkiej wody, no i balastu także. Zachodziła nawet obawa, że przeładowałem łódź obfitym ekwipunkiem i żywnością.

Gdy Maud podawała mi zapasy, ja zaś rozmieszczałem je w łodzi, z kubryku wyszedł majtek. Postął przez pewien czas przy nawietrznej burcie (nasza łódź wisiała przy zawietrznej) i powlókł się ku śródokręciu, gdzie znów przystanął twarzą do wiatru, a plecami do nas. Kuląc się w łodzi, słyszałem bicie własnego serca. Maud osunęła się na pokład i leżała bez ruchu w cieniu nadburcia*. Ale majtek nie odwrócił się, tylko przeciągnąwszy się i ziewnąwszy głośno, zniknął na powrót w kubryku.

Parę minut starczyło, byśmy skończyli ładowanie. Potem spuściłem łódź na morze. Gdy pomagałem Maud przejść przez burty i uczułem jej bliskość,

* N a d b u r c i e — część burty wystająca nad pokładem.

ledwie zdołałem powstrzymać okrzyk: „Kocham cię, kocham!” Nie ulega wątpliwości, że Humphrey Van Weyden jest nareszcie zakochany — pomyślałem, kiedy jej palce zacisnęły się na moich. Ściągnąłem ją do łodzi w ten sposób, że jedną ręką uczepiłem się burty, a drugą podtrzymywałem Maud w górę. Byłem dumny z tego wyczynu. Takiej siły nie miałem jeszcze przed paroma miesiącami, kiedy żegnałem Charleya Furusetha i odpływałem do San Francisco na pokładzie fatalnego „Martineza”.

Łódź podskoczyła na fali i Maud dosięgła stopą dna. Puściłem jej rękę. Odrzuciłem szlupталie i skoczyłem do łodzi. Nigdy w życiu nie wiosłowałem, jednak wyciągnąłem wiosła i z wielkim trudem odbiłem od „Upiora”. Potem zacząłem robić próby z żaglami. Nieraz widziałem, jak sternicy i łowcy podnosili żagiel, ale była to moja pierwsza próba. Na co im wystarczały prawdopodobnie dwie minuty, ja potrzebowałem dwudziestu, ale w końcu udało mi się postawić żagle i ze sterem w rękę pognałem pod wiatr.

— Tam leży Japonia — rzuciłem. — Prosto przed nami.

— Humphrey Van Weyden — odezwała się Maud — jest pan dzielny człowiekiem.

— Nie, to pani jest dzielną kobietą — odparłem.

Wiedzeni jedną myślą, odwróciliśmy głowy, by ostatni raz rzucić okiem na „Upiora”. Przysadzisty kadłub szkunera wzbil się na fali i zataczał ku nawietrznej. Żagle majaczyły na tle nocy. Przykrępowany silnie ster skrzypiał, gdy fala uderzała w jego pióro. Potem sylwetka statku zmaląła, odgłosy zamarły i zostaliśmy sami na czarnym oceanie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Zaświtał szary, zimny dzień. Wiała rześka bryza. Żeglowaliśmy ostro pod wiatr i Kompas wskazywał, że kurs nasz wypada wprost na Japonię.

Choć miałem na rękach ciepłe rękawiczki, palce zaciśnięte na sterze zdrętwiały mi z zimna i bolały nieznośnie. Bolały też przemarznięte nogi i jak zbawienia czekałem wzejścia słońca.

Przede mną na dnie łodzi spała Maud. Jej przynajmniej było ciepło, bo leżała na posłaniu z grubych der i była nimi przykryta. Aby uchronić ją od chłodu, nasunąłem jej na twarz wierzchni koc, tak że widziałem tylko jej niewyraźne kontury i kasztanowate włosy, które wymknęły się spod przykrycia i lśniły kroplami rosy.

Wzrokiem zakochanego wpatrzyłem się w ten jedyny widomy znak jej obecności. Spojrzenie było tak uporczywe, że po chwili poruszyła się, odrzuciła koc, uśmiechnęła się do mnie zaspanymi jeszcze oczyma.

— Dzień dobry, panie Van Weyden. Czy widzi pan już ląd?

— Nie, ale zbliżamy się do niego z szybkością sześciu mil na godzinę.

Zrobiła rozczarowaną minę.

— Ale to jest sto czterdzieści cztery mile na dobę — dodałem uspokajająco.

Rozchmurzyła się.

— A ile mil mamy jeszcze do przebycia?

— Syberia leży tam dalej — powiedziałem wskazując na zachód. — Ale na południowy zachód, o jakieś sześćset mil stąd jest Japonia. Jeżeli wiatr się nie zmieni, będziemy tam za pięć dni.

— A jeżeli będzie burza? Łódź może nie wytrzymać? — Miała swoisty sposób patrzenia w oczy, kiedy chciała dowiedzieć się prawdy, i tak spojrzała na mnie teraz.

— Musiałaby nas spotkać wielka burza — zwlekałem z odpowiedzią.

— A jeżeli spotka nas wielka burza?

Skinąłem głową.

— Ale każdej chwili mógłby nas zabrać któryś z łowieckich szkunerów, takich wiele jest rozproszonych po tej części oceanu.

— Jak pan przemarzył! — zawołała. — Pan drży. Niech pan nie przeczy. Widzę przecie. A ja leżałam tutaj w cieple.

— Nie rozumiem, co by to pomogło, gdyby pani siedziała i również przemarzła — zaśmiałem się.

— O, pomoże, kiedy będę umiała sterować, a nauczę się z pewnością.

Usiadła na ławce i przystąpiła do najprostszej toalety. Rozpuściła włosy; rozsypały się po ramionach, zakrywając jej twarz i plecy. Kochane, mokre, brązowe włosy! Chciałem je całować, czesać palcami, zanurzyć w nich twarz! Parzyłem zachwycony, aż łódź skręciła pod wiatr i obwisły żagiel przywołał mnie do obowiązku. Wbrew analitycznej naturze byłem zawsze romantykiem, idealistą i nie rozumiałem dobrze fizycznej strony miłości. Miłość mężczyzny do kobiety pojmowałem jako rzecz wzniosłą, duchową, przyciągającą ich dusze do siebie. Więzy ciała w moim pojęciu nie stanowiły wiele. Teraz jednak na sobie samym zakosztowałem słodkiej lekcji, że duch przeobraża się w ciało i wyraża przez nie, że widok, zapach, jedwabistość włosów ukochanej mówią o stronie duchowej tak samo jak blask jej oczu albo myśli, które wypowiada. Bądź co bądź duch sam jest nie do poznania, jest jedynie czymś wyczuwanym, zgadywanym i pozbawionym własnych środków wyrazu. Jehowa przybrał postać ludzką, gdyż mógł zwracać się do Hebrajczyków jedynie pod postacią, którą zdolni byli pojąć. Toteż widzieli go oni albo na obraz i podobieństwo swoje, albo w postaci chmury, albo płomiennego słupa, ale zawsze jako coś dotykającego, realnego, uchwytnego dla umysłu.

Patrzyłem więc na kasztanowe włosy Maud, oczarowany nimi, i dowiadywałem się w ten sposób więcej o miłości, niż pieśniarze i poeci nauczyli mnie swymi pieśniami i sonetami.

Szybkim, zręcznym ruchem odrzuciła włosy do tyłu, odsłaniając uśmiechniętą twarz.

— Czemu kobiety nie noszą zawsze rozpuszczonych włosów? — spytałem. — Tak jest daleko ładniej.

— O, gdyby tylko nie plątały się tak okropnie — zaśmiała się. — Masz tobie! Zgubiłam jedną z drogocennych szpilek!

Przez cały czas wiatr wymykał mi się z żagla, z takim zachwytem śledziłem każdy jej ruch, gdy szukała szpilki wśród koców. Zdumiewało mnie i radowało zarazem, że tak bardzo była kobietą; każdy objaw i rys kobiecości cieszył mnie nadzwyczajnie, bo w myślach zanadto ją wyniosłem. Wzniosłem ją ponad

poziom człowieczeństwa i za daleko od siebie. Uczyniłem z Maud boską i nieprzystępną istotę. Widząc teraz, jak odrzuca włosy albo jak szuka szpilki, cieszyłem się, że mimo wszystko jest kobietą, że należymy do rodzaju ludzkiego, że nie dzieli nas różnica poziomów i że między nami możliwa jest owa rozkoszna zażyłość, jaka wytwarza się między mężczyzną i kobietą, a przy której Maud nie straciłaby nic z mego uwielbienia i szacunku.

Wreszcie z lekkim okrzykiem znalazła szpilkę, ja zaś skupiłem uwagę na sterowaniu. Począłem znów próbować różnych sposobów i kiedy podparłem i przywiązałem ster, łódź sama doskonale trzymała kurs. Nie obeszło się wprawdzie bez małych odchyień w jedną lub w drugą stronę, ale ostatecznie rezultat był zadowalający: łódź powracała zawsze do zasadniczego kursu.

— A teraz zjemy śniadanie — powiedziałem. — Przede wszystkim jednak musi pani ciepłej się ubrać.

Wyciągnąłem grubą nową bluzę zrobioną z koca, którą zabrałem ze składu okrętowego. Znałem ten materiał, gruby i gęsty, który nie przemakał nawet po długich godzinach przebywania na deszczu. Wciągnęła ją przez głowę. Zamiast czapki chłopca okrętowego dałem jej rybacki kaptur, tak obszerny, że zmieściły się pod nim włosy, a gdy opuściła klapy, zakrywał kark i uszy.

Wyglądała teraz czarująco. Miała twarz, która w każdej oprawie jest ładna. Nic nie mogło zeszpecić jej doskonałego owalu, prawie klasycznych rysów, brwi delikatnie zarysowanych, oczu dużych, piwnych, o jasnym, spokojnym, wspaniale spokojnym wejrzeniu.

Nieco silniejszy podmuch zadał akurat w chwili, gdy łódź ukosem przecinała grzbiet fali. Przechyliła się gwałtownie, aż krawędź sięgała poziomu morza, nabierając z wiadro wody. Byłem właśnie zajęty otwieraniem puszkii ozora, ale zdążyłem ją rzucić i skoczyć do szotów. Żagiel zatrzepotał i łódź odeszła od wiatru. Parę minut wystarczyło, by położyć ją na dawny kurs. Zająłem się znowu śniadaniem.

— Chociaż nie mam pojęcia o sprawach morskich, zdaje mi się, że to działa sprawnie — powiedziała, poważnie skinąwszy głową na znak uznania dla mego urządzenia ze sterem.

— Tak, ale to nam wystarczy, dopóki będziemy szli bajdewindem* — wyjaśniłem. — Przy pełniejszym wietrze, fordewindzie, baksztagu i halfwindzie, będę musiał sterować.

— Nie rozumiem tej terminologii — odpowiedziała, — ale wiem, do czego pan zmierza, i wcale mi się to nie podoba. Nie może pan sterować dzień i noc

* B a j d e w i n d — kurs statku w stosunku do wiatru, który wieje na ukos do dziobu. Oznacza również wiatr wiejący na ukos z przodu.

bez ustanku. Po śniadaniu musi mi pan udzielić pierwszej lekcji. A potem się pan położy i zaśnie. Będziemy mieć wachty, tak jak na statkach.

— Jakże mam panią nauczyć? — protestowałem. — Sam się dopiero uczę. Zdając się na moją opiekę, nie przypuszczała pani, że nie mam doświadczenia w żeglowaniu małymi łodziami. W łodzi jestem po raz pierwszy.

— W takim razie będziemy się uczyć razem, mój panie. Zaraz podzieli się pan ze mną tym, czego nauczył się pan w nocy. A teraz śniadanie. Co za apetyt mam na powietrzu!

— Nie ma kawy — odezwałem się z żalem, podając jej nasmarowany masłem suchar i kawałek ozora. — I odtąd nie będzie ani herbaty, ani zupy, nic gorącego, póki jakoś gdzieś nie wylądujemy.

Po tym skromnym, popitym zimną wodą śniadaniu Maud zaczęła się uczyć sterowania. Ucząc ją, sam odkrywałem sporo rzeczy, choć na ogół stosowałem umiejętności zdobyte przy sterowaniu „Upiorem” i to, co zaobserwowałem z manewrów łodzi łowieckich.

Była pojętna i prędko nauczyła się trzymać kurs, wyostrzać przy podmuchach i zwalniać szoty w razie niebezpieczeństwa.

Udając, że się zmęczyła, oddała mi ster. Złożyłem koce, ale teraz rozwinęła je na dnie łodzi. Usławszy je wygodnie powiedziała:

— A teraz, mój panie, do łóżka. Będzie pan spał do drugiego śniadania. Nie, do obiadu — poprawiła przypominając sobie porządek dnia na „Upiorze”.

Cóż miałem robić? Nastawała i powtarzała: „Proszę, bardzo proszę”, więc oddałem jej ster i słuchałem. Kiedy wpełznąłem w poślanie przygotowane jej ręką, odczułem wprost zmysłową przyjemność. Miałem wrażenie, że spokój i opanowanie, które były z Maud, udzieliły się kocom, tak że wkrótce ogarnęło mnie słodkie rozmarzenie i błogość. Brązowe oczy i owal twarzy obramowanej rybackim kapturem majaczyły mi to na tle szarej chmury, to znów szarego morza, i zasnąłem.

Spojrzałem na zegarek. Była pierwsza. Spałem więc siedem godzin! A ona przez siedem godzin sterowała! By ująć ster, musiałem najpierw rozgiąć jej skostniałe palce. Była tak wyczerpana, że nie mogła się ruszyć z miejsca. Musiałem puścić szoty, by ją ułożyć i rozetrzeć zziębnięte dłonie i ramiona.

— Taka jestem zmęczona — powiedziała, szybko wciągając powietrze. Westchnęła i gestem zmęczenia opuściła głowę. Lecz w tej samej chwili wyprostowała się.

— Ale nie krzyczeć, nie wolno krzyczeć! — zawołała z żartobliwą czupurnością.

— Chyba nie znać po mnie złości — odpowiedziałem poważnie. — Mogę panią zapewnić, że nie jestem ani trochę zły.

— No tak — odrzekła. — Raczej wyrzut.

— W takim razie mam szczerą twarz, bo maluje się na niej to, co czuję. Nie postąpiła pani uczciwie ani wobec siebie, ani wobec mnie. Czy będę mógł jeszcze kiedyś pani zaufać?

Wyglądała na skruszoną.

— Będę grzeczna — mówiła jak niegrzeczne dziecko. — Przyrzekam...

— Słuchać mnie jak marynarz kapitana?

— Tak. To było głupio z mojej strony, przyznaję.

— Więc niech pani przyrzeknie jeszcze jedno — zaryzykowałem.

— Z przyjemnością.

— Że nie będzie pani zbyt często mówiła „proszę, proszę”, bo wtedy na pewno podważy pani mój autorytet.

Maud zaśmiała się ubawiona. Zdawała sobie sprawę z potęgi tego powtarzanego „proszę”.

— To ładne słowo — podjąłem.

— Ale nie powinnam go nadużywać — wtrąciła.

Śmiała się jednak słabo i głowa znów opadła jej na piersi. Porzuciłem ster, aby owinać jej nogi kocami i przykryć skrawkiem twarzy.

Niestety! Nie była silna. Z trwogą spojrzałem ku południowemu zachodowi i pomyślałem o tych sześciuset milach trudów — jeżeli nie gorzej — jakie nas czekały. Na tych wodach mogła każdej chwili zerwać się i zatopić nas burza. A jednak nie bałem się wcale. Nie byłem pewny, co przyniesie przyszłość, napełniały mnie wątpliwości, ale w głębi duszy nie odczuwałem strachu. Powtarzałem sobie ciągle, że wszystko musi, musi się dobrze skończyć.

Po południu wiatr przybrał na sile i fala urosła. Przeszedłem wraz z łodzią ciężką próbę. Prowiant i dziewięć baryłek z wodą pozwoliły łodzi stawiać czoło fali i wiatrowi. Możliwie najdłużej utrzymywałem żagiel. Wreszcie usunąłem rozprze, ściągnąłem górny róg żagla mocno ku dołowi i gnałem przed siebie, jak mawiają angielscy marynarze, „pod cielęcą nóżką”.

Późno po południu dojrzałem dym na horyzoncie z zawietrznej strony. Był to albo rosyjski krążownik, albo jeszcze prawdopodobniej „Macedonia”, poszukująca dotąd „Upiora”. Przez cały dzień słońce nie pokazywało się wcale i panował przejmujący ziąb. Pod noc chmury zgęstniały i wzmógł się wiatr,

tak że kolację musieliśmy jeść w rękawicach. Jadłem z ręką na sterze, łykając kęsy między podmuchami wiatru.

Tymczasem ściemniło się. Wiatr i fale były już tak duże, że choć niechętnie, musiałem opuścić żagiel i zrobić morską kotew. O tym sposobie dowiedziałem się z opowiadań łowców. Łatwo jest ją wykonać. Owinąłem żagiel dokoła masztu, bomu, rozprza oraz dwóch par zapasowych wiosł, a potem wyrzuciłem to wszystko za burtę. Linę idącą od tego umocowałem na dziobie. Kotew zносиło znacznie wolniej od łodzi, gdyż płynęła pod powierzchnią i nie była wystawiona na działanie wiatru. Przytrzymała więc łódź dziobem do wiatru i fali. Jest to najbezpieczniejsza pozycja, która zapobiega zalaniu łodzi przez grzywacze.

— No, a teraz? — zapytała Maud pełnym otuchy głosem, gdy zakończyłem robotę i naciągnąłem rękawice.

— Teraz nie płyniemy już ku Japonii. Znosi nas na południowy wschód albo południo-południo-wschód z szybkością co najmniej dwóch mil na godzinę.

— To wyniesie tylko dwadzieścia cztery mile — odparła — jeżeli wiatr potrwa przez całą noc.

— Tak, i tylko sto czterdzieści mil, jeżeli potrwa ze trzy dni i noce.

— Ale nie potrwa — zapewniła z głębokim przekonaniem. — Zmieni kierunek i znowu będzie pomyślny.

— Morze jest bardzo wiarołomne.

— Ale wiatr! — odparła. — Słyszałam, że pan z zachwytem wyrażał się o wspaniałym pasacie.

— Żałuję, że nie pomyślałem, aby wziąć chronometr i sekstans* Wilka Larsena — ciągnąłem posepnie. — Żeglować w jednym, dryfować w drugim kierunku i być znoszonym przez prąd w jakimś trzecim uniemożliwia obliczenie wypadkowej. Niedługo nie będziemy wiedzieli, gdzie jesteśmy, i nasza omyłka może wynieść do pięciuset mil.

Potem przeprosiłem Maud i obiecałem, że więcej nie będę upadał na duchu. Nalegała, więc pozwoliłem jej wachtować do północy — była wtedy dziewiąta. Przed położeniem się jednak zawinałem ją w koce i ubrałem w płaszcz nieprzemakalny. Drzemałem tylko, budząc się co chwila. Łódź skakała, przewalała się przez bałwany i słyszałem, jak fala rwie tuż obok. Piana spadała na nas co chwila.

* S e k s t a n s (lub sektant) — precyzyjny kątomierz nawigacyjny służący do pomiarów wysokości ciał niebieskich w celu określenia szerokości geograficznej miejsca pomiaru.

A przecież nie najgorsza to jeszcze noc — myślałem — nic w porównaniu z nocami spędzonymi na „Upiorze” i w porównaniu z nocami, które czekają nas w tej łupinie. Poszycie łodzi miało trzy czwarte cale grubości. Od dna morskiego dzielił nas mniej niż cal drzewa.

Mimo to powtarzam, że się nie bałem. Nie czułem strachu przed śmiercią, której obawiałem się z rąk Wilka Larsena, a nawet Tomasza Mugridge’a. Przemieniło mnie pojawienie się Maud Brewster w moim życiu. Ostatecznie — rozumowałem — lepiej i piękniej kochać samemu niż być kochanym, skoro wtedy coś w życiu staje się tak cenne, że człowiek chętnie za to umrze. Przez miłość dla innej istoty zapomniałem o sobie. Ale tak się dziwnie złożyło, że nigdy mocniej nie pragnąłem żyć niż właśnie teraz, kiedy najmniej ceniłem sobie własne życie. Nigdy nie miałem tak ważnego powodu, aby żyć — pomyślałem na koniec. Póki oczy mi się nie zamknęły, usiłowałem przebić wzrokiem ciemności i dojrzeć skurczoną na rufie Maud. Obserwowała spienione fale, gotowa każdej chwili mnie zawołać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Nie widzę potrzeby rozwodzić się nad udrękami, jakie znosiliśmy w łodzi, którą przez wiele dni gnało przez ocean i zносиło we wszystkich kierunkach. Przez całą dobę wiał gwałtowny wicher z północo-zachodu, potem ucichł i w nocy zadał znów z południo-zachodu. Mieliśmy więc wiatr przeciwny, ale wciągnąłem kotew, podniosłem żagiel i ruszyłem ostro pod wiatr ku południo-południo-wschodowi. Mogłem wybierać tylko między tym kursem i zachodnio-północno-zachodnim, na który pozwoliłby nam wiatr. Ciepłe podmuchy południa zbudziły we mnie tęsknotę do podzwrotnikowego morza i wpłynęły na mą decyzję.

Po upływie trzech godzin, o północy, gdy na morzu panowała głęboka ciemność, wiatr, wciąż południowo-zachodni, wzmógł się do tego stopnia, że musiałem na nowo rzucić kotew.

Dzień zastał mnie zmizerowanego. Ocean pokrywały białe grzywy i łódź stawała prawie pionowo na końcu liny przywiązanej do kotwi. Lada chwila grzywacze mogły nas zatopić. Bryzgi piany wpadały do łodzi tak gęsto, że musiałem bez ustanku czerpać wodę. Koce namokły. Wszystko przemokło prócz Maud, która miała na sobie płaszcz nieprzemakalny, kaptur i gumowe buty. Tylko jej twarz, ręce i wymykający się spod kaptura lok były mokre. Co pewien czas zastępowała mnie, czerpiąc wodę co siły i dzielnie stawiając czoło burzy. Wszystko jest względne. Był to właściwie mocny wicher, ale dla nas, na śmierć i życie walczących z żywiołem w małej łodzi, znaczył tyle co sztorm.

Zmarznięci, zwątpieni, chłostani przez wiatr po twarzach pośród ryczącego i spienionego oceanu przetrwaliśmy dzień. Zapadła noc, ani Maud, ani ja jednak nie spaliśmy. Zaświtał dzień, a wiatr wciąż chłostał nas po twarzach i białe grzywacze pędziły z rykiem naprzód. W nocy, która nastąpiła po tym dniu, Maud zasnęła z wyczerpania. Nakryłem ją płaszczem i brezentami. Ubranie miała stosunkowo suche, ale zdrętwiała z zimna. Bałem się, że może umrzeć w nocy, a tymczasem nastał dzień zimny, beznadziejny, pochmurny, z chłószczącym wiatrem i rykiem bałwanów.

Nie spałem od czterdziestu ośmiu godzin. Przemęczony i przeziębiony do szpiku kości, byłem ledwo żywy. Ścierpłem z wysiłku i zimna i mięśnie sprawiały mi nieznośny ból przy każdym ruchu, a ruszałem się bezustannie.

Przez cały czas wiatr odganiał nas od Japonii na północo-wschód, w kierunku ponurego Morza Beringa.

Mimo wszystko żyliśmy i łódź się trzymała, choć wiatr nie ustawał. Na trzeci dzień pod wieczór wzmógł się nawet. Dziób dał nurka pod grzywę fali i łódź napełniła się wodą. Czerpałem jak szalony. Woda obciążała łódź, zmniejszając jej wyporność i, ogromnie zwiększając prawdopodobieństwo zalania przez drugi podobny bałwan. To byłby koniec. Opróżniwszy łódź z wody musiałem zdjąć brezent, którym przykryłem Maud, i przymocowałem go tak, aby osłaniał dziób. Dobrze, że to zrobiłem, bo brezent zakrył trzecią część łodzi i w ciągu kilku następnych godzin trzykrotnie powstrzymywał masę zalewającej nas wody.

Maud wyglądała okropnie. Siedziała na dnie, z posiniałymi wargami, szarą twarzą, na której malowało się cierpienie. Ale spoglądała na mnie odważnie i mówiła słowa otuchy.

Sztorm musiał najgwałtowniej szaleć w nocy, choć nie bardzo zdawałem sobie z tego sprawę. Na rufie, gdzie siedziałem, zmorzył mnie sen. Rankiem czwartego dnia wiatr zaczął słabnąć, aż przeszedł w lekki powiew, morze się uspokoiło i wyjrzało słońce. O błogosławione słońce! Kapaliśmy nasze biedne ciała w rozkosznym cieple, ożywając jak owady po burzy. Znowu uśmiechaliśmy się, mówiliśmy zabawne rzeczy i ocenialiśmy optymistycznie naszą sytuację. Sytuacja przedstawiała się jednak gorzej niż kiedykolwiek. Byliśmy dalej od Japonii niż w chwili opuszczenia „Upiora”. Tylko z grubsza mogłem określić długość geograficzną. Licząc, że na godzinę znosiło nas dwie mile, w ciągu siedemdziesięciu kilku godzin sztormu musiało nas znieść najmniej ze sto pięćdziesiąt mil na północo-wschód. Ale czy takie obliczenie było ścisłe? Równie dobrze mogło nas znosić ze cztery mile na godzinę. Znaczyłoby to drugie tyle drogi w odwrotnym kierunku.

Nie wiedziałem, gdzie jesteśmy, ale było pewne prawdopodobieństwo, że znajdujemy się w pobliżu „Upiora”. Wokół nas ukazywały się foki i w każdej chwili spodziewałem się spotkać jakiś łowiecki szkuner. Dojrzałem jeden po południu, kiedy dmuchnęła północno-zachodnia morka. Nieznany szkuner zniknął jednak na horyzoncie i znów zostaliśmy sami na tej połaci oceanu.

Przychodziły dni mgieł, kiedy nawet Maud traciła wiarę i słowa otuchy zamierały jej na ustach: dni ciszy, kiedy płynęliśmy po pustynnym bezkresie morza, przybici jego ogromem i zachwyceni cudem kruchej natury życia, gdyż żyliśmy nadal i walczyliśmy o życie; dni słotne i wietrzne z zawiejami śnieżnymi kiedy nie mogliśmy się dogrzeć, dni dżdżyste, kiedy wodą ściekającą z mokrego żagla napełnialiśmy opróżnione baryłki.

A miłość moja wciąż rosła. Maud wydawała mi się tak wielostronna, tak zmienna w nastrojach — „kameleonowa”, jak ją nazwałem. Nazywałem ją także inaczej, pieszczotliwiej, ale jedynie w myślach. Tysiącrotnie miałem już wyznanie na końcu języka, ale wiedziałem, że nie pora po temu, choćby dlatego, że nie mogłem prosić o miłość kobiety, którą broniłem i starałem się uratować.

Sytuacja była delikatna nie tylko pod tym względem, ale i pod wieloma innymi względami, pochlebiam sobie jednak; że umiałem się znaleźć, a również, że ani spojrzeniem, ani gestem nie zdradziłem mych uczuć. Byliśmy dobrymi kolegami, a z biegiem czasu przyjaźń nasza zacieśniała się coraz bardziej. Szczególnie jedna cecha Maud mnie dziwiła — jej odwaga. Ryczące morze, krucha łódź, sztormy, cierpienia, osamotnienie i niezwykła sytuacja — wszystko, co przeraziłoby zdrową i silną kobietę, nie robiło wrażenia na Maud Brewster, która znała życie tylko od strony komfortu i kultury i sama była jedynie płomykiem, rosą, mgłą, wzniosłym duchem, kobietą łagodną, tkliwą i szukającą oparcia. A zresztą myślę się. Bała się, ale posiadała odwagę. Miała ciało z jego słabościami, te jednak obarczały tylko ciało. Była duchem, przede wszystkim i zawsze duchem, eteryczną esencją życia, spokojną jak jej oczy i pewną własnej niezniszczalności w zmiennym nurcie wszechświata.

Były dni i noce, kiedy wzburzony ocean groził nam rozszalałą bielą, a wichry uderzały w łódź z tytaniczną siłą. I za każdym razem odrzucało nas coraz dalej ku północo-wschodowi. Podczas najgorszego ze sztormów, by nie patrzeć na furie żywiołu, zmęczonym wzrokiem rzuciłem ku zawietrznej. Niczego tam nie szukałem, tylko zaklinałem w duchu gniewny żywioł, by się uciszył i dał nam spokój.

Z początku nie wierzyłem własnym oczom. Widocznie czuwanie i niepokój pomieszały mi w głowie. Aby się przekonać, gdzie naprawdę jestem, przeniosłem wzrok na Maud. Widok drogich mokrych policzków, rozwianych włosów i brązowych, dzielnych oczu przekonał mnie, że mój umysł był jeszcze w porządku.

Znów odwróciłem się ku zawietrznej i znów zobaczyłem wystający w morze przylądek, czarny, wysoki, nagi. Szalejący przybój rozbijał się u jego podnóża i tryskał wysoko spienionymi fontannami. Dalej, gdzieś na południo-wschód, ciągnęła się czarna linia niegościnnego wybrzeża, obwiedzonego szarą, przeziębłą bielą.

— Maud — powiedziałem — Maud!

Odwróciła się i zobaczyła.

— To nie może być Alaska! — zawołała.

— Niestety, nie. Umie pani pływać?

Potrząsnęła głową.

— I ja nie umiem. Musimy się więc dostać na brzeg przez jakieś przejście w skałach, gdzie wprowadzimy łódź i wylądujemy. Ale trzeba działać szybko, bardzo szybko i pewnie.

Mówiłem z przekonaniem, którego nie czułem. Wiedziała to i rzuciła mi jedno ze swych śmiałych spojrzeń, mówiąc:

— Nie podziękowałam panu jeszcze dotąd za wszystko, co pan dla mnie zrobił, ale...

Zawahała się, jakby dobierając słów dla wyrażenia swej wdzięczności.

— Ale co? — przerwałem szorstko, gdyż nie byłem zachwycony tym, że mi dziękuje.

— Mógłby mi pan pomóc — dodała z uśmiechem.

— W oznajmieniu przed śmiercią, jak dalece czuje się pani względem mnie zobowiązana. Tego nie zrobię. Nie zginiemy. Wylądujemy na tej wyspie i przed zmrokiem urządzimy się bezpiecznie.

Mówiłem z pewnością siebie, choć nie wierzyłem w to, co mówię. Do kłamstwa nie skłaniał mnie strach. Nie bałem się śmierci, choć byłem przekonany, że spotka nas w rozszałym przyboju na skałach, do których zbliżaliśmy się coraz bardziej. Niepodobieństwem było wciągnąć żagiel i uciec od brzegu. Wiatr przewróciłby łódź natychmiast, a bałwany zalałyby ją, gdyby zsunęła się w bruzdę. Zresztą żagiel owinięty wokół zapasowych wiosł tworzył kotew, którą woda niosła przed nami.

Jak mówię, sam nie bałem się śmierci oczekującej o kilkaset jardów ku zawietrznej, przerażała mnie jednak myśl, że Maud ma umrzeć. Przekłeta wyobraźnia ukazywała mi Maud miażdżoną i rozbijaną o skały, a to było zbyt okropne. Starłem się więc myśleć, że wylądujemy szczęśliwie, i dlatego mówiłem nie to, w co wierzyłem, ale w co wołałem wierzyć.

Wzdrygając się na myśl o tej strasznej śmierci, miałem przez chwilę dziki pomysł, aby porwać Maud w ramiona i wyskoczyć za burtę. Potem postanowiłem czekać, a w ostatniej chwili objąć ją, wyznać swą miłość i trzymając ją w uścisku zrobić rozpaczliwą próbę i umrzeć.

Instynktownie zbliżyliśmy się do siebie. Wyciągnęła do mnie rękę. W milczeniu czekaliśmy końca. Kurs nasz niewiele odbiegał od tej linii wiatru, która nie zawadzała już o zachodni koniec cypla, i czekałem z iskierką nadziei, że

jakiś prąd czy fala zniesie nas na pełne morze, zanim wpadniemy na linię przyboju.

— Może to ominiemy — odezwałem się z ufnością, choć wiedziałem, że żadnego z nas nie przekonam.

— Niech mnie diabli, jeśli tego nie ominiemy! — krzyknąłem w pięć minut później.

Zakląłem z podniecenia — pierwszy raz w życiu, jeżeli nie liczyć niewinnego wykrzyknika „a bodaj to!”, którego używałem w młodości.

— Przepraszam panią.

— Przekonał mnie pan o swojej szczerości — odpowiedziała ze słabym uśmiechem. — Teraz już wierzę, że ominiemy skały.

Za cypłem dojrzałem w oddali ląd. W miarę jak patrzyliśmy, niewidoczna dotąd linia brzegu rozwijała się przed naszymi oczyma, tworząc głęboką zatokę. Jednocześnie wypełniał nam uszy ustawiczny potężny ryk, coś jakby odległy grzmot. Głuszac łoskot fal dochodził nas wprost z zawietrznej i bijąc prosto pod wiatr. Kiedy minęliśmy cypel, legła przed nami cała zatoka, po księżyc plaży pokryty białym piaskiem, na którym załamywał się przybój i wylegiwała niezliczona rzesza fok. One to napełniały powietrze potężnym rykiem.

— Bekowisko! — krzyknąłem. — Jesteśmy naprawdę ocaleni. Tu mają być ludzie i krążowniki, by chronić foki przed łowcami. Być może, na lądzie jest nawet strażnica.

Zbadawszy wzrokiem kotłowisko fal na plaży, stwierdziłem:

— I tu źle lądować, choć już nie tak źle. Ale jeżeli bogowie naprawdę są dla nas łaskawi, zniesie nas za następny przylądek i wpłyniemy do zupełnie osłoniętej zatoki, gdzie można wylądować bez zamoczenia nóg.

Bogowie byli łaskawi. Pierwsze dwa przylądki leżały akurat na kursie południowo-zachodniego wiatru, kiedy jednak niebezpiecznie blisko minęliśmy drugi, spostrzegliśmy trzeci, który leżał także na kursie wiatru w jednej linii z dwoma poprzednimi. Ale co za zatoka! Sięgała daleko w głąb lądu i przyplływ wciągnął naszą łódź pod ochronny wał przylądka. Tu morze było spokojne, szła tylko gładka martwa fala. Wyciągnąłem kotew i zacząłem wiosłować. Od cypla brzeg skręcał coraz bardziej na południowy zachód, aż wreszcie odsłonił zatoczkę w zatoce, małą, obwarowaną lądem przystań. Tutaj powierzchnia była równa niby powierzchnia stawu. Tylko niekiedy jakieś zabłąkane tchnienie burzy przesadzało ponury mur skalny, który w odległości stu stóp od brzegu odgradzał zatokę, i wówczas gładkie zwierciadło pokrywało się fałdkami.

Tu nie było fok. Dziób łodzi zaszorował po grubym żwirze. Wskoczyłem podając Maud rękę. Za chwilę była przy mnie. Gdy cofnąłem rękę, uchwyciła się mego ramienia. W tejże chwili zatoczyłem się i o mało co nie upadłem na piasek. Był to zdumiewający skutek ustania ruchu. Tak długo pozostawaliśmy na rozchybotanym, wzburzonym morzu, że stały ląd był dla nas jakimś wstrząsem. Spodziewaliśmy się, że plaża wzleci w górę i zwali się na dół, że skaliste ściany zakołyszą się niby burty statku i automatycznie odchyłaliśmy się w przeciwną stronę, a gdy żaden z tych ruchów nie następował, traciliśmy równowagę.

— Muszę usiąść — powiedziała Maud, śmiejąc się nerwowo, i z gestem zdradzającym zawrót głowy natychmiast usiadła na piasku.

Zabezpieczyłem łódź i poszedłem za jej przykładem. Tak wylądowaliśmy na Wyspie Usiłowań, cierpiąc po długim pobycie na morzu na chorobę lądową.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

— Głupiec! — krzyknąłem z wściekłością.

Wyładowałem łódź, a zawartość jej złożyłem dalej na plaży, w miejscu wybranym na obozowisko. W przystani było trochę naniesionego przez wodę drzewa, i widok puszek z kawą, zabranej ze spiżarni „Upiora”, przywiódł mi na myśl ogień.

— Ciężki idiota! — kłąłem dalej.

— No, no — powiedziała Maud karcąco i spytała, dlaczego jestem ciężkim idiotą.

— Nie ma zapalek — jęknąłem. — Nie wziąłem ani jednej zapalniczki. I teraz nie będziemy mieli ani gorącej kawy, ani zupy, ani herbaty, ani nic.

— Czy to nie, no, Kruzoe pocierał dwa kawałki drewna jeden o drugi? — ciągnęła powoli.

— Czytałem jednak w pamiętnikach wielu rozbitków, że próbowali tego bez skutku — odpowiedziałem. — Pamiętam Wintersa, korespondenta prasowego, który zdobył sławę podróżnika po Alasce i Syberii. Spotkałem się z nim w „Bibelocie” i opowiadał nam wówczas, jak próbował wykrzesać ogień za pomocą dwóch patyków. Pękaliśmy ze śmiechu. Opowiadał niezrównanie, ale to była historia porażki. Wreszcie, błyskając czarnymi oczyma, zakończył: „Panowie, może to zrobić wyspiarz z Oceanii albo Malajczyk, ale wierzcie mi na słowo, przekracza to siły białego człowieka!”

— Ach, głupstwo, dawaliśmy sobie tak długo radę bez ognia — odezwała się wesoło. — Nie widzę, czemu nie mielibyśmy i nadal obejść się bez niego.

— Ale niech pani pomyśli tylko o kawie! — zawołałem. — To dobra kawa, ręczę. Zabrałem ją z prywatnych zapasów Wilka Larsena. I tyle tu suchego drzewa.

Przyznam, że miałem okropną ochotę na kawę. Przekonałem się potem, że i Maud za nią przepadała. Zresztą tak długo jedliśmy tylko zimną strawę, że byliśmy skostniaли do szpiku kości. Marzyliśmy o czymś gorącym. Ale przestałem narzekać i zabrałem się do rozbijania z żagla namiotu dla Maud.

— Myślałem, że przyjdzie mi to łatwo, skoro miałem rozprze, wiosło, bom, nie mówiąc już o sporej ilości lin. Brakowało mi jednak doświadczenia. Każdy

szczegół był dla mnie doświadczeniem, a każdy postęp wynalazkiem i dopiero pod wieczór namiot był gotowy. W nocy zaś padał deszcz, woda zalała namiot i Maud musiała wrócić do łodzi.

Następnego ranka okopałem namiot płytkim rowem, a w godzinę później raptowny podmuch, przesadziwszy osłaniający nas mur skalny, porwał namiot i grzmotnął nim z całej siły o piasek jakie trzydzieści łokci dalej.

Maud wybuchnęła śmiechem na widok mej wydłużonej twarzy, ja zaś powiedziałem:

— Jak tylko wiatr przycichnie, wyruszę w łodzi, żeby zwiedzić wyspę. Musi tu być jakiś posterunek, jacyś ludzie. Pewnie i statki zawijają do tego posterunku. Jakiś rząd musi ochraniać te foki. Zanim jednak wyruszę, chcę zapewnić pani wygody.

— Chciałabym popłynąć razem z panem — odpowiedziała krótko.

— Lepiej będzie, jeżeli pani zostanie. Miała pani już dość trudów. Cud, że je pani przeżyła. Nie będzie przyjemnie wiosłować i sterować podczas takiej pluchy, a pani potrzeba przede wszystkim wypoczynku. Dlatego proszę, żeby pani pozostała i odpoczęła.

W pięknych oczach Maud zaświeciło coś niby łzy, ale natychmiast spuściła wzrok i odwróciła głowę.

— Wolałabym popłynąć z panem — powiedziała cicho, z ledwo uchwytną nutą prośby w głosie. — Mogłabym panu pomóc — tu głos jej się załamał — trochę. Gdyby stało się panu coś złego, niech pan tylko pomyśli, co poczęłabym tu sama?

— O, będę bardzo ostrożny i nie wypłynę tak daleko, bym nie mógł wrócić przed nocą. Tak, wzięwszy wszystko pod uwagę, sądzę, że lepiej będzie, jeżeli pani zostanie, prześpi się, wypocznie i poleniuchuje.

Zajrzała mi w oczy łagodnie, lecz nieustępliwie.

— Proszę, bardzo proszę — powiedziała cicho.

Zebrałem siły, aby odmówić, i potrząsnąłem głową, ale ona wciąż patrzyła na mnie i czekała. Próbowałem przemówić, ale się zawahałem. W oczach jej ukazał się radosny błysk i wiedziałem już, że przegrałem. Teraz nie mogłem odmówić.

Po południu wiatr ucichł. Wyprawę wyznaczaliśmy na następny ranek. Z naszej przystani nie sposób było widzieć wyspę, gdyż zaraz za plażą wznosiły się prostopadłe zręby, a te, które otaczały zatokę, wyrastały z głębi morza.

Zaświtał ranek, chmurny i szary, ale spokojny. Wstałem wcześniej i wkrótce łódź była gotowa.

— Wariat! Półgłówek! Jahu!* — wykrzyknąłem, kiedy była już pora budzić Maud. Tym razem jednak krzychałem z radości, skacząc po plaży z odkrytą głową i udając rozpacz.

Wychyliła głowę spoza żagla.

— Co znowu? — pytała zaspana, ale zaintrygowana.

— Kawa! Co pani powie na filiżankę kawy? Gorącej kawy? Gotującej się, wrzącej?

— Masz tobie! — szepnęła — to nieładnie tak mnie straszyć. Już nastawiłam się w duchu na jej brak, a pan znów dręczy zwodniczą nadzieją.

— Niech pani patrzy.

W szczelinach skalnych tkwiły suche patyki i drzazgi. Uzbierałem spory ich pęk, zestrugałem na wióry albo połupałem na drzazgi. Z notesu wyrwałem kartkę, a ze skrzynki z amunicją dobyłem nabój śrutowy. Wyciągnąłem nożem przybitki, a proch wysypałem na płaski gład. Potem wydłubałem z naboju kapsle i położyłem ją pośrodku rozsypanego prochu. Wszystko było gotowe. Maud przyglądała mi się z namiotu. Skrawek papieru wziąłem w lewą, a kamień w prawą rękę i uderzyłem nim po kapslu. Buchnął obłoczek białego dymu, płomień zapalił postrzępiony papier.

Z rąk Maud posypały się radosne oklaski.

— Prometeusz! — zawołała.

Nie miałem jednak czasu cieszyć się jej radością. Trzeba było pieczołowicie ochraniać słaby płomyk, by nie zgasł i nabrał siły. Podsycałem go, wiór po wiórze i drzazga po drzazdze, aż sycząc i trzaskając począł lizać mniejsze szczapy i patyki. Uciekając z „Upiora” nie liczyłem, że wylądujemy na wyspie, toteż nie mieliśmy kociołka ani żadnych naczyń kuchennych. Tym razem zastąpiliśmy kociołek blaszanką do czerpania wody, a później, w miarę jak zużywał się zapas konserw, uzbieraliśmy imponującą kolekcję garnków.

Ja ugotowałem wodę, a Maud przyrządziła kawę. Jakże nam smakowała! Przysmażyłem również konserwy z wołowiny z pokruszonymi sucharami i wodą.

Śniadanie udało się znakomicie, toteż siedzieliśmy przy ogniu znacznie dłużej, niż przystało przedsiębiorczym badaczom. Popijaliśmy gorącą czarną kawę i omawialiśmy naszą sytuację.

* J a h u — człowiek spełniający najniższe posługi w państwie koni, opisany w *Podróżach Guliwera* Swifta.

Spodziewałem się znaleźć posterunek w jednej z zatok, gdyż wiedziałem, że bekowiska na Morzu Beringa były w ten sposób strzeżone. By przygotować mnie na ewentualne rozczarowania, Maud utrzymywała, że odkryliśmy nie znane bekowisko. Mimo to była w bardzo dobrym humorze i naszą ciężką sytuację brała na wesoło.

— Jeżeli pani ma rację — mówiłem — to musimy przygotować się do spędzenia tutaj zimy. Nasze zapasy nie wystarczą na długo, ale są tu fok. Ponieważ odpływają na jesieni, więc muszę przystąpić do gromadzenia zapasów mięsa. Potem trzeba będzie wybudować chaty i nazbierać drzewa, wypróbować, czy foczy tran nadaje się do oświetlenia. Jeżeli wyspa jest bezludna, roboty będziemy mieli co niemiara. Nie chce mi się tylko wierzyć, żeby nie było tu ludzi.

A jednak Maud miała rację. Pożeglowaliśmy wzdłuż brzegu, obserwując zatoki przez lornetę i lądując czasami, ale nigdzie nie było śladu ludzi.

Nie my pierwsi jednak wylądowaliśmy na Wyspie Usiłowań. W drugiej z rzędu zatoce znaleźliśmy wysoko na brzegu szczątki potrzaskanej łodzi. Była to łódź łowiecka, gdyż dulki miała owinięte pakułami, na dziobie przy prawej burcie umocowana była osada do strzelby i na zewnątrz bieleł się zmyty napis: „Gazela Nr 2”. Łódź musiała tam leżeć od dłuższego czasu, bo do połowy napełniał ją piach, a potrzaskane deski, sądząc z wyglądu, długo musiały być wystawione na działanie żywiołów.

W rufie znalazłem zardzewiałą strzelbę kalibru dziesięć i nóż marynarski. Był ułamany i zżarty przez rdzę do niepoznania.

— Na pewno wydostali się stąd — powiedziałem wesoło, ale serce zaciążyło mi ołowiem, bo przysiągłbym, że gdzieś na piasku bieleją kości tych rozbitków.

Nie chcąc przygnębiać Maud tym odkryciem, czym prędzej wypłynąłem z zatoki i pożeglowałem wzdłuż północno-wschodniego krańca wyspy. Na południowym brzegu nie było plaży i zaraz po południu minęliśmy czarny cypel skalny. W ten sposób opłynęliśmy dookoła wyspę. Obliczyłem, że jej obwód może mieć ze dwadzieścia pięć mil, a szerokość waha się w granicach od dwóch do pięciu. Według najbardziej oględnych wyliczeń na wybrzeżach jej żyło z dwieście tysięcy fok. Wyspa wznosiła się najwyżej na południowo-zachodnim krańcu, a przylądki jej i grzbiet opadały równomiernie ku północo-wschodniemu brzegowi, który leżał zaledwie parę stóp nad powierzchnią morza. Z wyjątkiem naszej małej przystani inne plaże tworzyły łagodne, rozciągnięte na pół mili pochyłości, po czym przechodziły w coś, co nazwałbym skalistymi łąkami, na których tu i ówdzie widniały zielone plamy mchu albo traw porastających

tundrę. Tutaj wylegiwały się foki, stare samce strzegły swych haremów, a młode trzymały się osobno.

Wyspa Usiłowań nie zasługuje na obszerniejsze opisy. Podmokła, bagnista albo ostra i skalista, smagana przez wichry i chłostana przez morze, z powietrzem rozedrganym od ryku dwustu tysięcy fok, wyspa ta była miejscem melancholijnym i ponurym. Maud, która przygotowała mnie na rozczarowanie i przez cały dzień była pełna otuchy i życia, załamała się po powrocie do naszej przystani. Usiłowała ukryć to przede mną, ale podczas gdy rozpalałem ogień, wiedziałem, że tłumi szloch w namiocie pod kocami.

Tym razem ja musiałem udawać wesołego i odegrałem swoją rolę tak dobrze i skutecznie, że uśmiech wrócił znów do kochanych oczu, a śpiew na usta, bo przed wczesnym spoczynkiem zaczęła śpiewać. Po raz pierwszy usłyszałem, jak śpiewa. Leżałem przy ogniu zasłuchany, bo we wszystkim, co robiła, była artystką. Głos, choć niesilny, miała niezmiernie słodki i wyrazisty.

Wciąż sypiałem w łodzi i tej nocy długo leżałem z oczyma utkwionymi w pierwsze gwiazdy, jakie zobaczyłem od wielu nocy. Rozmyślałem nad naszym położeniem. Taka odpowiedzialność była dla mnie czymś nowym. Wilk Larsen miał rację. Stałem dotąd na ojcowskich nogach. Moi adwokaci i agenci zajęli się moimi pieniędzmi. Nie byłem dotąd za nic odpowiedzialny. Dopiero na pokładzie „Upiora” nauczyłem się ponosić odpowiedzialność za samego siebie. Teraz zaś, po raz pierwszy w życiu, stałem się odpowiedzialny za kogoś jeszcze.

Przeznaczenie chciało, by była to największa odpowiedzialność, gdyż ta, którą miałem się opiekować, była jedyną kobietą na świecie, jedyną małą kobietą, jak lubiłem nazywać ją w myślach.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Nic dziwnego, że ochrzciliśmy naszą wyspę „Wyspą Usiłowań”. Przez dwa tygodnie harowaliśmy przy budowie chaty. Maud uparła się pomagać i łzy stawały mi w oczach na widok jej pościeranych i okrwawionych rąk. Ale jednocześnie byłem z niej dumny. Te trudy i praca wieśniaczki, zbyt ciężkie dla kobiety z towarzystwa, były ze strony Maud prawdziwym bohaterstwem. Pomagała zbierać kamienie, z których budowałem ściany chaty. Była głucha na moje prośby, by tego zaniechała. Ostatecznie jednak doszło między nami do kompromisu. Maud wzięła na siebie lżejsze roboty, jak gotowanie, gromadzenie drzewa i mchu na zimowe zapasy.

Budowa ścian postępowała bez przeszkód i wszystko szło dobrze, dopóki nie pojawił się problem dachu. Na co bowiem przydadzą się cztery ściany bez dachu? Z czego można by zrobić dach? Mieliśmy co prawda zapasowe wiosła. Mogły one posłużyć jako belki, ale czym je pokryć? Mchu nie można było użyć. Trawy tak samo. Żagła potrzebowaliśmy do łodzi, a brezent zaczął przeciekać.

— Winters użył na pokrycie chaty skór morsów.

— Mamy tu foki — napomknęła Maud.

Następnego dnia zaczęło się polowanie. Nie umiałem strzelać, ale wziąłem się do nauki. Na zabicie trzech fok zużyłem ze trzydzieści nabojów. Stwierdziłem wtedy, że amunicja wyjdzie, nim nabędę dostatecznej wprawy. Dopóki nie wpadłem na pomysł przechowywania żaru pod mokrym mchem, zużyłem osiem nabojów na rozpalanie ognia i pozostało mi ich już mniej niż sto.

— Trzeba będzie bić foki — oświadczyłem, gdy zdałem sobie sprawę, jak złym jestem strzelcem. — Słyszałem, że łowcy zabijają je maczugami.

— Takie są ładne — protestowała. — Sama myśl o tym wydaje mi się nieznośna. To takie brutalne, dużo gorsze niż strzelanie.

— Musimy położyć dach — odpowiedziałem nieubłaganie. — Zima się zbliża. To kwestia, czy my będziemy żyli, czy one. Na nieszczęście brak nam amunicji, ale wydaje mi się, że foki cierpią mniej, gdy się je bije, niż gdy się je postrzela jak sito. Zresztą to ja będę bił.

— O to właśnie chodzi — podjęła żywo i urwała zmieszana.

— Naturalnie — zacząłem — jeżeli pani woli...

— A cóż ja mam robić? — przerwała z tą łagodnością, która, dobrze wiedziałem, oznaczała naleganie.

— Zbierać drwa na opał i gotować obiad — rzuciłem swobodnie.

Potrząsnęła głową.

— To zbyt niebezpieczne dla pana samego. Wiem, wiem, co pan chce powiedzieć — zawołała, aby nie dopuścić mnie do głosu. — Jestem tylko słabą kobietą, ale właśnie moja nic nie znacząca pomoc może uchronić pana od nieszczęścia.

— A wtedy jak będzie z biciem?

— To oczywiście do pana należy. Prawdopodobnie będę krzyczała. Odwrócę głowę, kiedy...

— Niebezpieczeństwo będzie największe — dodałem ze śmiechem.

— Będę patrzyła albo odwracała się według własnego uznania — odpowiedziała wyniośle.

Skończyło się na tym, że towarzyszyła mi na wyprawę następnego ranka. Powiosłowałem do sąsiedniej zatoki pod sam brzeg. Naokoło leżały w wodzie foki, a na plaży tysiące ich ryczały tak głośno, że musieliśmy do siebie krzyczeć.

— Wiem, że ludzie je biją — wołałem, by utwierdzić się w tym przekonaniu, ale nieufnie oglądałem się na wielkiego samca, oddalonego o niecałe trzydzieści stóp, który podniósł się na przednich płetwach i bacznie mnie obserwował. — Nie wiem tylko, jak się to robi!

— Nazbierajmy lepiej trawy zróbmy z niej poszycie dachu — odkrzyknęła Maud.

Perspektywa walki przejmowała ją trwogą nie mniej niż mnie, i to trwogą uzasadnioną, bo patrzyliśmy z bliska na ostre kły i psie pyski.

— Myślałem zawsze, że one boją się ludzi — powiedziałem. — Ale skądże mogę wiedzieć, czy się nie boją? — dorzuciłem, zrobiwszy jeszcze kilka ruchów wiosłami wzdłuż plaży. — Być może, gdy odważnie wyjdę na brzeg, uciekną przede mną i nie dogonię ani jednej.

Wahałem się nadal.

— Słyszałam o człowieku, który wszedł między gniazda dzikich gęsi — rzekła Maud. — Zabiły go.

— Gęsi?

— Tak, gęsi. Opowiadał mi to brat, kiedy byłam mała.

— Ale wiem, że ludzie biją foki — upierałem się.

— Uważam, że z trawy można będzie zrobić równie dobre poszycie dachu.

Słowa jej odniosły wręcz przeciwny skutek, pobudziły mnie, pchały naprzód. Nie mogłem na jej oczach okazać się tchórzem.

— Tu wyjdę — powiedziałem, zagarniając wodę jednym wiosłem, aż dziób uderzył o brzeg.

Wyskoczyłem i odważnie ruszyłem na długogrzywego samca, otoczonego żonami. Byłem uzbrojony w zwykłą maczugę, jaką wiosłarze dobijają ranne foki, wciągnięte przez łowców do łodzi. Miała tylko półtorej stopy długości. W swej kompletnej ignorancji nie przypuszczałem nawet, że maczuga do bicia fok na brzegu ma cztery do pięciu stóp.

Krowy schodziły mi z drogi i odległość między mną a samcem zmniejszała się. Wściekle porwał się na płetwy. Dzieliło nas ze dwanaście stóp. Wciąż szedłem naprzód, przekonany, że lada chwila odwróci się i ucieknie.

Podszedłem na sześć stóp. Wówczas przemknęła mi trwożna myśl: „Co, jeżeli nie ucieknie?” „Więc go uderzę” — odpowiedziałem sam sobie. W strachu zapomniałem, że mam go zabić, nie zaś zmusić do ucieczki. W tej samej chwili samiec warknął, chrapnął i rzucił się na mnie. Oczy mu się żarzyły, pysk miał szeroko rozwarty, kły okrutnie białe. Nie wstyd mi wyznać, że to ja odwróciłem się i zacząłem uciekać. Biegł niezręcznie, ale szybko. Był o niecałe dwa kroki, gdy wpadłem do łodzi. Odbiłem od brzegu, ale pogruchotał mi wiosło zębami. Mocne drewno prysło jak łupina. Byliśmy zdumieni. W następnej chwili samiec dał nurka, porwał kil w zęby i zatrząsł gwałtownie łodzią.

— Och! — zawołała Maud. — Wracajmy!

Potrząsnąłem głową.

— Potrafię zrobić to co inni, a wiem, że ludzie biją foki. Tylko lepiej następnym razem nie zaczepiać samca.

— Wołałabym, by pan dał spokój.

— Niech pani tylko nie mówi: „Proszę, bardzo proszę” — zawołałem na wpół gniewnie.

Tym razem nie odrzekła nic, urażona moim tonem.

— Niech mi pani wybaczy — powiedziałem, a właściwie wrzasnąłem, by mogła usłyszeć poprzez ryk foczy. — Jeżeli pani chce, zawrócimy, ale szczerze mówiąc, wołałabym zostać.

— Niech pan tylko nie mówi, że tak bywa, gdy się zabiera ze sobą kobietę. — Uśmiechnęła się tak czarująco i kapryśnie, że musiała mi już wybaczyć.

Aby przyjść do siebie, powiosłowałem paręset stóp wzdłuż wybrzeża, a potem znów wyszedłem na plażę.

— Ostrożnie! — zawołała.

Skinąłem głową i przystąpiłem do flankowego ataku na najbliższy harem. Wszystko szło dobrze, póki nie chybiłem jednej z najbliższych krów. Krowa chrapnęła i zaczęła niezgrabnie uciekać. Pognałem tuż za nią i zadałem jej nowy cios, który znów trafił w grzbiet zamiast w głowę.

— Uwaga! — doszedł mnie krzyk Maud.

W podnieceniu nie zwróciłem uwagi, co się dzieje dokoła, i dopiero teraz ujrzałem, że władca haremu pędzi za mną. Ledwie zdążyłem dopaść łodzi. Tym razem Maud nie proponowała już odwrotu.

— Najlepiej byłoby, gdyby pan zostawił w spokoju haremy i zwrócił się przeciwko samotnym, nieszkodliwie wyglądającym fokom — mówiła. — Gdzieś musiałam o tym czytać. Może w dziele doktora Jordana. Są to młode samce, które jeszcze nie mają haremów. Jordan nazywa je chołostiakami czy jakoś podobnie. Wydaje mi się, że trzeba znaleźć miejsce, gdzie się wylegają.

— A mnie się wydaje, że przemówiły przez panią bojowe instynkty — zartowałem.

Splonęła ślicznym rumieńcem.

— Nie mniej od pana biorę do serca porażkę, choć nie uśmiecha mi się wcale mordowanie tych pięknych, nieszkodliwych stworzeń.

— Piękne stworzenia! — parsknąłem. — Nie zauważyłem nic szczególnie pięknego w tych bestiach, kiedy szarżowały na mnie z pyskami broczącymi pianą.

— To był pański punkt widzenia — uśmiechnęła się. — Brak perspektywy. Gdyby nie musiał pan oglądać ich z tak bliska...

— W tym sęk! — zawołałem. — Potrzebna mi dłuższa maczuga. Doskonale nada się do tego złamane wiosło.

— Przypominam sobie — mówiła — że kapitan Larsen opowiadał, jak najeżdża się bekowiska. Nim łowcy przystąpią do bicia fok, gnają je małymi stadkami w głąb wybrzeża.

— Wcale nie mam ochoty pędzić jednego z tych haremów — odparłem.

— Ale pozostają chołostiaci. Leżą oddzielnie i — według doktora Jordana — przez harem bieżą ścieżki, po których chołostiaci mogą przechodzić nie napastowane przez patriarchów, chyba że zejną gdzieś na bok.

— Mamy już jednego — powiedziałem wskazując młodego samca w wodzie. — Nie traćmy go z oczu, a zobaczymy, gdzie wyląduje.

Popłynął prosto do brzegu i wygramolił się na wolną przestrzeń między haremami, których właściciele wydawali ostrzegawcze dźwięki, ale go nie atakowali. Widzieliśmy, jak powoli posuwa się w głąb wyspy, krocząc po czymś, co widocznie jest ścieżką chołostiaków.

— Spróbuję — powiedziałem i wyszedłem na brzeg. Przyznaję jednak, że serce podchodziło mi do gardła na myśl o przejściu środkiem tego potwornego stada.

— Dobrze byłoby umocować łódź — zauważyła Maud.

Stała obok mnie. Spojrzałem na nią ze zdumieniem.

Potrząsnęła zdecydowanie głową.

— Tak, idę z panem, więc niech pan umocuje łódź i da mi do rąk jaką pałkę.

— Lepiej wracajmy — zaproponowałem zniechęcony. — Ostatecznie wystarczy nam i trawa.

— Nie, nie wystarczy. Czy mam prowadzić?

Wzruszyłem ramionami, ale byłem do głębi przejęty dumą i uwielbieniem dla tej kobiety. Uzbroiłem Maud w złamane wiosło, sam zaś wziąłem inne. Pierwsze kroki zrobiliśmy z nerwowym drżeniem. Raz Maud krzyknęła ze strachu, gdy któraś z zaciekawionych krów wysunęła pysk ku jej nodze. Z tego powodu sam kilkakrotnie przyśpieszyłem kroku. Ale prócz ostrzegawczych kaszlnięć foki nie okazywały wrogości. Było to bekowisko, na którym nie powstała dotąd stopa łowcy i wskutek tego foki były łagodne i nie bały się ludzi.

W samym środku stada panowała straszna wrzawa. Przyprawiała o zawrót głowy. Zatrzymałem się i uśmiechnąłem do Maud uspokajająco, gdyż wcześniej przyszedłem do siebie. Widziałem, że jeszcze się boi. Stała tuż przy mnie i krzyknęła:

— Okropnie się boję!

Ja się nie bałem. Choć byłem ciągle pod wrażeniem wywołanym niezwykłością sytuacji, zachowanie fok uspokoiło mnie. Ale Maud drżała.

— Boję się i jednocześnie nie boję — szczykała zębami. — To moje nędzne ciało się boi, a nie ja.

— Wszystko w porządku, wszystko będzie dobrze — dodawałem Maud otuchy, instynktownie otaczając ją opiekuńczym ramieniem.

Nigdy nie zapomnę, jak w tej chwili odezwały się we mnie męskie instynkty. Coś drgnęło w pierwotnych głębiach mej istoty. Poczulem się mężczyzną, obrońcą płci słabej, walczącym samcem. A co najważniejsze, poczułem się obrońcą mej ukochanej.

Oparła się o mnie, lekka, krucha jak lilia, i gdy zaczęła się uspokajać, poczułem przypływ ogromnej siły. Nie uląkłbym się najokrutniejszego samca w całym stadzie i gdyby jeden z nich zaatakował mnie, nie uciekłbym, z zimną krwią stanąłbym do walki i z pewnością bym go zabił.

— Już mi przeszło — odezwała się spoglądając na mnie z wdzięcznością. — Chodźmy.

Nie posiadałem się z radości. Tak, to we mnie, przycywilizowanym człowieku, wezbrała młodość mojej rasy i przeżywałem dni łowów i puszczańskie noce mych pierwotnych, zapomnianych przodków. Gdy tak szliśmy między rojnymi haremami, pomyślałem, że dużo mam do zawdzięczenia Wilkowi Larsenowi.

Ćwierć mili dalej w głąb wyspy natrafiliśmy na stado chołostiaków — młodych, o lśniących futrach samców, które wiodły tu samotny, kawalerski żywot i zbierały siły na dzień, kiedy wywalczą sobie miejsce wśród młodych małżonków.

Wszystko poszło teraz gładko. Wiedziałem, co trzeba robić i jak to zrobić. Wrzeszcząc, wymachując groźnie maczugą, okładając nią leniwe sztuki, dość prędko oddzieliłem dwudziestu kawalerów od towarzyszy. Ilekroć próbowały zawrócić ku morzu, zabiegałem im drogę.

Maud wzięła czynny udział w zaganianiu i pomagała mi skutecznie, krzyżąc i wywijając złamanym wiosłem. Zauważyłem, że zmęczonym i słabym chołostiakom pozwalała uchodzić, a wojowniczo usposobione okładała dzielnie maczugą. Oczy jej połyskiwały przy tym i lśniły.

— Słowo daję, to podniecające — krzyknęła i zatrzymała się wyczerpana. — Chyba sobie usiądę.

Odeгнаłem małe stadko (ze dwanaście sztuk po ucieczce tych, które Maud wypuściła) jeszcze z jakie sto jardów dalej. Uporałem się z biciem zwierząt, zanim wstała, a gdy przyłączyła się do mnie, ściągałem już skóry. W godzinę później wracaliśmy dumnie ścieżką między haremami. Jeszcze dwukrotnie wędrowaliśmy tamtędy z naręczem skór. Wreszcie uznałem, że wystarczy ich na pokrycie dachu. Postawiłem żagiel. Jednym halsem wyszliśmy z zatoki, a drugim wpłynęliśmy do naszej przystani.

— To jak powrót do domu — powiedziała Maud, kiedy dobiłem do brzegu.

Słowa te przyprawiły mnie o dreszcz, tak były naturalne i bezpośrednie.

— Mam wrażenie, że nigdy inaczej nie żyłem — odparłem. — Świat książek i ludzi książkowych majaczy w mej pamięci bardziej jak wspomnienie snu niż jak rzeczywistość. Z pewnością musiałem polować, napadać i walczyć przez całe życie. Pani tak samo. Pani jest...

Na końcu języka miałem „moją kobietą i towarzyszką”, ale zrezygnowałem: „bardzo wytrzymała na te trudy”. Pochwyciła jednak fałsz w intonacji głosu. Wyczuła, że w środku zdania się zawahałem. Obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem.

— Nie, co innego. Pan mówił...

— Że amerykańska pani Meynell prowadzi żywot dzikusa, i to z wielkim powodzeniem — powiedziałem gładko.

— Och — odpowiedziała tylko i przysięgłbym, że nuta rozczarowania zabrzmiała w jej głosie.

A słowa „moja kobieta i towarzyska” dźwięczały mi w uszach przez resztę dnia i przez dni następne. Ale nie brzmiały nigdy mocniej niż tego wieczoru, kiedy Maud odrzucała przykrycie z mchu ochraniające żar, rozdmuchiwała ogień i gotowała kolację.

Budziła się we mnie widać pierwotna dzikość, skoro owe zamierzchłe słowa, związane z początkiem rasy, potrafiły mnie tak przejąć i wzruszyć, a byłem nimi przejęty i wzruszony, dopóki z tymi słowami na ustach nie usnąłem.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

— Będzie je czuć — mówiłem — ale przynajmniej będą utrzymywać ciepło i nie przepuszczą deszczu ani śniegu.

Oglądaliśmy ukończony dach ze skór.

— Niezdarny, lecz spełni swoje zadanie, a to najważniejsze, że nie mija się z celem — ciągnąłem dopominając się pochwały.

Klasnęła w dłonie i oświadczyła, że niezmiernie się cieszy.

— Ale wewnątrz ciemno — odezwała się w następnej chwili. Ramiona jej drgnęły mimowolnym dreszczem.

— Powinna była pani pomyśleć o oknie, kiedy stawialiśmy ściany — odparłem. — Przecież budowaliśmy tę chatę dla pani i pani powinna była zauważyć brak okna.

— Przecież ja nigdy nie widzę rzeczy oczywistych — odpowiedziała ze śmiechem. — A zresztą może pan w każdej chwili wybić dziurę w ścianie.

— Racja, nie pomyślałem o tym — mówiłem kiwając poważnie głową. — Ale czy pomyślała pani o zamówieniu szyby? Telefon firmy, o ile pamiętam: Red, 4451. Proszę zadzwonić i powiedzieć, jaki rozmiar i gatunek szkła pani sobie życzy.

— Czyli że... — zaczęła.

— Nie będzie okna.

Ta chata była wstrętną i ciemną norą, odpowiednią w cywilizowanym kraju najwyżej na chlew, jednak dla nas, którzy przeszliśmy udręki w odkrytej łodzi, nabierała cech przytulnego mieszkania. Po „oblaniu” nowej siedziby, dokonanym za pomocą tłuszczu fok i knota z bawełnianych pakuł, zaczęliśmy gromadzić zapasy mięsa na zimę i budować drugą chatę.

Teraz już fraszką było wyjść rankiem, a wrócić w południe z łodzią pełną fok. Podczas gdy ja budowałem chatę, Maud wyrabiała tran z tłuszczu i utrzymywała wolny ogień pod sztukami mięsa. Słyszałem o wędzeniu wołowiny na preriach. W podobny sposób mięso fok, pokrajane w wąskie paski, doskonale wędziło się w dymie.

Budowa drugiej chaty poszła łatwiej, bo postawiłem ją obok pierwszej, więc wystarczyły tylko trzy ściany. Niemniej była to ciężka praca. Oboje harowali od świtu do nocy, do kresu sił i po takim dniu, sztywni ze zmęczenia, wpełzaliśmy w nasze legowiska i spaliśmy zwierzęcym snem. Mimo to Maud twierdziła, że nigdy w życiu nie czuła się zdrowsza i silniejsza. Ze mną działo się to samo, ale ona tak była delikatna, że wciąż drżałem, by się nie załamała. Bardzo często, wyczerpana do ostatka, rozciągała się na wznak na piasku plaży, wypoczywając i przychodząc do siebie. Wstawała potem i pracowała równie ciężko jak dotychczas. Nie pojmowałem, skąd czerpie siły.

— A długi odpoczynek w zimie? — odpowiedziała na moje perswazje. — Będziemy tęsknić za jakąś robotą.

„Oblaliśmy” moją chatę wieczorem tego dnia, kiedy dach był gotowy. Przez trzy dni wiał gwałtowny sztorm, który zmienił kierunek z południo-wschodu ku północo-zachodowi i dał wprost ku nam. Z zewnętrznych zatok dochodził grzmot przyboju i nawet w naszej obwarowanej łodem przystani rozbijała się znaczna fala. Wiatr miał od strony wyspy wolny przystęp, toteż gwizdał i ryczał wokół chaty, że czasami brał mnie strach, czy ściany wytrzymają. Skórzany dach, moim zdaniem naciągnięty mocno jak bęben, teraz wydymał się i opadał przy każdym podmuchu, a niezliczone szpary w ścianach nie tak ciasno utkane mchem, jak Maud przypuszczała, otworzyły się znowu. Ale foczy tran palił się jasno, więc było nam ciepło i przyjemnie.

Spędziliśmy naprawdę miły wieczór.

Uznaliśmy, że jako impreza towarzyska udał się znakomicie. Byliśmy spokojni. Nie tylko pogodziliśmy się z ciężką zimą, ale i przygotowali do niej. Foki mogły sobie odpłynąć w doroczną, tajemniczą podróż na południe. Burze również przestały być dla nas straszne. Mieliśmy ciepły, zabezpieczony od wiatru i deszczu schron, a w nim najwygodniejsze, najwspanialsze materace z mchu. Na ten pomysł wpadła Maud i sama uzbierała mchu. Pierwszą od dłuższego czasu noc miałem spać na posłaniu, a że było zrobione rękami Maud, spodziewałem się tym słodszych snów.

Już na odchodnym uśmiechnęła się do mnie w swój kapryśny sposób i rzekła:

— Coś się stanie... dzieje się już teraz. Czuję to. Coś idzie ku nam. Zbliża się w tej chwili. Nie wiem, co takiego, ale wiem, że się zbliża.

— Złe czy dobre?

Potrząsnęła głową.

— Nie wiem, ale jest gdzieś w tamtej stronie.

Wskazała w kierunku morza i wiatru.

— To brzeg zawietrzny — śmiałem się. — Wolę być tutaj niż dopiero przybywać w taką noc. Czy pani się nie boi? — zapytałem wstając, by otworzyć jej drzwi.

Spojrzała mi odważnie w oczy.

— I czuje się pani dobrze? Zupełnie dobrze?

— Nigdy nie czułam się lepiej.

Zamieniliśmy jeszcze parę słów.

— Dobranoc, Maud — powiedziałem.

— Dobranoc, Humphrey — odparła.

Zwyczaj mówienia sobie po imieniu przyszedł jakoś sam przez się. Był to nie obmyślony, naturalny odruch.

Gdybyśmy byli w naszym dawnym środowisku, na pewno objąłbym ją i przycisnął do serca. Ale okoliczności nie były po temu. Pozostałem sam w mojej chacie, pełen radosnego, głębokiego zadowolenia, gdyż wiedziałem, że jakiś węzeł, coś niewypowiedzianego, co dotąd nie istniało, zadzierzgnęło się między nami.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Obudziłem się pod wrażeniem, że uciska mnie coś tajemniczego. Zdawało mi się, że czegoś brakuje w moim otoczeniu. Ale po paru sekundach tajemniczość i ucisk zniknęły, gdy stwierdziłem, że brakowało wiatru.

Zasypiałem w nerwowym napięciu, z jakim przyjmuje się nieustanny ruch i dźwięk, a zbudziłem się wciąż pełen napięcia i stwierdziłem, że spodziewany ucisk gdzieś zniknął.

Po raz pierwszy od kilku miesięcy spędziłem noc pod dachem. Parę minut wylegiwałem się pod kocami (choć raz nie przemoczonymi przez mgłę ani morską pianę) i analizowałem wrażenie wywołane uciszeniem się wiatru, a potem rozkosz, jaką sprawiało mi leżenie na materacu zrobionym rękami Maud. Wreszcie ubrałem się i otworzyłem drzwi. Doszedł mnie zgiełk uderzających o piasek fal, które świadczyły o sile minionej burzy. Dzień był jasny, świeciło słońce. Zasnęłam, więc z przyływem energii wyszedłem na dwór, gotów odrobić stracony czas, jak przystało mieszkańcowi Wyspy Usiłowań.

Stanąłem jak wryty. Wierzyłem własnym oczom, ale to, co zobaczyłem, chwilowo mnie oszołomiło. Na brzegu mniej niż pięćdziesiąt stóp, dziobem ku nam, bez masztów, leżał czarny kadłub statku. Maszty i reje splątane żaglami i wantami ocierały się lekko o burtę. Przecież to niemożliwe. Ujrzałem kambuz sklecony przez nas samych, znany mi dobrze trap, niską jachtową kajutę, ledwie wznoszącą się ponad burtę. W zatoczce stał „Upiór”.

Cóż za kaprys losu przyniósł go tutaj, akurat tutaj? Co za przypadek? Rzuciłem okiem na ponurą, prostopadłą ścianę odgradzającą nas od reszty wyspy i uprzytomniłem sobie beznadziejność sytuacji. Ucieczka była niemożliwa, wykluczona. Pomyślałem o Maud śpiącej w chatce, którą zbudowaliśmy. Przypomniałem sobie jej „Dobranoc, Humphrey”. Zadzwoń mi w uszach: „Moja kobieta i towarzyszką”, ale niestety, teraz było to podzwonne. Zrobiło mi się czarno przed oczyma.

Nie mam pojęcia, ile czasu upłynęło, nim odzyskałem przytomność. Może tylko ułamek sekundy. Przedemną leżał „Upiór”, dziobem na brzegu; potrząskany bukszpryt sterczał nad piaskiem, a połamane omasztowanie ocierało się o burtę w rytm szemrzącej fali. Trzeba było coś przedsięwziąć.

Raptem uderzyła mnie nienaturalna martwota na pokładzie. Zmęczona całodzienną burzą i rozbiciem załoga śpi — myślałem. I znowu przyszło mi na myśl, że może mamy szansę ucieczki. Gdybyśmy tylko skoczyli do łodzi i nim ktoś się obudzi, okrążyli cypel. Chciałem już zawołać Maud i zrealizować pomysł. Gdy jednak podniosłem rękę, aby zapukać do drzwi jej chaty, przypomniałem sobie, jak mała jest nasza wyspa. Niepodobieństwem byłoby się na niej ukryć. Nie pozostawało nam nic prócz szerokiego, dzikiego oceanu. Pomyślałem o naszych małych, wygodnych chatkach, zapasach mięsa, tranu, mchu, drzewa i doszedłem do wniosku, że nie przetrwalibyśmy zimą sztormów na oceanie.

I tak z podniesioną ręką stanąłem przy drzwiach Maud. To było niemożliwe, zupełnie niemożliwe. Dzika myśl przyszła mi do głowy — rzucić się do chaty i zabić ją we śnie. Nagle doznałem olśnienia. Znalazłem lepsze rozwiązanie. Cała załoga śpi. Czemu nie wpełznąć na „Upiora” — dobrze znałem drogę do koi Wilka Larsena — i nie zabić kapitana we śnie? Potem by się zobaczyło. Gdyby nie żył, zyskałbym na czasie i zdążyłbym się przygotować na inne ewentualności, zresztą położenie nie byłoby gorsze od obecnego.

Nóż wisiał u pasa. Wróciłem do chaty po strzelbę. Sprawdziłem, czy nabita, i ruszyłem ku „Upiorowi”. Z pewnymi trudnościami, kosztem zamoczenia po pas, dostałem się na pokład. Właz kubryku był otwarty. Zatrzymałem się nasłuchując chrapania śpiących, ale nie doszedł mnie ani szmer. Zaparło mi oddech na samą myśl. A może szkuner jest opuszczony? Nadśluchiwałem. Cisza. Ostrożnie zszedłem po trapie. Kubryk był pusty i pachniał stęchlizną, jak zawsze pomieszczenie opuszczone przez ludzi. Wszędzie leżała gruba warstwa porzuconych i podartych ubrań, stare gumowe buty, dziurawe płaszcze nieprzemakalne, słowem, bezużyteczne odpadki, świadczące o długiej morskiej podróży.

Z wyglądu kubryku wywnioskowałem, że został pośpiesznie opuszczony. Wróciłem na pokład. Nadzieja odżyła w mej duszy i rozejrzałem się już spokojniej. Zauważyłem brak łodzi. W sterówce zastałem to samo co w kubryku. Łowcy musieli z równym pośpiechem spakować swoje manatki. Szkuner został opuszczony. Wróciłem na pokład. Należał do Maud i do mnie. Pomyślałem o zapasach okrętowych i magazynie pod kajutą i zapragnąłem zrobić Maud niespodziankę jakimś smacznym śniadaniem.

Reakcja po strachu i świadomość, że nie muszę już spełnić ohydneho zamiaru, uczyniła mnie niecierpliwym i lekkomyślnym. Wielkimi susami biegłem po trapie międzypokładzia, pełen radości i nadziei, że Maud będzie spała, dopóki nie przygotuję śniadania-niespodzianki.

Okrążyłem kambuz, z prawdziwą satysfakcją myśląc o zgromadzonych w nim doskonałych przyborach kuchennych. Skoczyłem na trap rufy i zobaczyłem Wilka Larsena. Z rozpędu i zdumienia zrobiłem kilka kroków po pokładzie, nim zdołałem się zatrzymać. Stał na trapie. Widać było tylko jego głowę i ramiona. Wpatrywał się we mnie. Ręce miał oparte na uchylonej pokrywie trapu. Nie ruszał się wcale — po prostu stał i patrzył.

Zadrzałem i zrobiło mi się słabo jak dawniej. By utrzymać równowagę, oparłem się ręką o węgiel rufy. Wargi jakby mi nagle wyschły. Zwilżyłem je językiem na wypadek, gdybym miał mówić. Ani na chwilę nie odwracałem oczu od Wilka Larsena. Obaj milczeliśmy. W jego milczeniu i nieruchomości kryło się coś złowróżbnego. Powrócił mi cały strach przed nim, stokrotnie pomnożony świeżym przerażeniem. Staliśmy tak jeden naprzeciw drugiego, wpatrzeni w siebie.

Widziałem konieczność czynu, ale opanowała mnie dawna nieporadność i czekałem, aby on podjął inicjatywę. Znowu minęło kilka sekund. Przyszła mi na myśl analogia między tą sytuacją a chwilą, kiedy zbliżałem się do długogrzywego samca, zdecydowany go zabić, ale tak przerażony, że chciałem, by zaczął uciekać. Dopiero po chwili uprzytomniłem sobie, że przyszedłem na pokład nie po to, by dać Wilkowi Larsenowi inicjatywę, lecz by wziąć ją samemu.

Odwiódłem kurki obu luf i wymierzyłem w niego. Gdyby wówczas się ruszył czy spróbował zejść po trapie, zastrzeliłbym go na pewno. On jednak stał nieruchomo i nie spuszczał wzroku. Stałem przed nim ze strzelbą w drżących rękach i miałem czas zauważyć sterany i znużony wyraz jego twarzy. Wyglądała na zzartą jakimś straszliwym niepokojem. Policzki mu zapadły, a czoło było pełne zmarszczek. Uderzył mnie nie tylko dziwny wyraz jego oczu, ale i fizyczna zmiana, jaka w nim zaszła. Wyglądało to tak, jak gdyby nerwy wzrokowe i mięśnie wskutek przemęczenia wykrzywiały mu lekko gałki oczne.

Wszystko to zauważyłem, mózg mój pracował szybko i nasuwał tysiączne myśli, nie mogłem jednak pociągnąć za spust. Opuściłem broń i podszedłem do rogu nadbudówki, przede wszystkim, by uspokoić napięte nerwy, a po wtóre, by zacząć od nowa, a zarazem być bliżej celu. Znów podniosłem broń. Stał na odległość wyciągniętego ramienia. Nie było dla niego ratunku. Postanowiłem już. Choćbym był nie wiem jak marnym strzelcem, i tak nie mógłbym chybić. Wiąz jednak walczyłem ze sobą i nie mogłem nacisnąć spustu.

— No i co? — rzucił niecierpliwie.

Daremnie próbowałem położyć palce na spust i odezwać się.

— Czemu nie strzelasz?

Przełknąłem, by pozbyć się chryпки, która odebrała mi głos.

— Hump — wymówił powoli — nie zdobędziesz się na to. W gruncie rzeczy nie jesteś przestraszony, ale po prostu bezsilny. Twoja konwencjonalna moralność jest silniejsza od ciebie. Jesteś niewolnikiem poglądów wyznawanych przez ludzi, których znałeś, o których czytałeś. Kodeks ten wbijano ci do głowy od czasu, gdy zacząłeś mówić, toteż wbrew całej twej filozofii, wbrew wszystkiemu, czego cię nauczyłem, nie pozwoli ci on zabić nie uzbrojonego, nie stawiającego oporu człowieka.

— Tak, wiem — odparłem ochryple.

— Chociaż wiesz, że dla mnie zabić nie uzbrojonego człowieka znaczy tyle, co wypalić cygaro. Wiesz, kim jestem, znana ci jest moja wartość mierzona waszymi normami. Sam nazwałeś mnie wężem, tygrysem, rekinem, potworem, Kalibanem. A jednak ty, marna kukło z gałganów, ty, gadający automacie, nie ważysz się mnie zabić, jak zabiłbyś węża czy tygrysa, dlatego że mam ręce i nogi i że ciało moje przypomina twoje. Ba! Miałem lepsze wyobrażenie o tobie, Hump.

Wilk Larsen wyszedł po trapie i podszedł bliżej.

— Opuść pan broń. Chcę się od pana czegoś dowiedzieć. Nie miałem dotąd okazji się rozejrzeć. Co to za łódź? Jak leży „Upiór”? Dlaczego pan jest przemoczony? Gdzie Maud?... Przepraszam, panna Brewster czy może już pani Van Weyden?

Odsunąłem się, prawie płacząc, że nie mogę go zastrzelić, ale nie byłem aż tak głupi, by opuścić broń. Żywiłem jeszcze rozpaczliwą nadzieję, że targnie się na mnie, spróbuje uderzyć mnie lub udusić, wiedziałem bowiem, że tylko w tym wypadku mógłbym go zastrzelić.

— To Wyspa Usiłowań — powiedziałem.

— Nigdy o takiej nie słyszałem.

— Przynajmniej tak myśmy ją nazwali.

— My? Co za my?

— Panna Brewster i ja. A „Upiór” leży, jak pan widzi, dziobem na plaży.

— Muszą tu być foki. Obudziły mnie swym szczekaniem. Gdyby nie one, spałbym jeszcze. Słyszałem je zawijając tu w nocy. One pierwsze ostrzegły mnie, że jestem na zawietrznym brzegu. Bekowisko, jakiego szukałem od wielu lat. Tym razem przez mego braciszka zdobywam fortunę. Takie bekowisko to mennica. Jakie jest jego położenie?

— Nie mam pojęcia. Ale pan powinien znać je dość dokładnie. Jakie są pańskie ostatnie obserwacje?

Uśmiechnął się zagadkowo i nie odpowiedział.

— Dobrze, a gdzie załoga? — pytałem dalej. — Co się stało, że pan jest sam.

Byłem pewny, że pominięciem milczeniem i to pytanie, zdziwiła mnie więc gotowość, z jaką wyjaśnił:

— Nie upłynęły dwie doby od bitwy, a już zdybał mnie braciszek, i to nie z mojej winy. W nocy wdarł się na „Upiora”, kiedy na pokładzie była tylko jedna wachta. Łowcy mnie odstępili, bo obiecał im większy lon od skóry. Nie krępował się. Przy mnie robił propozycje. No i naturalnie załoga mnie opuściła. Można się było tego spodziewać. Wszyscy odeszli i tak zostałem porzucony na pastwę losu na własnym statku. Udało się z kolei Śmierci Larsenowi, przynajmniej jednak zostało w rodzinie.

— Ale jakim sposobem stracił pan maszty?

— Obejrzyj pan te talrepy* — powiedział wskazując miejsce, gdzie powinno być olinowanie bezanmasztu.

— Zostały odcięte nożem!

— Niezupełnie — śmiał się. — Ładniejsza robota. Popatrz pan lepiej.

Spojrzałem. Rzeczywiście, talrepy zostały podcięte tak, by utrzymywać wanty aż do chwili jakiegoś silniejszego naporu.

— To sprawka kuchty — śmiał się Wilk Larsen. — Wiem, choć nie złapałem go na tym. Odrobinę wyrównał rachunek.

— Brawo, Mugridge! — wykrzyknąłem.

— Tak i ja sobie pomyślałem, kiedy wszystko poszło za burtę. Tylko że nie było mi tak wesoło jak panu.

— Ale cóż pan wtenczas robił?

— Wszystko, co mogłem zrobić, niech mi pan wierzy, tylko że w tych okolicznościach niewiele było do zrobienia.

Odwróciłem się, by raz jeszcze obejrzeć dzieło Mugridge’a.

— A ja usiądę sobie na słońcu i wygrzeję się — doszły mnie słowa Wilka Larsena.

W jego głosie zabrzmiała ledwie uchwytna nuta fizycznej słabości. Tak dziwne się to wydawało, że obrzuciłem go szybkim spojrzeniem. Przesunął

* T a l r e p y — liny naciągające drabliny.

nerwowo ręką po twarzy, jakby chciał ją omieść z pajęczyny. Nic nie rozumiałem. To zachowanie tak nie pasowało do dawnego Wilka Larsena.

— Jakże z pańskimi bólami głowy? — zapytałem.

— Wciąż mnie gnębią. Czuję właśnie, że nadchodzi atak.

Z pozycji siedzącej obsunął się na pokład i przewrócił na bok, podkładając ramię pod głowę, a dłonią zasłaniając oczy od słońca. Patrzyłem na niego ze zdumieniem.

— Teraz masz okazję, Hump — powiedział.

— Nie rozumiem — skłamałem; bo doskonale wiedziałem, co ma na myśli.

— E, nic — dodał cicho jak przez sen — tylko teraz mnie masz, jakim mnie mieć chciałeś.

— Wcale nie. Chciałbym, żeby pan był kilka tysięcy mil stąd.

Zachichotał i umilkł. Schodząc do kajuty, musiałem przejść obok niego, ale nie dawał znaku życia. Podniosłem klapę w podłodze i zawałałem się patrząc w ciemności zalegające spiżarnię. Nie byłem pewny, czy iść na dół. Czyż to położenie się nie mogło być fortem? Wówczas wpadłbym jak mysz w pułapkę. Popęzłem cicho po trapie i wyjrzałem. Leżał w tej samej pozycji co przedtem. Znów zszedłem na dół, lecz zanim spuściłem się do spiżarni, na wszelki wypadek strąciłem w głąb drzwi. Pułapka nie będzie miała przynajmniej zamknięcia. Ale wszystkie środki ostrożności były zbyt skuteczne. Wróciłem do kabiny z zapasem dżemów, sucharów, konserw i podobnych artykułów, jakie tylko zdołałem zabrać, i wciągnąłem drzwi na miejsce.

Zerknąłem na Wilka Larsena. Leżał bez ruchu. Przyszła mi doskonała myśl. Wsunąłem się do kajuty kapitana i zabrałem jego rewolwery. Więcej broni nie znalazłem, choć zrewidowałem starannie trzy pozostałe kajuty. Dla pewności przeszedłem po międzypokładziu, kubryku i kambuzie, skąd zabrałem wszystkie ostre kuchenne noże. Później przypomniałem sobie o wielkim nożu marynarskim, który Wilk Larsen stale nosił w kieszeni. Podeszedłem do niego i zacząłem mówić najpierw cicho, potem głośno. Nie poruszył się. Nachyliłem się i wyciągnąłem mu nóż z kieszeni. Odetchnąłem swobodniej. Nie miał już broni, którą mógłby zaatakować mnie na odległość, ja zaś byłem uzbrojony i mogłem go zawsze ubiec, gdyby spróbował złapać mnie swymi strasznymi łapami goryla.

Częścią mego łupu wypełniłem dzbanek do kawy i patelnię, prócz tego z kredensu w kajucie zabrałem trochę porcelany i zszedłem z podkładu, zostawiając Wilka Larsena rozciągniętego na słońcu.

Maud wciąż spała. Rozdmuchałem żar ogniska (zimowy piec nie był jeszcze gotów) i gorączkowo ugotowałem śniadanie. Pod koniec tych zajęć usłyszałem, że się rusza. Widocznie robiła poranną toaletę. Właśnie nalewałem kawę, gdy otworzyła drzwi i wyszła przed chatę.

— Czy to ładnie uzurpować moje przywileje? — spytała na powitanie. — Przecież zgodziłeś się, że gotowanie należy do mnie i...

— Ale tylko tym razem — broniłem się.

— Musisz obiecać, że to ostatni raz — uśmiechnęła się. — Chyba że dokuczyły ci już moje nieudolne próby.

Ku mojemu wielkiemu zadowoleniu ani razu nie spojrzała w stronę wybrzeża, a mnie tak wspaniale udawało się zabawić ją żartami i rozmową, że całkiem nieświadomie zaczęła popijać kawę z filiżanki, jeść smażone kartofle z konserw i smarować suchary marmoladą. Ale musiało się to skończyć. Zauważyłem, że ogarnia ją zdziwienie. Rzuciła okiem na talerzyk, z którego jadła. Przenosiła wzrok ze szczegółu na szczegół śniadania, po czym spojrzała na mnie i powoli obróciła się w stronę wybrzeża.

— Humphrey!

Dawna nieopisana groza rozszerzyła jej źrenice.

— Czy... on? — wyjąkała.

Skinąłem głową.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Przez cały dzień spodziewaliśmy się, że Wilk Larsen zejdzie na brzeg. Byliśmy w ustawicznej trwodze. Co chwila któreś za nas rzucało badawcze spojrzenie ku „Upiorowi”. Ale Wilk Larsen nie nadszedł. Nie ukazywał się nawet na pokładzie.

— Może to z powodu bólu głowy — powiedziałem. — Zostawiłem go rozciągniętego na rufie. Pewno przeleżał tak całą noc. Pójdę chyba i zobaczę.

Maud spojrzała na mnie błagalnie.

— Nic mi nie grozi — zapewniłem. — Wezmę rewolwery. Zabrałem przecież wszystką broń, jaka była na statku.

— Pozostają mu ręce, jego okropne, straszne ręce! — protestowała, a po chwili krzyknęła: — O Humphrey, boję się go! Nie idź, proszę cię, nie idź!

Wzięła mnie za rękę, powodując przyspieszone bicie pulsu. Miłość musiała wyzierać mi z oczu. Droga, ukochana kobieta! Tak na wskroś kobieca, Ignęła do mnie błagalnie. Jej kobiecość działała na mnie niby rosa i słońce, wzmacniała mnie, wlewała w moje żyły nową siłę. Jak wówczas wśród stada fok, miałem ochotę otoczyć ją ramieniem, ale zdołałem się powstrzymać.

— Nie myślę ryzykować — powiedziałem. — Zajrzę tylko z dziobu.

Uścisnęła mi serdecznie rękę i pozwoliła odejść. Przekonałem się, że nie leżał już na pokładzie. Musiał zejść na dół. Tej nocy czuwaliśmy na zmianę, bo nie można było przewidzieć, co Wilk Larsen wymyśli. Był zdolny do wszystkiego.

Czekaliśmy nazajutrz i przez cały następny dzień, wciąż jednak nie dawał znaku życia.

— Ach, te jego bóle głowy, te ataki — powiedziała Maud czwartego dnia po południu. — Może być chory, poważnie chory. Może umarł. Albo umiera — dodała po chwili, nie doczekawszy się mojej opinii.

— Tak byłoby najlepiej — odparłem.

— Ależ pomyśl, Humphrey. To nasz bliźni umiera samotnie, opuszczony...

— Być może.

— Tak, bardzo być może — podchwyciła. — Ale my nie wiemy. Pomyśl, co za okropność, gdyby tak było. Nigdy bym sobie nie darowała. Musimy coś przedsięwziąć.

— Być może — przyznałem i tym razem. Czekałem uśmiechając się w duchu z jej iście kobiecej troskliwości nawet o życie Wilka Larsena. Gdzież się podziła troskliwość o mnie — myślałem — o mnie, któremu nie pozwoliła ani zajrzeć na pokład?

Zbyt była subtelna, by nie wyczuć, dokąd zmierzają moje myśli. Szczerść jej nie ustępowała jednak subtelności.

— Musisz pójść na pokład, Humphrey — powiedziała — i zobaczyć. Jeżeli chcesz się śmiać ze mnie, proszę bardzo, pozwalam i przebaczam.

Wstałem posłusznie i poszedłem na brzeg.

— Bądź tylko ostrożny!

Machnąłem ręką i skoczyłem na pokład. Stąd ruszyłem ku kajucie. Nie schodziłem jednak, tylko zawołałem w dół. Wilk Larsen odpowiedział, a słysząc jego kroki na trapie, przygotowałem broń do strzału. Podczas rozmowy trzymałem ją na widoku, lecz nie zwracał na to uwagi. Wyglądał tak jak ostatnio, ale był posępny i milczący. Tych kilka słów, które zamieniliśmy, nie można właściwie nazwać rozmową.

Ja nie pytałem, czemu nie zszedł na brzeg, a on — dlaczego nie przybyłem na pokład. Twierdził, że ból głowy już mu nie dolega, i rozeszliśmy się bez dalszych wynurzeń.

Maud wysłuchiwała mego raportu z wyraźną ulgą, a widok dymu, który niebawem dobył się z kambuza, uspokoił ją do reszty. Przez dwa następne dni widzieliśmy dym nad kambuzem i niekiedy sylwetkę Larsena na rufie. Ale nic ponadto. Nie próbował zejść na brzeg. Byliśmy tego pewni, bo wachtowaliśmy w dalszym ciągu. Czekaliśmy, by coś zrobił, by pokazał swe karty, i jego bezczynność wprawiała nas w zdumienie i niepokój.

Tak upłynął tydzień. Nie myśleliśmy o niczym innym, tylko o Wilku Larsenie. Jego obecność ciążyła nam niepomierne i nie pozwalała wykonać żadnej z zaplanowanych robót.

Pod koniec tygodnia dym przestał ukazywać się nad kambuzem, a Wilk Larsen na rufie. Znów zauważyłem, że Maud zaczyna się o niego martwić, chociaż przelekła, a raczej dumna, nie ponowiła swej prośby. Ostatecznie nie mogłem mieć do niej żalu. Była altruistką, a przede wszystkim — kobietą.

Zresztą mnie samego dręczyła myśl, że może człowiek, którego chciałem zabić, umiera opuszczony, a my jesteśmy tak blisko. Miał rację. Kodeks moralny

ludzi mojego gatunku był silniejszy ode mnie. Fakt, że Larsen miał ręce, nogi i ciało podobne do mojego, stwarzał prawo, którego nie mogłem ignorować.

Toteż tym razem nie czekałem, aż Maud mnie pośle. Stwierdziłem, że brak nam skondensowanego mleka i marmolady, i oświadczyłem, że idę na pokład. Widziałem, jak się zawahała. Więcej, bo mruknęła nawet, że nie są to artykuły pierwszej potrzeby i że moja wyprawa może być niewskazana. Jak za pierwszym razem wyczuła, co znaczą moje słowa. Wiedziała, że idę na pokład nie po skondensowane mleko i marmoladę, ale z: względu na nią i na niepokój, którego nie umiała ukryć.

Stanąwszy na dziobie, zdjąłem buty i w skarpetkach ruszyłem ku rufie. Nie wołałem Larsena, jak poprzednio, ze szczytu trapu, lecz ostrożnie zszedłem na dół. Wilka Larsena nie było. Drzwi od kajuty były zamknięte. W pierwszej chwili zamierzałem zapukać, ale potem przypomniałem sobie, pod jakim pretekstem tu przyszedłem, i postanowiłem go wykonać. Ostrożnie, bez hałasu uniosłem klapę w podłodze i odsunąłem ją na bok. W spiżarni był zarówno skład okrętowy, jak i prowiant, więc skorzystałem ze sposobności, aby nabrać bielizny.

Gdy wyszedłem na górę, doszły mnie szmery z kajuty Wilka Larsena. Skuliłem się i słuchałem. Szczęknęła klamka. Instynktownie umknąłem za stół i przygotowałem broń do strzału. Drzwi otworzyły się i stanął w nich Wilk Larsen. Nie widziałem nigdy tak bezgranicznej rozpacz, jak ta, która odmalowała się na jego twarzy, twarzy człowieka walki, mocnego, niezłomnego. Ruchem kobiety załamującej ręce podniósł w górę zaciśnięte pięści i jęknął. Otworzył jedną pięść i przesunął dłonią po oczach, jakby zmiatając z nich pajęczynę.

— Boże! Boże! — jęczał, podnosząc znowu obie zaciśnięte pięści gestem tej samej bezgranicznej rozpacz, która wibrowała mu w głosie.

Było to okropne. Drżałem, dreszcze przebiegały mi po plecach, pot występował na czoło. Doprawdy wątpię, czy znajdzie się na świecie wiele rzeczy bardziej wstrząsających od obrazu zupełnego załamania i bezradności silnego niegdyś człowieka.

Ale Wilk Larsen niepospolitym wysiłkiem woli odzyskał władzę nad sobą. Był to wysiłek ogromny. Człowiek dygotał od wewnętrznej walki. Robił wrażenie, że stoi na granicy obłędu. Usiłując rozpogodzić twarz, kurczył się i wykrzywił, i ostatecznie znowu się załamał. Jeszcze raz zacisnął pięści, podniósł je ku niebu i jęknął. Wciągnął głośno powietrze i załkał. Wreszcie dopiął swego. Gdyby nie cień słabości i niezdecydowania w ruchach, wziąłbym go za dawnego Wilka Larsena. Zwrócił się w stronę trapu i ruszył naprzód jak dawniej, a jednak krok jego zdradzał tę samą słabość i niezdecydowanie.

Teraz ja zadrzałem o własną skórę. Otwarta klapa leżała na jego drodze. Kiedy ją znajdzie, domyśli się mojej obecności. Ogarnęła mnie złość na siebie, że mogę zostać złapany w takiej tchórzowskiej postawie, skulony na podłodze. Był jeszcze czas. Szybko wyprostowałem się, instynktownie przybierając zuchwałą postawę. Ale nie zauważył tego. Nie widział także otwartej klapy. Zanim pojąłem sytuację i zdążyłem zadziałać, jedną nogą zawisł nad otworem, a drugą odbijał się od pomostu. Ledwie opadająca na pomost noga trafiła w próżnię, ocknął się w nim dawny Wilk Larsen. Tygrysie mięśnie poderwały upadające ciało, tak że przeskoczył otwór i padł na pierś i brzuch, z wyciągniętymi przed siebie rękoma. W jednej chwili podciągnął nogi i potoczył się akurat na moją bieliznę i marmoladę, aż oparł się o podniesioną klapę.

Wyraz twarzy miał przytomny. Nim jednak pojąłem, co z sytuacji rozumiał, spuścił klapę, zamykając w ten sposób spiżarnię. Wtedy odgadłem. Myśli, że mnie złapał. Więc był ślepy, jak kret. Stłumiłem oddech, aby mnie nie dosłyszał, i śledziłem go. Zawrócił szybko do swej kabiny. O cal chybił klamkę, namacał ją i znalazł. Teraz miałem szansę ucieczki. Na palcach opuściłem kajutę i wdrapałem się na szczyt trapu. Wrócił ciągnąc ciężki kufer marynarski i umieścił go na klapie. Nie dość tego, przyniósł drugi kufer i postawił na pierwszy. Potem pozbierał bieliznę i marmoladę i położył na stole. Gdy ruszył po trapie ku górze, wycofałem się, cicho odchodząc za kabinę.

Z ręką na klamce, oparty o drzwi luku, rozwarł je szerzej i wychylił się do połowy. Zapatrzył się w kierunku dziobu, a właściwie zwrócił tam martwe i nieruchome źrenice. Stałem tylko pięć stóp od niego, na linii jego wzroku. Było to niesamowite. Niewidzialny, czułem się duchem. Zamachałem ręką, co nie uczyniło na nim oczywiście żadnego wrażenia, dopóki ruchomy cień nie padł mu na twarz. Stał się wówczas czujny i skupiony, bo próbował zanalizować, określić istotę tego wrażenia. Wiedział, że reaguje na jakiś bodziec zewnętrzny, że odbiera wrażenie czegoś, co zmienia się w jego otoczeniu, ale nie zdawał sobie sprawy, co to takiego. Przestałem machać ręką, tak że cień zatrzymał się. Powoli zaczął kiwać głową naprzód, w tył, z boku na bok i w ten sposób przesuwając ją ze światła w cień, dochodził czuciem, gdzie jest cień.

Ze swej strony starałem się zrozumieć, w jaki sposób zdaje sobie sprawę z rzeczy podobnie nieuchwytniej jak cień. Gdyby tylko gałki oczne uległy porażeniu albo nerw wzrokowy do szczętu nie zamarł, wyjaśnienie byłoby proste. W przeciwnym razie należałoby sądzić, że wrażliwa skóra rozróżniała temperaturę cienia i światła słonecznego. Albo — kto wie? Może był to przejaw osławionego szóstego zmysłu, za którego pośrednictwem przenikał doń majak jakiegoś przedmiotu znajdującego się w pobliżu.

Wreszcie zrezygnował z rozwiązania zagadki cienia, wyszedł na pokład i ruszył ku przodowi ze zdumiewającą szybkością i pewnością siebie. Mimo to w chodzie jego było coś z wahania człowieka ślepego.

Teraz już je rozumiałem.

Nie wiedziałem, czy się śmiać, czy wściekać, kiedy trafił na moje buty i zabrał je do kambuza, gdzie rozniecił ogień i począł gotować jedzenie. Wówczas zakradłem się do kajuty, wziąłem ze stołu marmoladę i bieliznę, po czym prześliznąłem się obok kambuza, przelazłem przez burtę i bosą powędrowałem, aby zdać raport Maud.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

— Co za nieszczęście, że „Upiór” stracił maszty. Moglibyśmy na nim odpłynąć. Prawda, Humphrey?

Porwałem się na nogi.

— Prawda, prawda! — powtarzałem, przechadzając się tam i z powrotem.

Maud wodziła za mną rozbłysłymi nadzieją oczyma. Pokładała we mnie tak wielką wiarę! Myśl o tym dodawała mi sił. Przyszedł mi na myśl Michelet*: „Dla mężczyzny kobieta jest tym, czym ziemia była dla legendarnego jej syna, któremu dość klęknąć i ucałować łono macierzy, aby odnowić swe siły”. Teraz dopiero przekonałem się o cudownej prawdzie tych słów. Sam to przeżywałem. Maud była dla mnie tym wszystkim, niewyczerpanym źródłem mocy i męstwa. Wystarczyło mi tylko spojrzeć na nią albo pomyśleć o niej, aby znowu stać się silnym.

— To da się zrobić, da się zrobić — myślałem głośno. — Co ludzie uczynili, i ja potrafię, a jeżeli nawet nigdy się na to nie zdobyli, ja się zdobędę.

— Co takiego, na miłość boską? — pytała Maud. — Zlituj się, mów, na co możesz się zdobyć?

— Właściwie możemy we dwoje — poprawiłem. — Należy tylko na nowo osadzić maszty w kadłubie i odpłynąć.

— Humphrey!

Byłem dumny z mego pomysłu, jak gdybym go już wykonał.

— Ale jak to zrobić?

— Nie wiem — odparłem. — Wiem tylko, że teraz już wszystko potrafię.

Uśmiechnąłem się do Maud dumnie, nawet za dumnie, bo spuściła oczy i na chwilę zamilkła.

— Jest przecież kapitan Larsen — oponowała.

— Ślepy i bezradny — odparłem natychmiast, z gestem lekceważenia.

— Ale te jego straszne ręce! Zresztą widziałeś na własne oczy, jak przeskończył właz do spiżarni.

* Jules Michelet (1798—1874) — historyk i eseista francuski, przyjaciel Adama Mickiewicza.

— Ale tak manewrowałem, by go wyminąć — sprzeczałem się wesoło.

— I straciłeś buty.

— Trudno żądać, żeby same go wymijały.

Wybuchnęliśmy śmiechem i zaczęliśmy poważnie się zastanawiać, jak osadzić maszty „Upiora” i powrócić do świata. Z czasów szkolnych zostało mi mgliste pojęcie o fizyce, a podczas ostatnich kilku miesięcy miałem dużo praktyki w zakresie windowania ciężarów. Muszę jednak przyznać, że gdy poszliśmy zobaczyć, co mamy do zrobienia, na widok wielkich masztów leżących w wodzie ręce mi opadły. Od czego zacząć? Gdyby stał choć jeden maszt, coś wysokiego, na czym można by umocować bloki i liny! Ale nic takiego nie było. Przypominało to problem, jak podnieść samego siebie za sznurowadła. Znałem mechanikę dźwigni, ale gdzie znaleźć punkt oparcia?

Grotmaszt, o piętnastocalowej średnicy w miejscu, gdzie teraz była jego podstawa, długi na sześćdziesiąt pięć stóp, ważył co najmniej trzy tysiące funtów. Fokmaszt, o jeszcze większej średnicy, ważył pewno trzy i pół tysiąca funtów. Od czego zacząć? Maud w milczeniu stała u mego boku. Zastanawiałem się nad zastosowaniem przyrządu zwanego przez marynarzy „nożycami”. Choć znali go marynarze, ja odkryłem go na Wyspie Usiłowań. Krzyżując i wiążąc końce dwu belek i podnosząc je w powietrze na kształt odwróconej litery „v”, zyskałbym, nad pokładem punkt oparcia, do którego można by przymocować blok wciągowy. Do pierwszego bloku można w razie potrzeby doczepić drugi, a miałem przecież jeszcze kołowrót.

Maud wyczuła, że znalazłem rozwiązanie, i rzuciła mi spojrzenie pełne zachęty.

— Co zamierzasz zrobić?

— Sprzątnąć cały ten bałagan! — odpowiedziałem wskazując poplątane szczątki za burtą.

Stanowczość, sam dźwięk tych słów mile zadźwięczały mi w uszach. „Sprzątnąć bałagan”! Wyobraźcie sobie ten jędrny zwrot w ustach Humphreya Van Weydena sprzed kilku miesięcy!

Lecz mój ton i poza zalaływały melodramatem, bo Maud uśmiechnęła się. Miała poczucie humoru, zdolność dostrzegania i wyczuwania śmieszności, blagi, przesady czy koloryzacji. Dzięki temu jej utwory uderzały przenikliwością i opanowaniem i miały taką wartość dla świata. Poważny krytyk z rozwiniętym zmysłem humoru i darem ekspresji musi zwrócić uwagę ludzi. Tak też się stało. Jej zmysł humoru był niczym innym, jak tylko artystycznym poczuciem proporcji.

— Musiałam to już gdzieś czytać — rzuciła ze śmiechem.

Ja również miałem poczucie proporcji, toteż wypadłem od razu z roli wszechwładnego pana stworzenia i stoczyłem się do poziomu pokornej bezradności, która była co najmniej żałosna.

Natychmiast wyciągnęła do mnie rękę.

— Jakże mi przykro.

— Drobnostka — wykrztusiłem. — Wyjdzie mi tylko na dobre. Za dużo jest jeszcze we mnie sztubaka. Ale to wszystko nie ma znaczenia. Musimy rzeczywiście uprzątnąć ten bałagan. Jeśli zechcesz mi towarzyszyć, popłyniemy łodzią i od razu weźmiemy się do roboty.

„Kiedy marynarze uprzątają bałagan ze składanymi nożami w zębach” — zacytowała.

Całe popołudnie praca dostarczała nam tematu do żartów.

Maud miała utrzymywać w miejscu łódź, gdy ja rozplątywałem liny. To była dopiero płatanina: fały, szoty, odciągacze, niderholery, wanty, sztagi*, wszystko rzucone na falach, pokręcone, splątane przez morze.

Ciąłem, tylko kiedy to było konieczne. Wyciągałem długie liny spod bomów i masztów, fały i szoty wywlekałem z bloków, układałem zwoje lin w łodzi i rozwijałem je, gdy trzeba było przekładać linę przez nowe węzły i pętle. Wkrótce przemokłem do nitki.

Nie odbyło się bez cięcia żagli. Ciężkie, namokłe płachty udało mi się wydobyc z największym trudem, ale przed zmrokiem już suszyły się rozciągnięte na brzegu. Przy kolacji byliśmy oboje bardzo zmęczeni i choć na oko nie wydawało się tego tak wiele, zrobiliśmy dużo.

Następnego dnia udałem się z moją dzielną pomocnicą na pokład. Zeszliśmy na dół, by usunąć odłamki masztów z osad. Ledwie zaczęliśmy pracę, już stuk i kucie zwabiły Wilka Larsena.

— Halo, tam na dole! — zawołał przez otwarty luk.

Na dźwięk tego głosu Maud szybko zbliżyła się do mnie, jakby szukając obrony, i w ciągu całej rozmowy wspierała się na moim ramieniu.

— Halo, tam na pokładzie! — odpowiedziałem. — Dzień dobry panu.

— Co pan tu robisz? Próbujesz przedziurawić mój statek?

— Wręcz przeciwnie, remontuję go.

— Ale po jakiego diabła? — W głosie jego zabrzmiało zdumienie.

* S z t a g i — liny służące do podtrzymywania masztów wzdłuż osi pionowej statku.

— Żeby osadzić maszty z powrotem — odpowiedziałem bez wahania, jak gdyby to było bagatelką.

— Zdaje mi się, że nareszcie stoisz na własnych nogach, Hump.

Zamilkł na jakiś czas.

— Ale mówię ci, Hump — zawołał znowu — nie możesz tego zrobić.

— Oczywiście, że mogę — odparłem. — Robię to nawet w tej chwili.

— Ależ to mój statek, moja prywatna własność. A jeżeli ci zabronię?

— Zapominasz pan — odpowiedziałem — że nie jesteś już największym kawałem fermentu. Kiedyś nim byłeś i mogłeś mnie pożreć, jak sam to nazywałeś, ale czegoś panu ubyło i teraz ja mogę pana pożreć. Pańskie drożdże przestały być świeże.

Parsknął krótkim, nieprzyjemnym śmiechem.

— Widzę, że chcesz mnie pobić moją własną bronią, ale nie doceniasz moich sił. Ostrzegam cię przez wzgląd na twoje własne dobro.

— Odkąd to stałeś się pan taki ludzki? — spytałem. — Chyba sam pan przyzna, że ostrzegając mnie teraz dla mojego dobra, nie grzeszysz logiką.

Nie zareagował na przycinek i dodał:

— A jeżeli spuszczę pokrywę luku? Nie wyprowadzisz mnie w pole jak wtedy ze spiżarnią.

— Wilku Larsenie — przemówiłem surowo, po raz pierwszy nazywając go imieniem, pod którym był ogólnie znany. — Nie potrafię zastrzelić bezbronnego, nie stawiającego oporu człowieka. Dowiódł mi pan tego zarówno ku swojemu, jak i mojemu zadowoleniu. Ale uprzedzam, i to nie tyle dla pańskiego dobra, ile dla mojego, że zastrzelę pana natychmiast w razie jakiegoś wrogiego czynu z pańskiej strony. Mogę pana zastrzelić teraz, z miejsca, gdzie stoję, więc jeśli masz pan ten zamiar, spróbuj zatrzaskać pokrywę.

— Mimo to stanowczo zabraniam panu rządzić się na moim statku.

— Ależ człowieku! Opierasz się na fakcie, że to twój statek, jakby to było jakieś prawo moralne. Dotąd w stosunkach z innymi nie uwzględniałeś nigdy ich praw moralnych. Chyba więc nie śni się panu, że uwzględnię je w stosunku do pana.

Stałem pod samym lukiem, skąd mogłem go widzieć. Brak wyrazu twarzy, tak innej niż wtedy, kiedy obserwowałem go z ukrycia, podkreślały jeszcze martwe, nieruchome oczy.

— I żaden biedak, nawet Hump, przed nim się nie skłoni* — szydził. Ale szyderstwo wyraziło się tylko w głosie. Twarz pozostała kamienna.

— Dzień dobry, panno Brewster — odezwał się po chwili.

Drgnąłem. Nie wydała dźwięku, nie poruszyła się nawet. Czyżby pozostało mu w oczach trochę światła, czy może odzyskał wzrok?

— Jak się pan miewa, kapitanie Larsenie — odpowiedziała. — Ale skąd pan wie, że tu jestem?

— Oczywiście słyszę pani oddech. Twierdzę, że Hump się poprawił, prawda?

— Nie wiem — odpowiedziała uśmiechając się do mnie. — Nigdy nie widziałam go innym.

— Bo trzeba go było pani widzieć przedtem.

— Wilk Larsen w dużych dawkach, przed i po jedzeniu — mruknąłem.

— Jeszcze raz ci radzę, Hump — groził — zostaw wszystko, jak jest.

— Czy pan nie chce się stąd wydostać tak jak i my? — zapytałem z niedowierzaniem.

— Nie. Chcę tutaj umrzeć.

— Ale my nie — zakończyłem wyzywająco i zabrałem się do stukania i kucia.

* „I żaden biedak przed nim się nie skłoni” — parafraza cytatu z *Juliusza Cezara* Szekspira. Słowa z mowy pogrzebowej Marka Antoniusza, malujące zmianę uczuć tłumu dla Cezara po jego upadku.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Następnego dnia, gdy osady masztów były już przygotowane, zaczęliśmy wciągać dwie stengi na pokład. Stenga grotmasztu miała ponad trzydzieści stóp długości, a fokmasztu prawie trzydzieści. Z nich zamierzałem zbudować nożyce. Praca była kłopotliwa. Przytwierdziwszy koniec liny do stengi fokmasztu, a drugi przewlókłszy przez kołowrót, zacząłem ciągnąć. Maud blokowała i układała w zwój linę.

Zdumiewała nas łatwość, z jaką podnieśliśmy stengę. Rozporządzaliśmy ulepszonym kołowrotem, dającym olbrzymią siłę podnoszenia. Rzecz prosta, iż za to, co zyskiwaliśmy na sile, płaciliśmy długością wciąganej liny; ile razy zwielokrotniła się siła, tyle razy zwielokrotniła się długość liny. Wreszcie lina poczęła szorować po burcie coraz mocniej, w miarę jak stenga wynurzała się z wody i praca przy bloku stawała się coraz cięższa.

Kiedy pięta sięgała poziomu burty, wszystko się zatrzymało.

— Powiniennem był to przewidzieć — zawołałem niecierpliwie. — Teraz trzeba zacząć od początku.

— Czy nie lepiej przymocować linę w połowie masztu? — zaproponowała Maud.

— Tak właśnie należało zrobić od razu — odpowiedziałem niezadowolony z siebie.

Wypuściłem linę, maszt zsunął się do wody, a blok umocowałem tym razem o jedną trzecią długości od pięty. Po godzinie wciągania, wliczając w to i odpoczynki, stenga doszła do martwego punktu. Tylko z osiem stóp wystawała nad burtą i o wciągnięciu jej na pokład nie było mowy. Usiadłem i rozważyłem. Nie zabrało mi to wiele czasu. Uradowany, porwałem się na nogi.

— Mam! — krzyknąłem. — Należało umocować blok w środku ciężkości. Czegośmy się teraz nauczyli, posłuży nam przy wciąganiu następnych masztów.

Znowu więc musiałem zniszczyć moją robotę i opuścić maszt do wody. Błędnie jednak wybrałem środek ciężkości i wciągnąłem maszt szczytem zamiast piętą. W oczach Maud malowała się rozpacz, lecz ja oświadczyłem ze śmiechem, że to wszystko jedno.

Nauczyłem ją, jak blokować i zwalniać linę na rozkaz, a sam obydwoma rękami chwyciłem stengę i usiłowałem przeważyć ją przez burtę na pokład. Kiedy sądziłem, że mi się powiodło, krzyknąłem na Maud, by zwolniła linę. Mimo mych wysiłków jednak drzewce cofnęło się i wpadło z powrotem do wody. Znowu wciągnąłem je do dawnego położenia, ale tym razem przyszedł mi inny pomysł. Przypomniałem sobie podręczną talię złożoną z dwóch podwójnych i jednego pojedynczego bloku.

Właśnie umocowałem ją pomiędzy szczytem masztu a przeciwną burtą, gdy ukazał się Wilk Larsen. Wymieniliśmy tylko powitania, a potem — choć nie mógł nic widzieć — usiadł z dala na burcie i przysłuchiwał się, co robię.

Znowu dałem Maud wskazówki, jak ma zwolnić na dane hasło, i zacząłem ciągnąć maszt talią. Z wolna poddawał się i zawisł prostopadle nad burtą. Wówczas ku memu zdumieniu przekonałem się, że Maud nie ma co zwalniać, lecz trzeba postąpić wprost przeciwnie. Umocowawszy linę do talii, począłem cał po calu wciągać kołowrotem, aż szczyt przechylił się za burtę i wreszcie cały maszt legł na pokładzie.

Spojrzałem na zegarek. Była dwunasta. Bolał mnie grzbiet, czułem się bardzo zmęczony i głodny. Cały ranek wciągaliśmy na pokład jeden tylko maszt. Po raz pierwszy zdałem sobie sprawę z wielkości zadania, które sobie postawiliśmy. Ale wprawiałem się, uczyłem. Popołudniowa robota będzie bardziej owocna. Nadzieje mnie nie zawiodły. O pierwszej, wypocząwszy i pokrzepiwszy się pożywnym obiadem, wróciliśmy do pracy.

Nie upłynęła godzina, a już stenga grotmasztu leżała na pokładzie. Przystąpiłem do budowy nożyc. Rozłożywszy maszty na pokładzie tak, aby mimo niejednakowej długości wierzchołki ich się spotkały, skrępowałem je razem i w tym punkcie umieściłem podwójny blok od fałów grotmasztu, który w połączeniu z pojedynczym blokiem tworzył żuraw. Aby nie dopuścić przy podnoszeniu nożyc do osuwania się pięć masztów, przybiłem na pokładzie grube knechty. Potem przymocowałem linę do wierzchołka nożyc i przyczepiłem ją do kołowrotu. Nabrałem zaufania do tego urządzenia, gdyż pomnażało moje siły ponad wszelkie oczekiwanie. Jak uprzednio, Maud blokowała linę, a ja wciągałem. Nożyce podnosiły się w górę.

Wówczas dopiero przyszło mi do głowy, że zapomniałem o topenantach*. Dwukrotnie włąziłem na podniesione już nożyce, aby przyczepić topenanty do wierzchołka i w ten sposób umocować nożyce ze wszystkich czterech stron. Zapadł mrok, zanim to skończyłem.

* T o p e n a n t y — liny podtrzymujące reje.

Wilk Larsen, który całe popołudnie siedział w milczeniu i nasłuchiwał, odszedł nareszcie do kambuza i zabrał się do gotowania kolacji. Grzbiet mi zeszytywniał i nie mogłem rozprostować się bez wysiłku i bólu. Z dumą spoglądałem na moje dzieło. Zaczynało być widoczne. Zachowywałem się jak dziecko, które dostało nową zabawkę. Brała mnie nieprzeparta chęć, by podnieść coś za pomocą nożyc.

— Żałuję, że jest już późno — odezwałem się. — Chciałbym zobaczyć jak to działa.

— Nie bądź taki zachłanny, Humphrey — strofowała mnie Maud. — Nie zapominaj o jutrze. Ledwie trzymasz się na nogach.

— A ty? — rzuciłem w porywie troskliwości. — Musisz być strasznie zmęczona. Pracowałaś ciężko i dzielnie. Jestem z ciebie dumny.

— A ja jestem jeszcze dumniejsza z ciebie i mam po temu powody — odparła wpatrując się we mnie z jakimś dziwnym, płasającym, drżącym błyskiem w oczach, którego dotąd u niej nie widziałem. Nie wiem czemu, bo nie rozumiałem, co błysk ten oznacza, przebiegł mnie dreszcz rozkoszy. Potem spuściła oczy, a kiedy je znowu podniosła, były roześmiane.

— Gdyby tak nasi znajomi zobaczyli nas teraz — podjęła. — Spójrzmy tylko na siebie. Czy choć raz zastanowiłeś się nad naszym wyglądem?

— Często zastanawiałem się nad twoim — odpowiedziałem, wciąż jeszcze zajęty tym, co przed chwilą dojrzałem w jej oczach, i zdziwiony, czemu raptem zmieniła temat.

— Litości — zawołała. — I jakże wyglądam?

— Jak strach na wróble, niestety. Dość spojrzeć na twoje zaszargane spódnice lub na te trójkątne rozdarcia. A co za bluzka! Nie trzeba Sherlocka Holmesa, by wywnioskować, że gotowałaś nad ogniskiem i wytapiałaś foczy tran. A już szczyt wszystkiego to twoje nakrycie głowy! I to jest kobieta, która napisała *Wymuszony pocałunek*.

Maud złożyła mi ceremonialny, dworski ukłon i odpowiedziała:

— A wielmożny pan jak wygląda?

W żartobliwej rozmowie, którą prowadziliśmy jeszcze z pięć minut, pod maską śmiechu kryło się coś poważnego, co miało związek z tym zagadkowym, przelotnym wyrazem jej oczu. Co to mogło być? Czyżby nasze oczy mówiły więcej niż język? Wiedziałem, że oczy wydały mnie kilkakrotnie, zanim odkryłem winowajców i kazałem im milczeć. Czyżby zauważyła to i zrozumiała ich wymowę? Czyżby jej oczy w ten sposób do mnie przemówiły? Cóż innego mógł oznaczać ten wyraz — to płasające, drżące światło i jeszcze coś ponadto,

czego niepodobna opisać? Przecież tak być nie mogło. To niemożliwe. A zresztą nie znałem się na wymowie oczu. Byłem tylko Humphreym Van Weydenem, zakochanym mołem książkowym? Kochać, czekać na miłość, zasłużyć na nią — jakże to było piękne! Tak myślałem, gdyśmy żartowali na temat naszego wyglądu. Po powrocie na brzeg trzeba było pomyśleć o czym innym.

— To okropność, że po całodziennej ciężkiej pracy musimy w nocy czuwać — skarżyłem się Maud po kolacji.

— Ale czy teraz może nam coś jeszcze grozić, i to ze strony niewidomego?

— O, nigdy nie można mu zawierzyć — zapewniłem — a tym bardziej teraz, kiedy jest ślepy. Prawdopodobnie częściowa bezradność czyni go jeszcze złośliwszym. Wiem, co robię. To będzie pierwsza rzecz, do której wezmę się jutro rano: zarzucę małą kotwicę w zatoce i ściągnę kołowrotem szkuner z plaży. W ten sposób, kiedy odbijemy wieczorem od szkunera, Wilk Larsen zostanie na nim w charakterze więźnia. Tej nocy wachtujemy więc po raz ostatni i dlatego nie powinno być nam tak ciężko.

Wstaliśmy bardzo wcześnie i już o świcie kończyliśmy śniadanie.

— O, Humphrey! — krzyknęła Maud głosem pełnym przerażenia i nagle urwała.

Spojrzałem na nią. Patrzyła na „Upiora”. Rzuciłem okiem w tym kierunku, ale nie odkryłem nic nadzwyczajnego. Przeniosła wzrok na mnie. Byłem zdziwiony.

— Nożyce — przemówiła drżącym głosem.

Zapomniałem o ich istnieniu. Znowu spojrzałem na „Upiora”, ale nożyc nie zobaczyłem.

— Jeśli on... — mruknąłem wściekle.

Ze współczuciem położyła mi rękę na ramieniu, mówiąc:

— Będziesz musiał zrobić to od początku.

— O, wierzaj mi, mój gniew nic nie znaczy. Nie potrafiłbym skrzywdzić muchy — odpowiedziałem z uśmiechem pełnym gorczy. — A najgorsze jest, że on to wie. Masz rację. Jeżeli zniszczył nożyce, będę musiał zaczynać od początku.

— Ale odtąd będę odbywał wachtę na pokładzie — wybuchnąłem po chwili. — Jeżeli spróbuje tylko szkodzić...

— Ale ja nie odważę się pozostawać przez całą noc sama na brzegu — rzuciła Maud, gdy przyszedłem do siebie. — Byłoby daleko lepiej, gdyby się

z nami zaprzyjaźnił i pomagał nam zamiast szkodzić. Wówczas wszyscy moglibyśmy wygodnie mieszkać na statku.

— Tak też zrobimy — zdecydowałem, wciąż jeszcze wściekły, bo strata ukochanych nożyc głęboko mnie zabolęła. — To znaczy, że oboje będziemy mieszkać na pokładzie, czy w przyjaźni z Wilkiem Larsenem, czy też nie.

To dziecinne z jego strony — zaśmiałem się po chwili — robić takie rzeczy, a z mojej tak się nimi przejmować.

Ale na widok spustoszenia zrobionego na statku przez Wilka Larsena serce mi się ścisnęło. Nożyc ani śladu. Lewe i prawe topenanty były porozcinane. Fały, które założyłem, były również przecięte w paru miejscach. Wiedział, że nie potrafię ich spleść. Uderzyła mnie pewna myśl. Podbiegłem do kołowrotu. Nie działał. Był połamany. Spojrzeliśmy na siebie w konsternacji. Podbiegłem do burty. Rozplątane przeze mnie maszty, borny i gafle znikły. Znalazł liny, na których się trzymały, i splawił je. W oczach Maud zaświeciły łzy. Miałem wrażenie, że to na myśl o mnie. I mnie zbierało się na płacz. Co teraz z projektem omasztowania „Upiora”? Wilk zrobił swoje. Usiadłem na framudze luku i w czarnej rozpaczycy wsparłem brodę na pięściach.

— Zasługuje na śmierć! — wykrzyknąłem. — Moja wina, że nie jestem dość twardy, by zostać jego katem.

Ale Maud była u mego boku i łagodnie głaszcząc mnie po włosach, mówiła jak do dziecka.

— Uspokój się, uspokój, wszystko skończy się dobrze. Słuszność jest po naszej stronie i wszystko musi się dobrze skończyć.

Przyszedł mi na myśl Michelet i przywarłem głową do jej kolan. Rzeczywiście poczułem napływ nowych sił. Ta błogosławiona kobieta była dla mnie niezawodnym źródłem mocy. Czy wszystko to miało jakieś znaczenie? Tylko krok wstecz, zwłoka. Odpływ nie mógł znieść masztów daleko w morze, a wiatr nie wiał wcale. Znalezienie ich i przyholowanie przysporzy nam tylko pracy. A zresztą to naučka. Wiedziałem, czego się trzymać. Równie dobrze mógł poczekać i zniszczyć nasze dzieło, kiedy byłoby już dalej posunięte, a wtedy przyniosłoby nam większą szkodę.

— Idzie — szepnęła.

Spojrzałem. Wałęsał się po lewej stronie rufy.

— Nie zwracaj na niego uwagi — odszepnąłem. — Przychodzi zobaczyć naszą reakcję. Niech się nie domyśli, że wiemy. Nie damy mu tej satysfakcji. Zdejm buciki — tak, teraz dobrze — i weź je do ręki.

Zaczęła się zabawa w ciuciubabkę z niewidomym. Gdy nadszedł z lewej strony, umknęliśmy na prawą; z rufy widzieliśmy, że zawraca i rusza za nami.

Musiał jakoś poznać, że jesteśmy na pokładzie, bo powiedział „dzień dobry” bardzo pewnym głosem i czekał na odpowiedź. Wreszcie powędrował ku tyłowi, my zaś przemknęliśmy na dziób.

— Wiem, że jesteście na pokładzie! — krzyknął i widziałem, jak chciwie nasłuchuje.

Zrobił na mnie wrażenie puchacza, który po wydaniu przeciągłego krzyku czeka, aż poruszy się przestraszona ofiara. Ale my nie daliśmy znaku życia i ruszaliśmy się tylko, kiedy on się ruszał. I tak kołowaliśmy po pokładzie, ręka w rękę, jak dwoje dzieci prześladowanych przez złego olbrzyma, aż Wilk Larsen, najwidoczniej zniechęcony, zszedł do kajuty. Wkładając buty i przełaząc przez burtę do łodzi, patrzyliśmy na siebie wesoło i z trudem powstrzymywaliśmy się od śmiechu. Zapatrzone w brązowe oczy Maud zapomniałem o krzywdzie, jaką nam wyrządził Wilk Larsen, i wiedziałem tylko, że ją kocham i że dzięki niej mam dość siły, aby utorować nam powrót do świata.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Przez dwa dni błądziliśmy po morzu i zwiedzaliśmy zatoki w poszukiwaniu zaginionych masztów. Znaleźliśmy je dopiero na trzeci dzień, wszystkie razem, łącznie z nożycami, w najniebezpieczniejszym miejscu, tam, gdzie przybój uderzał o groźny południowo-zachodni przylądek. Ileśmy się musieli napracować! Pierwszego dnia wróciliśmy wyczerpani do naszej małej zatoki już nocą, holując grotmaszt. Musieliśmy wiosłować cały czas wskutek zupełnej ciszy morskiej.

Nazajutrz po całym dniu beznadziejnej i niebezpiecznej pracy dociągnęliśmy dwie stengi do obozu. Następnego dnia zrozpaczony, związałem w rodzaj tratwy fokmaszt, oba borny i gafle. Wiatr był przychylny i zamierzałem holować pod żaglami, ale potem zmienił się, aż wreszcie zamarł. Na wiosłach posuwaliśmy się zółwim tempem. Co za zniechęcająca praca! Z całych sił, całym ciężarem ciała napierać na wiosła i czuć, jak holowany ciężar tamuje każde posunięcie łodzi naprzód — nie było wcale wesołe.

Noc zapadła i na domiar złego powiał przeciwny wiatr. Nie tylko przestaaliśmy płynąć naprzód, ale zaczęło nas znosić na pełne morze. Pracowałem przy wiosłach do wyczerpania. Biedna Maud, której niczym nie mogłem powstrzymać od pracy nad siły, legła bezwładnie na rufie. Nie byłem zdolny dłużej wiosłować. Moje starte i spuchnięte dłonie już nie chwyciły rękojeści wiosła. Przeguby rąk i ramiona bolały nieznośnie i choć w południe pochłonałem obfite drugie śniadanie, pracowałem tak ciężko, że znów osłabłem z głodu.

Wciągnąłem wiosła i pochyliłem się nad liną holowniczą, ale Maud porwała mnie za rękę.

— Co chcesz zrobić? — zapytała głosem drżącym z przejęcia.

— Pozbyć się tego — odpowiedziałem zwalniając jeden zwój liny z przyczepu.

Ale jej palce zacisnęły się na moich.

— Proszę, nie rób tego.

— To na nic — odpowiedziałem. — Już noc i wiatr odpycha nas od lądu.

— Pomyśl tylko, Humphrey. Jeżeli nie odpłyniemy na „Upiorze”, możemy przez długie lata zostać na wyspie; nawet przez całe życie. Skoro nikt jej dotąd nie odkrył, może zostać na zawsze nie odkryta.

— Zapominasz o łodzi, którą znaleźliśmy na plaży,— przypomniałem.

— Była to łódź łowców fok i doskonale wiesz, Humphrey, że gdyby tym ludziom udało się uciec, wróciliby na pewno, aby zrobić majątek na eksploatacji bekowiska. Wiesz dobrze, że nie zdołali stąd uciec.

Milczałem niezdecydowany.

— A zresztą — dodała urywanym głosem — to twój pomysł i tak bardzo pragnę, byś go zrealizował.

Te słowa skłoniły mnie do oporu. Gdy tylko mi pochlebiła, poczułem się w obowiązku jej zaprzeczyć.

— Lepiej spędzić lata na wyspie niż umrzeć dzisiaj w nocy, jutro czy pojutrze w odkrytej łodzi. Nie jesteśmy przygotowani do walki z morzem. Nie mamy nic, ani prowiantu, ani wody, ani koców. Przecież ty nie przeżyjesz nocy bez okrycia. Znam twoje siły. Drżysz już teraz.

— To tylko nerwy. Boję się, że spławisz maszty wbrew mej woli.

— Och, proszę, proszę bardzo, Humphrey, nie rób tego! — wybuchnęła po chwili.

Na tym się skończyło. Wiedziała, że nie umiem się oprzeć jej prośbie. Dygotałem z zimna przez całą noc. Drętwiałem z przeziębienia. Co pewien czas zapadałem w drzemkę, ale budziło mnie zawsze dojmujące zimno. Nie pojmowałem, jakim cudem mogła to znieść Maud. Siły moje były na wyczerpaniu. Byłem zbyt wyczerpany, by zabijać ręce na rozgrzewkę, ale wielokrotnie znajdowałem siłę, aby rozetrzeć jej ręce i nogi i pobudzić krew do krążenia. A mimo wszystko błagała, abym nie spławiał masztów. Około trzeciej w nocy dostała kurczu z zimna, a choć przeszedł dzięki energicznemu rozcieraniu, odrętwienie trwało. Zaniepokoiłem się. Wyciągnąłem wiosła i zmusiłem ją do wiosłowania, choć mdlała niemal przy każdym ruchu.

Zaświtało. W szarym brzasku długo szukaliśmy wyspy oczyma. Nareszcie ukazała się w postaci małego czarnego punkciku na horyzoncie o całe piętnaście mil od nas. Zacząłem badać morze przez lornetę. Daleko na południo-zachodzie zarysowała się na powierzchni ciemna, szybko grubiejąca pręga.

— Pomyślny wiatr! — krzyknąłem ochrypłym głosem, którego sam nie poznałem.

Maud chciała coś odpowiedzieć, ale nie mogła dobyć głosu. Wargi miała zsiniałe z zimna, oczy głęboko zapadłe, ale jakże odważnie na mnie patrzyła! Jakże żałośnie i odważnie zarazem!

Znowu zabrałem się do rozcierania jej zdętwiałych rąk i poruszania ramionami w górę i w dół, aż sama zaczęła je zabijać dla rozgrzewki. Wówczas namówiłem ją, by wstała. Zachwiała się, ale z moją pomocą stanęła na nogach. Kazałem jej przemierzać te kilka kroków od rufy do przedniej ławki, a potem skakać.

— O ty dzielna, dzielna kobieto — odezwałem się widząc, że rumieniec powraca na jej twarz. — Czy wiedziałaś, że jesteś dzielna?

— Nigdy nią nie byłem, dopóki nie poznałam ciebie. To dzięki tobie jestem taka.

— A ja dzięki tobie — odparłem.

Ogarnęła mnie szybkim spojrzeniem i znów zapląsało jej w oczach owo drżące światło i jeszcze coś ponadto. Trwało to jedną chwilę. Potem uśmiechnęła się.

— Prawdopodobnie spowodowały to warunki — powiedziała, lecz wiedziałem, że nie ma racji, i zastanawiałem się, czy ona również wie.

Nadlęciał mocny, rześki wiatr i łódź zaczęła pruć wzburzone fale ku wyspie. O wpół do czwartej po południu minęliśmy południowo-zachodni przylądek. Byliśmy nie tylko głodni, ale i spragnieni. Wargi mieliśmy suche i popękane i nie mogliśmy już zwilżyć ich językiem. Wiatr słabł, aż ucichł zupełnie. W nocy zapadła cisza i znów resztkami sił harowałem przy wiosłach, ale jakże bezradnie, bezsilnie. O drugiej nad ranem dziób łodzi zaszorował po żwirze naszej przystani. Z trudem wygramoliłem się, aby przymocować łódź. Maud nie mogła ustać na nogach, a ja nie miałem sił jej wynieść. Upadłem z nią razem na piasek, a gdy przyszedłem do siebie, chwyciłem ją pod pachy i zawlokłem do chaty.

Następny dzień był dniem wypoczynku. Spaliśmy, a przynajmniej ja spałem do trzeciej po południu, bo kiedy się obudziłem, Maud już gotowała obiad. Miała cudowną zdolność odzyskiwania sił. W jej delikatnym ciele było coś trwałego, jakieś trzymanie się życia, coś, czego nie dało się pogodzić z ową wyraźną słabością organizmu.

— Wiesz, że w podróż do Japonii wybrałam się dla zdrowia — zaczęła, gdyśmy zasiedzieli się po obiedzie przy ogniu i rozkoszowali trwaniem w bezruchu i beczynności. — Nigdy nie byłam zbyt silna. Lekarze doradzali mi podróż morską, więc wybrałam najdłuższą.

— Nie wiedziałaś, co wybierasz — żartowałem.

— A jednak wyjdę z tej przygody inna, silniejsza i mam nadzieję, że lepsza. Przynajmniej będę wiedziała znacznie więcej o życiu.

U schyłku krótkiego dnia zaczęliśmy rozmawiać o ślepcie Wilka Larsena. Była dla nas niezrozumiała. Na dowód, że cierpiał poważnie, przytoczyłem jego oświadczenie, iż zamierza pozostać i umrzeć na Wyspie Usiłowań. Skoro on, silny i przywiązany do życia człowiek, z rezygnacją myślał o śmierci, niewątpliwie trapiło go coś więcej niż sama ślepotą. Miewał te okropne bóle głowy i doszliśmy do przekonania, że musi to być jakieś schorzenie mózgu. Podczas ataków cierpiał bóle, które przechodziły nasze wyobrażenie.

Zauważyłem, że w miarę jak mówiliśmy o chorobie Wilka Larsena, Maud współczuła mu coraz bardziej, a ten kobiecy odruch pobudzał moją miłość. Wcale się przy tym nie rozczulała. Przyznała, że jeśli chcemy stąd uciec, musimy być bezwzględni, a jednocześnie wzdragała się na myśl, że mogę zostać zmuszony do pozbawienia go życia, by ratować moje własne — „nasze życie”, jak się wyraziła.

Nazajutrz zjedliśmy czym prędzej śniadanie i już o świcie byliśmy przy pracy. W magazynie „Upiora”, gdzie przechowywano takie rzeczy, znalazłem kotwicę i z wielkim trudem wydobyłem ją na pokład, a stąd spuściłem do łodzi. Ciągnąc rozwijającą się ze zwoju na rufie linę, powiosłowałem daleko w głąb zatoczki i tam rzuciłem kotwicę. Panowała cisza; przypływ był w pełni i szkuner unosił się na wodzie. Teraz odwiązałem liny, którymi był przymocowany do brzegu, i siłą ramion — kołowrót nie działał — wyciągnąłem statek na głębie, aż zakołysał się w pobliżu kotwicy. Była zbyt słaba, by utrzymać szkuner przy wietrze, toteż zostawiając sporo luzu, spuściłem wielką kotwicę z prawej burty. Po południu przystąpiłem do naprawy kołowrotu.

Pracowałem nad nim trzy dni. O mechanice mam najslabsze pojęcie i to, co zwykłemu mechanikowi zajęłoby trzy godziny, mnie zajęło tyleż dni. Musiałem najpierw obznajmić się z narzędziami, a każdej prostej zasady, którą fachowiec ma w małym palcu, musiałem również dochodzić. Pod koniec trzeciego dnia kołowrót zaczął niezgrabnie działać. Nie był już taki jak przedtem, lecz umożliwiał dalszą pracę.

Pół dnia starczyło na wciągnięcie dwóch steng, ustawienie i umocowanie nożyc. Tej nocy spałem na pokładzie. Maud nie zgodziła się pozostać sama na brzegu i nocowała w kubryku. Wilk Larsen przez cały dzień siedział, przysłuchiwał się, jak naprawiam kołowrót, i rozmawiał z Maud i ze mną na obojętne tematy. Nikt nie napomknął o zniszczeniu nożyc, a Wilk Larsen nie mówił już, że bym zostawił jego statek w spokoju. Wciąż jednak się go bałem, choć był

ślepy, bezradny i tylko ciągle nasłuchiwał. Przy pracy uważałem, aby nie znaleźć się w zasięgu jego potężnych ramion.

Tej nocy, śpiąc przy ukochanych nożycach, zostałem zbudzony przez jego kroki. Noc była gwiazdzista i zobaczyłem potężną sylwetkę majaczącą na pokładzie. Wysunąłem się spod koców i boso ruszyłem za jego plecami. Z komory na narzędzia wziął nóż i zabierał się do podcięcia lin, które po raz drugi przymocowałem do nożyc. Obmacał je i przekonał się, że ich nie naciągnąłem. Nóż nie chwyciłby luźnego sznura, więc Wilk Larsen porwał za końce lin, naciągnął je, przykrępował i już, już miał przecinać.

— Na pańskim miejscu bym tego nie robił — przemówiłem spokojnie.

Usłyszał szcęk pistoletu i wybuchnął śmiechem.

— Halo, Hump. Wiedziałem, że jesteś tutaj cały czas. Nie zwiedzisz moich uszu.

— Łżesz, Wilku Larsenie — odparłem równie spokojnie jak przed chwilą. — Czekam jednak na sposobność, aby cię zastrzelić, więc tnij.

— Sposobność masz zawsze — drwił.

— Tnij, tnij! — warknąłem złowrogo.

— Wolę zrobić ci zawód — zaśmiał się, zawrócił na pięcie i poszedł.

— Trzeba coś zrobić, Humphrey — stwierdziła rano Maud, gdy opowiedziałem jej nocną przygodę. — Pozostawiony na wolności, jest zdolny do wszystkiego. Gotów zatopić albo podpalić statek. Niepodobna przewidzieć, czego się chwyci. Musimy go uwięzić.

— Ale jak? — zapytałem, wzruszając bezradnie ramionami. — Nie mam odwagi znaleźć się w zasięgu jego rąk, a on dobrze wie, że nie potrafię użyć broni, póki stawia tylko bierny opór.

— Musi być jakiś sposób. Daj mi pomyśleć.

— Jest sposób — odezwałem się ponuro.

Czekała, co powiem. Podniosłem maczugę na foki.

— To go nie zabije. Nim przyjdzie do siebie, skrepuję go tak, że nie drgnie nawet.

Wzdrygnęła się i potrząsnęła głową.

— Nie, nie chcę. Znajdzie się jakiś mniej brutalny sposób. Poczekajmy.

Nie czekaliśmy jednak długo i rozwiązanie przyszło samo. Rano po kilku próbach znalazłem środek ciężkości fokmasztu i umocowałem blok o kilka stóp ponad tym punktem. Maud blokowała linę na kołowrocie i układała zwój,

ja zaś ciągnąłem. Gdyby kołowrót działał sprawnie, szłoby bez porównania lżej, ale tak musiałem ze wszystkich sił i całym ciężarem ciała wyciągać linę cal po calu. Co chwila odpoczywałem. W gruncie rzeczy odpoczywałem dłużej, niż wciągałem. Nawet Maud, w chwilach kiedy wszystkimi siłami nie mogłem ruszyć kołowrotu, brała się na sposób i jedną ręką blokowała, a drugą ciągnęła, przychodząc mi na pomoc całym ciężarem swego drobnego ciała.

Mniej więcej po godzinie pojedynczy i dwa podwójne bloki zetknęły się w górze. Już dalej wciągać się nie dało, a maszt nie był jeszcze na pokładzie. Pięta sterczała za lewą burtą, a szczyt zwisał daleko na prawą. Moje nożyce były za niskie. Cała robota na nic. Ale tym razem nie rozpaczałem. Nabrałem większego zaufania do samego siebie oraz do możliwości kołowrotu, nożyc i bloków. Musiał przecież istnieć jakiś sposób i pozostawało tylko go znaleźć.

Gdy tak rozmyślałem, na pokład wyszedł Wilk Larsen. Od razu zauważyliśmy coś dziwnego w jego zachowaniu. Niezdecydowanie, chwiejność jego ruchów bardziej niż zwykle rzucały się w oczy. Szedł, a raczej kuśtykał ku lewej stronie rufy. Koło trapu zatoczył się, podniósł rękę do oczu znanym, omiatającym twarz gestem i niemal spadł po schodach na główny pokład. Odzyskał jednak równowagę i powłókł się dalej, padając i szukając rękami oparcia. Przy trapie międzypokładzia oprzytomniał i powstał chwilę, jak gdyby cierpiał na zawrót głowy. Raptem zgiął się i z podwiniętymi nogami runął na pokład.

— Jeden z ataków — szepnąłem Maud.

Podeszliśmy bliżej. Robił wrażenie nieprzytomnego i spazmatycznie chwycił powietrze. Zaopiekowała się nim, podnosząc mu głowę, aby wywołać odpływ krwi, a mnie posłała do kabiny po poduszkę. Przyniosłem także koce i ułożyliśmy chorego wygodnie. Wziąłem go za puls. Bił równo i mocno, całkiem normalnie. To mnie zdumiało. Nabrałem podejrzeń.

— A jeżeli symuluje? — zapytałem nie wypuszczając z ręki przegubu pacjenta.

Maud z wyrzutem potrząsnęła głową. Ale w tej samej chwili Wilk Larsen wyrwał mi rękę i chwycił mnie w stalowy potrzask. Z ust wyrwał mi się okropny, przeraźliwy krzyk. Wilk Larsen opasał mnie drugą ręką i pociągnął w straszne objęcia. Wówczas przez jedno мгновение oka zamajaczył mi złośliwy i triumfalny wyraz jego twarzy.

Puścił przegub mej ręki, ale drugim ramieniem, którym mnie opasywał, trzymał obie moje ręce tak, że nie mogłem się ruszyć. Wolną ręką sięgnął do mego gardła i wtedy poczułem gorzki przedsmak śmierci spowodowanej własną głupotą. Jak mogłem zbliżyć się na odległość tych potwornych ramion? Uczułem jeszcze inne ręce na gardle. Były to ręce Maud, daremnie usiłującej

rozerwać uchwyt ręki, która mnie dławiła. Zrezygnowała z tego i usłyszałem jej krzyk przeszywający do szpiku kości, gdyż był to krzyk kobiety zrodzony ze śmiertelnego strachu i bezdennej rozpacz. Słyszałem go już raz, gdy tonął „Martinez”.

Twarz moją przycisnął do piersi i nic nie widziałem, usłyszałem tylko, jak Maud zawróciła i pobięła pędem po pokładzie. Wszystko to działo się błyskawicznie. Jeszcze przytomny, czekałem wieki, nim doszedł mnie znów odgłos powracających kroków. I w tejże chwili poczułem, że ciało Wilka Larsena osuwa się pode mną. Wypuścił powietrze z płuc i pierś jego zapadła się pod moim ciężarem. Nie miałem pojęcia, czy to w wydechu, czy też w poczuciu rosnącej bezsilności wydał zduszony jęk. Ręka na moim gardle zwolniła uchwyt. Odechnąłem. Zadrżała i zacisnęła się znowu. Ale nawet swą nieludzką siłą woli nie zdołał już opanować ogarniającego go rozprężenia. Tracił wolę. Mdlał.

Kroki Maud były już bardzo blisko, kiedy ręka po raz ostatni zadrgała mi na gardle i już byłem wolny. Przetoczyłem się i padłem na wznak, dysząc i mrugając w słońcu powiekami. Podniosłem oczy na Maud — była blada, ale opanowana. Patrzyła na mnie z niepokojem i ulgą jednocześnie. Wzrok mój przykuła ciężka maczuga do bicia fok, którą trzymała w rękach. Oczy Maud powędrowały w ślad za moimi. Jak oparzona puściła maczugę. Na ten widok serce moje zalała wielka radość, bo Maud była naprawdę moją kobietą, towarzyszką walczącą u mego boku, jak ongi walczyła towarzyszką jaskiniowca. Odżyły w niej pierwotne instynkty i ukazała się Maud wolna od skrępowań kultury, twarda mimo zmiękczającego wpływu cywilizacji, w jakiej się dotąd wychowywała.

— Droga kobieto! — zawołałem, z trudem porywając się na nogi.

Rzuciła mi się w ramiona i wybuchnęła płaczem. Cisnąłem ją do piersi. Patrzyłem na wspaniałe kasztanowe włosy, mieniące się w słońcu jak klejnoty i droższe mi niż skarby królewskie. Nachyliłem głowę i ucałowałem je lekko, tak lekko, że tego nie poczuła.

Ale opamiętałem się szybko. Ostatecznie była tylko kobietą, która po minionym niebezpieczeństwie musi wypłakać łzy ulgi w ramionach swego obrońcy lub tego, któremu groziło niebezpieczeństwo. Gdybym był jej ojcem czy bratem, postąpiłaby tak samo. Poza tym czas i miejsce nie były po temu i pragnąłem lepiej sobie zasłużyć na wyznanie miłości. Czując, że zaczyna wysuwać mi się z ramion, raz jeszcze pocałowałem ją lekko we włosy.

— Tym razem to już prawdziwy atak — powiedziałem — taki sam wstrząs jak ten, który go oślepił. Początkowo symulował i ściągnął na siebie prawdziwy atak.

Maud już mu poprawiała poduszkę.

— Nie — zabroniłem — jeszcze nie. Skoro jest teraz bezsilny, niech taki zostanie. Odtąd my zamieszkamy w kajucie, a Wilk Larsen w sterówce.

Uchwyciłem go za ramiona i zaciągnąłem do trapu. Poprosiłem Maud, aby przyniosła jakąś linkę. Uwiązałem Larsena pod pachy, przeciągnąłem przez wysoki próg, a potem spuściłem po trapie na podłogę. Nie mogłem od razu wciągnąć go na posłanie, ale przy pomocy Maud podniosłem najpierw barki i głowę, potem tułów, przeważylem go przez krawędź i ułożyłem na dolnej koi.

Ale nie koniec na tym. Przypomniałem sobie, że w kajucie kapitańskiej były kajdanki, które wolał nakładać majtkom zamiast przestarzałych, nieporęcznych kajdan okrętowych. Toteż gdy go opuszczaliśmy, leżał ze skutymi rękami i nogami. Po raz pierwszy od wielu dni odetchnąłem z ulgą. Wyszedłem na pokład dziwnie lekki, jakby przytłaczające brzemie spadło mi z bark. Czułem również, że więzy między Maud a mną zacieśniły się jeszcze bardziej. Szliśmy obok siebie do wiszącego na nożycach masztu, a ja zadawałem sobie pytanie, czy i ona czuje to samo.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Zaraz też wprowadziliśmy się na statek do dawnych kabin i zaczęliśmy gotować w kambuzie. Uwięzienie Wilka Larsena wypadło w samą porę, bo pogoda, która w tych północnych szerokościach musiała być babim latem, minęła i nadszedł okres burz i deszczów. Tu było nam bardzo wygodnie, a fokmaszt, zawieszony na zbyt niskich nożycach, sprawiał wrażenie, że na statku coś się dzieje, i stanowił zapowiedź odjazdu.

Niepotrzebnie jednak skuliśmy Wilka Larsena. Drugi atak, jak pierwszy, był poważny w skutkach. Maud odkryła to po południu, kiedy chciała go nakarmić. Stracił przytomność, przemówiła więc do niego, nie otrzymała jednak odpowiedzi. Leżał na lewym boku i widać było, że cierpi. Niespokojnie kręcił głową, tak że w pewnej chwili odsłonił lewe ucho, stale przyciśnięte do poduszki. Od razu usłyszał i odpowiedział jej. Maud pobiegła po mnie.

Przycisnąłem poduszkę do jego lewego ucha i zapytałem, czy mnie słyszy — ani drgnął. Usunąłem poduszkę i powtórzyłem pytanie. Odpowiedział natychmiast.

— Czy wiesz pan, że jesteś głuchy na prawe ucho? — zacząłem.

— Tak — odparł cichym, ale silnym głosem. — Co gorsza, zaatakowało całą prawą stronę mego ciała. Jest bez uczucia. Nie mogę ruszyć ani ręką, ani nogą.

— Znowu symulujesz? — zawołałem ze złością.

Potrząsnął głową, a jego surowe usta ułożyły się w przedziwny krzywy uśmiech. Był to dosłownie krzywy uśmiech, bo zmienił tylko lewy policzek, podczas gdy mięśnie prawego policzka nawet nie drgnęły.

— To była ostatnia gra Wilka Larsena — stwierdził. — Jestem sparaliżowany. Nigdy już nie będę mógł chodzić. O, tylko połowę ciała mam bezwładną — dorzucił, jakby zgadując podejrzliwe spojrzenie, jakie rzuciłem na jego lewą nogę, w chwili gdy zgiął pod kocem kolano. — To niefortunnie — podjął. — Chciałbym cię jeszcze przedtem zabić, Hump. Myślałem, że na to zostało mi dość sił.

— Ale po co? — zapytałem na poły ze zgrozą, na poły z ciekawością.

I znowu jego surowe usta ułożyły się w krzywy uśmiech.

— Tylko po to, aby żyć, żyć i działać, i do końca być największym kawałem fermentu, po to, żeby ciebie zjeść. Ale umrzeć w ten sposób...

Wzruszył albo raczej spróbował wzruszyć ramionami, bo drgnęło tylko lewe ramię. Ruch ten był równie krzywy jak uśmiech.

— Ale czym pan to tłumaczy? — spytałem. — Gdzie jest siedziba pańskiej choroby?

— W mózgu — odpowiedział bez namysłu. — Wywołały ją te przekłete bóle głowy.

— To były objawy.

Skinął głową.

— Nie sposób tego wyjaśnić. Nigdy w życiu nie chorowałem. Ale coś się popsuło w moim mózgu. Rak, nowotwór czy coś w tym rodzaju, coś pożerającego, rozkładowego. Rzuciło się na ośrodki nerwowe i zjada je kęs po kęsie, komórka po komórce, o czym świadczy ból.

— Zaatakowało także ośrodki ruchu — dodałem.

— Zdaje się. A największym przekleństwem jest to, że muszę tu leżeć, przytomny, w pełni władz umysłowych, świadomy, że kable łączące mnie z zewnętrznym światem zużywają się powoli. Nic nie widzę, słuch i czucie opuszczają mnie również i jeżeli choroba postępować będzie w tym tempie, niedługo stracę mowę. Mimo to przez cały czas będę tu żywy, czynny — a bezwładny.

— Mówisz pan, że jesteś tu, może więc jednak dusza istnieje.

— Bzdury! To znaczy po prostu, że wyższe ośrodki psychiczne pozostają jeszcze nietknięte. Pamiętam, myślę i rozumiem. Kiedy one zamrą, i ja zamrę. Nie będzie mnie. Co za dusza?

Wybuchnął szyderym śmiechem, a potem lewym uchem przywarł do poduszki na znak, że nie życzy sobie dalszej rozmowy.

Maud i ja powróciliśmy do pracy pod wrażeniem jego strasznego losu — jak strasznego, mieliśmy dopiero zobaczyć. Los ten był strasznym odwetem. Nurtowały nas poważne, głębokie myśli. Mówiliśmy do siebie tylko półgłosem.

— Moglibyście zdjąć mi kajdanki — odezwał się tej nocy, gdyśmy się przy nim naradzali. — Cóż wam zagraża? Jestem sparaliżowany. Zaraz dostanę odleżyn.

Znowu wykrzywił się w uśmiechu. Maud z oczyma pełnymi grozy musiała odwrócić głowę.

— Czy wiesz pan, że śmiejesz się tylko połową twarzy? — zapytałem, chcąc na przyszłość oszczędzić Maud, która miała go doglądać, przykrego widoku.

— Więc nie będę się śmiał wcale — odpowiedział z całym spokojem.

Wiedziałem, że coś jest nie w porządku. Przez cały dzień prawy policzek wydawał mi się drętwy. Różne objawy trapiły mnie już od trzech dni. Co jakiś czas prawa strona ciała traciła władzę, to ramię czy dłoń, to noga czy stopa.

— A więc krzywo się śmieję? — podjął po krótkiej pauzie. — Dobrze, odtąd wyobrażaj pan sobie, że się śmieję wewnętrznie, w duszy, jeżeli to panu dogadza, w duszy. Niech pan sobie wyobraża, że śmieję się w tej chwili.

Kilka minut leżał nieruchomo, ciesząc się swym groteskowym pomysłem.

Nie zmienił się ani na jotę. Oto dawny, nieposkromiony, straszliwy Wilk Larsen uwięziony w ciele, które kiedyś było tak niezwykłe i wspaniałe. Teraz spętało go pozbawionymi czucia okowami, zamurowało jego duszę w ciemności i ciszy, odgrodziło od świata, na którym działał. Nie będzie już odmieniał słowa „czynić” we wszystkich stronach i czasach. Pozostawało mu słowo „być” — być, jak określił śmierć, bez ruchu. Pozostawało mu chcieć, ale nie móc wykonać; myśleć, rozumieć i wewnętrznie być tak żywym jak przedtem, ale ciało mieć martwe, zupełnie martwe.

Choć zdjąłem mu kajdanki, nie umieliśmy pogodzić się z jego stanem. Umysł protestował. Dla nas Wilk Larsen był zawsze pełen możliwości. Nie wiedzieliśmy, czego się po nim spodziewać, jaką okropność wychodzącą poza ramy jego możliwości fizycznych zdolny jest uczynić. Nasz niepokój był uzasadniony długim doświadczeniem, toteż pracowaliśmy zawsze pełni trwogi.

Udało mi się rozwiązać trudność wynikłą z za krótkich nożyc. Sfabrykowałem nową talię i z jej pomocą podniosłem piętę fokmasztu na wysokość burty i spuściłem na pokład. Następnie wciągnąłem wielki bom. Miał on czterdzieści stóp długości i wystarczył do podniesienia masztu. Przy użyciu pomocniczego bloku, który przyczepiłem do nożyc, podniosłem bom prawie prostopadle, a potem postawiłem piętą na pokładzie. Dokoła powbijąłem wielkie knechty, aby zapobiec osuwaniu się końca bomu. Pojedynczy blok zdjęty z dawnych nożyc umocowałem teraz do górnego końca bomu. Połączywszy ten blok z kołowrotem, mogłem podnosić i spuszczać górny koniec bomu, jak mi się podobało. Za pomocą topenant mogłem kołysać bomem z boku na bok. Na końcu bomu umocowałem również blok. Po zmontowaniu tego urządzenia nie mogłem się nadziwić, jak dalece pomnażało moje siły i jakie umożliwiało mi manewry.

Na dokonaniu tego wszystkiego zeszło nam oczywiście dwa dni i dopiero na trzeci dzień rano podniosłem z pokładu pień fokmasztu i zacząłem dopasowywać jego piętę do osady. Zabrałem się do tego wyjątkowo niezgrabnie. Piłowa-

łem, rąbałem, złobiłem stwardniałe drewno pięty, aż wyglądała na ogryzioną przez jakąś olbrzymią mysz. Ale pasowała.

— Pasuje, pasuje! — zawołałem.

— Czy wiesz, co według doktora Jordana jest ostatecznym kryterium prawdy? — spytała Maud.

Potrząsnąłem głową i przerwałem wyjmowanie wiórów zza kołnierza.

— Czy to będzie działać? Czy możemy temu zawierzyć życie? To jest kryterium.

— To twój ulubieniec, jak widzę — powiedziałem.

— Kiedy zburzyłam mój stary panteon i wyrzuciłam Napoleona, Cezara i ich towarzyszy, natychmiast zbudowałam sobie nowy panteon — odparła poważnie — i jako pierwszego wprowadziłam tam doktora Jordana.

— Nowoczesnego bohatera.

— Tym większego, że nowoczesnego — dodała. — Czy bohaterowie starego świata mogą mierzyć się z naszymi?

Potrząsnąłem głową.

Za bardzo nieraz byliśmy podobni do siebie, by prowadzić dyskusję, a przynajmniej za bardzo podobny mieliśmy punkt widzenia i pogląd na życie.

— Jak na dwoje krytyków, wspaniale się zgadzamy — zauważyłem ze śmiechem.

— A jak na budowniczego okrętów i jego zdolnego pomocnika? — zaśmiała się w odpowiedzi.

Na ogół jednak nie mieliśmy wtedy dużo czasu na żarty z powodu ciężkiej pracy i grozy, jaką nappełniła nas żywa śmierć Larsena.

Miał nowy atak. Stracił głos albo go tracił. Nie zawsze mógł mówić. Twierdził, że jego kable jak na giełdzie: to idą w górę, to spadają. Czasami były w górze i wówczas mówił nieźle, choć wolniej i z trudem. Aż raptem tracił mowę, urywał w połowie zdania, i wtedy godzinami czekaliśmy na wznowienie tego połączenia. Skarżył się na silny ból głowy. W tym czasie ustalił sposób porozumiewania się z nami na wypadek zupełnej utraty mowy: jeden uścisk ręki miał znaczyć „tak”, a dwa — „nie”. Dobrze się stało, że to ustaliliśmy, bo pod wieczór rzeczywiście przestał mówić. Odtąd odpowiadał na pytania ściskaniem ręki, a jeżeli chciał powiedzieć coś więcej, lewą ręką gryzmołił dość czytelnie na kawałku papieru.

Nadeszła ciężka zima. Wichry, zawieje śnieżne, ulewy, słoty następowały jedno po drugim. Foki ruszyły w swą doroczną wielką wędrówkę na południe i bekowisko opustoszało. Pracowałem z gorączkowym pośpiechem. Pomimo niepogody i szczególnie dokuczliwego wiatru harowałem na pokładzie od świtu do nocy, czyniąc rzeczywiste postępy.

Skorzystałem z doświadczenia nabytego przy podnoszeniu nożyc, na które musiałem włączyć i przyczepiać topenanty. Do szczytu fokmasztu, wzniesionego nad pokładem, przyczepiłem takielunek: sztagi i fały. Jak zwykle nie zdawałem sobie sprawy, ile roboty to wymaga, a gdy przyszło do realizacji zadania, praca zabrała mi całe dwa dni. I jeszcze pozostało takie mnóstwo różnych rzeczy do zrobienia, choćby przerobienie żagli.

Harowałem przy olinowaniu fokmasztu, a Maud szła żagle, gotowa na każde zawołanie rzucić wszystko i przybiec na pomoc, gdy jedna para rąk nie wystarczała przy pracy. Płótno żaglowe było ciężkie i twarde, więc szła za pomocą trójgraniastej igły i kawałka skóry umocowanego do dłoni. Wkrótce ręce jej pokryły się bąblami. Pomimo to szła, a na dodatek gotowała i doglądała chorego.

— Do diabła z przesadami — powiedziałem w piątek rano. — Ten maszt jeszcze dziś siądzie w osadzie.

Wszystko było gotowe. Ciągnąc blok przy bomie liną biegnącą z kołowrotu, podniosłem maszt, tak że ledwie dotykał pokładu. Umocowałem ten blok, a linę z kołowrotu przyczepiłem do bloku nożyc, połączonego z końcem bomu. Kilkoma pociągnięciami zawiesiłem maszt w powietrzu, prostopadłe do pokładu.

Maud, zwolniona od blokowania liny, biła mi brawo i wołała:

— Działa! Działa! Zawierzmy temu nasze życie!

A po chwili zmartwiła się.

— Nie wisi nad dziurą w pokładzie. Czy znów mamy zaczynać od początku?

Uśmiechnąłem się z wyrazem wyższości i zwalniając jedną z topenant, a ciągnąc drugą, ściągnąłem pień akurat ku samemu środkowi pokładu. Wciąż jeszcze nie wisił dokładnie nad otworem. W twarzy Maud znowu wyczytałem niepokój. Ale i tym razem nie straciłem pewności siebie. Zwalniając linę od bloku na bomie i odpowiednio ściągnając linę od nożyc, doprowadziłem do tego, że pięta masztu była akurat nad dziurą w pokładzie. Wówczas dałem Maud drobne wskazówki, jak opuszczać pień, a sam zszedłem pod pokład i zająłem postereunek przy osadzie.

Zawołałem na nią i maszt począł się osuwać gładko i dokładnie. Kwadrat pięty powinien trafić w kwadrat otworu osady. W miarę jednak zsuwania maszt

okręcał się powoli i widoczne już było, że pięta nie trafi w osadę. Bez wahania krzyknąłem na Maud, by przestała spuszczać pień. Wszedłem na pokład i ruchomym węzłem zamocowałem przenośną talię do masztu. Zostawiłem Maud na pokładzie, każąc jej ciągnąć linę, a sam zszedłem na dół. Przy świetle latarni widziałem, jak pięta wykręca się i ustawia równo z bokami osady. Maud umocowała linę i wróciła do kołowrotu. Powoli pięta zjechała kilka cali, które jej jeszcze pozostały, i znów przekręciła się lekko. Maud musiała więc za pomocą talii nastawić pień masztu, a potem jeszcze raz zwolniła linę z kołowrotu. Kwadrat dopasował się do kwadratu. Maszt był osadzony.

Krzyknąłem i Maud zbiegła zobaczyć. Przy żółtym świetle latarni przyglądaliśmy się naszemu dziełu. Potem spojrzeliśmy na siebie i ręce nasze spotkały się i uściśniły. Oczy zaszły nam łzami radości.

— Ostatecznie poszło to tak łatwo — zauważyłem. — Najtrudniejsze były przygotowania.

— A najcudowniejszy jest koniec — dorzuciła Maud. — Po prostu nie chcemy się wierzyć, że ten wielki maszt jest rzeczywiście osadzony, że wyciągnąłeś go z wody, uniosłeś w powietrzu i osadziłeś tam, gdzie trzeba. To praca tytana.

— „I uczynili wiele wynalazków” — zacytowałem wesoło, ale urwałem natychmiast i zacząłem węszyć w powietrzu.

Sprawdziłem, że latarnia nie kopci. Znowu wciągnąłem powietrze nosem.

— Coś się pali — stwierdziła Maud z przekonaniem.

Obydwoje skoczyliśmy do trapu, ja jednak pierwszy wydostałem się na pokład. Gęste kłęby dymu buchnęły z luku sterówki.

— Wilk jeszcze żyje — mruknąłem pod nosem, skacząc w dół.

Dym był tak gęsty w tej zamkniętej przestrzeni, że musiałem po omacku odnajdować drogę. Wilk Larsen wciąż potężnie działał na mą wyobraźnię, tak że czekałem tylko, kiedy ten bezradny olbrzym chwyci mnie za gardło śmiertelnym uściskiem. Zawahałem się, omal że ulegając pragnieniu, by uciec z powrotem na pokład. Ale stanęła mi w oczach Maud, taka, jak ją przed chwilą widziałem na dole, w żółtym świetle latarni, z brązowymi oczyma pełnymi ciepła i łez radości. Wiedziałem, że nie mogę się cofnąć.

Dławiąc się, dusząc, dotarłem wreszcie do koi Wilka Larsena. Poszukałem jego ręki. Ruszył się lekko dopiero, gdy go dotknąłem. Zacząłem szukać ognia w kocach i materacach. Nigdzie ciepła ani zarzewia. Dym, który mnie oślepił, dławił i wywoływał kaszel, musi jednak mieć źródło. Na chwilę straciłem głowę i jak szalenciec rzucałem się po sterówce. Z całych sił wyrznąłem o stół i wstrząs

ten przywrócił mi przytomność umysłu. Pomyślałem, że sparaliżowany człowiek mógł rozniecić ogień tylko gdzieś przy sobie.

Zawróciłem ku koi Wilka Larsena i spotkałem się z Maud, która stała w dymie, nie wiem od jak dawna.

— Wracaj na pokład! — rozkazałem stanowczo.

— Ale, Humphrey — protestowała dziwnym, zachrypłym głosem.

— Proszę, bardzo proszę! — krzyknąłem ostro.

Usłuchała i cofnęła się, mnie zaś przyszło na myśl, że nie znajdzie trapu.

Skoczyłem za nią i zatrzymałem się u stóp schodów. Może już weszła na górę. Gdy tak stałem w niepewności, doszedł mnie jej słaby okrzyk:

— Och, Humphrey, zabłądziłam.

Znalazłem ją po omacku przy tylnej ścianie i prawie wyniosłem na pokład. Czyste powietrze wydawało się nektarem. Maud była tylko osłabiona i w głowie jej się kręciło, więc zostawiłem ją rozciągniętą na pokładzie, a sam po raz drugi dałem nurka do sterówki.

Źródło dymu musiało być blisko Wilka Larsena, co do tego nie miałem żadnych wątpliwości, i pobiegłem wprost do jego koi. Gdy szukałem ognia między kocami, coś palącego spadło mi na grzbiet dłoni. Oparzony, szarpnąłem ręką i zrozumiałem. Przez szczeliny górnej koi podpalił materac. Mógł tego dokonać i jedną ręką. Wilgotna słoma, podpalona z dołu i pozbawiona dopływu powietrza, dymiła już od dłuższego czasu.

Kiedy wyciągałem z pryczy materac, począł rozpadać się w powietrzu, jednocześnie buchając płomieniem. Ugasilem pozostałe w koi wiechcie żarzącej się słomy, a potem skoczyłem na pokład, na świeże powietrze.

Wystarczyło parę wiader wody, aby zalać materac płonący pośrodku sterówki. Po dziesięciu minutach dym rozwiął się i pozwoliłem Maud zejść na dół. Wilk Larsen leżał nieprzytomny, ale powietrze szybko powróciło go do życia. Cuciliśmy go jeszcze, kiedy zażądał papieru i ołówka.

Proszę, nie przeszkadzajcie mi — pisał. — *Uśmiecham się.*

Wciąż jeszcze jestem kawałkiem fermentu, prawda? — dopisał po chwili.

— Cieszę się, że jesteś pan tylko takim małym kawałkiem — powiedziałem.

Dziękuję — pisał. — *Pomyślcie tylko, że nim umrę, będę jeszcze dużo mniejszym.*

A mimo to jestem tu cały, Hump — dopisał na zakończenie. — Myślę tak jasno, jak nigdy w życiu. Nic mi nie przeszkadza. Koncentracja doskonała. Cały jestem tu i nie tylko tu.

Były to słowa jak zza grobu, bo ciało Wilka Larsena stało się jego mauzoleum. W tym dziwnym grobowcu duch człowieka trzepotał się i żył. I tak miało być aż do zerwania ostatniego łącznika ze światem. A któż odgadnie, jak długo jeszcze potem będzie trzepotał się i żył?

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Lewa połowa traci władzę — pisał Wilk Larsen następnego ranka po próbie podpalenia statku. — *Drewnieję. Z trudem ruszam ręką. Mówcie głośniej. Rwą się ostatnie kable.*

— Czy czuje pan ból? — zapytałem.

Musiałem powtórzyć głośniej i dopiero wtedy odpisał: *Nie zawsze.*

Lewa ręka Wilka Larsena powoli i z trudem sunęła po papierze. Nie było łatwo odcyfrować, co nabazgrał. Przypominało to „list ducha” z seansów spirytystycznych, na które wstęp wynosi dolara.

I jeszcze wolniej, z większym mozołem nabazgrał:

Ale wciąż jestem tu — cały.

Upuścił ołówek i musieliśmy wcisnąć mu go z powrotem do ręki.

Kiedy nie czuję bólu, mam zupełny spokój. Nigdy w życiu nie myślałem tak jasno. Rozmyślałem o życiu i śmierci jak mędrzec hinduski.

— I o nieśmiertelności? — krzyknęła mu Maud w samo ucho.

Trzykrotnie usiłował odpisać, ale poruszał tylko bezradnie ręką. Ołówek z niej wypadł. Niepodobna było wcisnąć go z powrotem. Palce się nie zaciskały. Maud przytrzymała w nich ołówek. Wówczas Wilk Larsen wypisał wielkimi literami, ale tak powoli, że między jedną a drugą upływały minuty:

B-Z-D-U-R-Y

To było ostatnie słowo Wilka Larsena, nieugiętego sceptyka. Ramię i dłoń rozprężyły się. Tułów drgnął z lekka, a potem wszelki ruch ustał. Maud puściła jego rękę. Palce rozchyliły się własnym ciężarem. Ołówek upadł na ziemię.

— Czy słyszy pan jeszcze? — wrzasnąłem ujmując palce i czekając, czy nie odpowie uściskiem: „tak”. Ale pytanie pozostało bez odpowiedzi. Ręka była martwa.

— Zauważyłam, że wargi poruszyły się lekko — powiedziała Maud.

Powtórzyłem pytanie. Wargi drgnęły. Położyła na nich koniuszki palców. Znowu powtórzyłem pytanie. — „Tak” — oznajmiła Maud. Spojrzeliśmy po sobie pełni oczekiwania.

— Na co to wszystko? — zapytałem. — Co mamy mu jeszcze do powiedzenia?

— Och, spytaj go...

Zawahała się.

— Zapytaj go o coś takiego, na co musiałby odpowiedzieć „nie”. Wtedy się przekonamy — podsunąłem.

— Czy pan jest głodny? — krzyknęła.

Wargi zadrgały pod jej palcami i przetłumaczyła: „tak”.

— Czy chce pan wołowiny? — brzmiało jej następne pytanie.

— Nie — przetłumaczyła.

— Bulionu?

— Tak, chce bulionu — oświadczyła spokojnie, spoglądając na mnie. — Dopóki nie utraci słuchu, będziemy mogli się z nim porozumieć. A potem...

Popatrzyła jakoś dziwnie. Wargi jej poczęły się trząść, a oczy napłynęły łzami. Zachwiała się i ledwie zdążyłem chwycić ją w ramiona.

— O Humphrey — łkała. — Kiedy to się skończy? Taka jestem znużona, taka znużona.

Przyłgnęła mi twarzą do ramienia i cała jej filigranowa postać drgała od spazmatycznego łkania. Wysmukła, eteryczna, była jak piórko w tym uścisku. W końcu się załamała — pomyślałem. — Cóż pocznę bez jej pomocy?

Uspokajałem ją, pocieszałem, aż wzięła się w garść i odzyskała równowagę tak szybko, jak odzyskiwała siły.

— Powinnam się wstydzić — powiedziała, a potem dodała z przekornym uśmiechem, który uwielbiałem — ale jestem tylko małą kobietką.

Określenie „mała kobietka” podziałało na mnie jak wstrząs elektryczny. Było to moje własne ulubione, trzymane w tajemnicy określenie, które wyrażało mą miłość.

— Skąd to wzięłaś? — rzuciłem tak raptownie, że ją to zaskoczyło.

— Co? — zapytała.

— „Małą kobietkę”.

— Czyżby to było twoje?

— Tak. Moje. Sam to wymyśliłem.

— Więc wygadałeś się przez sen. — Uśmiechnęła się.

W oczach jej znów zapląsało rozigrane światło. Moje zaś oczy przemówiły wyraźniej, niż chciałyby tego usta. Mimo woli pochyliłem się ku niej jak drzewo przygięte wiatrem. W tej chwili byliśmy bardzo sobie bliscy. Ona jednak wstrząsnęła główką, niby budząc się z marzeń czy snu, i powiedziała:

— Znam to od dzieciństwa. Tak mój ojciec nazywał moją matkę.

— Ja również tak kogoś przezwałem — upierałem się.

— Swoją matkę?

— Nie — odpowiedziałem, ona zaś nie pytała więcej, ale przysięgłbym, że w oczach jej przemknął kpiarski, przekorny wyraz.

Teraz, kiedy fokmaszt był osadzony, wszystko poszło jak z płatka. Zanim się obejrzałem, bez żadnej większej trudności osadziłem grotmaszt. Dokonałem tego przyczepiwszy do fokmasztu i umocowawszy do niego linami bom, na kształt strzały czy żurawia. Po kilku dniach wszystkie reje i wanty były na miejscu, i naciągnięte. Ponieważ topsle przy dwuosobowej załodze narażały nas na trudności i niebezpieczeństwo, zostawiłem je na pokładzie i mocno przywiązałem.

Upłynęło jeszcze kilka dni, nim żagle zostały wykończone i umocowane. Mieliśmy ich tylko trzy: kliwer, fokżagiel i grotżagiel. Połatane, okrojone i krzywe, dziwnie nie pasowały do tak zgrabnego szkunera jak „Upiór”.

— Ale będą działać — zawołała Maud rozpromieniona. — Zmusimy je do pracy i zawierzymy im nasze życie!

Muszę przyznać, że ze wszystkich mych nowych zawodów najslabiej szło mi szycie żagli. Umiałem lepiej żeglować niż robić żagle, toteż nie miałem żadnych wątpliwości, że zdołam doprowadzić statek do któregoś z północnych portów Japonii. Nawigacji poduczyłem się z podręczników na statku, a zresztą miałem pod ręką gwiazdną skalę Wilka Larsena tak łatwą w użyciu, że nawet dziecko mogłoby się nią posługiwać.

Stan Wilka Larsena uległ w ciągu ostatniego tygodnia nieznacznym zmianom. Głuchł tylko coraz bardziej i ruszał wargami coraz słabiej. Ostatecznie ogłuchł i znieruchomiał tego samego dnia, w którym skończyliśmy umocowywanie żagli. Nim jednak to się stało, zapytałem.

— Czy pan jest cały tutaj? — Wargi jego odpowiedziały: — „Tak”.

Ostatni kabel został zerwany. Gdzieś w głębi tego grobowca z ciała wciąż jeszcze mieszkał duch ludzki. Zamurowana w żywej glinie okrutna inteligencja, tak dobrze nam znana, płonęła ciągle, z tą różnicą, że płonęła w ciszy i ciemności. Była odcieleśniona. Dla tej inteligencji obiektywna znajomość materii już nie istniała. Nie istniał już ani świat, ani ciało. Znała tylko sama siebie oraz przestronną głębię ciemności i ciszy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Nadszedł dzień pożegnania z wyspą, na której nic nas już nie zatrzymywało. Skrócone maszty „Upiora” były na miejscu, jego dziwaczne żagle — umocowane. Wszystko, co wykonałem, było mocne, nic nie było piękne. Wiedziałem jednak, że będzie działać, i oglądając moje dzieło czułem się mocarzem.

— Ja, ja to zrobiłem! Własnymi rękoma — chciało mi się krzyczyć. Ale Maud i ja rozumieliśmy się bez słów i gdy przystępowaliśmy do wciągania grotżagla, powiedziała:

— Pomyśl tylko, Humphrey, że zrobiłeś to wszystko własnymi rękoma!

— Tak, ale miałem jeszcze parę rąk do pomocy. Parę małych rączek i proszę nie mów, że tak również mawiał twój ojciec.

Zaśmiała się, potrząsnęła głową i podała mi dłonie do obejrzenia.

— Nigdy już nie będą czyste — skarżyła się — ani miękkie.

— Więc brud i opierzchnięcia będą twoją odznaką honorową — odpowiedziałem nie puszczając ich z uścisku i wbrew wszystkim postanowieniom byłbym ucałował te drogie ręce, gdyby ich tak szybko nie wyrwała.

Nasze koleżeństwo zaczynało się chwiać. Długo i dobrze panowałem nad swoją miłością, aż stała się silniejsza ode mnie. Przestała mi być posłuszna i kazała mówić oczom, a teraz rozwiązuje mi język. Nie dość tego, opętała moje wargi, bo miałem szaloną ochotę ucałować te małe ręce, które tak wiernie, tak ciężko pracowały. Opętała mnie całego. Coś porywało mnie ku Maud, niby wezwanie rogu myśliwskiego. Jakiś przemożny wiatr chylił mnie, aż w końcu całkiem nieświadomie skłoniłem się ku niej. Wiedziała o tym, musiała wiedzieć, skoro tak raptownie wyciągnęła ręce z mych dłoni, a jednak nie mogła zaniechać szybkiego, przenikliwego spojrzenia, zanim odwróciła oczy.

Za pomocą bloków pokładowych udało mi się przeciągnąć fały w stronę dziobu do kołowrotu i od razu za oba rogi ciągnąłem grotżagiel. Był to sposób niezgrabny, ale szybki, i dlatego użyłem go również przy fokżaglu.

— W tak wąskiej zatoce można podnieść kotwicę, ale niepodobna jej wyciągnąć — powiedziałem. — Prędzej znaleźlibyśmy się na skałach.

— Więc co zrobić?

— Trzeba ją porzucić. Gdy ja będę tym zajęty, musisz wykonać pierwszą swą pracę przy kołowrocie. Będę musiał natychmiast podbiec do steru, a ty musisz przez ten czas postawić kliwer.

Wiele razy planowałem i opracowywałem taki manewr. Wiedziałem, że posłużwszy się kołowrotem Maud będzie mogła podnieść kliwer, ten najważniejszy żagiel. Od morza wiał silny wiatr i choć woda była spokojna, trzeba było działać szybko, by bezpiecznie wydostać się z zatoki.

Wybiłem ruchomy bolec z szekli i łańcuch ze zgrzytem wypadł przez kluzę. Pognałem na rufę i postawiłem ster na wprost. Szkuner zdawał się budzić do życia, gdy przechylił się nabierając wiatru w żagle. Kliwer szedł w górę, musiałem więc przekręcić koło o kilka szprych, aby utrzymać „Upióra” na kursie.

Wymyśliłem automatyczny szot kliwra, który przechodził przez środek tego żagla, tak że Maud nie potrzebowała go doglądać, ale nadal musiała opuszczać kliwer, gdy kładłem ster na burtę.

Nadchodził moment niebezpieczny, gdyż „Upiór” szedł wprost na brzeg i zbliżył się do plaży na odległość rzutu kamieniem. Skręcił jednak posłusznie pod wiatr. Rozległo się upragnione klaskanie żagli, trzaskanie reflinek, szkuner chwycił wiatr i poszedł przeciwnym halsem.

Maud uporała się ze swą robotą, przyszła na rufę i stanęła koło mnie. Na rozwianych włosach miała małą czapczkę. Rumieńce zmęczenia wystąpiły jej na policzki. Szeroko rozwarte oczy błyszczały podnieceniem, a nozdrza drgały od pędu i ukąszeń słonego, rzeźwego wiatru. Jej brązowe oczy przypominały oczy spłoszonej sarny. Nigdy dotąd nie widziałem w nich tak dzikiego, bystrego wyrazu, jak wtedy, gdy stała z rozchyłonymi ustami i wstrzymanym oddechem, a „Upiór” gnał na skały otaczające wewnętrzną zatokę, potem zmienił hals i wyszedł na bezpieczne wody.

Skorzystałem z mego szturmańskiego doświadczenia nabytego podczas połowów i wyszedłszy z wewnętrznej zatoki, długim halsem poszedłem wzdłuż brzegu zatoki zewnętrznej. Jeszcze jedna zmiana halsu i byłem na pełnym morzu. Szkuner pochwyił głębinowy rytm oceanu i dostosował się do niego, wznosząc się i opadając na łagodnych falach. Dzień był dotąd chmurny i ołowiany, ale raptem słońce przebiło się przez chmury na szczęśliwą dla nas wróżbę i oświeciło brzeg wyspy, gdzie wspólnie stawialiśmy czoło władcom haremów i bili chołostaki. Cała Wyspa Usiłowań rozblęsnęła w słońcu. Nawet ponury południowo-zachodni przyładek wydał się mniej ponury i skały zmoczone rozpryskami fal lśniły i migotały w jego promieniach.

— Zawsze będę ją wspominał z dumą — zwróciłem się do Maud.

Podniosła głowę gestem królowej, lecz powiedziała:

— Kochana, droga Wyspa Usiłowań! Zawsze ją będę kochać.

— Ja też — dorzuciłem szybko.

Zdawałoby się, że spojrzenia nasze muszą się spotkać, takie łączyło nas porozumienie, a tymczasem jak na złość umknęły przed sobą.

Zapadło niemal kłopotliwe milczenie, które przerwałem mówiąc:

— Spójrz na te czarne chmury po nawietrznej. Barometr spada od wczoraj wieczór.

— I słońce zaszło — odpowiedziała nie odbiegając jednak oczyma od wyspy, na której dowiedliśmy naszego panowania nad materią i gdzie połączyło nas najszczerze koleżeństwo, jakie może istnieć między kobietą i mężczyzną.

— A teraz pozostaje nam rozpiąć żagle i mknąć ku Japonii! — zawołałem wesoło. — „Z pomyślnym wiatrem i luźnymi szotami”, czy jak się to mówi.

Przykrępowiałem ster i pobiegłem na dziób. Zwolniłem fok i grotżagiel. Operując blokami bomu przygotowałem wszystko do żeglowania baksztagiem. Wiatr był silny, bardzo silny, postanowiłem jednak gnać pod nim, póki można. Na nieszczęście przy takiej szybkości nie sposób uwiązać steru i byłem przygotowany na całonocną wachtę. Maud koniecznie chciała mnie zmienić, ale okazało się, że brak jej sił do sterowania na wzburzonym morzu, nawet gdyby mogła przez tak krótki czas nabyć odpowiednie umiejętności.

To odkrycie ogromnie ją przygnębiło, ale rozpogodziła się zaraz zwinawszy fały i luźne liny. Zresztą ktoś musiał gotować, słać łóżka i doglądać Wilka Lar-sena. Zakończyła dzień generalnym sprzątnięciem w kajucie i międzypokładziu.

Sterowałem przez całą noc bez zmiany. Wiatr i fale wzmagaly się powoli, lecz stale. O piątej rano Maud przyniosła mi gorącej kawy ze świeżo wypieczonymi sucharkami. O siódmej połknąłem obfite, gorące śniadanie, które wróciło mi siły.

Przez cały dzień wiatr wciąż się wzmagał z jednakową mocą i uporem. Przytłaczał zawziętością, z jaką wiał coraz mocniej i mocniej, bez ustanku. „Upiór” wciąż mknął naprzód i pożerał mile, tak że według mych obliczeń musiał robić co najmniej z jednaście węzłów. Szkoda było tracić tę szybkość, lecz pod wieczór byłem już zbyt wyczerpany, bo choć znajdowałem się w doskonałej kondycji fizycznej, trzydzieści sześć godzin przy sterze przekraczało moje siły. A przy tym Maud nalegała, by stanąć w dryf, i wiedziałem, że jeśli wicher będzie wzmagał się tak samo w nocy, wkrótce stanie się to niepodobieństwem. W zapadającym więc zmroku z uczuciem ulgi, a jednocześnie niechętnie wyprowadziłem „Upiora” pod wiatr.

Nie wziąłem jednak pod uwagę ogromu pracy, jaką musi wykonać jeden człowiek refując trzy żagle. Idąc z wiatrem nie doceniłem jego siły. Dopiero gdy zmieniłem kurs, zdałem sobie ze smutkiem sprawę, jak okropnie dmucha. Ogarnęła mnie rozpacz. Wiatr udaremniał wszelkie wysiłki, wyrывał płachty z rąk, w jednej chwili odrabiał to, co zyskiwałem przez dziesięć minut najwytrwalszej pracy. Do ósmej udało mi się zaledwie zrefować fokżagiel. O jedenastej niewiele więcej było zrobione. Krew spływała mi z czubków palców, a paznokcie miałem obłamane do żywego ciała. Z bólu i zupełnego wyczerpania płakałem ukradkiem w ciemności, tak aby Maud tego nie widziała.

Wreszcie, zdesperowany, porzuciłem myśl o zrefowaniu grotżagla i postanowiłem spróbować, czy nie uda się stanąć w dryf pod mocno zrefowanym fokżaglem. Trzy godziny pracy kosztowało mnie przywiązanie grotżagla i kliwra. O drugiej w nocy, na wpół żywy, miałem ledwie tyle przytomności, by zrozumieć, że eksperyment się udał. Zrefowany fokżagiel działa. „Upiór” szedł bajdewindem i nie zdradzał skłonności do usuwania się w bruzdy.

Umierałem z głodu, ale na próżno Maud starała się zmusić mnie do jedzenia. Drzemałem z pełnymi ustami. Zasypiałem niosąc łyżkę do ust i budziłem się, by z przerażeniem stwierdzić, że jeszcze jej nie doniosłem. Byłem tak senny i bezradny, że Maud musiała mnie przytrzymywać na krześle, bym z niego nie wyleciał przy gwałtownych skokach „Upiora”.

Zupełnie sobie nie przypominam, jak z kambuza dostałem się do kajuty. Szedłem jak lunatyk. Maud prowadziła mnie i podpierała. Właściwie pamiętam dopiero to, co działo się po moim przebudzeniu, które nastąpiło nie wiem po jakim czasie. Leżałem w koi bez butów. Było ciemno. Czułem sztywność i ból w kościach. Krzyknąłem z bólu dotknąwszy prześcieradeł czubkami moich biednych palców. Widocznie była jeszcze noc, zamknąłem więc oczy i znowu zasnąłem. Nie wiedziałem, że przespałem dzień i jest już noc, ale następna.

Jeszcze raz się przebudziłem zaniepokojony tym, że nie mogę już dobrze spać. Potarłem zapałkę i spojrzałem na zegarek. Była północ. A przecież przed trzecią nie zszedłem z pokładu. Zaraz jednak nasunęło mi się rozwiązanie. Jasne było, dlaczego się teraz budziłem. Przespałem dwadzieścia jeden godzin. Przez chwilę nasłuchiwałem, jak sprawuje się „Upiór”. Doszedł mnie odgłos walących o burtę fal i przygłuszony ryk wiatru na pokładzie. Przewróciłem się na drugi bok i spokojnie dospałem do rana.

Po przebudzeniu nie znalazłem Maud w kajucie i przyszło mi na myśl, że musi być w kambuzie i gotować śniadanie. Wyszedłem na pokład. Pod kawałkiem płótna „Upiór” radził sobie doskonale. Jednak i w kambuzie nie było Maud, choć palił się tam ogień i gotowała woda w garnku.

Znalazłem Maud w sterówce przy posłaniu Wilka Larsena. Spojrzałem na tego, który został strącony z zenitu życia w otchłań gorszą od śmierci i pogrzebany żywcem. Uderzyło mnie niezwykle odprężenie w jego pozbawionej wyrazu twarzy. Maud spojrzała na mnie i zrozumiałem.

— Jego życie zgasło podczas sztormu — powiedziałem.

— Żyje jednak nadal — odparła głosem dźwięczącym głęboką wiarą.

— Moc jego była zbyt wielka.

— Tak, ale teraz już go nie skuwa. Jest wolnym duchem.

— Bez wątpienia — odpowiedziałem i biorąc ją za rękę, wyprowadziłem na pokład.

Sztorm załamał się tej nocy, to jest począł słabnąć równie powoli, jak przedtem się wzmaczał. Gdy następnego dnia po śniadaniu wyciągnąłem na pokład ciało Wilka Larsena, przygotowane do pogrzebu, wiatr dał jeszcze mocno i piętrzyła się wielka fala. Zmywała ustawicznie pokład, chlustając przez burty i luki odpływowe. Od raptownego podmuchu szkuner położył się, aż zawietrzna burta zniknęła w morzu. Ryk wichru w olinowaniu przeszedł w jakiś piskliwy wrzask. Staliśmy po kolana w wodzie. Zdjąłem czapkę.

— Pamiętam tylko część rytuału pogrzebowego — powiedziałem — która brzmi: „A ciało niech wrzucone będzie w morze”.

Maud spojrzała na mnie zdumiona i zgorszona; ale coś, co niegdyś widziałem, zmusiło mnie, aby udzielić takiego samego pogrzebu Wilkowi Larsenowi, jakiego udzielił on niegdyś innemu człowiekowi. Uniosłem brzeg pokrywy luku i ciało, zaszyte w płótno żaglowe, nogami naprzód zsunęło się w morze. Ciężar żelaza pociągnął je w głąb. Zniknęło.

— Żegnaj, Lucyferze, pyszny duchu — szepnęła Maud tak cicho, że słowa te utonęły w ryku wiatru, lecz ja widziałem, jak poruszyła wargami, i zrozumiałem.

Czepiając się zawietrznej burty wywalczyliśmy sobie powrotną drogę ku rufie. Przypadkiem rzuciłem okiem na zawietrzną stronę. Właśnie „Upiór” podniósł się na fali i nie dalej niż o dwie lub trzy mile zobaczyłem wyraźnie mały parowiec, jak dziobem do fali, miotany i podrzucany, pędził wprost na nas. Pomalowany był na czarno. Z opowiadań o kłusowniczych wyczynach łowców poznałem, że był to kuter celny Stanów Zjednoczonych. Pokazałem go Maud i z pośpiechem, przeprowadziłem ją na rufę, gdzie było bezpieczniej.

Chciałem biec na dół do szafki z flagami sygnałowymi, lecz natychmiast przypomniałem sobie, że omasztowując „Upiora” zapomniałem wyposażyć go we flaglinę.

— Obejdzie się bez wywieszania sygnału ratunkowego — powiedziała Maud. Dość na nas spojrzeć.

— Jesteśmy uratowani — odezwałem się trzeźwo i uroczyście. A potem w porywie szalonej radości dodałem: — Nie wiem, czy się z tego cieszyć, czy smucić.

Spojrzałem na nią. Tym razem oczy nasze nie wzdrygały się spotkać. Pochylił się ku sobie i nim spostrzegłem, już tuliłem ją w ramionach.

— Czy mam powiedzieć?

Odpowiedziała:

— Wprawdzie mówić tego nie trzeba, ale usłyszeć byłoby słodko, bardzo słodko.

Nasze wargi spotkały się i nie wiem, jaki kaprys fantazji przywiódł mi na oczy scenę w kabinie „Upiora”, kiedy Maud koniuszkami palców przycisnęła moje wargi mówiąc: Cicho! Cicho!

— Moja kobietka, moja jedyna mała kobietka — powiedziałem, wolną ręką pieszcząc jej ramię w sposób dobrze znany wszystkim zakochanym, choć nigdzie w szkole nie uczony.

— Mój mężczyzna — odrzekła patrząc na mnie przez chwilę spod drżących rzęs. Zatrzepotały i zasłoniły oczy. Główkę przytuliła mi do piersi z lekkim westchnieniem szczęścia.

Rzuciłem okiem na kuter. Był tuż. Spuszczono łódź.

— Jeszcze jeden pocałunek, kochanie — szepnąłem. — Jeszcze jeden pocałunek, nim przybiją.

— I uratują nas przed nami samymi — dodała z czarującym uśmiechem, przekornym jak nigdy dotąd, bo przekornym miłością.